SFINKS"

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

I

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

WYDANIE NOWE ZUPEŁNE

UŁOŻONE, OPATRZONE WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

PRZEZ

HENRYKA GALLEGO

TOM I

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

PRZEDMOWA.

Urodzony w pamiętnym »roku wojny, roku urodzaju«, 19 lutego 1812, Zygmunt Krasiński miał we krwi dążenia kulturalne i obywatelskie. Ojciec jego, generał Wincenty, napoleończyk, później wierny żołnierz wojsk polskich pod rozkazami cesarza rosyjskiego, człowiek wykształcony, był miłośnikiem literatury w guście klasycznym, a na jego »obiadach czwartkowych« zgromadzali się najwybitniejsi literaci i poeci ówczesnej Warszawy, wśród których rej wodził złośliwy a wykwintny Ludwik Osiński. Dziad Zygmnnta po ojcu, Jan, poseł na sejm 4-letni, należał do partyi postępowej, zniósł w swoich dobrach poddaństwo; żona jego była siostrą Tadeusza Czackiego. Matka poety, Marya z Radziwiłłów, była pasierbicą słynnego marszałka Sejmu Wielkiego, Stanisława Małachowskiego.

Jedynak, potomek rodziny bogatej, przyszły dziedzic wielkiej fortuny, która wkrótce miała się przekształcić w ordynacyę, wychowany był jak najstaranniej. Uważano go za rodzaj »cudownego dziecka« i cieszono się wczesnym rozwojem nad wiek pojętnego chłopca, który już w 13 roku życia pisywał do ojca listy poetyczne, zawierające obrazy ponure i pełne grozy.

Poezye Mickiewicza i romanse rycerskie Walter-Scotta były to pierwsze książki, na których kształcił swój smak artystyczny. Kiedy w salonach jenerała toczono powa-

żne rozprawy naukowe i literackie, on z serdecznym przyjacielem lat dziecinnych, Konstantym Gaszyńskim, zamykał się w jednym z odległych pokojów, palił fajki, których ojciec surowo zabraniał, i marzył o turniejach i walkach, rycerzach i damach dworu. To była owa »era fajkowa«, o której w późniejszych latach z rozrzewnieniem wspominał poeta; wtedy też z pod jego pióra wyszły pierwsze utwory, romanse i fragmenty powieściowe, na tle obyczajów feudalnych, wzorowane na Walter-Scott'cie, Bernatowiczu (»Pojata, córka Lezdejki«), Niemcewiczu (»Jan z Tęczyna«), jako to: »Pan trzech pagórków«, gdzie rodzinne gniazdo Krasińskich, Opinogórę, opisał, »Władysław Herman i jego dwór«, »Grób rodziny Reichstalów« i inne.

Sielanka »ery fajkowej« prędko skończyła się. Zbyt wcześnie Zygmunt wszedł w ostry konflikt z życiem. Ojciec jego, konserwatysta z przekonania, jawny wróg wszelkich ruchów i przejawów rewolucyjnych, samochcąc stworzył synowi sytuacyę tragiczną: trzeba było albo sprzeniewierzyć się najświętszym ideałom narodowym, albo też na własnego ojca rzucić kamieniem potępienia. Zapisany w r. 1827 na wydział prawa i administracyi do uniwersytetu warszawskiego, już w dwa lata później zmuszony był Zygmunt opuścić mury wyższej uczelni, a wraz z nią i Warszawę: znieważony podczas słynnego sądu sejmowego 1829 r. przez kolegów w auli uniwersyteckiej za nieprzychylne stanowisko ojca względem podsądnych, relegowany przez zwierzchność, z rozkazu ojca na dłuższy czas wyjechał.

Przy końcu 1829 r. znalazł się w Genewie, poznał tu Mickiewicza, który wywarł zbawienny wpływ na rozwój jego umysłowości, odbył z nim i z Odyńcem wycieczkę po Szwajcaryi (Interlaken, Alpy Berneńskie, Grimsel, Jezioro czterech kantonów, Rigi). Również, a może nawet bardziej pożyteczna dla Zygmunta była znajomość z młodym lordem angielskim, Henrykiem Reeve'em, umysłem głębokim i szlachetnym, z którym długie potem lata korespondował Krasiński, odsłaniając przed nim najskrytsze tajniki ducha. W Genewie też przyszła pierwsza prawdziwa miłość: przedmiotem jej była młoda Angielka, Henryka Willan, z którą rozłączył go niebawem surowy zakaz ojca.

W tym czasie wyszły z pod jego pióra liczne powieści i fragmenty powieściowe, jak: »Mściwy karzeł i Masław, książę mazowiecki«, »Gastołd«, »Zamek Wilczki«, »Wygnaniec«, »Agaj-Han«, a także liczne utwory francuskie, wśród których do najwybitniejszych należą: »La confession de Napoléon« (»Spowiedź Napoleona«), »Adam Le Fou«, (»Adam Szaleniec«), »Le choléra« (»Cholera«) i inne.

Ale nie tylko czytając książki i pisząc, kształcił się przyszły autor »Nieboskiej Komedyi«: przyglądał się też bacznie rozwojowi społecznemu; prądy rewolucyjne, nurtujące społeczeństwa europejskie, propaganda saint-simonizmu przez Enfantina, Bazarda i innych, ruchy robotnicze (zmowa robotników lyońskich fabryk jedwabiu w listopadzie 1830 r.), wszystko to nie uszło jego uwagi i kazało mu się poważnie obawiać o przyszłe losy organizacyi społecznej w Europie Zachodniej.

A kiedy przyszło nowe cierpienie, kiedy w 1830 r. wybuchło powstanie, kiedy Zygmunt rwał się do oręża, chciał wracać do kraju, walczyć, zmyć z siebie i ojca plamę 1829 roku, surowy zakaz jenerała zatrzymał go przemocą niemal na miejscu. Ten dziwny ojciec, który nad życie kochał jedynaka, był dlań mimowoli największym ciemięzcą.

Zbolałe uczucie patryotyczne coraz silniej zaczyna przejawiać się w korespondencyi i twórczości owoczesnej: niepokój o przyszłość cywilizacyi i trwoga o przyszłość Polski równie silnie przenikają jego wrażliwą duszę, kształtując się w niejasne jeszcze pomysły artystyczne.

A kiedy w 1830—31 r. zwiedził Rzym, kiedy cienie Cezarów i męczenników-chrześcijan, jak żywe, stanęły przed jego wyobraźnią, pomysły te zaczęły przybierać coraz realniejsze kształty: poeta zestawia w myśli obraz upadku społecznego i moralnego Rzymu za ostatnich Cezarów i dzi-

siejsze życie ludów Europy, na wulkanie, w niepewności jutra; wymarzona postać przyszłego zbawcy-mściciela Polski przyobleka kształty symbolicznego Irydiona Greka, co mścił się na Rzymie za krzywdy i poniżenie Hellady. Tak więc jednocześnie powstawały w jego imaginacyi dwa wielkie obrazy: »Nieboska Komedya« (przedtem zatytułowana: »Mąż«) i »Irydion«.

»Nieboska« rozpada się na dwie, dość luźno spojone połowy: dramat rodzinny i dramat społeczny. Kim jest hrabia Henryk i jakie są jego winy?

Hrabia Henryk to typ dziś już zupełnie przeżyty. Hrabia Henryk to człowiek, który jest poetą albo też sam siebie za poetę uważa; pragnie mieć życie pełne wrażeń podniosłych, szuka ich lub sam je stwarza, goni pierzchłą marę poezyi i piękna, depcąc po drodze serca tych, co go najbardziej ukochali. Tak ofiarą pozy poetyckiej Henryka padła żona, padł nieszczęśliwy ślepiec-poeta-dziecię, Orcio.

Niepodobna nam tu rozwodzić się nad głębokością dramatu społecznego w »Nieboskiej Komedyi«. Jest on owocem bacznych rozmyślań nad obecnym i przyszłym losem ludów Europy w 1830 i 1831 r. w Szwajcaryi, rozpraw i korespondencyi z Reeve'em, postrzegania przenikliwego ruchów rewolucyjnych, za jakie miał poczynania saint-simonistów, których echa znalazły się w słynnej scenie z Leonardem-arcykapłanem w trzeciej części »Nieboskiej Komedyi«. Dwa wielkie duchy tej tragedyi przyszłości, hrabia Henryk i Pankracy, to nie dwaj ludzie, nie półbogowie nawet, to dwa wcielenia przeciwnych sobie dążeń i prądów społecznych, żyjących jedynie nienawiścią wzajemną, dążących do wzajemnej zagłady. Dlatego nie może być mowy o polubownej ugodzie pomiędzy nimi, dlatego, ni wtedy, gdy Henryk, wiedziony ciekawością, a może i czemś więcej, niż ciekawością: rozterką duchową i wahaniem, udaje się do obozu demokratów, ni wtedy, gdy Pankracy przychodzi do zamku św. Trójcy badać i kusić Henryka, nie dochodzi do pojednania, bo — żaden z nich szczerze o niem nie myśli i myśleć nie może. Ich przeznaczenie — unicestwić się nawzajem, w gruzy obrócić świat stary, by na zgliszczach nienawiści i pychy mógł wznieść gmach nowy wielki budowniczy jutra, Chrystus-Galilejczyk, wcielenie miłości, która jedna tylko może coś uczynić dla przyszłej epoki rozwoju społecznego. Takie jest znaczenie symboliczne zakończenia »Nieboskiej Komedyi«: Mściciel, którego płomienne spojrzenie kruszy w proch Pankracego, jest tym, który w przyszłości rozpocznie nowę erę, a wtedy nie będzie nawzajem pożerających się bestyi, ale bracia i siostry w miłości.

Cokolwiekbądź z dzisiejszego punktu widzenia moglibyśmy zarzucić »Nieboskiej Komedyi«, przyznać należy jej 21-letniemu autorowi niezwykłą bystrość w postrzeganiu życia społecznego. Ileż tu trafnych przewidywań, które sprawdzały się tylokrotnie, dziś się sprawdzają i sprawdzać się będą nieraz jeszcze, dopóki owa, niejasno przeczuwana przez autora »nowa era« nie nastąpi na ziemi! Już tą pierwszą swą wielką koncepcyą Krasiński stanął w rzędzie największych duchów naszego narodu, a nawet ludzkości, jako autor wielkiej, a być może, niedocenionej jeszcze tragedyi życia społecznego.

Niebawem po »Nieboskiej« powstaje »Irydion«. Dwie myśli, dwa dążenia sprzeczne już od roku 1831 ważyły się i walczyły w duszy poety: pogańska żądza zemsty nad wrogiem i chrześcijańska idea przebaczenia i miłowania nieprzyjaciół oraz tych, którzy nas krzywdzą. Pomysł »Irydiona«, do którego pierwszym bodźcem był »Konrad Wallenrod« Mickiewicza, długo kształtował się w wyobraźni poety, różne przybierając postaci, aż wreszcie przyjął ostateczną formę — miłość zwyciężyła nienawiść: Irydion zbawiony został miłością Grecyi, modlitwą Metelli.

Ale w walce z Rzymem Irydion pada, pada nie w skutek fizycznej przemocy i nie dlatego tylko, że chrześcijanie nie pośpieszyli w czas na pole walki: on musi upaść dla

tej samej przyczyny, dla której Pankracy nie doczekał owoców swych usiłowań: bo obaj są wyobrazicielami ślepej siły nienawiści, która nic zbudować nie może, bo jest siłą tylko niszczycielską, a nie twórczą.

Znaczenie symboliczne Irydiona jest jasne, a przypomina Konrada Wallenroda: jeden i drugi są wcieleniami duszy polskiej, najgorętszych dążeń narodu polskiego, jego miłości i nienawiści. I dlatego Sędzia posyła Irydiona na ostatnią próbę na »ziemię mogił i krzyżów«, by miłość jego, w probierczym ogniu krzywd narodowych, niewoli i ucisku, wyzbywszy się obcych pierwiastków nienawiści i żądzy zemsty, wyszlachetniała, wypiękniła się, stała się godną wolności.

Jeszcze jedną naukę moralną pozostawia nam Krasiński w »Irydionie«: »Idź i czyń!«, woła Głos do Irydiona, a to nie ma być jakiś pojedyńczy czyn, lecz ciągła, nieustanna praca nad wewnętrznem doskonaleniem się, aby wreszcie stać się »wolnym synem Niebios«. »Idź i czyń!«, mówi poeta do swego społeczeństwa. To nie bezczynne oczekiwanie cudu, to nie apatya i nieczułość na sprawy narodowe, to wielkie i trudne zadanie, które poeta każe nam podźwignąć na barki, jeżeli chcemy pracować nad przyszłem dobrem narodowem.

Te nuty, te rady i przestrogi powtarzać się będą niejednokrotnie w późniejszej twórczości Krasińskiego. Tymczasem w twórczości jego nastąpił przełom stanowczy. Tragiczne przejścia 1831 r., smutne wrażenia, jakich doznał po powrocie do znękanego i zrujnowanego kraju nazajutrz po rewolucyi, pobyt w Petersburgu, dokąd go ojciec zawezwał, który chciał z niego zrobić dworaka i nawet wyjednał mu audyencyę u Mikołaja I, cierpienia fizyczne, wreszcie nieszczęśliwa miłość do pani Joanny z Morzkowskich Bóbr-Piotrowickiej, którą poznał w Rzymie r. 1833, wszystko to złamało jego ducha. Przytem zapoznanie się bliższe z przedstawicielami filozofii panteistycznej, Heglem, Spinozą, podkopało jego wiarę, która tak wyraźnie zaznacza się w »Nie-boskiej« i »Irydionie«. Dawne wierzenia i poglądy upadły, nowy systemat nie zdążył się jeszcze wznieść z gruzów, poeta czuł się w rozterce i rozpaczy.

I pod względem literackim epokę tę znamionuje upadek i ściemnienie poczucia piękna. Utwory z tego okresu, jak »Noc Letnia«, »Pokusa«, są płodami przesadnego romantyzmu, znamionującego się stylem niejasnym, pretensyonalnie ponurym, sztuczną tajemniczością i zdawkowym efektem romantycznym. Poza tem, utwory te ożywia myśl szlachetna — mimo pewnych pomysłów dziwacznych — i zacna idea narodowa. Pisarzem, który oddziaływał wówczas na Krasińskiego w owym właśnie kierunku ujemnym, był Jean Paul Richter, którego poeta nasz nazywał wówczas »duchem, wtajemniczonym we wszystkie niewidzialne dla nas państwa duchów«. »Noc Letnia« i »Pokusa«, mimo różnorodność treści, wspólną mają podstawę ideową. Są one niejako odwrotną stroną »Irydiona«. O ile tam poeta przestrzegał przed niechrześcijańską nienawiścią wrogów, o tyle tutaj wyraża obawę wynarodowienia w skutek zbytniego zbliżenia się z nimi czy przez małżeństwo (»Noc Letnia«), czy też przez osobiste stosunki i służalstwo (»Pokusa«). Prawda leży po środku, a trafić do niej za wszelką cenę należy.

Ale, jak słusznie zauważono, utwory te wywarłyby wrażenie o wiele silniejsze, gdyby był poeta po prostu, bez osłonek, przedstawił sceny z życia po-rewolucyjnego Polski: tajemniczość w oznaczaniu bohaterów (»on«, »ona«, »pan młody«, »starzec«, »młodzieniec« i t. p.) nie dodaje siły dramatycznej ani efektu.

Z innych utworów z tej epoki »Wanda« jest tylko złomem granitu, którego zaledwie dotknęło dłóto artysty. »Modlitewnik«, dla pani Bobrowej napisany, zawiera w sobie echa osobistych stosunków poety, ale do scharakteryzowania jego indywidualności drobnym jest tylko przyczynkiem.

Ale zdrowa moralnie natura poety nie mogła długo pozostawać na bezdrożach. I oto zaczyna się niecierpliwe po-

szukiwanie nowej drogi, którąby pogodziła sprzeczności i dała spokój wewnętrzny poecie. Panteizm, stwierdzający tożsamość Boga i natury, Stwórcy i stworzenia, głoszący, że wszystkie twory, od przedmiotów martwych aż do człowieka, są kolejnemi, coraz wyższemi wcieleniami ducha, że wreszcie duch ludzki po śmierci przechodzi jeszcze wyższe wcielenia, aż połączy się z Duchem natury, panteizm ten nie jest i nie może być w zgodzie z chrystyanizmem. W duszy poety błąkają się łachmany poszarpanych pojęć sprzecznych, z których jeszcze nie był zdążył ułożyć się system. Ale żądza systemu jest w nim obecna.

Dowodem tego są napisane wówczas »Trzy myśli Ligenzy«, poprzedzone przedmową humorystyczną, z wybornemi postaciami ograniczonego szlachcica z Pińszczyzny, Szczęsnego Mielikowskiego, i jego małżonki, romansowej damy, rozczytanej w »Balzakach, Szatobriandach«, którzy odnajdują i wydają jakoby rękopis ś. p. Henryka Ligenzy.

Pierwsza z »Myśli«, »Syn cieniów«, to wierny obraz chaosu pojęć, jaki zapanował w owym czasie w umyśle poety. Naogół, jest to wyznanie wiary panteistyczne, z niewielką jedynie przymieszką pojęć chrześcijańskich. »Syn cieniów«, który przechodzi różne formy wcielenia materyalnego, od tworów nieorganicznych aż do człowieka, stając się wtedy »synem światłości«, a i po śmierci nie zaprzestający ciągłego doskonalenia się przez coraz wyższe byty, aż nie powróci tam, skąd wyszedł, nie połączy się z Wszechduchem natury, poczęty jest w duchu Spinozy i Hegla.

O ile »Syn cieniów« dotyczy indywidualizmu człowieczego, o tyle »Sen Cezary« mówi o indywidualizmie narodowym, t. j. o Polsce, i rozwiązuje kwestyę jej przyszłości w sposób, świadczący, że pojęcia poety nie skrystalizowały się jeszcze ostatecznie. Nie wiemy bowiem, na czem zasadza się wiara i nadzieja w zmartwychwstanie narodu, który wraz z Chrystusem zstępuje do grobu. Są to pewne niejasne przeczucia pojęć historyozoficznych, które miały się dopiero wytworzyć, ale stanowisko poety nie dość jasno jeszcze zaznaczone.

Trzecia z myśli, »Legenda«, jeszcze szersze zatacza koła myślowe.

Podstawą ideową »Legendy« jest przekonanie, że Kościół w rozwoju swym przechodzi trzy fazy: 1) kościół pierwiastkowy (św. Piotra); 2) epoka teologiczna propagandy i polemiki w kościele, od Konstantyna do naszych czasów (kościół św. Pawła) i 3) kościół miłości, który ma przyjść kiedyś, którego zaranie przedstawia Krasiński w »Legendzie« (św. Jana). Widoczne jest, że naród polski odegra pewną rolę w tej wielkiej ewolucyi, ale jaką — w epoce tworzenia »Legendy« autor nie zdawał jeszcze sobie jasno sprawy.

Ale niebawem następuje zmiana w wierzeniach poety: około roku 1840 horyzont poety wyjaśnia się, i to na długie lata, do śmierci... Odtąd już żadne zwątpienie nie wstrząsnęło jego duszy. Chrystyanizm i panteizm zlały się w jeden system, a w nim była wielka nadzieja i wielkie posłannictwo dla Polski. Traktat »O Trójcy w Bogu i o trójcy w człowieku« jest najlepszym wyrazem przekonań i wierzeń poety, które dały mu do końca życia spokój i równowagę ducha.

Nie docierając do głębin podstaw filozoficznych tego traktatu, powiemy tylko, co z tych przesłanek wysnuwa poeta dla ludzkości i dla narodu.

Ludzkość przechodzi trzy epoki rozwoju: 1) pogaństwo (byt nieuświadomiony, jak ciało u człowieka); 2) świat chrześcijański (walka pomiędzy materyą a sumieniem, jak między ciałem a duszą w człowieku); 3) harmonijne zespolenie bytu z sumieniem przez wolę, dobrowolnie zgodną z wolą Boga. I to będzie ten okres przyszłości, godzina-dopełnicielka, doba Ducha św., kiedy nie będą wprawdzie dodane nowe idee, lecz Duch nas oświeci, iż zechcemy dopełnić nauki Chrystusowej na ziemi w stosunkach nie tylko mię-

dzy ludźmi, ale i między narodami, które staną obok siebie, jak bracia, miłujący się w Chrystusie.

Ale jak dojść do tego stanu ludzkości?

W świecie stosunków między jednostkami ludzkiemi podobnego przewrotu dokonał Chrystus, poniósłszy śmierć za ludzkość, a potem zmartwychwstawszy za nią, by swą niewinną i dobrowolną męką zbawić ludzkość i wskazać jej nowe ideały braterstwa i miłości.

W zakresie stosunków międzynarodowych zajść musi podobne męczeństwo: z pośród narodów musi poświęcić się jeden wybrany i, jak Chrystus, dobrowolnie przyjąć ofiarę, niewinnie ponieść śmierć za inne, bo właściwie ludzkość cała tylko przez śmierć mogłaby przyjść do wyższego życia. Ale że ludzkość cała, nawet na czas pewien umrzeć nie może, jedna więc jej cząstka, jeden naród, który przez tę ofiarę bierze na siebie misyę Chrystusową wśród ludów, staje się »Chrystusem narodów«. Ale jak Chrystus po trzech dniach zmartwychwstał i ogłosił światu nową erę, tak i Polska po niejakim czasie wstanie z grobu i ogłosi ludzkości nową epokę, do której poprowadzi ludy, pełne Chrystusowego blasku i chwały.

W taki sposób wyjaśnia Krasiński upadek polityczny Polski, to nazywa »próbą grobu« i w tem widzi nadzieję i pokrzepienie na przyszłość.

Patrząc w przeszłość swego narodu, Krasiński spostrzegł fakt, że polityka Polski nigdy nie była skierowana ku interesom państwa, lecz przeważnie ku interesom Kościoła i chrystyanizmu. Wyobraził więc sobie, że Polska z góry wybrana była do owej misyi Chrystusowej, bo i w wiekach minionych w dziejach Polski więcej było pierwiastka Chrystusowego, niż u innych narodów.

Te myśli i wierzenia w r. 1840 przyoblekły się w formę poetycką »Przedświtu«, do którego podstawy materyalnej dostarczyły poecie wrażenia z pobytu w miasteczku Varenna nad jeziorem Como, gdzie bawił z »Beatryczą« swą,

kobietą, która po rozstaniu się z Bobrową oczarowała wyobraźnię poety, Delfiną Potocką.

Dziś wiemy, że podstawa logiczna »Przedświtu« i całej wogóle teoryi »próby grobu« jest fałszem, chociaż nie rozmyślnym. Przyczyna naszego upadku historycznego leżała nie tylko poza nami, ale i w nas samych. Nie można więc mówić teraz o tem, że byliśmy narodem wybranym, nie można mówić o niewinnej ofierze, nie można żadną miarą przyrównywać Polski do Chrystusa, nie można z tej przeszłości przeidealizowanej wyciągać wniosków fałszywych i niebezpiecznych, jak np.: nie byliśmy winni upadku, nie należy więc przykładać ręki i do zmartwychpowstania itd.

Ale współcześni uwierzyli poecie, i on sam sobie uwierzył. I przez długie lata po r. 1831 »Przedświt« był niewyczerpaną krynicą, do której ciągnęli znękani i zrozpaczeni, jak umierający w baśni do źródła »wody życia«.

Ale tem nie wyczerpuje się znaczenie tego poematu: on i dziś jeszcze, po 60 latach przeszło, pomimo iż przestaliśmy wierzyć w cuda, w logikę i etykę wypadków dziejowych, posiada wartość doniosłą, bo te nauki moralne, które nam tu daje poeta, bo to, co mówi w zakończeniu: »Zgińcie, me pieśni, wstańcie, czyny moje!«, pozostało i pozostanie na zawsze prawdziwą skarbnicą wzniosłości etycznej, bo »powstanie czynów«, t. j. czynów, dążących do wewnętrznego udoskonalenia, uszlachetnienia narodu, jest i będzie wielkim wskaźnikiem narodu.

Odtąd system poety nie zmienił się i nie uzupełnił: do końca życia nie przybyło w nim ani jedno ogniwo. I wszystkie późniejsze utwory: »Psalmy przyszłości«, »Dzień dzisiejszy«, »Ostatni«, »Nieboskiej Komedyi część I« (t. zw. »Niedokończony Poemat«), powtarzają te same hasła i te same nadzieje.

»Psalmy« powstały przed i po r. 1846. Pierwsze trzy z nich zostały utworzone pod wpływem agitacyi rewolucyjnej skrajnych odłamów emigracyi polskiej; obawiając

się — słusznie czy niesłusznie — że propaganda ta, przychodząc za wcześnie, nie mając gruntu przygotowanego w ludzie, wydać może wręcz przeciwne oczekiwanym wyniki, napisał Krasiński »Psalm Wiary«, najpełniejszy, a zarazem najzwięźlejszy wyraz swych pojęć filozoficznych i historyoficznych, »Psalm Nadziei«, pełen zapału i ufności w lepsze jutro, oraz »Psalm Miłości«, nawołujący w wyrazach wzniosłych i szlachetnych do wspólności uczuć i pragnień wszystkich synów Matki-Ojczyzny, szlachtę i chłopów.

Kiedy trwożne przewidywania poety ziściły się w strasznym epizodzie męczeństwa Polski, rzezi galicyjskiej 1846 r., kiedy został wydrukowany wiersz Słowackiego »Do autora trzech psalmów«, godzący boleśnie w samą istotę duchową i moralną naszego poety, zbolały, pełen smutku i goryczy poeta napisał »Psalm Żalu«, odpowiedź Słowackiemu, a wreszcie zamknął »Psalmem Dobrej Woli« całą swą twórczość, a zarazem — całą wielką twórczość romantyczną polską, jak złotą klamrą. Wzniosłość bowiem moralna tego ostatniego z psalmów, głoszącego, że naród polski sam tylko siebie może zbawić, swoją własną dobrą wolą, jest największa bodaj w całej puściźnie literackiej autora »Przedświtu«.

Słusznie rzec można, że »Psalm Dobrej Woli« to wspaniałe *finale* potężnej symfonii wielkiej poezyi narodowej polskiej!...

Mówiliśmy, że Krasiński »Psalmami Przyszłości« zamknął swą twórczość. I w samej rzeczy: chociaż pisał jeszcze i potem, do końca życia, nic równie wielkiego nie stworzył: »Dzień Dzisiejszy« i »Ostatni« są to tylko nowe parafrazy poetyckie teoryi »próby grobu«, a »Nieboskiej komedyi część I«, obok scen czysto podmiotowych, osnutych na wrażeniach z podróży po Włoszech i stosunku z panią Bobrową, zawiera szereg obrazów, ilustrujących znane już nam pojęcia historyozoficzne poety.

Słusznie nazywają Krasińskiego »poetą myśli«. W samej rzeczy, żaden z romantyków naszych nie poruszył tak wielkich i szerokich idei, żaden nie był w tak znacznym stopniu filozofem w poezyi, a raczej poetyzującym filozofem i historyozofem.

Jako historyozof, Krasiński nie mógł zatrzymać się na jednym narodzie, ale objął wzrokiem cały byt, a zwłaszcza całą ludzkość, jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Zwłaszcza — przyszłość! nikt bowiem, tak jak on, nie usiłował przebić wzrokiem nieprzeniknionej zasłony, która oddziela nas od tego, co przyjść ma i przyjść musi, nikt nie silił się tak nad rozwiązaniem zagadek przyszłości i nikt nie był tak pewien, że je rozwiązał, wyprowadziwszy logicznie wnioski z przeszłości i czasów obecnych. Jest więc Krasiński najpełniejszym wyrazem tej poezyi wieszczej, która zaczęła się u nas po r. 1831.

Rozszerzyły się ramy myślowe naszego poety: rozmyślając o przyszłości swojego ludu, ani razu nie stracił z oka i innych, całej ludzkości. Nikt więc, tak jak on, nie zasługuje na miano poety wszechświatowego. W »Nieboskiej Komedyi« nuta narodowa nie zabrzmiała ani razu, a i w późniejszych utworach również nigdy nie zajmuje się Krasiński kwestyą bytu swojego wyłącznie narodu, w oderwaniu od innych: Polska jest u niego narzędziem Boga, wiodącego ludzkość całą ku odrodzeniu duchowemu. Jest więc Krasiński poetą ludzkości, a przedewszystkiem poetą mrocznych zagadek bytu społecznego, czego w »Nieboskiej Komedyi« najlepsze znajdziemy dowody.

Ale i uczucie narodowe silnie przemawia z jego utworów. W pierwszej, irydionowej epoce przemawia ono bezpośredniej, jakby pod świeżem wrażeniem klęsk 1831 roku i lat następnych (»Irydion«, »Noc letnia«, »Pokusa«). Później patryotyzm Krasińskiego przeistacza się: staje się nie tyle żywiołowym, instynktowym, jak u Mickiewicza, nie pełnym goryczy, jak u Słowackiego, ale, zgodnie z charakterem umysłowości poety, bardziej filozoficznym, wyrozu-

mowanym. Raz wpadłszy na genialną manię »próby grobu«, poeta trzymał się do końca życia tej wiary, jak ostatniej deski ocalenia: i odtąd ukochał ojczyznę nie tylko, jako syn matkę, ale też, jako filozof Naród-Anioła, co w dziejach wszechspołeczeństwa ma odegrać rolę Chrystusową, którą on mu wyznaczył.

Pod jednym jeszcze względem poezya Krasińskiego stoi niezmiernie wysoko: pod względem wzniosłości etycznej i czystości. Niewielu zapewne znajdzie się poetów, którzyby zostawili swemu narodowi tyle szlachetnych i wielkich nakazów moralnych, zwłaszcza w zakresie życia narodowo-społecznego.

I to tem dziwniejsze, że wszystkie te piękności etyczne płyną z tak mętnego źródła, jaką była fałszywa podstawa rozumowania i poglądów historyozoficznych. Był to wiekopomny obłęd, genialna aberacya umysłowa, którą zresztą Krasiński podzielał z wielu współczesnymi, a której zawdzięczamy najpiękniejsze utwory naszego romantyzmu. Tem dziwniejsza, że z podstawy logicznie fałszywej nie zostały wyprowadzone wnioski skrzywione etycznie, i w tem jest cała wielkość nie tylko Krasińskiego, ale i całej naszej poezyi romantycznej.

Za parę lat upływa 50-lecie od zgonu wielkiego autora »Przedświtu« (zmarł d. 23 lutego 1859 r. w tym samym Paryżu, gdzie 47 lat temu ujrzał światło dzienne). I dotychczas nie znamy go jeszcze należycie. Przez długi czas błądziliśmy w zupełnym mroku; od niedawna dopiero zaczęły się ukazywać publikacye, oświetlające dokładniej mroczną postać Krasińskiego (korespondencya z Bobrową, z Reeve'em, całe dziesiątki nieznanych utworów, zwłaszcza z epoki warszawskiej i genewskiej); coraz lepiej zaczynamy poznawać oblicze duchowe twórcy »Nieboskiej Komedyi«. Ściśle jednak biorąc, studya nad Krasińskim zaledwie się zaczynają; przytem wielu źródeł jeszcze nie znamy: cała np. olbrzymia, niezmiernie ciekawa korespondencya z ojcem spoczywa dotychczas w rękopisach.

Nie mamy bynajmniej pretensyi, by nasze wydanie przyczyniło się do wyjaśnienia zagadek twórczości Zygmunta; nie to zresztą mieliśmy na celu. Chodziło nam jedynie o upowszechnienie puścizny piśmienniczej Krasińskiego, zbyt może mało znanej szerszemu ogółowi. Zadanie mieliśmy znakomicie ułatwione dzięki znakomitej, pełnej edycyi p. Tadeusza Piniego (Lwów, 1904), która słusznie może być uważana za chlubę naszej pracy wydawniczej.

Oparliśmy się więc na niej, wprowadziwszy tylko niektóre zmiany, a mianowicie:

1) pisownię zmodernizowaliśmy, zachowując jednak charakterystyczne odrębności fonetyczne i morfologiczne poety, a także wysoce oryginalną interpunkcyę;

2) zamknęliśmy w czterech tomach całą polską twórczość Krasińskiego, pomijając utwory francuskie oraz kilka fragmentów polskich wątpliwej autentyczności i mniejszej wagi;

3) zmieniliśmy układ w ten sposób, że pierwsze trzy tomy stanowią niejako zamkniętą w sobie całość dorobku piśmienniczego poety z doby jego dojrzałości duchowej, uzupełnioną dwiema najbardziej typowemi powieściami z okresu młodzieńczego: »Grób rodziny Reichstalów« i »Agaj-Han«; czwarty zaś tom, stanowiący niejako dopełnienie, zawiera wszystkie pozostałe utwory poety z epoki warszawskiej i genewskiej.

Jeżeli niema nadziei, by Krasiński, jak Mickiewicz, »zbłądził pod strzechy«, to w każdym razie powinien stać się ulubionym poetą jak najszerszych warstw inteligencyi polskiej.

O to nam właśnie najbardziej chodziło.

Warszawa, 6 lipca 1906 r.

Henryk Galle.

NIE-BOSKA KOMEDYA

»Do błędów nagromadzonych przez przodków dodali to, czego nie znali ich przodkowie — wahanie się i bojaźń; — i stało się zatem, że zniknęli z powierzchni ziemi, i wielkie milczenie jest po nich«.

Bezimienny.

»To be or not to be, that is the question«.

Hamlet.

POSWIĘCONE MARYI
Bobrowej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Gwiazdy w około twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrzysz jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem — Chwale twojej niby nic nie zrówna. —

* * *

Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze — Splatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek, igraszka palców twoich — łzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem, i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością — Biada ci — biada. — Dziecię, co płacze na łonie mamki — kwiat polny, co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie. —

* * *

Skądżeś powstał, marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironii? — kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać Anioła chwilą, nim zagrząźniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz

czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek. —

* * *

Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich. — Twoje rozpacze i westchnienia opadają na dół i Szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana. —

* * *

Nie przeto wyrzekam na ciebie, Poezyo, matko Piękności i Zbawienia. — Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywemi głosami twej chwały. —

* * *

Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki, Pan, przed którym się uniżają stworzenia i mówią: »On jest tutaj« — Taki cię będzie nosił gdyby gwiazdę na czole swojem, a nie oddzieli się od twej miłości przepaścią słowa. — On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawcześnie, i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłemi się bawi i grobowy wieniec splata sobie przez całe życie — Temu i niewieście jeden jest początek. —

* * *

ANIOŁ STRÓŻ. Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń kto ma serce — on jeszcze zbawion być może — żono dobra i skromna, zjaw się dla niego — i dziecię niechaj się urodzi w domu waszym. — *(przelatuje).*

* * *

CHÓR ZŁYCH DUCHÓW. W drogę, w drogę, widma, lećcie ku niemu — Ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy umarłej wczoraj, odświeżony w mgle i ubrany w kwiaty, dziewico kochanko poety, naprzód. —

W drogę i ty, sławo, stary orle wypchany w piekle, zdjęty z palu, kędy cię strzelec zawiesił w jesieni — leć i roztocz skrzydła, wielkie, białe od słońca, nad głową poety. —

Z naszych sklepów wynidź, spróchniały obrazie Edenu, dzieło Belzebuba — dziury zalepiem i rozwiedziemy pokostem — a potem płótno czarodziejskie zwiń się w chmurę i leć do poety — wnet się rozwiąż naokoło niego, opasz go skałami i wodami, naprzemian nocą i dniem — Matko naturo, otocz poetę!

* * *

Wieś — Kościół — nad kościołem ANIOŁ STRÓZ *się kołysze*

Jeśli dotrzymasz przysięgi na wieki, będziesz bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego. *(znika).*

* * *

Wnątrz kościoła — świadki — gromnica na ołtarzu —

KSIĄDZ *(ślub daje)*

Pamiętajcie na to. —

Wstaje para — MĄZ *ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu — wszyscy wychodzą — on sam zostaje w kościele —*

Zstąpiłem do ziemskich ślubów, bom znalazł tę, o której marzyłem — przekleństwo mojej głowie, jeśli ją kiedy kochać przestanę. —

* * *

Komnata pełna osób — bal — muzyka — świece — kwiaty. — Panna młoda walcuje i po kilku okręgach staje, przypadkiem napotyka męża w tłumie i głowę opiera na jego ramieniu.

PAN MŁODY. Jakżeś mi piękna w osłabieniu swojem — w nieładzie kwiaty i perły na włosach twoich — płoniesz ze wstydu i znużenia — o wiecznie, wiecznie będziesz pieśnią moją. —

PANNA MŁODA. Będę wierną żoną tobie, jako Matka mówiła, jako serce mówi. — Ale tyle ludzi jest tutaj — tak gorąco i huczno —

PAN MŁODY. Idź zraz jeszcze w taniec, a ja tu stać będę i patrzeć na cię, jakem nieraz w myśli patrzał na sunących aniołów. —

PANNA MŁODA. Pójdę, jeśli chcesz, ale już sił prawie nie mam. —

PAN MŁODY. Proszę cię, moje kochanie. —

(Taniec i muzyka).

* * *

Noc pochmurna — DUCH ZŁY *pod postacią dziewicy, lecąc —*

Niedawnom jeszcze biegała po ziemi, w taką samą porę — teraz gnają mnie czarty i każą świętą udawać. —

(leci nad ogrodem)

Kwiaty, odrywajcie się i lećcie do moich włosów. —

(leci nad cmentarzem)

Świeżość i wdzięki umarłych dziewic rozlane w powietrzu, płynące nad mogiłami, lećcie do jagód moich. —

Tu czarnowłosa się rozsypuje — cienie jej puklów, zawiśnijcie mi nad czołem. — Pod tym kamieniem zgasłych dwoje ócz błękitnych — do mnie, do mnie ogień, co tlał w nich. — Za temi kraty sto gromnic się pali — księżnę dziś pochowano — suknio atłasowa, biała jak mleko, oderwij się od niej — przez kraty leci suknia do mnie, trzepocząc się jak ptak — a dalej, a dalej. —

* * *

Pokój sypialny — lampa nocna stoi na stole i blado oświeca męża śpiącego obok żony. —

MĄŻ *(przez sen).* Skądże przybywasz niewidziana, niesłyszana oddawna — jak woda płynie, tak płyną twoje stopy, dwie fale białe — pokój świątobliwy na skroniach twoich — wszystko, com marzył i kochał, zeszło się w tobie. — *(przebudza się).* Gdzież jestem! — ha, przy żonie — to moja żona. *(wpatruje się w żonę).* Sądziłem, że to ty jesteś marzeniem mojem, a otóż po długiej przerwie wróciło ono i różnem jest od ciebie — Ty dobra i miła, ale tamta... Boże — co widzę — na jawie —

DZIEWICA. Zdradziłeś mnie. *(znika).*

MĄŻ. Przeklęta niech będzie chwila, w której pojąłem kobietę, w której opuściłem kochankę lat młodych, myśl myśli moich, duszę duszy mojej...

ZONA *(przebudza się).* Co się stało — czy już dzień — czy powóz zaszedł? — wszak mamy jechać dzisiaj po różne sprawunki. —

MĄŻ. Noc głucha — śpij — śpij głęboko. —

ŻONA. Możeś zasłabł nagle, mój drogi, wstanę i dam ci eteru. —

MĄŻ. Zaśnij. —

ŻONA. Powiedz mi, drogi, co masz, bo głos twój niezwyczajny i gorączką nabiegły ci jagody. —

MĄŻ *(zrywając się).* Świeżego powietrza mi trzeba — zostań się — przez Boga, nie chodź za mną — nie wstawaj, powiadam ci raz jeszcze. — *(wychodzi)*

* * *

Ogród przy świetle księżyca — za parkanem kościół.

MĄŻ. Od dnia ślubu mojego spałem snem odrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta niemca przy żonie niemce — świat cały jakoś zasnął w około mnie na podobieństwo moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecię ma się mi narodzić, myślałem o mamce. —

(Bije druga na wieży kościoła)

Do mnie, państwa moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją — słuchające natchnień moich — niegdyś odgłos nocnego dzwonu był hasłem waszem — *(chodzi i załamuje ręce).* Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał; czyś Ty sam wyrzekł, że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę, i ciała gdyby dwa trupy zostawią przy sobie —

Znowu jesteś przy mnie — o moja — o moja, zabierz mnie z sobą — jeśliś złudzeniem, jeślim cię wymyślił, a tyś się utworzyła ze mnie i teraz objawiasz się mnie, niechże i ja będę marą, stanę się mgłą i dymem, by zjednoczyć się z tobą. —

DZIEWICA. Pójdzieszli za mną, w którykolwiek dzień przylecę po ciebie?

MĄŻ. O każdej chwili twoim jestem. —

DZIEWICA. Pamiętaj. —

MĄŻ. Zostań się — nie rozpraszaj się jako sen — Jeśliś pięknością nad pięknościami, pomysłem nad wszystkiemi myśli, czegóż nie trwasz dłużej od jednego życzenia, od jednej myśli. —

(Okno otwiera się w przyległym domu).

GŁOS KOBIECY. Mój drogi, chłód nocy spadnie ci na piersi; wracaj, mój najlepszy, bo mi tęskno samej w tym czarnym, dużym pokoju. —

MĄŻ. Dobrze — zaraz. —

Znikł duch, ale obiecał, że powróci, a wtedy żegnaj mi ogródku, i domku, i ty, stworzona dla ogródka i domku, ale nie dla mnie. —

GŁOS. Zmiłuj się — coraz chłodniej nad rankiem. —

MĄŻ. A dziecię moje — o Boże! *(wychodzi)*

* * *

Salon — dwie świece na fortepianie — kolebka z uśpionem dzieckiem w kącie — Mąż rozciągnięty na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach — Żona przy fortepianie —

ŻONA. Byłam u Ojca Benjamina, obiecał mi się na pojutrze. —

MĄŻ. Dziękuję ci.

ŻONA. Posłałam do cukiernika, żeby kilka tort przysposobił, boś podobno dużo gości sprosił na chrzciny — wiesz — takie czokoladowe, z cyfrą Jerzego Stanisława. —

MĄŻ. Dziękuję ci.

ŻONA. Bogu dzięki, że już raz się odbędzie ten obrządek — że Orcio nasz zupełnie chrześcijaninem się stanie — bo

choć już chrzczony z wody, zdawało mi się zawsze, że mu nie dostaje czegoś. — *(idzie do kolebki)*. Spij, moje dziecię — czy już się tobie coś śni, że zrzuciłeś kołderkę — ot, tak — teraz leż tak — Orcio mi dzisiaj niespokojny — mój maleńki — mój śliczny, śpij. —

MĄŻ *(na stronie)*. Parno — duszno — burza się gotuje — rychłoż tam ozwie się piorun, a tu pęknie serce moje. —

ŻONA *(wraca, siada do fortepianu, gra i przerywa, znowu grać zaczyna i przestaje znowu)*. Dzisiaj, wczoraj — ach! mój ty Boże, i przez cały tydzień, i już od trzech tygodni, od miesiąca, słowa nie rzekłeś do mnie — i wszyscy, których widzę, mówią mi, że źle wyglądam —

MĄŻ *(na stronie)*. Nadeszła godzina — nic jej nie odwlecze — *(głośno)*. Zdaje mi się owszem, że dobrze wyglądasz. —

ZONA. Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie, odwracasz się, kiedy wchodzę, i zakrywasz oczy, kiedy siedzę blizko — wczoraj byłam u spowiedzi i przypominałam sobie wszystkie grzechy — a nie mogłam nic znaleźć takiego, coby cię obrazić mogło. —

MĄŻ. Nie obraziłaś mnie. —

ŻONA. Mój Boże — mój Boże! —

MĄŻ. Czuję, że powinienem cię kochać. —

ŻONA. Dobiłeś mnie tem jednem: powinienem — ah! lepiej wstań i powiedz — »nie kocham« — przynajmniej już będę wiedziała wszystko — wszystko. — *(zrywa się i bierze dziecko z kolebki)* Jego nie opuszczaj, a ja się na gniew twój poświęcę — dziecko moje kochaj — dziecko moje, Henryku. — *(przyklęka)*.

MĄŻ *(podnosząc)*. Nie zważaj na to, com powiedział — napadają mnie często złe chwile — nudy. —

ŻONA. O jedno słowo cię proszę — o jedną obietnicę tylko — powiedz, że go zawsze kochać będziesz. —

MĄŻ. I ciebie i jego — wierzaj mi.

(Całuje ją w czoło — a ona go obejmuje ramionami — wtem grzmot słychać — zaraz potem muzykę — akkord po akkordzie i coraz dziksze).

ŻONA. Cóż to znaczy? — *(dziecię ciśnie do piersi)*

(Muzyka się urywa)

Wchodzi DZIEWICA.

O mój luby, przynoszę ci błogosławieństwo i rozkosz — chodź za mną. —

O mój luby, odrzuć ziemskie łańcuchy, które cię pętają. — Ja ze świata świeżego, bez końca, bez nocy. — Jam twoja. —

ŻONA. Najświętsza Panno, ratuj mnie — to widmo blade jak umarły, — oczy zgasłe, i głos jak skrzypienie woza, na którym trup leży. —

MĄŻ. Twe czoło jasne, twój włos kwieciem przetykany, o luba. —

ZONA. Całun w szmatach opada jej z ramion. —

MĄŻ. Światło leje się naokoło ciebie — głos twój raz jeszcze — niechaj zaginę potem.

DZIEWICA. Ta, która cię wstrzymuje, jest złudzeniem — Jej życie znikome — jej miłość jako liść, co ginie wśród tysiąca zeschłych — ale ja nie przeminę. —

ZONA. Henryku, Henryku, zasłoń mnie, nie daj mnie — czuję siarkę i zaduch grobowy. —

MĄŻ. Kobieto z gliny i z błota, nie zazdrość, nie potwarzaj — nie bluźń — patrz — to myśl pierwsza Boga o tobie, ale tyś poszła za radą węża i stałaś się, czem jesteś. —

ZONA. Nie puszczę cię. —

MĄŻ. O luba! rzucam dom i idę za tobą — *(wychodzi)*.

ŻONA. Henryku — Henryku! *(mdleje i pada z dzieckiem — drugi grzmot)*

* * *

Chrzest — Goście — Ojciec Benjamin — Ojciec chrzestny — Matka chrzestna — Mamka z dzieckiem — na sofie na boku siedzi Żona — w głębi służący —

PIERWSZY GOŚĆ *(po cichu).* Dziwna rzecz, gdzie Hrabia się podział. —

DRUGI GOŚĆ. Zabałamucił się gdzieś, lub pisze. —

PIERWSZY GOŚĆ. A Pani blada, niewyspana, słowa do nikogo nie przemówiła. —

TRZECI GOŚĆ. Chrzest dzisiejszy przypomina mi bale, na które zaprosiwszy Gospodarz, zgra się wilią w karty, a potem gości przyjmuje z grzecznością rozpaczy. —

CZWARTY GOŚĆ. Opuściłem śliczną księżniczkę — przyszedłem — sądziłem, że będzie sute śniadanie, a zamiast tego, jako Pismo mówi, płacz i zgrzytanie zębów. —

OJCIEC BENJAMIN. Jerzy Stanisławie, przyjmujesz olej święty?

OJCIEC i MATKA CHRZESTNA. Przyjmuję. —

JEDEN Z GOŚCI. Patrzcie, wstała i stąpa jak gdyby we śnie. —

DRUGI GOŚĆ. Roztoczyła ręce przed się, i chwiejąc się idzie ku synowi. —

TRZECI GOŚĆ. Co mówicie — podajmy jej ramie, bo zemdleje. —

OJCIEC BENJAMIN. Jerzy Stanisławie, wyrzekasz się Szatana i pychy jego?

OJCIEC i MATKA CHRZESTNA. Wyrzekam się. —

JEDEN Z GOŚCI. Cyt — słuchajcie. —

ŻONA *(kładąc dłonie na głowie dziecięcia).* Gdzie Ojciec twój, Orcio. —

OJCIEC BENJAMIN. Proszę nie przerywać —

ŻONA. Błogosławię cię, Orciu, błogosławię, dziecię moje. — Bądź poetą, aby cię Ojciec kochał, nie odrzucił kiedyś. —

MATKA CHRZESTNA. Ale pozwólże, moja Marysiu. —

ZONA. Ty Ojcu zasłużysz się i przypodobasz — A wtedy on twojej Matce przebaczy. —

OJCIEC BENJAMIN. Bój się Pani Hrabina Boga. —

ŻONA. Przeklinam cię, jeśli nie będziesz Poetą — *(mdleje — wynoszą ją sługi).*

GOŚCIE *(razem).* Coś nadzwyczajnego zaszło w tym domu — wychodźmy, wychodźmy —

(Tymczasem obrząd się kończy — dziecię płaczące odnoszą do kolebki)

OJCIEC CHRZESTNY *(przed kolebką).* Jerzy Stanisławie, dopiero coś został Chrześcijaninem i wszedł do towarzystwa ludzkiego, a później zostaniesz obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą znakomitym urzędnikiem — pamiętaj, że Ojczyznę kochać trzeba, i że nawet za Ojczyznę zginąć jest pięknie... *(Wychodzą wszyscy)*

* * *

Piękna okolica — wzgórza i lasy — góry w oddali.

MĄŻ. Tegom żądał, o to przez długie modliłem się lata i nareszciem już blizki mojego celu — świat ludzi zostawiłem z tyłu — niechaj sobie tam każda mrówka bieży i bawi się źdźbłem swojem, a kiedy go opuści, niech skacze ze złości lub umiera z żalu. —

GŁOS DZIEWICY. Tędy — tędy — *(Przechodzi)*

* * *

Góry i przepaście ponad morzem — gęste chmury — burza —

MĄŻ. Gdzie mi się podziała — nagle rozpłynęły się wonie poranku, pogoda się zaćmiła — stoję na tym szczycie, otchłań pode mną, i wiatry huczą przeraźliwie. —

GŁOS DZIEWICY *(w oddaleniu).* Do mnie, mój luby —

MĄŻ. Jakże już daleko, a ja przesadzić nie zdołam przepaści. —

GŁOS *(w pobliżu)*. Gdzie skrzydła twoje?

MĄŻ. Zły duchu, co się natrząsasz ze mnie, gardzę tobą. —

GŁOS DRUGI. U wiszaru góry twoja wielka dusza, nieśmiertelna, co jednym rzutem niebo przelecieć miała, ot kona! — i nieboga twoich stóp się prosi, by nie szły dalej — wielka dusza — serce wielkie. —

MĄŻ. Pokażcie mi się, weźcie postać, którąbym mógł zgiąć i obalić. — Jeśli się was ulęknę, bodajbym Jej nie otrzymał nigdy. —

DZIEWICA *(na drugiej stronie przepaści)*. Uwiąż się dłoni mojej i wzleć. —

MĄŻ. Cóż się dzieje z tobą — kwiaty odrywają się od skroni twoich i padają na ziemię, a jak tylko się jej dotkną, ślizgają jak jaszczurki, czołgają jak żmije. —

DZIEWICA. Mój luby. —

MĄŻ. Przez Boga, suknię wiatr zdarł ci z ramion i rozdarł w szmaty. —

DZIEWICA. Czemu się ociągasz? —

MĄŻ. Deszcz kapie z włosów — kości nagie wyzierają z łona. —

DZIEWICA. Obiecałeś — przysiągłeś. —

MĄŻ. Błyskawica źrzenice jej wyżarła. —

CHOR DUCHOW ZŁYCH Stara, wracaj do piekła — uwiodłaś serce wielkie i dumne, podziw ludzi i siebie samego. — Serce wielkie, idź za lubą twoją. —

MĄŻ. Boże, czy ty mnie za to potępisz, żem uwierzył, iż twoja piękność przenosi o całe niebo piękność tej ziemi — za to, żem ścigał za nią i męczył się dla niej, ażem stał się igrzyskiem szatanów? —

DUCH ZŁY. Słuchajcie bracia — słuchajcie. —

MĄŻ. Dobija ostatnia godzina — Burza kręci się czarnemi wiry — morze dobywa się na skały i ciągnie ku mnie — niewidoma siła pcha mnie coraz dalej — coraz bliżej — z tyłu tłum ludzi wsiadł mi na barki i prze ku otchłani. —

DUCH ŻŁY. Radujcie się bracia — radujcie —

MĄŻ. Napróżno walczyć — rozkosz otchłani mnie porywa — zawrót w duszy mojej — Boże — wróg Twój zwycięża! —

ANIOŁ STRÓŻ *(ponad morzem)*. Pokój wam, bałwany, uciszcie się. —

W tej chwili na głowę dziecięcia twego zlewa się woda święta —

Wracaj do domu i nie grzesz więcej. —

Wracaj do domu i kochaj dziecię twoje. —

* * *

Salon z fortepianem — wchodzi Mąż — Służący ze świecą za nim —

MĄŻ. Gdzie Pani?

SŁUGA. J. W. Pani słaba —

MĄŻ. Byłem w jej pokoju — pusty. —

SŁUGA. Jasny Panie, bo J. W. Pani tu niema —

MĄŻ. A gdzie?

SŁUGA. Odwieźli ją wczoraj...

MĄŻ. Gdzie?

SŁUGA. Do domu waryatów. *(ucieka z pokoju)*.

MĄŻ. Słuchaj, Maryo, może ty udajesz, skryłaś się gdzie, żeby mnie ukarać, ozwij się, proszę cię — Maryo — Marysiu. —

Nie — nikt nie odpowiada — Janie — Katarzyno — Ten dom cały ogłuchł — oniemiał. —

Tę, której przysiągłem na wierność i szczęście, sam strąciłem do rzędu potępionych już na tym świecie — Wszystko, czegom się dotknął, zniszczyłem, i siebie samego zniszczę w końcu. — Czyż na to piekło mnie wypuściło, bym trochę dłużej był jego żywym obrazem na ziemi?

Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy? — Jakież dźwięki otoczą ją w nocy? Skowyczenia i śpiewy obłąkanych. — Widzę ją — czoło, na którem zawsze myśl spokojna, witająca — uprzejma — przezierała —

pochylone trzyma — a myśl dobrą swoją posłała w nieznane obszary, może za mną, i błąka się biedna i płacze. —

GŁOS SKĄDSIŚ. Dramat układasz. —

MĄŻ. Ha! — mój Szatan się odzywa. — *(bieży ku drzwiom, rozpycha podwoje).* Tatara mi osiodłać — płaszcz mój i pistolety. —

* * *

Dom obłąkanych w górzystej okolicy — ogród w około —

ZONA DOKTORA *(z pękiem kluczów u drzwi).* Może Pan krewny Hrabiny? —

MĄŻ. Jestem przyjacielem jej męża, on mnie tu przysłał. —

ŻONA DOKTORA. Proszę Pana — wiele sobie z niej obiecywać nie sposób — mój mąż wyjechał, byłby to lepiej wyłuszczył — przywieźli ją zawczoraj — była w konwulsyach. — Jakie gorąco. — *(obciera twarz)* Mamy dużo chorych — żadnego jednak tak niebezpiecznie jak ona. — Imainuj sobie Pan, ten Instytut kosztuje nas ze dwakroć sto tysięcy. — Patrz Pan, jaki widok na góry — ale Pan, widzę, niecierpliwy — więc to nieprawda, że Jakóbiny jej męża porwali w nocy? — proszę Pana. —

* * *

Pokój — kratowane okno — kilka krzeseł — łóżko — żona na kanapie —

MĄZ *(wchodzi).* Chcę być z nią sam na sam. —

GŁOS Z ZA DRZWI. Mój mążby się gniewał, gdyby...

MĄŻ. Dajże mi W. Pani pokój. — *(drzwi za sobą zamyka i idzie ku żonie)*

GŁOS Z NAD SUFITU. W łańcuchy spętaliście Boga. — Jeden już umarł na krzyżu — Ja drugi Bóg, i równie wśród katów. —

GŁOS Z POD PODŁOGI. Na rusztowanie głowy królów i panów — ode mnie poczyna się wolność ludu. —

GŁOS Z ZA PRAWEJ ŚCIANY. Klękajcie przed królem, panem waszym. —

GŁOS Z ZA LEWEJ ŚCIANY. Kometa na niebie już błyska — dzień strasznego sądu się zbliża —

MĄŻ. Czy mnie poznajesz, Maryo? —

ŻONA. Przysięgłam ci na wierność do grobu. —

MĄŻ. Chodź — daj mi ramię, wyjdziemy. —

ŻONA. Nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy. —

MĄŻ. Pozwól, wyniosę ciebie. —

ŻONA. Dozwól chwil kilka jeszcze, a stanę się godną ciebie. —

MĄŻ. Jakto?

ŻONA. Modliłam się trzy nocy, i Bóg mnie wysłuchał. —

MĄŻ. Nie rozumiem cię. —

ŻONA. Odkiedym cię straciła, zaszła odmiana we mnie — »Panie Boże« mówiłam, i biłam się w piersi, i gromnicę przystawiałam do piersi, i pokutowałam, »spuść na mnie ducha poezyi« i trzeciego dnia z rana stałam się poetą. —

MĄŻ. Maryo —

ŻONA. Henryku, mną teraz już nie pogardzisz — jestem pełna natchnienia — wieczorami już mnie nie będziesz porzucał. —

MĄŻ. Nigdy, nigdy. —

ŻONA. Patrz na mnie. — Czy nie zrównałam się z tobą? — wszystko pojmę, zrozumiem, wydam, wygram, wyśpiewam. — Morze, gwiazdy, burza, bitwa. — Tak gwiazdy, burza, morze — ach! wymknęło mi się jeszcze coś — bitwa. — Musisz mnie zaprowadzić na bitwę — ujrzę i opiszę — trup, całun, krew, fala, rosa, trumna —

Nieskończoność mnie obleje,
I jak ptak w nieskończoności
Błękit skrzydłami rozwieję,
I lecąc się rozemdleję
W czarnej nicości. —

MĄŻ. Przeklęstwo — przeklęstwo! —
ŻONA *(obejmuje go ramionami i całuje w usta).* Henryku mój, Henryku, jakżem szczęśliwa. —
GŁOS Z POD POSADZKI. Trzech królów własną ręką zabiłem — dziesięciu jest jeszcze — i księży stu śpiewających mszę. —
GŁOS Z LEWEJ STRONY. Słońce trzecią część blasku straciło — gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich — niestety — niestety.
MĄŻ. Dla mnie już nadszedł dzień sądu.
ŻONA. Rozjaśnij czoło, bo smucisz mnie na nowo — czegóż ci nie dostaje? — wiesz, powiem ci coś jeszcze.
MĄŻ. Mów, a wszystkiego dopełnię.
ŻONA. Twój syn będzie poetą.
MĄZ. Co?
ŻONA. Na chrzcie Ksiądz mu dał pierwsze imie — poeta — a następne znasz, Jerzy Stanisław — jam to sprawiła — błogosławiłam, dodałam przeklęstwo — on będzie poetą. — Ach, jakże cię kocham, Henryku.
GŁOS Z SUFITU. Daruj im, Ojcze, bo nie wiedzą, co czynią.
ŻONA Tamten dziwne cierpi obłąkanie — nieprawdaż?
MĄŻ. Najdziwniejsze.
ŻONA. On nie wie, co gada, ale ja ci ogłoszę, coby było, gdyby Bóg oszalał. *(bierze go za rękę)* Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy — »Ja Bogiem« — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca — Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. — Czy słyszysz, jak ten Krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a co raz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków? — Najświętsza Bogarodzica jedna się jeszcze modli i gwiazdy, jej służebnice, nie odbiegły Jej dotąd — ale i Ona pójdzie, kędy idzie świat cały. —
MĄŻ. Maryo, może chcesz widzieć syna? —

ŻONA. Jam mu skrzydła przypięła, posłała między światy, by się napoił wszystkiem, co piękne i straszne i wyniosłe. — On wróci kiedyś i uraduje ciebie. — Ah!
MĄŻ. Źle tobie?
ŻONA. W głowie mi ktoś lampę zawiesił, i lampa się kołysze — nieznośnie. —
MĄŻ. Maryo moja najdroższa, bądźże mi spokojna, jako dawniej byłaś!
ŻONA. Kto jest poetą, ten nie żyje długo.
MĄŻ. Hej! ratunku — pomocy! — *(Wpadają kobiety i żona doktora).*
ŻONA DOKTORA. Pigułek — proszków — nie — nic zsiadłego — owszem, płynne jakie lekarstwo. — Małgosiu, bież do apteczki. — Pan sam temu przyczyną — mój mąż mnie wyłaje. —
ŻONA. Żegnam cię, Henryku. —
ŻONA DOKTORA. To J. W. Hrabia sam w osobie swojej! —
MĄŻ. Maryo, Maryo. — *(ściska ją)*
ŻONA. Dobrze mi, bo umieram przy tobie. — *(spuszcza głowę)*
ŻONA DOKTORA. Jaka czerwona — krew rzuciła się do mózgu. —
MĄŻ. Ale jej nic nie będzie! *(Wchodzi doktor i zbliża się do kanapy).*
DOKTOR. Już jej nic niema — umarła. —

CZĘŚĆ DRUGA.

Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach. nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? — Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela, czarcie maleńki, czemuś tak podobny do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone, choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Skąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronia twoje obarczone myślami?

* * *

A kiedy się zarumienisz, płoniesz jak stulistna róża, i pukle odwijając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba — powiedz, co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? — Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici, płynące z niewidzialnego kłębka — bo w oczach twoich jaśnieje iskra, której nikt nie rozumie — a mamka twoja płacze i woła na ciebie i myśli, że jej nie kochasz — a znajomi i krewni wołają na ciebie i myślą, że ich nie poznajesz — twój ojciec jeden milczy i spogląda ponuro, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie. —

* * *

Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia, i ogłosił, że masz nerwy. — Ojciec Chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. — Profesor przystąpił i macał głowę twoją i wyrzekł, że masz zdatność do nauk ścisłych. — Ubogi, któremuś dał grosz, przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. — Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił i krzyknął »będziesz pułkownikiem«. — Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nic wyczytać nie mogła, jęcząc odeszła, dukata wziąść nie chciała. — Magnetyzer palcami ci wionął w oczy, długiemi palcami twarz ci okrążył, i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia. — Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał ukłądz przed tobą, jak przed obrazkiem. — Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętemi duchami. —

* * *

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: »Jakie śliczne dziecię«. — Gdyby kwiat, co więdnie, miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku chylącym się ku ziemi anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecię moje — może takie bywały przed upadkiem Adama. —

* * *

Cmętarz — Mąż i Orcio przy grobie w gotyckie filary i wieżyczki.

MĄŻ. Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki. —

ORCIO. Zdrowaś Panno Maryo, łaskiś Bożej pełna, Królowa niebios, Pani wszystkiego, co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami...

MĄŻ. Czego odmieniasz słowa modlitwy — módl się, jak cię nauczono, za matkę, która temu dziesięć lat właśnie o tej samej godzinie skonała. —

ORCIO. Zdrowaś Panno Maryo, łaski Bożej pełna, Pan z tobą, błogosławionaś między Aniołami, i każdy z nich, kiedy przechodzisz, tęczę jedną z skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. — Ty na nich, jak gdyby na falach...

MĄŻ. Orcio —

ORCIO. Kiedy mi te słowa się nawijają i bolą w głowie tak, że, proszę Papy, muszę je powiedzieć. —

MĄŻ. Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga. — Matki nie pamiętasz — nie możesz jej kochać. —

ORCIO. Widuję bardzo często Mamę. —

MĄŻ. Gdzie, mój maleńki? —

ORCIO. We śnie, to jest nie zupełnie we śnie, ale tak, kiedy zasypiam, naprzykład zawczoraj. —

MĄŻ. Dziecko moje, co ty gadasz?

ORCIO. Była bardzo biała i wychudła. —

MĄŻ. A mówiła co do ciebie?

ORCIO. Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiej i szerokiej ciemności, sama bardzo biała, i mówiła:

Ja błąkam się wszędzie,
Ja wszędzie się wdzieram,
Gdzie światów krawędzie,
Gdzie aniołów pienie,
I dla ciebie zbieram
Kształtów roje,
O dziecię moje!
Myśli i natchnienie.

I od duchów wyższych
I od duchów niższych
Farby i odcienie,
Dźwięki i promienie
Zbieram dla ciebie,
Byś ty, o synku mój!
Był, jako są w niebie,
I ojciec twój
Kochał ciebie —

Widzi Ojciec, że pamiętam słowo w słowo — proszę kochanego Papy, ja nie kłamię. —

MĄŻ *(opierając się o filar grobu).* Maryo, czyż dziecię własne chcesz zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć... co ja mówię? ona gdzieś w niebie cicha i spokojna, jak za życia na ziemi — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu. —

ORCIO. I teraz słyszę głos jej, lecz nic nie widzę. —

MĄŻ. Skąd — w której stronie? —

ORCIO. Jak gdyby od tych dwóch modrzewi, na które pada światło zachodzącego słońca. —

Ja napoję
Usta twoje
Dźwiękiem i potęgą,
Czoło przyozdobię
Jasności wstęgą,

I matki miłością
Obudzę w tobie
Wszystko, co ludzie na ziemi, anieli w niebie
Nazwali pięknością —
By ojciec twój,
O synku mój!
Kochał ciebie —

MĄŻ. Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy, choć dostanie się do nieba — możeż być duch szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem? —

ORCIO. Głos Mamy słabieje, ginie już prawie za murem kośćtnicy, ot tam — tam — jeszcze powtarza —

O synku mój!
By ojciec twój
Kochał ciebie —

MĄŻ. Boże, zmiłuj się nad dzieckiem naszem, którego, zda się, że w gniewie Twoim przeznaczyłeś szaleństwu i zawczesnej śmierci. — Panie, nie wydzieraj rozumu własnym stworzeniom, nie opuszczaj świątyń, któreś sam wybudował Sobie — spojrzyj na męki moje i aniołka tego nie wydawaj piekłu — mnieś przynajmniej obdarzył siłą na wytrzymanie natłoku myśli, namiętności i uczuć, a jemu? — dałeś ciało do pajęczyny podobne, które lada myśl wielka rozerwie — o Panie Boże — o Boże! —

Od lat dziesięciu dnia spokojnego nie miałem — nasłałeś wielu ludzi na mnie, którzy mi szczęścia winszowali, zazdrościli, życzyli — spuściłeś na mnie grad boleści i znikomych obrazów, i przeczuciów, i marzeń — łaska Twoja na rozum spadła, nie na serce moje — dozwól mi dziecię ukochać w pokoju, i niechaj stanie mir już między Stwórcą i stworzonym. — Synu, przeżegnaj się i chodź ze mną. Wieczny odpoczynek. *(Wychodzą)*

* * *

Spacer — Damy i Kawalerowie — Filozof — Mąż.

FILOZOF. Powtarzam, iż to jest nieodbitą, samowolną wiarą we mnie, że czas nadchodzi wyzwolenia kobiet i murzynów. —

MĄŻ. Pan masz racyę.

FILOZOF. I wielkiej do tego odmiany w towarzystwie ludzkiem w szczególności i w ogólności — z czego wywodzę odrodzenie się rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych. —

MĄŻ. Tak się Panu wydaje. —

FILOZOF. Podobnie jako glob nasz się prostuje lub pochyla na osi swojej przez nagłe rewolucye. —

MĄŻ. Czy widzisz to drzewo spróchniałe? —

FILOZOF. Z młodemi listkami na dolnych gałązkach. —

MĄŻ. Dobrze. — Jak sądzisz — wiele lat jeszcze stać może?

FILOZOF. Czy ja wiem — rok — dwa lata. —

MĄŻ. A jednak dzisiaj wypuściło z siebie kilka listków świeżych, choć korzenie gniją coraz bardziej. —

FILOZOF. Cóż z tego? —

MĄŻ. Nic — tylko, że gruchnie i pójdzie precz na węgle i popiół, bo nawet stolarzowi nie zda się na nic. —

FILOZOF. Przecie nie o tem mowa. —

MĄŻ. Jednak to obraz twój i wszystkich twoich, i wieku twego, i teoryi twojej. — *(przechodzą)*

* * *

Wąwóz pomiędzy górami.

MĄŻ. Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli, i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem — znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości niema we mnie — jedno kilka przeczuciów krąży w tej pustyni — o synu moim, że oślepnie — o towarzystwie,

w którem wzrosłem, że rozprzęgnie się — i cierpię tak, jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie. —

GŁOS ANIOŁA STRÓŻA. Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj, bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz.

MĄZ. Kto się odzywa?

MEFISTO *(przechodząc)*. Kłaniam uniżenie — lubię czasem zastanawiać podróżnych darem, który natura osadziła we mnie. — Jestem brzuchomowca. —

MĄŻ *(podnosząc rękę do kapelusza)*. Na kopersztychu podobną twarz gdzieś widziałem. —

MEFISTO *(na stronie)*. Hrabia ma dobrą pamięć. — *(głośno)*. Niech będzie pochwalon. —

MĄŻ. Na wieki wieków — amen. —

MEFISTO *(wchodząc pomiędzy skały)*. Ty i głupstwo twoje. —

MĄŻ. Biedne dziecię, dla win ojca, dla szału matki, przeznaczone wiecznej ślepocie — niedopełnione, bez namiętności, żyjące tylko marzeniem, cień przelatującego anioła, rzucony na ziemię i błądzący w znikomości swojej. — Jakiż ogromny orzeł wzbił się nad miejscem, w którem ten człowiek zniknął. —

ORZEŁ. Witam cię — witam. —

MĄŻ. Leci ku mnie cały czarny — świst jego skrzydeł, jako świst tysiąca kul w boju. —

ORZEŁ. Szablą ojców twoich bij się o ich cześć i potęgę.

MĄŻ. Roztoczył się nade mną — wzrokiem węża grzechotnika ssie mi źrenice — ha! rozumiem ciebie. —

ORZEŁ. Nie ustępuj, nie ustąp nigdy — a wrogi twe, podłe wrogi twe pójdą w pył. —

MĄŻ. Żegnam cię wśród skał, pomiędzy któremi znikasz — bądź co bądź, fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, uwierzę tobie, posłanniku chwały. — Przeszłości, bądź mi ku pomocy — a jeśli duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem. — *(zrzuca żmiję)*

Idź, podły gadzie — jako strąciłem ciebie i niema żalu po tobie w naturze, tak oni wszyscy stoczą się w dół i po nich żalu nie będzie — sławy nie zostanie — żadna chmura się nie odwróci w żegludze, by spojrzeć za sobą na tylu synów ziemi, ginących pospołu. —

— Oni naprzód. — Ja potem. —

Błękicie niezmierzony, ty ziemię obwijasz — ziemia niemowlęciem, co zgrzyta i płacze — ale ty nie drżysz, nie słuchasz jej, ty płyniesz w nieskończoność swoją. —

Matko naturo, bądź mi zdrowa — idę się na człowieka przetworzyć, walczyć idę z bracią moją. —

* * *

Pokój — Mąż — Lekarz — Orcio.

MĄŻ. Nic mu nie pomogli — w Panu ostatnia nadzieja. —

LEKARZ. Bardzo mi zaszczytnie...

MĄŻ. Mów Panie, co czujesz. —

ORCIO. Już nie mogę ciebie, Ojcze, i tego pana rozpoznać — iskry i nicie czarne latają przed mojemi oczyma, czasem z nich wydobędzie się naksztalt cieniutkiego węża — i nuż robi się chmura żółta — ta chmura w górę podleci, spadnie na dół, pryśnie z niej tęcza — i to nic mnie nie boli. —

LEKARZ Stań, Panie Jerzy, w cieniu — wiele Pan lat masz? — *(patrzy mu w oczy)*

MĄŻ. Skończył czternaście. —

LEKARZ. Teraz odwróć się do okna. —

MĄŻ. A cóż?

LEKARZ Powieki prześliczne, białka przeczyste, żyły wszystkie w porządku, muszkuły w sile. — *(do Orcia)*. Śmiej się Pan z tego — Pan będziesz zdrów, jak ja. — *(do Męża)*. Niema nadziei — sam Pan Hrabia przypatrz się źrzenicy — nieczuła na światło — osłabienie zupełne nerwu optycznego. —

ORCIO. Mgłą zachodzi mi wszystko — wszystko. —
MĄŻ. Prawda — rozwarta — szara — bez życia. —
ORCIO. Kiedy spuszczę powieki, więcej widzę, niż z otwartemi oczyma. —
LEKARZ. Myśl w nim ciało przepsuła — należy się bać katalepsyi. —
MĄŻ *(odprowadzając Lekarza na stronę)*. Wszystko, co zażądasz — pół mojego majątku. —
LEKARZ. Dezorganizacya nie może się zreorganizować — *(bierze kij i kapelusz)*.

Najniższy sługa Pana Hrabiego, muszę jechać zdjąć jednej Pani kataraktę. —

MĄŻ. Zmiłuj się — nie opuszczaj nas jeszcze. —
LEKARZ. Może Pan ciekawy nazwiska tej choroby?
MĄŻ. I żadnej, żadnej niema nadziei?
LEKARZ. Zowie się po grecku: amavrosis. *(wychodzi)*
MĄŻ *(przyciskając syna do piersi)*. Ale ty widzisz jeszcze cokolwiek? —
ORCIO. Słyszę głos twój, Ojcze. —
MĄŻ Spojrzyj w okno, tam słońce, pogoda. —
ORCIO. Pełno postaci mi się wije między źrzenicą a powieką — widzę twarze widziane, znajome miejsca — karty książek czytanych. —
MĄŻ. To widzisz jeszcze?
ORCIO. Tak, oczyma duszy, lecz tamte pogasły. —
MĄŻ *(padając na kolana)*.

(Chwila milczenia).

Przed kim ukląkłem — gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka? — *(wstając)* Milczmy raczej — Bóg się z modlitw, szatan z przekleństw śmieje. —

GŁOS SKĄDSIŚ. Twój syn poetą — czegóż żądasz więcej?

* * *

Lekarz — Ojciec Chrzestny.

OJCIEC CHRZESTNY. Zapewne, to wielkie nieszczęście być ślepym. —
LEKARZ. I bardzo nadzwyczajne w tak młodym wieku. —
OJCIEC CHRZESTNY. Był zawsze słabej kompleksyi, i matka jego umarła nieco... tak...
LEKARZ. Jakto?
OJCIEC CHRZESTNY. Poniekąd tak — Wac Pan rozumiesz — bez piątej klepki. —

(Mąż wchodzi).

MĄŻ. Przepraszam Pana, żem go prosił o tak późnej godzinie, ale od kilku dni mój biedny syn budzi się zawsze koło dwunastej, wstaje i przez sen mówi — proszę za mną. —
LEKARZ. Chodźmy. — Jestem bardzo ciekawy owego fenomenu. —

* * *

Pokój sypialny — Służąca — Krewni — Ojciec Chrzestny — Lekarz — Mąż —

KREWNY. Cicho. —
DRUGI. Obudził się, a nas nie słyszy. —
LEKARZ. Proszę Panów nic nie mówić. —
OJCIEC CHRZESTNY. To rzecz arcy dziwna. —
ORCIO *(wstając)*. O Boże — Boże. —
KREWNY. Jak powoli stąpa. —
DRUGI. Jak trzyma ręce założone na piersiach. —
TRZECI. Nie mrugnie powieką — ledwo, że usta roztwiera, a przecię głos ostry, przeciągły z nich się dobywa. —
SŁUŻĄCY. Jezusie Nazareński!
ORCIO. Precz ode mnie, ciemności — jam się urodził synem światła i pieśni — co chcecie ode mnie — czego żądacie ode mnie? —

Nie poddam się wam, choć wzrok mój uleciał z wia-

trami i goni gdzieś po przestrzeniach — ale on wróci kiedyś, bogaty w promienie gwiazd, i oczy moje rozogni płomieniem. —

OJCIEC CHRZESTNY. Tak, jak nieboszczka, plecie sam nie wie co — to widok bardzo zastanawiający. —

LEKARZ. Zgadzam się z Panem Dobrodziejem. —

MAMKA. Najświętsza Panno Częstochowska, weź mi oczy i daj jemu. —

ORCIO. Matko moja, proszę cię — matko moja, naślij mi teraz obrazów i myśli, bym żył wewnątrz, bym stworzył drugi świat w sobie, równy temu, jaki postradałem. —

KREWNY. Co myślisz, bracie, to wymaga rady familijnej. —

DRUGI. Czekaj — cicho. —

ORCIO. Nie odpowiadasz mi — o matko! nie opuszczaj mnie! —

LEKARZ *(do Męża)*. Obowiązkiem moim jest prawdę mówić. —

OJCIEC CHRZESTNY. Tak jest — to jest obowiązkiem — i zaletą lekarzy, Panie Konsyliarzu. —

LEKARZ. Pański syn ma pomieszanie zmysłów, połączone z nadzwyczajną drażliwością nerwów, co niekiedy sprawia, że tak powiem, stan snu i jawu zarazem, stan podobny do tego, który oczywiście tu napotykamy. —

MĄŻ *(na stronie)*. Boże, patrz, on Twoje sądy mi tłómaczy. —

LEKARZ. Chciałbym pióra i kałamarza — Cerasis laurei: dwa granma, etc. etc...

MĄŻ. W tamtym pokoju Pan znajdziesz — proszę wszystkich, by wyszli. —

GŁOSY POMIESZANE. Dobranoc — dobranoc — do jutra — *(wychodzą)*

ORCIO *(budząc się)*. Dobrej nocy mi życzą — mówcie o długiej nocy — o wiecznej może — ale nie o dobrej, nie o szczęśliwej. —

MĄŻ. Wesprzyj się na mnie, odprowadzę cię do łóżka. —

ORCIO. Ojcze, co to się ma znaczyć? —

MĄŻ. Okryj się dobrze, i zaśnij spokojnie, bo doktor mówi, że wzrok odzyskasz. —

ORCIO. Tak mi niedobrze — sen mi przerwały głosy czyjeś. — *(zasypia)*.

MĄŻ. Niech moje błogosławieństwo spoczywa na tobie — nic ci więcej dać nie mogę, ni szczęścia, ni światła, ni sławy — a dobija godzina, w której będę musiał walczyć, działać z kilkoma ludźmi przeciwko wielu ludziom. — Gdzie się ty podziejesz, sam jeden i wśród stu przepaści, ślepy, bezsilny, dziecię i poeto zarazem, biedny śpiewaku bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębem ziemi, a ciałem przykuty do ziemi — o ty nieszczęśliwy, najnieszczęśliwszy z aniołów, o ty mój synu. —

MAMKA *(u drzwi)*. Pan Konsyliarz każe J. W. Pana prosić. —

MĄŻ. Dobra moja Katarzyno, zostań się przy małym. — *(wychodzi)*.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Do pieśni — do pieśni.

Kto ją zacznie, kto jej dokończy? — Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskiemi pióry. — Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze — rzucę cień katedr świętych na głowy wam. — Ale to nie to — tego już nigdy nie będzie. —

* * *

Ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz — łatwiej, byś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, mimo, żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca — walcem świat się toczy, pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślizko — bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam. —

* * *

Czy widzisz owe tłumy, stojące u bram miasta wśród wzgórzów i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski, długie, okryte mięsiwem i napojami, podparte pniami, drągami? — Kubek lata z rąk do rąk — a gdzie się ust dotknie, tam głos się wydobędzie, groźba, przysięga,

lub przekleństwo. — On lata, zawraca, krąży, tańcuje, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc, wśród tysiąców. — Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy!

* * *

Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie — szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują — wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczuchranemi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłoniami pomarszczonemi od trudu — ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami — patrz — ten wysoki trzyma topór spuszczony — a tamten stęplem żelaznym nad głową powija; dalej, w bok pod wierzbą, chłopie małe wisznię do ust kładzie, a długie szydło w prawej ręce ściska. — Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne, jak oni, zwiędłe przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitej drogi — na ich łonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku — ale wnet się ożywią — kubek lata wszędzie, obiega wszędzie. — Niech żyje kielich pijaństwa i pociechy. —

* * *

Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu — czy to radość czy rozpacz? — kto rozpozna jakie uczucie w głosach tysiąców? — Ten, który nadszedł, wstąpił na stół, wskoczył na krzesło, i panuje nad niemi, mówi do nich. — Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny — każde słowo rozeznasz, zrozumiesz — ruchy jego powolne, łatwe, wtorują słowom, jak muzyka pieśni — czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce niemasz, wszystkie wypadły strącone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy koście i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje — nigdy krwi, nigdy

zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomieszania niedojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży ponad niemi, schylają głowy, zda się, że wnet uklękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca — precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu.

* * *

To ich wściekłość, ich kochanie, to władca ich dusz i zapału — on obiecuje im chleb i zarobek — krzyki się wzbiły, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach — »Niech żyje Pankracy — chleba nam, chleba, chleba«. — A u stóp mówcy opiera się na stole przyjaciel, czy towarzysz, czy sługa. —

* * *

Oko wschodnie, czarne, cieniowane długiemi rzęsy — ramiona obwisłe, nogi uginające się, ciało niedołężnie w bok schylone — na ustach coś lubieżnego, coś złośliwego, na palcach złote pierścienie — i on także głosem chrapliwym woła — »Niech żyje Pankracy«. — Mówca ku niemu na chwilę wzrok obrócił. — »Obywatelu przechrzto, podaj mi chustkę«. —

* * *

Tymczasem trwają poklaski i wrzaski. — »Chleba nam, chleba, chleba. — Śmierć panom, śmierć kupcom — chleba, chleba«. —

* * *

Szałas — lamp kilka — księgą roztwarta na stole — przechrzty —

PRZECHRZTA. Bracia moi podli, bracia moi mściwi, bracia kochani, ssajmy karty Talmudu jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której siła i miód płynie dla nas, dla nich gorycz i trucizna.

CHÓR PRZECHRZTÓW. Jehowa Pan nasz, a nikt inny. — On nas porozrzucał wszędzie, On nami, gdyby splotami niezmiernej gadziny, oplótł świat czcicielów Krzyża, panów naszych, dumnych, głupich, niepiśmiennych. — Po trzykroć plułmy na zgubę im — po trzykroć przekleństwo im.

PRZECHRZTA. Cieszmy się, bracia moi — Krzyż, wróg nasz, podcięty, zbutwiały, stoi dziś nad kałużą krwi, a jak raz się powali, nie powstanie więcej. — Dotąd pany go bronią.

CHÓR. Dopełnia się praca wieków, praca nasza markotna, bolesna, zawzięta. — Śmierć panom — po trzykroć plułmy na zgubę im — po trzykroć przekleństwo im.

PRZECHRZTA. Na wolności bez ładu, na rzezi bez końca, na zatargach i złościach, na ich głupstwie i dumie osadzim potęgę Izraela — tylko tych panów kilku — tych kilku jeszcze zepchnąć w dół — trupy ich przysypać rozwalinami Krzyża. —

CHÓR. Krzyż znamie święte nasze — woda chrztu połą-

czyła nas z ludźmi — uwierzyli pogardzający miłości pogardzonych. —

Wolność ludzi prawo nasze — dobro ludu cel nasz — uwierzyli synowie Chrześcijan w synów Kaifasza. -- Przed wiekami wroga umęczyli ojcowie nasi — my go na nowo dziś umęczym, i nie zmartwychwstanie więcej. —

PRZECHRZTA. Chwil kilka jeszcze, jadu źmii kropel kilka jeszcze — a świat nasz, nasz, o bracia moi. —

CHÓR. Jehowa Pan Izraela, a nikt inny. — Po trzykroć plińmy na zgubę ludom — po trzykroć przekleństwo im. —

(Słychać stukanie).

PRZECHRZTA. Do roboty waszej — a ty, święta księgo, precz stąd, by wzrok przeklętego nie zbrudził kart twoich. — *(Talmud chowa).*

Kto tam?

GŁOS Z ZA DRZWI. Swój. — W imieniu Wolności, otwieraj. —

PRZECHRZTA. Bracia, do młotów i powrozów. — *(otwiera)*

LEONARD *(wchodząc).* Dobrze, Obywatele, że czuwacie i ostrzycie puginały na jutro. — *(do jednego z nich przystępuje)*

A ty co robisz w tym kącie? —

JEDEN Z PRZECHRZTÓW. Stryczki, Obywatelu. —

LEONARD. Masz rozum, bracie — kto od żelaza nie padnie w boju, ten na gałęzi skona. —

PRZECHRZTA. Miły Obywatelu Leonardzie, czy sprawa pewna na jutro? —

LEONARD. Ten, który myśli i czuje najpotężniej z nas wszystkich, wzywa cię na rozmowę przeze mnie. — On ci sam na to pytanie odpowie. —

PRZECHRZTA. Idę — a wy nie ustawajcie w pracy — Jankielu, pilnuj ich dobrze. — *(wychodzi z Leonardem).*

CHÓR PRZECHRZTÓW. Powrozy i sztylety, kije i pałasze, rąk naszych dzieło, wyjdziecie na zatratę im — oni panów zabiją po błoniach — rozwieszą po ogrodach i borach — a my ich potem zabijem, powiesim. — Pogardzeni wstaną w gniewie swoim, w chwałę Jehowy się ustroją, słowo Jego zbawienie, miłość jego dla nas, zniszczeniem dla wszystkich. — Plińmy po trzykroć na zgubę im, po trzykroć przekleństwo im. —

* *

Namiot — porozrzucane butelki, kielichy.

PANKRACY. Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą i za każdem słowem mojem krzyczało — »Vivat« — czy choć jeden zrozumiał myśli moje? — pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? — ach! servile imitatorum pecus. —

(wchodzi Leonard i Przechrzta)

Czy znasz Hrabiego Henryka?

PRZECHRZTA. Wielki Obywatelu, z widzenia raczej, niż z rozmowy — raz tylko, pamiętam, przechodząc na Boże ciało krzyknął mi — »ustąp się« — i spojrzał na mnie wzrokiem pana — za co mu ślubowałem stryczek w duszy mojej. —

PANKRACY. Jutro jak najraniej wybierzesz się do niego i oświadczysz, że chcę się z nim widzieć osobiście, potajemnie, pojutrze w nocy. —

PRZECHRZTA. Wiele mi dasz ludzi? bo nieostrożnie byłoby się puszczać samemu. —

PANKRACY. Puścisz się sam, moje imie strażą twoją — szubienica, na której powiesiliście Barona zawczoraj, plecami twemi. —

PRZECHRZTA. Aj waj!

PANKRACY. Powiesz, że przyjdę do niego o dwunastej w nocy, pojutrze. —

PRZECHRZTA. A jak mnie każe zamknąć lub obije?

PANKRACY. To będziesz męczennikiem za Wolność Ludu.
PRZECHRZTA. Wszystko, wszystko za Wolność Ludu. — *(na stronie)* Aj waj. —
PANKRACY. Dobranoc, Obywatelu. —

(Przechrzta wychodzi)

LEONARD. Na co ta odwłoka, te półśrodki, układy — rozmowy — kiedym przysiągł uwielbiać i słuchać ciebie, to że cię miałem za bohatera ostateczności, za orła lecącego wprost do celu, za człowieka stawiającego siebie i swoich wszystkich na jedną kartę. —
PANKRACY. Milcz — dziecko. —
LEONARD. Wszyscy gotowi — przechrzty broń ukuli i powrozów nasnuli — tłumy krzyczą, wołają o rozkaz; daj rozkaz, a on pójdzie jak iskra, jak błyskawica, i w płomień się zamieni, i przejdzie w grom. —
PANKRACY. Krew ci bije do głowy — to konieczność lat twoich, a z nią walczyć nie umiesz, i to nazywasz zapałem. —
LEONARD. Rozważ, co czynisz. Arystokraty w bezsilności swojej zawarli się w Św. Trójcy i czekają naszego przybycia, jak noża giliotyny. — Naprzód, Mistrzu, bez zwłoki naprzód, i po nich. —
PANKRACY. Wszystko jedno — oni stracili siły ciała w rozkoszach, siły rozumu w próżniactwie — jutro czy pojutrze legnąć muszą. —
LEONARD. Kogóż się boisz — któż cię wstrzymuje? —
PANKRACY. Nikt — jedno wola moja. —
LEONARD. I na ślepo jej mam wierzyć?
PANKRACY. Zaprawdę ci powiadam — na ślepo. —
LEONARD. Ty nas zdradzasz. —
PANKRACY. Jak zwrotka u pieśni, tak zdrada u końca każdej mowy twojej — nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał...
LEONARD. Tu szpiegów niema, a potem cóż?...

PANKRACY. Nic — tylko pięć kul w twoich piersiach, za to, żeś śmiał głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności. — *(przystępuje do niego)* Wierz mi — daj sobie pokój. —
LEONARD. Uniosłem się, przyznaję — ale nie boję się kary. — Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie naszej hartu i powagi dodać, rozkaż. —
PANKRACY. Jesteś żywy, pełny nadziei i wierzysz głęboko — najszczęśliwszy z ludzi, nie chcę pozbawiać cię życia. —
LEONARD. Co mówisz? —
PANKRACY. Myśl więcej, gadaj mniej, a kiedyś mnie zrozumiesz. — Czy posłałeś do magazynu po dwa tysiące ładunków? —
LEONARD. Posłałem Dejca z oddziałem. —
PANKRACY. A składka szewców oddana do kassy naszej?
LEONARD. Z najszczerszym zapałem się złożyli co do jednego i przynieśli sto tysięcy.
PANKRACY. Jutro zaproszę ich na wieczerzę. — Czy słyszałeś co nowego o Hrabim Henryku? —
LEONARD. Pogardzam zanadto panami, bym wierzył temu, co o nim mówią — upadające rasy energii nie mają — mieć nie powinny, nie mogą. —
PANKRACY. On jednak zbiera swoich włościan i zaufany w ich przywiązaniu gotuje się iść na odsiecz zamkowi Świętej Trójcy.
LEONARD. Kto nam zdoła się oprzeć — przecię w nas wcieliła się Idea wieku naszego. —
PANKRACY. Ja chcę go widzieć — spojrzeć mu w oczy — przeniknąć do głębi serca — przeciągnąć na naszą stronę. —
LEONARD. Zabity Arystokrata. —
PANKRACY. Ale poeta zarazem. — Teraz zostaw mnie samym. —
LEONARD. Przebaczasz mi, Obywatelu? —
PANKRACY. Zaśnij spokojnie — gdybym ci nie przebaczył, jużbyś zasnął na wieki. —

LEONARD. Jutro nic nie będzie? —
PANKRACY. Dobrej nocy i miłego marzenia. —

(Leonard wychodzi).

Hej, Leonardzie! —
LEONARD *(wracając).* Obywatelu Wodzu —
PANKRACY. Pojutrze w nocy pójdziesz ze mną do Hrabiego Henryka. —
LEONARD. Słyszałem. — *(wychodzi)*
PANKRACY. Dlaczegóż mnie, wodzowi tysiąców, ten jeden człowiek na zawadzie stoi? — siły jego małe w porównaniu z mojemi — kilkaset chłopów ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt... To nędza, to zero. — Czemuż tak pragnę go widzieć, omamić — czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? — Ostatnia to zapora dla mnie na tych równinach — trza ją obalić, a potem... Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie, jako drugich łudzisz — wstydź się, przecię ty znasz swój cel, ty jesteś myślą — panią ludu — w tobie zeszła się wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie — ludziom podłym, nieznanym, nadałaś imiona — ludziom bez czucia wiarę nadałaś — świat na podobieństwo swoje — świat nowy utworzyłaś naokoło siebie — a sama błąkasz się i nie wiesz, czem jesteś. — Nie, nie, nie, — ty jesteś wielką. *(pada na krzesło i duma)*

* * *

Bór — porozwieszane płótna na drzewach — w środku łąka, na której stoi szubienica — szałasy — namioty — ogniska — beczki — tłumy ludzi. —

MĄŻ *(przebrany, w czarnym płaszczu, z czapką czerwoną Wolności na głowie, wchodzi, trzymając Przechrztę za ramię).* Pamiętaj. —

PRZECHRZTA *(po cichu).* JW. Panie, odprowadzę cię — nie wydam cię, na honor. —
MĄŻ. Mrugnij okiem, palec podnieś, a w łeb ci strzelę — możesz się domyślić, że nie dbam o życie twoje... kiedym własne na to odważył. —
PRZECHRZTA. Aj waj — żelaznemi kleszczami dłoń mi ściskasz — cóż mam robić?
MĄŻ. Mów ze mną, jak ze znajomym, z przyjacielem nowo przybyłym — cóż to za taniec? —
PRZECHRZTA. Taniec wolnych ludzi.

(Tańcują mężczyźni i kobiety wokoło szubienicy i śpiewają)

CHÓR. Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie — Hura — Hura!
Bóg nad nami nie miał litości — Hura — Hura. —
Królowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura. —
Panowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura. —
My dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujem — Hura — Hura. —
MĄŻ *(do dziewczyny).* Cieszy mnie, żeś taka rumiana i wesoła.
DZIEWCZYNA. A dyć tośmy długo na taki dzień czekały — jušci ja myłam talerze, widelce szurowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas bym jadła sama — tańcowała sama — Hura. —
MĄŻ. Tańcuj, Obywatelko. —
PRZECHRZTA *(cicho).* Zmiłuj się, JW. Panie — ktoś może cię poznać — wychodźmy. —
MĄŻ. Jeśli kto mnie pozna, toś zginął — idźmy dalej. —
PRZECHRZTA. Pod tym dębem siedzi klub Lokajów. —
MĄŻ. Przybliżmy się.
PIERWSZY LOKAJ. Jużem ubił mojego dawnego Pana. —
DRUGI LOKAJ. Ja szukam dotąd mojego Barona — zdrowie twoje. —
KAMERDYNER. Obywatele, schyleni nad prawidłem w po-

cie i poniżeniu, glancując buty, strzyżąc włosy, poczuliśmy prawa nasze, — zdrowie klubu całego. —

CHÓR LOKAI. Zdrowie Prezesa — on nas powiedzie drogą honoru. —

KAMERDYNER. Dziękuję, Obywatele. —

CHÓR LOKAI. Z przedpokojów, więzień naszych, razem, zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem — Vivat — Salonów znamy śmieszności i wszeteczności — Vivat — Vivat. —

MĄŻ. Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące z tej gęstwiny na lewo? —

PRZECHRZTA. To chór rzeźników, JW. Panie.

CHÓR RZEŹNIKÓW. Obuch i nóż, to broń nasza — szlachtuz, to życie nasze. — Nam jedno, czy bydło, czy panów rznąć. —

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich słabszych i bielszych — kto nas powoła, ten nas ma — dla panów woły, dla ludu panów bić będziem.

Obuch i nóż broń nasza — szlachtuz życie nasze — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz. —

MĄŻ. Tych lubię — przynajmniej nie wspominają ani o honorze, ani o filozofii — dobry wieczór Pani. —

PRZECHRZTA *(cicho)*. JW. Panie, mów »Obywatelko« — lub »Wolna Kobieto«.

KOBIETA. Cóż znaczy ten tytuł, skąd się wyrwał? — fe — fe — cuchniesz starzyzną. —

MĄŻ. Język mi się zaplątał. —

KOBIETA. Jestem swobodną, jako ty, niewiastą wolną, a towarzystwu za to, że mi prawa przyznało, rozdaję miłość moją. —

MĄŻ. Towarzystwo znów za to ci dało te pierścienie i ten łańcuch ametystowy. — Oh! podwójnie dobroczynne towarzystwo! —

KOBIETA. Nie, te drobnostki zdarłam przed wyzwoleniem mojem — z męża mego, wroga mego, wroga wolności, który mnie trzymał na uwięzi. —

MĄŻ. Życzę Obywatelce miłej przechadzki. — *(przechodzi)*

Któż jest ten dziwny żołnierz — oparty na szabli obosiecznej, z główką trupią na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach? — Czy to nie sławny Bianchetti, taki dziś kondotier ludów, jako dawniej bywali kondotiery książąt i rządów? —

PRZECHRZTA. On sam, JW. Panie — dopiero od tygodnia do nas przybyły. —

MĄŻ. Nad czem tak zamyślał się Generał?

BIANCHETTI. Widzicie, Obywatele, ową lukę między jaworami? — patrzcie dobrze — dojrzycie tam na górze zamek — doskonale widzę przez moją lunetę mury, okopy, i cztery bastyony. —

MĄŻ. Trudno go opanować.

BIANCHETTI. Tysiąc tysięcy Królów! – można obejść jarem, podkopać się, i...

PRZECHRZTA *(mrugając)*. Obywatelu Generale —

MĄŻ *(po cichu)*. Czujesz ten kurek odwiedziony pod moim płaszczem? —

PRZECHRZTA *(na stronie)*. Aj waj. — *(głośno)* Jakżeś więc to ułożył, obywatelu Generale? —

BIANCHETTI *(zadumany)*. Chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w geniuszu — po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach. — *(odchodzi)*

MĄŻ *(do Przechrzty)*. Radzę wam go zabijcie, bo tak się poczyna każda Arystokracya. —

RZEMIEŚLNIK. Przeklęstwo — Przeklęstwo. —

MĄŻ. Co robisz pod tem drzewem, biedny człowiecze — czemu patrzysz tak dziko i mgławo?

RZEMIEŚLNIK. Przeklęstwo kupcom, dyrektorom fabryki — najlepsze lata, w których inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartem polu, żeglują po otwartych morzach, ja prześlęczałem w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu. —

MĄŻ. Wychylże czarę, którą trzymasz w dłoni. —

RZEMIEŚLNIK. Sił nie mam — podnieść do ust nie mogę — ledwo się tutaj przyczołgałem, ale dla mnie już nie zaświta dzień wolności — przeklęstwo kupcom, co jedwab sprzedają i panom, co noszą jedwabie — przeklęstwo — przeklęstwo. — *(umiera)*

PRZECHRZTA. Jaki brzydki trup. —

MĄŻ. Tchórzu wolności, obywatelu Przechrzto, patrz na tę głowę bez życia, pływającą w pokrwawie zachodzącego słońca. —

Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice — równość — doskonałość i szczęście rodu ludzkiego? —

PRZECHRZTA *(na stronie)*. Bodajbyś także zawcześnie zdechł i ciało twoje psy rozerwały na sztuki. — *(głośno)* Puszczaj mnie — muszę zdać sprawę z mojego poselstwa. —

MĄŻ. Powiesz, żem cię miał za szpiega i dlatego zatrzymał. — *(obziera się naokoło)* Odgłosy biesiady głuchną z tyłu — przed nami już same tylko sosny i świrki, oblane promieńmi wieczoru. —

PRZECHRZTA. Nad drzewami skupiają się chmury — lepiej, byś wrócił do swoich ludzi, którzy i tak już oddawna czekają na ciebie w jarze Św. Ignacego. —

MĄŻ. Dzięki ci za troskliwość, Mości Żydzie — nazad — chcę obywateli raz jeszcze w zmierzchu obejrzyć. —

GŁOS POMIĘDZY DRZEWAMI. Syn Chamów dobranoc zasyła staremu słonku.

GŁOS Z PRAWEJ. Zdrowie twoje, dawny wrogu nasz, coś nas pędził do pracy i znoju — jutro wschodząc zastaniesz twoich niewolników przy mięsiwie i konwiach — a teraz, szklanko, idź do czarta! —

PRZECHRZTA. Orszak chłopów tu ciągnie. —

MĄŻ. Nie wyrwiesz się — stój za tym pniem i milcz.

CHÓR CHŁOPÓW. Naprzód, naprzód, pod namioty, do braci naszych — naprzód, naprzód, pod cień jaworów, na sen, na miłą wieczorną gawędkę — tam dziewki nas czekają — tam woły pobite, dawne pługów zaprzęgi, czekają nas. —

GŁOS JEDEN. Ciągnę go i wlokę, zżyma się i opiera — idź w rekruty — idź. —

GŁOS PANA. Dzieci moje, litości, litości. —

GŁOS DRUGI. Wróć mi wszystkie dni pańszczyzny. —

GŁOS TRZECI. Wskrześ mi syna, Panie, z pod batogów kozackich. —

GŁOS CZWARTY. Chamy piją zdrowie twoje, Panie — przepraszają cię, Panie. —

CHÓR CHŁOPÓW *(przechodząc)*. Upiór ssał krew i poty nasze — mamy upiora — nie puścim upiora — przez biesa, przez biesa, ty zginiesz wysoko, jako pan, jako wielki pan, wzniesion nad nami wszystkiemi. — Panom tyranom śmierć — nam biednym, nam głodnym, nam strudzonym jeść, spać i pić. — Jako snopy na polu, tak ich trupy będą — jako plewy w młockarniach, tak pierzyny ich zamków — przez kosy nasze, siekiery i cepy, bracia, naprzód. —

MĄŻ. Nie mogłem twarzy dojrzeć wśród zastępów —

PRZECHRZTA. Może jaki przyjaciel lub krewny JWgo.

MĄŻ. Nim pogardzam, a was nienawidzę — poezya to wszystko ozłoci kiedyś — dalej, żydzie — dalej. — *(zapuszcza się w krzaki)*

* * *

Inna część boru — wzgórze z rozpalonemi ogniami — zgromadzenie ludzi przy pochodniach.

MĄŻ *(na dole, wysuwając się z za drzew z Przechrztą)*. Gałęzie podarły na łachmany moją czapkę wolności — A to co za piekło z rudawych płomieni, wznoszące się wśród tych dwóch ścian lasu, tych dwóch nawałów ciemności? —

PRZECHRZTA. Zabłądziliśmy szukając wąwozu Świętego Ignacego — nazad w krzaki, bo tu Leonard odprawia obrzędy nowej wiary. —

MĄŻ *(wstępując)*. Przez Boga, naprzód — tegom żądał właśnie, nie lękaj się, nikt nas nie pozna. —

PRZECHRZTA. Ostrożnie — powoli. —

MĄŻ. Wszędzie rozwaliny jakiegoś ogromu, który musiał wieki przetrwać, nim runął — filary, podnóża, kapitele — ćwiertowane posągi, rozrzucone floressy, któremi oplatano starodawne sklepienia — teraz mi pod stopą zamignęła stłuczona szyba — zda się, że twarz Bogarodzicy na chwilę wyjrzała z cieniu i znów tam ciemno — tu, patrz, cała arkada leży — tu krata żelazna zasypana gruzem — z góry lunął błysk pochodni — widzę pół rycerza śpiącego na połowie grobu — gdzież jestem, przewodniku? —

PRZECHRZTA. Nasi ludzie krwawo pracowali przez czterdzieści dni i nocy, raz wreście zburzyli ostatni kościół — na tych równinach. — Teraz właśnie cmętarz mijamy. —

MĄŻ. Wasze pieśni, ludzie nowi, gorzko brzmią w moich uszach — czarne postacie z tyłu, z przodu, po bokach się cisną, a pędzone wiatrem blaski i cienie przechadzają się po tłumie, jak żyjące duchy. —

PRZECHODZĄCY. W imieniu Wolności pozdrawiam was obu. —

DRUGI. Przez śmierć panów witam was obu. —

TRZECI. Czego się nie śpieszycie, tam śpiewają kapłani Wolności. —

PRZECHRZTA. Niepodobna się oprzeć — zewsząd nas pchają. —

MĄŻ. Któż jest ten młody człowiek na gruzach przybytku stojący? — trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i łuny, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem. —

PRZECHRZTA. To Leonard, prorok natchnięty Wolności — naokoło stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki. —

MĄŻ. Ha! wasza arystokracya — pokaż mi tego, który cię przysłał. —

PRZECHRZTA. Nie widzę go tutaj. —

LEONARD. Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia, dajcie piękną moją, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek Wolności, oblubienicę moją. —

GŁOS DZIEWICY. Wyrywam się do ciebie, mój kochanku. —

DRUGI GŁOS. Patrz, ramiona wyciągam do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgliszczach, kochanku mój. —

TRZECI GŁOS. Wyprzedziłam je — przez popiół i żar, ogień i dym, stąpam ku tobie, kochanku mój. —

MĄŻ. Z rozpuszczonym włosem, z dyszącą piersią wdziera się na gruzy namiętnemi podrzuty.

PRZECHRZTA. Tak co noc bywa. —

LEONARD. Do mnie, do mnie, o rozkoszo moja — córo Wolności. — Ty drżysz w boskim szale, natchnienie, ogarnij mą duszę — słuchajcie wszyscy — teraz wam prorokować będę. —

MĄŻ. Głowę pochyliła, mdleje. —

LEONARD. My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich — a duch Jego zwyciężyli naszemi duchami — duch Jego zstąpił do nicości. —

CHÓR NIEWIAST. Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościm jej chwały. —

LEONARD. Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebiosa. Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemięzcy, twoim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare łzy i cierpienia rodu ludzkiego — życiem jego odtąd, szczęście —

prawem jego, równość — a kto inne tworzy, temu stryczek i przeklęstwo. —

CHÓR MĘŻÓW. Rozpadła się budowa ucisku i dumy — kto z niej choć kamyczek podniesie, temu śmierć i przeklęstwo.

PRZECHRZTA *(na stronie)*. Bluźnierce Jehowy, po trzykroć pluję na zgubę wam. —

MĄŻ. Orle, dotrzymaj obietnicy, a ja tu na ich karkach nowy kościół Chrystusowi postawię. —

POMIESZANE GŁOSY. Wolność — szczęście — hura — hejże — rykacha — hurracha — hurracha. —

CHÓR KAPŁANÓW. Gdzie pany, gdzie króle, co niedawno przechadzali się po ziemi, w berłach i koronach, w dumie i gniewie? —

ZABÓJCA. Ja zabiłem króla Aleksandra. —

DRUGI. Ja króla Henryka. —

TRZECI. Ja króla Emanuela. —

LEONARD. Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów — boście wybrani z wybranych, święci wśród najświętszych, — boście męczennikami — bohaterami Wolności. —

CHOR ZABÓJCÓW. Pójdziemy nocą ciemną, sztylety ściskając w dłoniach, pójdziemy, pójdziemy. —

LEONARD. Obudź się, urodziwa moja. —

(grzmot słychać)

Nuż, odpowiedźcie żyjącemu Bogu — wznieście pieśni wasze — chodźcie za mną wszyscy, wszyscy, jeszcze raz obejdziem i zdepcem świątynię umarłego Boga. —

A ty podnieś głowę — powstań i obudź się. —

DZIEWICA. Pałam miłością ku tobie i Bogu twemu, światu całemu miłość rozdam moją — płonę — płonę. —

MĄŻ. Ktoś mu zabiegł — padł na kolana — mocuje się sam z sobą, coś bełkoce, coś jęczy. —

PRZECHRZTA. Widzę, widzę, to syn sławnego Filozofa. —

LEONARD. Czego żądasz, Hermanie? —

HERMAN. Arcykapłanie, daj mi święcenie zbojeckie. —

LEONARD *(do kapłanów)*. Podajcie mi olej, sztylet i truciznę. — *(do Hermana)* Olejem, którym dawniej namaszczano królów, na zgubę królom namaszczam cię dzisiaj — broń dawnych rycerzy i panów na zatratę panów kładę w ręce twoje — na twoich piersiach zawieszam medalion pełny trucizny — tam, gdzie twoje żelazo nie dojdzie, niech ona żre i pali wnętrzności Tyranów. — Idź i niszcz stare pokolenia po wszech stronach świata. —

MĄŻ. Ruszył z miejsca i na czele orszaku ciągnie po wzgórzu. —

PRZECHRZTA. Usuńmy się z drogi. —

MĄŻ. Nie — chcę tego snu dokończyć. —

PRZECHRZTA. Po trzykroć pluję na ciebie. — *(do Męża)* Leonard może mnie poznać, JW. Panie — patrz, jaki nóż wisi na jego piersiach. —

MĄŻ. Zakryj się płaszczem moim. — Co to za niewiasty przed nim tańcują? —

PRZECHRZTA. Hrabiny i księżniczki, które porzuciwszy mężów przeszły na wiarę naszą. —

MĄŻ. Niegdyś anioły moje. — Pospólstwo go zewsząd oblało — zginął mi w natłoku — jedno po muzyce poznaję, że się od nas oddala — chodź za mną — stamtąd lepiej nam patrzeć będzie. — *(wdziera się na odłamek muru)*

PRZECHRZTA. Aj waj, aj waj, każdy nas tu spostrzeże. —

MĄŻ. Widzę go znowu — drugie niewiasty cisną się za nim, blade, obłąkane, w konwulsyach. — Syn filozofa pieni się i potrząsa sztyletem. — Dochodzą teraz do ruin wieży północnej. —

Stanęli — pląsają na gruzach — rozrywają nieobalone arkady — sypią iskrami na leżące ołtarze i krzyże — płomień się zajmuje, i gna słupy dymu przed sobą — biada wam — biada. —

LEONARD. Biada ludziom, którzy się dotąd kłaniają umarłemu Bogu. —

MĄŻ. Czarne bałwany nawracają się i ku nam pędzą. —
PRZECHRZTA. O Abrahamie! —
MĄŻ. Orle, wszak moja godzina nie tak blizka jeszcze? —
PRZECHRZTA. Już po nas. —
LEONARD *(przechodząc zatrzymuje się)*. Coś ty za jeden, bracie, z taką dumną twarzą — czemu nie łączysz się z nami? —
MĄŻ. Śpieszę z daleka na odgłos waszego powstania. — Jestem morderca klubu Hiszpańskiego i dopiero dziś przybyłem. —
LEONARD. A ten drugi po co się w zwojach płaszcza twego kryje? —
MĄŻ. To mój brat młodszy — ślubował, że twarzy ludziom nie ukaże, nim zabije przynajmniej Barona. —
LEONARD. Ty sam czyją śmiercią się chlubisz? —
MĄŻ. Na dwa dni tylko przed wybraniem się w drogę starsi bracia dali mi święcenie. —
LEONARD. Kogóż masz na myśli?
MĄŻ. Ciebie pierwszego, jeśli się nam sprzeniewierzysz. —
LEONARD. Bracie, na ten użytek weź sztylet mój. — *(wyciąga sztylet z pasa)*
MĄŻ *(dobywa swojego sztyletu)*. Bracie, na ten użytek i mojego wystarczy. —
GŁOSY LUDZI. Niech żyje Leonard — niech żyje morderca Hiszpański. —
LEONARD. Jutro staw się u namiotu Obywatela wodza. —
CHÓR KAPŁANÓW. Pozdrawiamy cię, gościu, imieniem ducha Wolności — w ręku twoim część naszego zbawienia. — Kto walczy bez ustanku, morduje bez słabości, kto dniem i nocą wierzy zwycięstwu, ten zwycięży wreszcie. — *(przechodzą)*
CHÓR FILOZOFÓW. My ród ludzki dźwignęli z dzieciństwa. — My prawdę z łona ciemności wyrwali na jaśnię. — Ty za nią walcz, morduj i giń. *(przechodzą)*
SYN FILOZOFA. Towarzyszu bracie, czaszką starego

świętego piję zdrowie twoje — do widzenia. — *(rzuca czaszkę)*
DZIEWCZYNA *(tańcując)*. Zabij dla mnie Księcia Jana. —
DRUGA. Dla mnie Hrabiego Henryka. —
DZIECI. Prosimy cię ślicznie o głowę arystokraty. —
INNI. Szczęść się twojemu sztyletowi. —
CHÓR ARTYSTÓW. Na ruinach gotyckich świątynię zbudujem tu nową — obrazów w niej ni posągów niema — sklepienie w długie puginały, filary w osiem głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy, z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka Wolności — Hurracha! —
INNI. Dalej, dalej, już brzask świta. —
PRZECHRZTA. Rychło nas powieszą — gdzie szubienica. —
MĄŻ. Cicho, żydzie — lecą za Leonardem, nie patrzą już na nas. — Ogarniam wzrokiem, raz ostatni podchwytuję myślą ten chaos dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich — gnane szałem, porwane rozpaczą myśli moje w całej sile swej kołują. —
Boże, daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi niegdyś — a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje. — Lecz to słowo moje będzie poezyą całej przyszłości. —
GŁOS W POWIETRZU. Dramat układasz. —
MĄŻ. Dzięki za radę. — Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przekleństwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą — Orle, Orle dotrzymaj obietnicy. — A teraz na dół ze mną i do jaru Św. Ignacego.
PRZECHRZTA. Już dzień blizki — nie pójdę dalej. —
MĄŻ. Drogę mi znajdź, puszczę cię potem. —
PRZECHRZTA. Wśród mgły i zwalisk, cierni i popiołów, gdzie mnie wleczesz? — daruj mi, daruj. —
MĄŻ. Naprzód, naprzód i na dół ze mną — ostatnie pieśni

ludu konają za nami — ledwo gdzie jeszcze tli się pochodnia — pośród tych wyziewów bladych, tych zroszonych drzew, czy widzisz cienie przeszłości — czy słyszysz te żałobne głosy? —

PRZECHRZTA. Mgła wszystko zalewa — coraz bardziej zlatujemy w dół. —

CHÓR DUCHÓW Z LASU. Płaczmy za Chrystusem, za Chrystusem wygnanym, umęczonym — gdzie Bóg nasz, gdzie kościół Jego? —

MĄŻ. Prędzej, prędzej do miecza, do boju. — Ja Go wam oddam — na tysiącach krzyżów rozkrzyżuję nieprzyjaciół Jego. —

CHÓR DUCHÓW. Strzegliśmy ołtarzy i pomników świętych — odgłos dzwonów na skrzydłach nosiliśmy wiernym — w dźwiękach organów były głosy nasze — w połyskach szyb katedry, w cieniach jej filarów, w blaskach puharu świętego, w błogosławieństwie Ciała Pańskiego, było życie nasze. Teraz, gdzie się podziejemy? —

MĄŻ. Rozwidnia się coraz bardziej — ich postacie mdleją w promieniach zorzy. —

PRZECHRZTA. Tędy droga twoja, tam jaru początek. —

MĄŻ. Hej! — Jezus i szabla moja. —

(Zrzucając czapkę i zawijając w niej pieniądze)

Weź na pamiątkę rzecz i godło zarazem. —

PRZECHRZTA. Wszak zaręczyłeś mi słowem, JW. Panie, bezpieczeństwo tego, który dziś o północy...

MĄŻ. Stary szlachcic dwa razy nie powtarza słowa — Jezus i szabla moja. —

GŁOSY W KRZAKACH. Marya i szabla nasza — niech pan nasz żyje! —

MĄŻ. Wiara! do mnie — bądź zdrów, obywatelu. — Wiara! do mnie — Jezus i Marya. —

* * *

Noc — krzaki — drzewa —

PANKRACY *(do swoich ludzi)*. Położyć się twarzą do murawy — leżeć w milczeniu — ognia mi nie krzesać, nawet do fajki — a za pierwszym strzałem skoczyć mi na pomoc. — Jeśli strzału nie będzie, nie ruszać się do dnia białego. —

LEONARD. Obywatelu, raz cię jeszcze zaklinam. —

PANKRACY. Ty przylep się do tej sosny i dumaj. —

LEONARD. Mnie jednego przynajmniej weź z sobą — to pan, to arystokrata, to kłamca. —

PANKRACY *(wskazuje mu ręką, by został)*. Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem.

* * *

Komnata podłużna — obrazy dam i rycerzy porozwieszane po ścianach — w głębi filar z tarczą herbowną — Mąż siedzi przy stoliku marmurowym — na którym lampa, para pistoletów, pałasz i zegar — naprzeciwko drugi stolik, srebrne konwie i puhary.

MĄŻ. Niegdyś o tej samej porze wśród grożących niebezpieczeństw i podobnych myśli, Brutusowi ukazał się Geniusz Cezara. —

I ja dziś czekam na podobne widzenie. — Za chwilę stanie przede mną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża — co wydobył się z nicości i zacznie może nową Epokę, jeśli go w tył nie odrzucę nazad, nie strącę do nicości. —

Ojcowie moi, natchnijcie mnie tem, co was panami świata uczyniło — wszystkie lwie serca wasze dajcie mi do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. — Wiara w Chrystusa i Kościół Jego, ślepa, nieubłagana, wrząca, natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi

na mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja, syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów.

(Bije dwunasta)

Teraz gotów jestem. — *(wstaje)*

SŁUGA ZBROJNY *(wchodząc)*. JW. Panie, człowiek, który miał się stawić, przybył i czeka. —

MĄŻ. Niech wejdzie. —

(Sługa wychodzi)

PANKRACY *(wchodząc)*. Witam Hrabiego Henryka. — To słowo Hrabia dziwnie brzmi w gardle mojem. — *(Siada — zrzuca płaszcz i czapkę Wolności i wlepia oczy w kolumnę, na której herb wisi —)*

MĄŻ. Dzięki ci, żeś zaufał domowi mojemu — starym zwyczajem piję zdrowie twoje. — *(bierze puhar, pije i podaje Pankracemu)*

Gościu, w ręce twoje. —

PANKRACY. Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne zowią się Herbem, w języku umarłych. — Coraz mniej takich znaczków na powierzchni ziemi. *(pije)*

MĄŻ. Za pomocą Bożą, wkrótce tysiące ich ujrzysz. —

PANKRACY *(puhar od ust odejmując)*. Otoż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, oręża, bez żołnierzy. — Odgrażająca się, jak umarły w bajce powoźnikowi u furtki cmętarza — wierząca lub udająca, że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. — Ale pokażcie mi pioruny na waszą obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios. — *(pije)*

MĄŻ. Śmiej się z własnych słów. — Ateizm to stara formuła — a spodziewałem cię czegoś nowego po tobie. —

PANKRACY. Śmiej się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. — Jęk przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysiąców — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości ujarzmionej przesądem, wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja — Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja, która chleb i cześć im rozda na wieki. — *(pije i rzuca kubek)*

MĄŻ. Ja położyłem siłę moją w Bogu, który Ojcom moim panowanie nadał. —

PANKRACY. A całe życie byłeś dyabła igrzyskiem. —

Zresztą zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy — do rzeczy — do rzeczy. —

MĄŻ. Czegóż więc żądasz ode mnie, zbawco narodów, obywatelu Boże?

PANKRACY. Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — powtóre ocalić. —

MĄŻ. Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją. —

PANKRACY. Szabla twoja — Bóg twój, mara. — Potępionyś głosem tysiąców — opasanyś ramionami tysiąców — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarcza — dwudziestu dni bronić się nie możecie. — Gdzie wasze działa, rynsztunki, żywność, — a wreście, gdzie męstwo?...

Gdybym był tobą, wiem, cobym uczynił. —

MĄŻ. Słucham — patrz, jakem cierpliwy. —

PANKRACY. Ja więc, Hr. Henryk, rzekłbym do Pankracego: »Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz Świętej Trójcy — a za to zostaję przy mojem imieniu i dobrach, których całość warujesz mi słowem«. —

Wiele masz lat, Hrabio? —

MĄŻ. Trzydzieści sześć, obywatelu. —

PANKRACY. Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy ludzie niedługo żyją — twój syn bliższy grobu, niż młodości — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi. — Bądź

więc sobie ostatnim Hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rżnąć herby. — A o tych nędzarzach nie myśl więcej — Niech się wyrok ludu spełni nad nikczemnikami. — *(nalewa sobie drugi puhar)*

Zdrowie twoje, ostatni Hrabio. —

MĄŻ. Obrażasz mnie każdem słowem, zda się probujesz, czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. — Przestań, bo ja ci się odwdzięczyć nie mogę. — Opatrzność mojego słowa cię strzeże. —

PANKRACY. Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to łachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przenikam ciebie — pełnyś życia, a łączysz się z umierającemi, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowo *Ojczyzna* i tam dalej — ale w głębi ducha sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć. —

MĄŻ. Tobie zaś i twoim cóż inszego?

PANKRACY. Zwycięstwo i życie — jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży w coraz wyższe kręgi — ono jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta:

»Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym« —

Ale — Ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego. —

MĄŻ. Bodajbyś zginął marnie za tę litość twoją. — Ja także znam świat twój i ciebie — patrzałem wśród cieniów nocy na pląsy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam, co przed tysiącami lat — rozpusta, zło i krew. — A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić pomiędzy dzieci twoje — bo w głębi ducha ty pogardzasz niemi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty będziesz pogardzał sam sobą. —

Nie dręcz mnie więcej. — *(siada pod herbem swoim)*

PANKRACY. Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łaknie dotąd chleba i wygód — ale przyjdą czasy — *(wstaje, idzie ku Mężowi i opiera się na herbowym filarze)*

Ale przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie i powie o sobie: »Jestem« — a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: »Jestem«. —

MĄŻ. Cóż dalej? —

PANKRACY. Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej, narodzi się plemie, ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. — Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. — Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieguna. — Ona cała jednem miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu. —

MĄŻ. Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona. blada, udać nie umie natchnienia. —

PANKRACY. Nie przerywaj, bo są ludzie, którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem. —

Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie — Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porozrzucał na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy — Bóg ludzkości objawił się im. —

MĄŻ. A nam, przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona. —

PANKRACY. Niechże się cieszy takiem zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat, upływających od Jego śmierci na krzyżu. —

MĄŻ. Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym, starym Rzymie — u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił, niż twoje — sto Bogów, twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu — a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na

wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca — znać było, że jest Panem świata. —

PANKRACY. Stara powiastka — pusta, jak chrzęst twego herbu. — *(uderza o tarczę)*

Ale ja dawniej czytałem twe myśli. — Jeśli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek, słuchaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia, krwi, którą oba wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie — ostatni raz ci mówię — jeżeliś tem, czem wydawałeś się niegdyś, wstań, porzuć dom i chodź za mną. —

MĄŻ. Tyś młodszym bratem szatana. — *(wstaje i przechadza się wzdłuż)* Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam skonał na pustyni — my nie wrócim do raju. —

PANKRACY *(na stronie)*. Zagiąłem palec popod serce jego — trafiłem do nerwu poezyi. —

MĄŻ. Postęp, szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzyłem — ot! macie, weźcie głowę moją, byleby... Stało się. — Przed stoma laty, przed dwoma wiekami, polubowna ugoda mogła jeszcze... ale teraz, wiem — teraz trza mordować się nawzajem — bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia. —

PANKRACY. Biada zwyciężonym — nie wahaj się — powtórz raz tylko »biada« i zwyciężaj z nami. —

MĄŻ. Czyś zbadał wszystkie manowce Przeznaczenia — czy pod kształtem widomym stanęło Ono u wejścia namiotu twojego w nocy i olbrzymią dłonią błogosławiło tobie — lub w dzień czyś słyszał głos Jego o południu, kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięstwem, człowiecze z gliny, jako ja, niewolniku pierwszej lepszej kuli, pierwszego lepszego cięcia?

PANKRACY. Nie łudź się marną nadzieją — bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie się żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi, to już wam nic z tego. —

(Zegar bije)

Czas szydzi z nas obu. — Jeśliś znudzony życiem, przynajmniej ocal syna swego. —

MĄŻ. Dusza jego czysta, już ocalona w niebie — a na ziemi los ojca go czeka. — *(spuszcza głowę między dłonie i staje)*

PANKRACY. Odrzuciłeś więc? —

(Chwila milczenia).

Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma, co stoi nad grobem. —

MĄŻ. Zdala od tajemnic, które za krańcami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mojego. — Świat cielska do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem — ale dalej nie zachodź i precz, precz ode mnie. —

PANKRACY. Sługo jednej myśli i kształtów jej, pedancie rycerzu, poeto, hańba tobie — patrz na mnie — Myśli i kształty są woskiem palców moich. —

MĄŻ. Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo każden z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem. — *(wyciąga rękę ku obrazom).*

Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty, człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja? — wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijasz i koczujesz dalej — dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzi zechce powtórzyć za mną: »Chwała ojcom naszym«. —

PANKRACY. Tak, chwała dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzyć. —

Ów, starosta, baby strzelał po drzewach i żydów piekł żywcem. — Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem — »kanclerz« — sfałszował akta, spalił archiwa, przekupił sędziów, trucizną przyśpieszył spadki — stąd wsie twoje, dochody, potęga. — Tamten, czarniawy, z ognistem okiem, cudzołożył po domach przyjaciół — ów z runem złotem, w kolczudze włoskiej, znać służył u cudzoziemców — a ta pani blada, z ciemnemi puklami, kaziła się z giermkiem swoim — tamta czyta list kochanka i śmieje się, bo noc blizka — tamta, z pieskiem na robronie, królów była nałożnicą. — Stąd wasze genealogie bez przerwy, bez plamy. — Lubię tego w zielonem kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał, by z psami gonili jelenie. — Głupstwo i niedola kraju całego — oto rozum i moc wasza. — Ale dzień sądu blizki i w tym dniu obiecuję Wam, że nic zapomnę o żadnym z was, o żadnym z Ojców waszych, o żadnej chwale waszej. —

MĄŻ. Mylisz się, mieszczański synu. Ani ty, ani żaden z twoichby nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale, — a kiedyście z trzody zwierząt wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy. —

Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą, jak skowyczenie psa wściekłego, co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze — a teraz, czas już tobie wyniść z domu mego. — Gościu, wolno puszczam ciebie. —

PANKRACY. Do widzenia na okopach Świętej Trójcy. — A kiedy wam kul zabraknie i prochu...

MĄŻ. To się zbliżym na długość szabel naszych. — Do widzenia. —

PANKRACY. Dwa orły z nas — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem. — *(bierze płaszcz i czapkę wolności)*

Przechodząc próg ten rzucam nań przeklęstwo należne starości. — I ciebie i syna twego poświęcam zniszczeniu. —

MĄŻ. Hej, Jakóbie! —

(Jakób wchodzi)

Odprowadzić tego człowieka aż do ostatnich czat moich na wzgórzu. —

JAKÓB. Tak mi Panie Boże dopomóż. — *(wychodzi).*

CZĘŚĆ CZWARTA.

Od baszt Św. Trójcy do wszystkich szczytów skał, po prawej, po lewej, z tyłu i na przodzie leży mgła śnieżysta, blada, niewzruszona, milcząca, mara oceanu, który niegdyś miał brzegi swoje, gdzie te wierzchołki czarne, ostre, szarpane, i głębokości swoje, gdzie dolina, której nie widać, i słońce, które jeszcze się nie wydobyło. —

Na wyspie granitowej, nagiej, stoją wieże zamku, wbite w skałę pracą dawnych ludzi i zrosłe ze skałą, jak pierś ludzka z grzbietem u Centaura. — Ponad niemi sztandar się wznosi, najwyższy i sam jeden wśród szarych błękitów.

Powoli śpiące obszary budzić się zaczną — w górze słychać szumy wiatrów — z dołu promienie się cisną — i kra z chmur pędzi po tem morzu z wyziewów. —

Wtedy inne głosy, głosy ludzkie, przymieszają się do tej znikomej burzy i niesione na mglistych bałwanach roztrącą się o stopy zamku. —

Widna przepaść wśród obszarów, co pękły nad nią. —

Czarno tam w jej głębi, od głów ludzkich czarno — dolina cała zarzucona głowami ludzkiemi, jako dno morza głazami. —

Słońce ze wzgórzów na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury, a im bardziej nikną, tem lepiej słychać wrzaski, tem lepiej dojrzeć można tłumy płynące u dołu. —

Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po nicościach błękitu. — Dolina Świętej Trójcy obsypana światłem migającej broni — i Lud ciągnie zewsząd do niej, jak do równiny Ostatniego Sądu. —

* * *

Katedra w zamku Św. Trójcy —

Panowie, Senatory, Dygnitarze siedzą po obu stronach, każdy pod posągiem jakiego króla lub rycerza — za posągami tłumy szlachty — przed wielkim ołtarzem w głębi Arcybiskup, w krześle złoconem, z mieczem na kolanach — za ołtarzem chór kapłanów — Mąż stoi w progu przez chwilę, potem zaczyna iść powoli ku Arcybiskupowi ze sztandarem w ręku —

CHÓR KAPŁANÓW. Ostatnie sługi Twoje, w ostatnim kościele Syna Twego, błagamy Cię za czcią ojców naszych. — Od nieprzyjaciół wyratuj nas, Panie. —

PIERWSZY HRABIA. Patrz, z jaką dumą spogląda na wszystkich. —

DRUGI HRABIA. Myśli, że świat podbił. —

TRZECI HRABIA. A on się tylko nocą przedarł przez obóz chłopów. —

PIERWSZY HRABIA. Sto trupów położył, a dwieście swoich stracił. —

DRUGI HRABIA. Nie dajmy, by go Wodzem obrali. —

MĄŻ *(klęka przed Arcybiskupem)*. U stóp twoich składam zdobycz moją. —

ARCYBISKUP. Przypasz miecz ten, błogosławiony niegdyś ręką Św. Floryana. —

GŁOSY. Niech żyje Hr. Henryk — niech żyje!

ARCYBISKUP. I przyjm ze znakiem Krzyża Św. dowództwo w tym zamku, ostatniem państwie naszem — wolą wszystkich mianuję cię Wodzem. —

GŁOSY. Niech żyje — niech żyje! —

GŁOS JEDEN. Nie pozwalam. —

INNE GŁOSY. Precz — precz — za drzwi — Niech żyje Henryk! —

MĄŻ. Jeśli kto ma co do zarzucenia mnie, niechaj wystąpi, wśród tłumu się nie kryje. —

(Chwila milczenia)

Ojcze, szablę tę biorę i niech mi Bóg zrządzi zgon prędki, zawczesny, jeśli nią ocalić was nie zdołam. —

CHÓR KAPŁANÓW. Daj mu siłę — daj mu Ducha Świętego Panie! Od nieprzyjaciół wyratuj nas, Panie!

MĄŻ. Teraz przysięgnijcie wszyscy, że chcecie bronić wiary i czci przodków waszych — że głód i pragnienie umorzy was do śmierci, ale nie do hańby — nie do poddania się — nie do ustąpienia, choćby jednego z praw Boga waszego lub waszych. —

GŁOSY. Przysięgamy. —

(Arcybiskup klęka i Krzyż wznosi. Wszyscy klękają)

CHÓR. Krzywoprzysięzca gniewem Twoim niech obarczon będzie. — Bojaźliwy gniewem Twoim niech obarczon będzie. — Zdrajca gniewem Twoim niech obarczon będzie. —

GŁOSY. Przysięgamy. —

MĄŻ *(dobywa miecza)*. Teraz obiecuję wam sławę — u Boga wyproście zwycięstwo. — *(otoczony tłumem wychodzi)*

* * *

Jeden z dziedzińców Świętej Trójcy — Mąż — Hrabiowie — Barony — Książęta — Księża — Szlachta —

HRABIA *(na stronę odprowadza Męża)*. Jakże — wszystko stracone? —

MĄŻ. Nie wszystko — chyba, że wam serca zabraknie przed czasem. —

HRABIA. Przed jakim czasem. —

MĄŻ. Przed śmiercią. —

BARON *(odprowadza go w inszą stronę).* Hrabio, podobno widziałeś się z tym okropnym człowiekiem. — Będzież on miał litości choć trochę nad nami, kiedy się dostaniem w ręce jego? —

MĄŻ. Zaprawdę ci mówię, że o takiej litości żaden z ojców twoich nie słyszał — zowie się szubienica. —

BARON. Trza się bronić, jak można. —

MĄŻ. Co Książe mówi? —

KSIĄŻE. Parę słów na boku. — *(odchodzi z nim)* To wszystko dobre dla gminu, ale między nami, oczewistem jest, że się oprzeć nie zdołamy. —

MĄŻ. Cóż więc pozostaje? —

KSIĄŻE. Obrano cię Wodzem, a zatem do ciebie należy rozpocząć układy. —

MĄŻ. Ciszej — ciszej. —

KSIĄŻE. Dlaczego? —

MĄŻ. Boś, Mości Książe, już na śmierć zasłużył. — *(odwraca się do tłumu)* Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karanym będzie. —

BARON, HRABIA, KSIĄŻE *(razem).* Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karanym będzie. —

WSZYSCY. Śmiercią — Śmiercią — Vivat! — *(wychodzą)*

* * *

Krużganek na szczycie — Mąż — Jakób —

MĄŻ. Gdzie Syn mój?

JAKÓB. W wieży północnej usiadł na progu starego więzienia i śpiewa proroctwa. —

MĄŻ. Najmocniej osadź basztę Eleonory — sam nie ruszaj się stamtąd i co kilka minut patrzaj lunetą na obóz buntowników. —

JAKÓB. Wartoby, tak mi Panie Boże dopomóż, dla zachęty rozdać naszym po szklance wódki. —

MĄŻ. Jeśli potrzeba, każ otworzyć nawet piwnice naszych Hrabiów i Książąt. —

(Jakób wychodzi. — Mąż wchodzi kilkoma schodami wyżej, pod sam sztandar, na płaski taras)

Całym wzrokiem oczu moich, całą nienawiścią serca obejmuję was, wrogi. — Teraz już nie marnym głosem, mdłem natchnieniem będę walczył z wami, ale żelazem i ludźmi, którzy mnie się poddali —

Jakże tu dobrze być panem, być władcą — choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze wole skupione naokoło siebie i na was, przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu. —

Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wszystkich nędzarzy, co zapomnieli o wielkich ojcach swoich, nie będzie — ale bądź co bądź — dni kilka jeszcze pozostało — użyję ich rozkoszy mej kwoli — panować będę — walczyć będę — żyć będę. — To moja pieśń ostatnia! —

Nad skałami zachodzi słońce w długiej, czarnej trumnie z wyziewów. — Krew promienista zewsząd leje się na dolinę. — Znaki wieszcze zgonu mojego, pozdrawiam was szczerszem, otwartszem sercem, niż kiedykolwiek wprzódy witałem obietnice wesela, ułudy, miłości. —

Bo nie podłą pracą, nie podstępem, nie przemysłem, doszedłem końca życzeń moich — ale nagle, znienacka, tak, jakom marzył zawżdy.

I teraz tu stoję na pograniczach snu wiecznego, Wodzem tych wszystkich, co mi wczoraj jeszcze równymi byli. —

* * *

Komnata w zamku oświecona pochodniami — Orcio siedzi na łożu — Mąż wchodzi i składa broń na stole —

MĄŻ. Sto ludzi zostawić na szańcach — reszta niech odpocznie po tak długiej bitwie. —

GŁOS ZA DRZWIAMI. Tak mi Panie Boże dopomóż! —

MĄŻ. Zapewne słyszałeś wystrzały, odgłosy naszej wycieczki — ale bądź dobrej myśli, dziecię moje, nie przepadniemy jeszcze ni dzisiaj ni jutro. —

ORCIO. Słyszałem, ale to nie tknęło mi serca — huk przeleciał i niema go więcej — co innego w dreszcz mnie wprawia, Ojcze. —

MĄŻ. Lękałeś się o mnie. —

ORCIO. Nie — bo wiem, że twoja godzina nie nadeszła jeszcze.

MĄŻ. Sami jesteśmy — ciężar spadł mi z duszy na dzisiaj — bo tam w dolinie leżą ciała pobitych wrogów. — Opowiedz mi wszystkie myśli twoje — będę ich słuchał, jak dawniej w domu naszym. —

ORCIO. Za mną, za mną, Ojcze — tam straszny sąd co noc się powtarza. — *(idzie ku drzwiom skrytym w murze i otwiera je)*

MĄŻ. Gdzie idziesz? — Kto ci pokazał to przejście? — tam lochy wiecznie ciemne, tam gniją dawnych ofiar kości. —

ORCIO. Gdzie oko twoje zwyczajne słońca nie dowidzi — tam duch mój stąpać umie. — Ciemności, idźcie do ciemności. — *(zstępuje)*

* * *

Lochy podziemne — kraty żelazne, kajdany, narzędzia do tortur połamane, leżące na ziemi — Mąż z pochodnią u stóp głazu, na którym Orcio stoi —

MĄŻ. Zejdź, błagam cię, zejdź do mnie. —

ORCIO. Czy nie słyszysz ich głosów, czy nie widzisz ich kształtów? —

MĄŻ. Milczenie grobów — a światło pochodni na kilka stóp tylko rozświeca przed nami.

ORCIO. Coraz już bliżej — coraz już widniej — idą z pod ciasnych sklepień jeden po drugim i tam zasiadają w głębi.

MĄŻ. W szaleństwie twojem potępienie moje — szalejesz, dziecię, i siły moje niszczysz, kiedy mi ich tyle potrzeba. —

ORCIO. Widzę duchem blade ich postacie, poważne, kupiące się na sąd straszny — Oskarżony już nadchodzi i jako mgła płynie. —

CHÓR GŁOSÓW. Siłą nam daną — za męki nasze, my niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwani, trucizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy, sądźmy i potępiajmy — a kary Szatan się podejmie. —

MĄŻ. Co widzisz? —

ORCIO. Oskarżony — oskarżony — ot załamał dłonie. —

MĄŻ. Kto on jest? —

ORCIO. Ojcze — Ojcze —

GŁOS JEDEN. Na tobie się kończy ród przeklęty — w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje i wszystkie namiętności swe i całą dumę swoją, by skonać. —

CHÓR GŁOSÓW. Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki. —

MĄŻ. Nic dojrzeć nie mogę, a słyszę z pod ziemi, nad ziemią, po bokach westchnienia i żale, wyroki i groźby. —

ORCIO. On teraz podniósł głowę jako ty, Ojcze, kiedy się gniewasz — i odparł dumnem słowem jako ty, Ojcze, kiedy pogardzasz. —

CHÓR GŁOSÓW. Daremno — daremno — ratunku niema dla niego, ni na ziemi, ni w niebie. —

GŁOS JEDEN. Dni kilka jeszcze chwały ziemskiej, znikomej, której mnie i braci moich pozbawili naddziady twoje — a potem zaginiesz ty i bracia twoi — i pogrzeb

wasz jest bez dzwonów żałoby — bez łkania przyjaciół i krewnych — jako nasz był kiedyś na tej samej skale boleści. —

MĄŻ. Znam ja was, podłe duchy, marne ogniki latające wśród ogromów anielskich. — *(idzie kilka kroków naprzód)*

ORCIO. Ojcze, nie zapuszczaj się w głąb — na Chrystusa Imię Święte — zaklinam cię, Ojcze. —

MĄŻ *(wraca)*. Powiedz, powiedz, kogo widzisz?

ORCIO. To postać —

MĄŻ. Czyja?

ORCIO. To drugi ty jesteś — cały blady — spętany — oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje. — *(pada na kolana)* Przebacz mi, Ojcze — Matka pośród nocy przyszła i kazała... *(mdleje)*

MĄŻ *(chwyta go w objęcia)*. Tego nie dostawało. — Ha! dziecię własne przywiodło mnie do progu piekła! — Maryo! nieubłagany duchu — Boże! i Ty druga Maryo, do której modliłem się tyle! —

Tam poczyna się nieskończoność mąk i ciemności — nazad — muszę jeszcze walczyć z ludźmi — potem wieczna walka. — *(ucieka z synem)*

CHÓR GŁOSÓW *(w oddali)*. Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki. —

* *

Sala w zamku Świętej Trójcy — Mąż — kobiety, dzieci, kilku starców i Hrabiów klęczących u stóp jego — Ojciec Chrzestny stoi w środku sali — Tłum w głębi — zbroje zawieszone, gotyckie filary, ozdoby, okna —

MĄŻ. Nie — przez syna mego — przez żonę nieboszczkę moją, nie — jeszcze raz mówię — nie. —

GŁOSY KOBIECE. Zlituj się — głód pali wnętrzności

nasze i dzieci naszych — dniem i nocą strach nas pożera. —

GŁOSY MĘŻCZYZN. Jeszcze pora — słuchaj posła — nie odsyłaj posła. —

OJCIEC CHRZESTNY. Całe życie moje obywatelskiem było i nie zważam na twoje wyrzuty, Henryku. — Jeślim się podjął urzędu poselskiego, który w tej chwili sprawuję, to że znam wiek mój i cenić umiem całą wartość jego — Pankracy jest reprezentantem obywatelem, że tak rzekę...

MĄŻ. Precz z oczu moich, stary. —

(na stronie do Jakóba)

Przyprowadź tu oddział naszych. —

(Jakób wychodzi — Kobiety powstają i płaczą — mężczyźni się oddalają o kilka kroków)

BARON. Zgubiłeś nas, Hrabio. —

DRUGI. Wypowiadamy ci posłuszeństwo. —

KSIĄŻE. Sami ułożymy z tym zacnym obywatelem warunki poddania zamku. —

OJCIEC CHRZESTNY. Wielki mąż, który mnie przysłał, obiecuje wam życie, bylebyście przyłączyli się do niego i uznali dążenie wieku. —

KILKA GŁOSÓW. Uznajemy — uznajemy. —

MĄŻ. Kiedyście mnie wezwali, przysiągłem zginąć na tych murach — dotrzymam, i wy wszyscy zginiecie wraz ze mną. —

Ha! chce się wam żyć jeszcze. —

Ha! zapytajcie ojców waszych, po co gnębili i panowali. —

(do Hrabiego)

A ty czemu uciskałeś poddanych? —

(do drugiego)

A ty czemu przepędziłeś wiek młody na kartach i podróżach daleko od Ojczyzny? —

(do innego)

Ty się podliłeś wyższym, gardziłeś niższemi. —

(do jednej z kobiet)

Dlaczegożeś dzieci nie wychowała sobie na obrońców — na rycerzy — terazby ci się zdały na coś — aleś kochała żydów, adwokatów — proś ich o życie teraz. —

(staje i wyciąga ramiona)

Czego się tak śpieszycie do hańby — co was tak nęci, by upodlić wasze ostatnie chwile? — naprzód raczej za mną, naprzód, Mości Panowie, tam, gdzie kule i bagnety — nie tam, gdzie szubienica i kat milczący, z powrozem w dłoni na szyje wasze. —

KILKA GŁOSÓW. Dobrze mówi — na bagnety! —

INNE GŁOSY. Kawałka chleba już niema. —

KOBIECE GŁOSY. Dzieci nasze, dzieci wasze. —

WIELE GŁOSÓW. Poddać się trzeba — układy — układy! —

OJCIEC CHRZESTNY. Obiecuję wam całość, że tak rzekę, nietykalność osób i ciał waszych —

MĄŻ *(przybliża się do Ojca chrzestnego i chwyta go za piersi).* Święta osobo Posła, idź skryć siwą głowę, pod namioty przechrztów i szewców, bym ją krwią twoją własną nie zmazał. —

(wchodzi oddział zbrojnych z Jakóbem)

Na cel mi wziąść to czoło zorane zmarszczkami marnej nauki — na cel tę czapkę wolności, drżącą od tchnienia słów moich, na tej głowie bez mózgu. —

(Ojciec chrzestny się wymyka)

WSZYSCY *(razem).* Związać go — wydać Pankracemu. —

MĄŻ. Chwila jeszcze, Mości Panowie. —

(Chodzi od jednego żołnierza do drugiego)

Z tobą, zda mi się, wdzierałem się na góry za dzikim zwierzem — pamiętasz, wyrwałem cię z przepaści. —

(do innych)

Z wami rozbiłem się na skałach Dunaju — Hieronimie, Krzysztofie, byliście ze mną na Czarnem morzu. —

(do innych)

Wam odbudowałem chaty zgorzałe. —

(do innych)

Wyście uciekli do mnie od złego pana — a teraz mówcie — pójdziecie za mną, czy zostawicie mnie samego, z śmiechem na ustach, żem wpośród tylu ludzi jednego człowieka nie znalazł? —

WSZYSCY. Niech żyje Hr. Henryk — niech żyje! —

MĄŻ. Rozdać im, co zostało wędliny i wódki — a potem na mury. —

WSZYSCY ŻOŁNIERZE. Wódki — mięsa — a potem na mury. —

MĄŻ. Idź z niemi, a za godzinę bądź gotów do walki. —

JAKÓB. Tak mi Panie Boże dopomóż. —

GŁOSY KOBIECE. Przeklinamy cię za niewiniątka nasze. —

INNE GŁOSY. Za ojców naszych. —

INNE GŁOSY. Za żony nasze. —

MĄŻ. A ja was za podłość waszą. —

* * *

Okopy Świętej Trójcy — Trupy naokoło — działa potrzaskane — broń leżąca na ziemi — Tu i owdzie biegną żołnierze — Mąż oparty o szaniec, Jakób przy nim —

MĄZ *(szablę chowając do pochwy).* Niema rozkoszy, jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawżdy, a kiedy nadejdzie przegrać — to raz jeden tylko. —

JAKÓB. Ostatniemi naszemi nabojami skropieni odstąpili, ale tam w dole się zgromadzą i niedługo wrócą do szturmu — darmo, nikt losu przeznaczonego nie uszedł, od kiedy świat światem. —

MĄŻ. Niema już więcej kartaczy?

JAKÓB. Ani kul, ani lotek, ani śrutu — wszystko się przebiera nareszcie. —

MĄŻ. A więc syna mi przyprowadź, bym go raz jeszcze uściskał —

(Jakób odchodzi)

Dym bitwy zamglił oczy moje — zda mi się, jakby dolina wzdymała się i opadała nazad — skały w sto kątów łamią się i krzyżują — dziwnym szykiem także ciągną myśli moje. — *(siada na murze)*

Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto. — Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu, uczuł nudę w sercu swojem i zapragnął potężniejszych sił. — Trza być Bogiem lub nicością. —

(Jakób przychodzi z Orciem)

Weź kilku naszych, obejdź sale zamkowe i pędź do murów wszystkich, co spotkasz. —

JAKÓB. Bankierów, i Hrabiów, i Książąt. — *(odchodzi)*.

MĄŻ. Chodź synu — połóż tu rękę swoją na dłoni mojej — czołem ust moich się dotknij — czoło matki twojej niegdyś było takiej samej bieli i miękkości. —

ORCIO. Słyszałem głos jej dzisiaj, nim zerwali się męże twoi do broni — słowa jej płynęły tak lekko, jak wonie, i mówiła: — »Dziś wieczorem zasiądziesz przy mnie«. —

MĄŻ. Czy wspomniała choćby imię moje? —

ORCIO. Mówiła: — »Dziś wieczorem czekam na syna mego«. —

MĄŻ *(na stronie)*. U końca drogi czyż opadnie mnie siła? — Nie daj tego, Boże! — Za jedną chwilę odwagi masz mnie więźniem twoim przez wieczność całą. — *(głośno)*

O synu, przebacz, żem ci dał życie — rozstajemy się — czy wiesz, na jak długo?

ORCIO. Weź mnie i nie puszczaj — nie puszczaj — ja cię pociągnę za sobą. —

MĄŻ. Różne drogi nasze — ty zapomnisz o mnie wśród chórów anielskich, ty kropli rosy nie rzucisz mi z góry — O Jerzy — Jerzy — O synu mój! —

ORCIO. Co za krzyki — drżę cały — coraz groźniej — coraz bliżej — huk dział i strzelb się rozlega — godzina ostatnia, przepowiedziana, ciągnie ku nam. —

MĄŻ. Śpieszaj, śpieszaj, Jakóbie. —

(Orszak Hrabiów i Książąt przechodzi przez dolny dziedziniec — Jakób z żołnierzami idzie za nim)

GŁOS JEDEN. Daliście odłamki broni i bić się każecie. —

GŁOS DRUGI. Henryku, ulituj się. —

TRZECI. Nie gnaj nas słabych, zgłodniałych, ku murom. —

INNE GŁOSY. Gdzie nas pędzą — gdzie?

MĄŻ *(do nich)*. Na śmierć. — *(do syna)* Tym uściskiem chciałbym się z tobą połączyć na wieki — ale trza mi w inszą stronę. —

(Orcio pada trafiony kulą)

GŁOS W GÓRZE. Do mnie, do mnie, duchu czysty — do mnie, synu mój! —

MĄŻ. Hej! do mnie, ludzie moi! *(dobywa szabli i przykłada do ust leżącego)* Klinga szklanna jak wprzódy — oddech i życie uleciały razem. —

Hej! tu — naprzód — już się wdarli na długość szabli mojej — nazad, w przepaść, syny wolności! —

(Zamieszanie i bitwa)

* * *

Inna strona okopów — słychać odgłosy walki — Jakób rozciągnięty na murze — Mąż nadbiega, krwią oblany —

MĄŻ. Cóż ci jest, mój wierny, mój stary? —

JAKÓB. Niech ci czart odpłaci w piekle upór twój i męki moje. — Tak mi Panie Boże dopomóż. — *(umiera)*

MĄŻ *(rzucając pałasz)*. Nie potrzebnyś mi dłużej — wyginęli moi, a tamci klęcząc wyciągają ramiona ku zwycięzcom i bełkoczą o miłosierdzie! — *(spoziera naokoło)*

Nie nadchodzą jeszcze w tę stronę — jeszcze czas — odpocznijmy chwilę. — Ha! już się wdarli na wieżę północną — ludzie nowi się wdarli na wieżę północną — i patrzą, czy gdzie nie odkryją Hrabiego Henryka. — Jestem tu — jestem — ale wy mnie sądzić nie będziecie. — Ja się już wybrałem w drogę — ja stąpam ku sądowi Boga. — *(Staje na odłamku baszty wiszącym nad samą przepaścią)*

Widzę ją całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca, a pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca. — *(krokiem dalej się posuwa)*

Biegną, zobaczyli mnie — Jezus, Marya! — Poezyo, bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki. — Ramiona, idźcie i przerzynajcie te wały. — *(skacze w przepaść)*

* * *

Dziedziniec zamkowy — Pankracy — Leonard — Bianchetti na czele tłumów — przed niemi przechodzą Hrabiowie, Książęta, z żonami i dziećmi, w łańcuchach —

PANKRACY. Twoje imie?

HRABIA. Krzysztof na Volsagunie. —

PANKRACY. Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

KSIĄŻE. Władysław, Pan Czarnolasu. —

PANKRACY. Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

BARON. Aleksander z Godalberg. —

PANKRACY. Wymazane z pośród żyjących — idź. —

BIANCHETTI *(do Leonarda)*. Dwa miesiące nas trzymali, a nędzny rząd armat i ladajakie parapety. —

LEONARD. Czy dużo ich tam jeszcze? —

PANKRACY. Oddaję ci wszystkich — niech ich krew płynie dla przykładu świata — a kto z was mi powie, gdzie Henryk, temu daruję życie. —

RÓŻNE GŁOSY. Zniknął przy samym końcu. —

OJCIEC CHRZESTNY. Staję teraz jako pośrednik między tobą a niewolnikami twojemi — temi przezacnego rodu obywatelami, którzy, wielki człowiecze, klucze zamku Św. Trójcy złożyli w ręce twoje. —

PANKRACY. Pośredników nie znam tam, gdzie zwyciężyłem siłą własną. — Sam dopilnujesz ich śmierci. —

OJCIEC CHRZESTNY. Całe życie moje obywatelskiem było, czego są dowody niemałe, a jeślim się połączył z wami, to nie na to, bym własnych braci szlachtę...

PANKRACY. Wziąść starego Doktrynera — precz, w jedną drogę z niemi. —

(Żołnierze otaczają Ojca Chrzestnego i niewolników)

Gdzie Henryk? czy kto z was nie widział go żywym lub umarłym? — Wór pełny złota za Henryka — choćby za trupa jego. —

(oddział zbrojnych schodzi z murów)

A wy nie widzieliście Henryka?

NACZELNIK ODDZIAŁU. Obywatelu Wodzu, udałem się za rozkazem Generała Bianchetti ku stronie zachodniej szańców, zaraz na początku wejścia naszego do fortecy i na trzecim zakręcie bastyonu ujrzałem człowieka rannego i stojącego bez broni przy ciele drugiego — kazałem podwoić kroku, by schwytać — ale nim zdążyliśmy, ów

człowiek zeszedł trochę niżej, stanął na głazie chwiejącym się i patrzał chwilę obłąkanym wzrokiem — potem wyciągnął ręce jak pływacz, który ma dać nurka, i pchnął się z całej siły naprzód — słyszeliśmy wszyscy odgłos ciała, spadającego po urwiskach — a oto szabla znaleziona kilka kroków dalej. —

PANKRACY *(biorąc szablę)*. Ślady krwi na rękojeści — poniżej herb jego domu. —

To pałasz Hrabiego Henryka — on jeden z pośród was dotrzymał słowa. — Za to chwała jemu, giliotyna wam. —

Generale Bianchetti, zatrudnij się zburzeniem warowni i dopełnieniem wyroku. —

Leonardzie! — *(wstępuje na basztę z Leonardem)*

LEONARD. Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć, Mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich. —

PANKRACY. Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić te puszcze — przedrążyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest. —

LEONARD Bóg Wolności sił nam podda. —

PANKRACY. Co mówisz o Bogu — ślizko tu od krwi ludzkiej. — Czyjaż to krew? — za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteśmy, a zda mi się, jakoby tu był ktoś trzeci. —

LEONARD. Chyba to ciało przebite. —

PANKRACY. Ciało jego powiernika — ciało martwe — ale tu duch czyjś panuje — a ta czapka — ten sam herb na niej — dalej, patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło. —

LEONARD. Bledniesz, Mistrzu. —

PANKRACY. Czy widzisz tam wysoko — wysoko? —

LEONARD. Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą, na której dogasają promienie słońca. —

PANKRACY. Znak straszny pali się na niej. —

LEONARD. Chyba cię myli wzrok. —

PANKRACY. Milion ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój? —

LEONARD. Słyszysz ich okrzyki — wołają ciebie — czekają na ciebie. —

PANKRACY. Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień. —

LEONARD. Kto? —

PANKRACY. Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami — oburącz wspart na krzyżu, jak na szabli Mściciel. — Ze splecionych piorunów korona cierniowa. —

LEONARD. Co się z Tobą dzieje? co Tobie jest? —

PANKRACY. Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw. —

LEONARD. Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy stąd — chodźmy — czy słyszysz mnie? —

PANKRACY. Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch. —

LEONARD. Czy dobrze tak? —

PANKRACY. Nędzne ręce twe — jak u Ducha, bez kości i mięsa — przejrzyste jak woda — przejrzyste jak szkło — przejrzyste jak powietrze. — Widzę wciąż! —

LEONARD. Oprzyj się na mnie. —

PANKRACY. Daj mi choć odrobinę ciemności! —

LEONARD. O Mistrzu mój! —

PANKRACY. Ciemności — ciemności! —

LEONARD. Hej! obywatele — hej! bracia — Demokraty, na pomoc! — Hej! ratunku — pomocy — ratunku! —

PANKRACY. Galilaee, vicisti! *(Stacza się w objęcia Leonarda i kona)*

OBJAŚNIENIA WYDAWCY

DO »NIE-BOSKIEJ KOMEDYI«.

Str. 7. E d e n — raj ziemski.

Str. 18. J a k ó b i n y — podczas Wielkiej rewolucyi francuskiej tak nazywano stronnictwo skrajnych rewolucyonistów; potem nazwę tę stosowano wogóle do ludzi skrajnych przekonań społecznych.

Str. 22. P o l i s z y n e l — zabawna postać w ludowej komedyi włoskiej, potem wogóle: pajac.

Str. 26. M i r (staropolskie) — pokój, zgoda.

Str. 28. K o p e r s z t y c h — miedzioryt.

Str. 30. K a t a l e p s y a — stan utraty przytomności i odrętwienia.

Str. 30. A m a v r o s i s — czarna katarakta.

Str. 32. C e r a s i s l a u r e i — krople laurowe.

Str. 37. T a l m u d — święta księga żydowska.

Str. 39. S e r v i l e i m i t a t o r u m p e c u s — służalcze stado naśladowców (łac.).

Str. 43. P r a w i d ł o — ogólne miano rozlicznych narzędzi, używanych w różnych rzemiosłach.

Str. 45. F e l c e c h — taśma od szabli.

Str. 45. K o n d o t i e r — wódz wojsk najemnych.

Str. 48. K a p i t e l — górna część kolumny, głowica.

Str. 48. A r k a d a — sklepienie.

Str. 62. R u n o z ł o t e — order, ustanowiony w XV w.

Str. 62. K o l c z u g a — rodzaj lekkiego pancerza.

Str. 62. R o b r o n — suknia kobieca.

Str. 64. C e n t a u r — postać z mitologii greckiej, pół-koń, pół-człowiek.

Str. 79. P a r a p e t y — wały.

Str. 79. D o k t r y n e r — zaślepiony, jednostronny wyznawca jakiejś teoryi.

Str, 79. B a s t y o n — wystająca część wału, narożnik.

Str. 81. G a l i l a e e, v i c i s t i! — zwyciężyłeś, Galilejczyku! Jest to przedśmiertny okrzyk cesarza rzymskiego, Juliana Odstępcy, który dążył do przywrócenia pogaństwa i przezwyciężenia chrystyanizmu. Zginął w walce z Persami w r. 363.

IRYDION

Et cuncta terrarum subacta. —

Lucanus.

. . . . . . Aestuat ingens
Uno in corde pudor mixtoque insania luctu
Et Furiis agitatus amor et conscia virtus.

Aeneidos, Lib. X.

POŚWIĘCONE MARYI

NA PAMIĄTKĘ DNI

JEDYNYCH I ZBIEGŁYCH

Tak, głos znajomy wróci do niej po latach wielu.

Dante.

WSTĘP.

Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje — Bogi i ludzie szaleją.

A jako Jowisz, pan na niebie, tak Rzym, pan na ziemi, kona i szaleje. — Fatum jedno spokojne, niewzruszone, rozum nieubłagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba.

Wśród zamętu wznoszę pieśń, która mi gwałtem z piersi się dobywa. — Niechaj duch zniszczenia ku pomocy mi będzie — niech moje natchnienie kręci się i toczy się, rozlega na wsze strony jako piorun burzy, która grzmi teraz nad wiekami przeszłości i wszelkie życie strąca do otchłani — a potem niech umiera jako ów po dokonaniu dzieła. — Tam nowy świt na wschodzie! Ale mnie już nic do niego.

Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycyusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w ręku, z sercem pełnem tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemiężcy plebejanów, okróciciele Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka, wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu?

Gdzie mowce twoi, panowie dusz tysiąców, stojący ponad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? — Gdzie żołnierze Legionów bezsenni, ogromni,

z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów? — Wszyscy zniknęli jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona. — Nikt ich nie wydrze przeszłości!

Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne jak pół-Bogi, ni silne jak olbrzymy Tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem, z wiankami na czole, z puharami w dłoni, a wśród kwiecia sztylety, a wśród biesiad trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty — niby to życie bez granic wśród pieśni i jęków, ryku Hyjen i nawoływań gladyatorów. Śmiech z takiej wiosny umajonej krwią i woniami spiekłych kadzideł! — Śmiech z takiego życia! — Ono przejściem tylko, ono nic nie utworzy, nic nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!

Motłoch i Cezar — oto jest Rzym cały! —

Izydo, matko wiadomości i milczenia, stopy twoje zbryzgane pianą morza, okryte pyłem długiej podróży, obca mowa brzmi naokoło ciebie — i stoisz na *forum romanum* i dotąd się rozpatrzeć nie możesz, kędy sama jesteś, kędy brzegi Nilu.

Z pagórków Armenii, z nizin Chaldei, Mitra też, pan młodości i śmierci, ciągnie ku Rzymowi i już stanął w lochach Kapitolu i nożem ofiarnym potrząsa wśród głuchej nocy nad trupami ofiar.

W portykach Greckich, w słodkim cieniu korynckich filarów, barbarzyńskim chodem stąpa syn północy — stanie czasami i na toporze wsparty szuka błękitnemi oczyma, czy gdzie nie spotka Odyna, Boga lodów swoich.

Odyn Cymbrycki dotąd się nie zjawił — żal mu borów sośnianych i śnieżnej pościeli i szarego nieba i chorów Walhalli. — Ale chwil kilka jeszcze — i on puści się na pielgrzymkę do Rzymu!

Naprzód, Bogi i ludzie! — Drogi wasze się pokrzyżują od wschodu na zachód, od północy na południe. — Miejsca

dla was nie będzie. — Idźcie więc i kołujcie, błądźcie i wracajcie potem.

Tak zwykle przed śmiercią bywa.

Naprzód, Bogi i ludzie! — szalejcie do woli — ostatni to szał, ostatnia to gonitwa wasza — a Fatum z was się urąga, krzyż godłem swoim wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem.

Z tego świata, co się zżyma i kona, wycisnę myśl jedną jeszcze — w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby!

Naprzód w szał, naprzód w tan, Bogi i ludzie, wokoło myśli mojej — bądźcie muzyką, co przyśpiewuje jej marzeniom — burzą, pośród której ona się przedziera, jak błyskawica — bo imie Jej nadam, postać nadam, i choć poczęta w Rzymie, dzień, w którym Rzym zginie, nie będzie Jej ostatnim. — Ona trwa, dopóki ziemia i ziemskie narody — ale za to w niebie dla niej miejsca niemasz! —

* * *

Gdzież jesteś, synu zemsty? — w jakiej ziemi leżą zwłoki twoje? — Duch twój pomiędzy jakiemi duchami? —

Ze świata gruzów wywołałem cienie umarłych — w nocy na forum stanął senat przede mną — schylone widma, obarczone pamięcią podłości — i między niemi nie było ciebie!

Gladyator powstał z lochów cyrku i szedł na czele swoich przy świetle księżyca — przebici wszyscy — usta sine powtarzały w śnie śmierci: *Morituri te salutant, Caesar!* — ale pomiędzy niemi nie odkryłem ciebie. —

Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów, panów świata dla mnie wzruszyły się prochy — płynęli przede mną — dyadema krwią zlutowane trzymało się ich czoła — każdy na czole niżej miał znak potępienia — purpura na ich barkach powiewała, a z za niej świeciły gwiazdy przez otwory wydarte sztyletami zabójców — ale i tam nie ujrzałem ciebie.

Męczenników Chrystusa słyszałem śpiewy i modły. — Dźwięki te wzlatywały z katakumb i szły prosto ku niebu — był tam głos jeden niewieści, smutniejszy, piękniejszy nad inne — znany tobie kiedyś, ale teraz sam jeden nie związany z twoim.

Gdzież jesteś, synu zemsty, synu pieśni mojej! Już czas zmartwychwstać, by deptać po zwłokach olbrzyma... pamiętasz? — przysiągłeś. — Wyrzekłeś się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, gdzie miliony...

Godzina dobija — bo kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającem i bluszczem i ludem. — Powstań — chodź — wzywam cię — Ja i straszniejsza potęga jeszcze, od której cię wybawić nie zdołam, ale imie twoje oderwę od ciała twego i ono na zagubę nie pójdzie wraz z tobą!

Zdala ode mnie! — nie dla was te dzikie manowce — w Kampanii rzymskiej zostańcie u stóp Appeninów, towarzysze moi. — Ja pójdę, ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią na wieki!

W tej jaskini leżącej wśród mroków przepaści, on na marmurowem łożu rozciągnięty, bez oddechu, bez sennych poruszeń, bez żadnego marzenia, czeka na przebudzenie — obiecane — straszne i na dzień sądu, bliższy dla niego, niż dla reszty świata!

Starożytne próchna świecą naokoło, jak oczy sfinksów — wąż z łuską promienistą śpi od wieków przy stopach Jego — rysy zasępione, spalone gorączką, sen tak długi chłodu po nich rozlać nie potrafił.

Kształty jego ciała podobne do kształtów greckiego posągu i takich już dzisiaj niema na tej ziemi — nogi białe, jak marmur paryjski, w czarnych koturnach, złożone na czarnej pościeli. — Stąd i zowąd, pod niemi, nad niemi, mchy i bluszcze się wiją.

Tunika biała na piersiach spoczywa — odłamek lampy

w dłoni i miecz rdzą stoczony u boku spoczywa — a druga ręka opuszczona, martwa i palce jej skurczone, jak gdyby zasnął w rozpaczy.

On cały zawieszony leży między snem a śmiercią — między ostatnią myślą, którą pomyślał przed wiekami, a tą, która niedługo w nim się obudzi, między potępieniem życia całego a potępieniem wieczności!

Nim powstaniesz, opowiem twe dzieje.

* * *

W Chersonezie Cymbrów, w ziemi srebrnej potoków, Ojciec twój niegdyś stąpał brat za brat z królami morza, choć przybył z odległych stron, choć cudzą miał grecką mowę i twarz greckiego pół-Boga.

Ale polubiły go niewiasty i męże, bo powieściami długie słodził noce, a we dnie pierwszy był do walki i biesiady. — Manowce szarego oceanu bitą drogą mu były — w połysku gwiazd niebieskich wyczytywał pogody i burze — najcięższą włócznią przerzucał najwyższe maszty i za wichrami goniąc spokojne miał czoło.

Na lądzie róg jego dzwonił po dolinach i skałach — Niedźwiedź nigdy mu się nie potrafił odjąć — a kiedy wrócił z łowów lub rozbicia, kładł się na mech, na paprocie, i spełniając gęste puhary opowiadał gonitwy, zapasy, rozboje — na dalekich wodach dom Jego nabijany kością słoniową i złotem — sługi, niewolniki, stojąc na progu pod lasem filarów, patrzą na morze, zasiane wyspami błyszczącemi jak gwiazdy i wyzierają Jego powrotu — ale on się nie śpieszy, bo polubił dźwięk trąb konchowych i śpiew kapłanek Odyna — bo młodość swoją puścił na błędy i zmienne losy, by później dokonać wielkiego zamiaru — i puhar podnosi do ust, i pije zdrowie Króla mężów, starego Sigurda. —

»Grimhildo, córo Sigurda, lud mój od wieków nosi kajdany i jęczy — wraz z ludem moim sto innych ludów po

wszystkich brzegach mórz południowych usiadło na zwirze i płacze.

»Żeby ich wyzwolić, trza mi twojej piersi natchnionej! Ja sam rodem jestem niewolnik, ale duchem mściciel — wrogi moje silne jak tytany — żeby ich podkopać i obalić, trza mi twojej piersi natchnionej! — Dziewico poświęcona Odynowi, ty wejdziesz w progi moje, ty będziesz towarzyszką moich trudów, i dzieci nasze kończyć będą dzieło moje — a ono się przeciągnie w późne wieki wieków!«

Tu ojciec twój umilkł i stopniami ogarniał ją potęgą wzroku i milczenia swego — ona stojąc na skale, spoziera na szarą nieskończoność morza, z rozpuszczonym włosem, z zamglonemi oczyma, bezsilna, szalona miłością. — Już Odyna pawęż jej nie zasłoni, porzuci stopy ołtarza i pójdzie z obcym na dalekie brzegi.

»Hermesie, dawniej wojowniki nasze nie śmieli spójrzeć na czoło moje. — Tyś się zjawił jak bohatyr zstępujący z Walhalli, tyś rzekł »Grimhildo« i patrz, ja muszę być niewolnicą twoją«. —

»Nie znam ojczyzny twojej, wrogów twoich nie znam, kraj, do którego mnie ciągniesz, nigdy we śnie nawet nie ukazał się przede mną, a pójdę, pójdę nieszczęśliwa — zhańbiona pośród dziewic — przeklęta gniewem Odyna — tylko pozwól raz jeszcze mi zasiąść na świętym głazie i odśpiewać pieśń ostatnią!«

* * *

Amfiloch Hermes szedł za dziewicą na pokładach mchu, na warstwach granitu, przez święte bory szronem obwisłe, wśród ryku wodospadów — sosny tłumem cisnęły się wszędzie; z ich tłumu czasem szkielet dębu się wydostanie uwieńczon jemiołą. — Wyżej niebo gorzkie, ołowiane — po bokach tysiąc manowców krąży i woła za sobą na puszczę — ale Dziewica zna ścieżki wiodące do Boga, z którym idzie żegnać się na wieki.

Wodzowie hord, panowie gruntów, królowie morza, majtki ich i towarzysze stoją w półkolu przed posągiem Odyną i czekają na kapłankę. — Jeden tylko Sigurd z pokolenia Bogów, Król wszystkich, usiadł na pniu ściętej sosny i ogromną dłonią zakrył czoło — pierś jego nadyma się pod pancerzem z łusk rybich — ale milczy i wszyscy za nim milczą — słychać tylko szum morza bijącego o skały za borem.

Grimhilda przeszła pośród nich z oczyma wlepionemi w posąg Odyna, ku któremu stąpała w groźnej powadze. — A cudzoziemiec pozostał z tyłu, wśród orszaku swoich, z założonemi rękoma na korynckiej zbroi, oparty o drzewo.

Pod występującem sklepieniem jaskini, na głazie tajemnicami zapisanem, usiadła i zdała się marzyć. — Bóg północnych plemion stoi nad nią, broda jego i włosy skrzepłe lodem, przyprószone śniegiem, oczy szklanne, rażące, w olbrzymiej dłoni maczuga krwią ofiar zbroczona, a w piersi głęboka rana, którą zadał sobie, kiedy dopełniwszy ziemskiego wcielenia zażądał wrócić do biesiad Walhalli.

Sen jej trwał długo i teraz powoli z niego się budzi, zwolna podnosi ramiona, mówi jeszcze tłumionym głosem: »Znam cię, panie, wśród bohatyrów twoich — Duch twój czarnym strumieniem zbliża się do łona mego — huczy wokoło mnie jak potok, co rozrywa głazy — Ja tam, gdzie wiry twoje — Ja tam, gdzie wszechmocność gniewu twego — siła twoja moją — słuchajcie mnie wszyscy«.

Odrzuciła nagle powieki z ponad pałających zrzenic — ręce wywarła ku tłumowi i ręce jej drżały, jak w chwili konania — w głosie jej były dźwięki zarwane z mowy bohatyrów, co wstąpili na chmury i teraz wśród burzy przelatując wołają na dzieci swoje:

»Po co biegniecie dniem i nocą, bracia moi? — Syny ludu mego, kto was pędzi z tyłu? — Kto wam kazał porzucić ziemię srebrną potoków?

»Olbrzymy przykute podnieśli się z śniegów, na których

leżeć mają aż do końca świata, podnieśli się na pół i, bijąc łańcuchami o szczyty z lodu, w nozdrza chwytają zapach krwi z oddali. —

»Czy słyszycie, jak młot Thora w pył druzgoce hełmy i puklerze, czaszki i piersi ludzkie? — Śmiech karłów rozlega się w przestrzeni — włócznia Horgiebrudy zawieszona nad ziemią całą!

»Kto wam podoła, o potomki moje? — Coraz dalej pędzicie ku miastu wielkiemu — Tam czeka na was biesiada — puhary pienią się pełne krwi nieprzyjaciół — Każdemu z wąs przygotowane jest miejsce — Zasiądźcie w chwale, syny moje!«

Głos jej upadł nagle i w szmer się zamienił — oczy szukają czegoś w świecie widzeń, który się przed nią roztacza — usta wysilają się ną słowo jakieś. — To słowo powstaje, rośnie w głębinach jej duszy, jak wąż okrąża jej serce i jak wąż ucieka, kryje się znowu — ona darmo za niem goni, cała blada, nieszczęśliwa, mdlejąca. — Jeszcze chwila — może go wyrwie z łona, bo wzrok jej płonie, twarz nowym zajaśniała szałem:

»Miasto, miasto na siedmiu wzgórzach pali się pożarem — kruszce drogie, przejrzyste kamienie, topią się i płyną — Ciała topią się na krew i płyną — Zamek wielki i Bóg wielki na nim runął!...

»Na pomoc, Odynie — umrę, jeśli nie wypowiem tajemnicy twojej — imie jego — kto mi powie imie jego?«

I opadła głowa matki twojej i zawarły się jej usta — król dotąd trzyma dłoń na twarzy, ani razu nie spojrzał na córkę i wszyscy stoją niewzruszeni, bo nikt nie śmie przystąpić do świętego głazu. —

A więc Bóg twój oniemiał i ty z nim umilkłaś na wieki — ponad twojemi ustami cisza grobowa — na czole twoim lodowatość śmierci. — Ale ten, który ci inną Ojczyznę obiecał, nie opuści ciebie — ruszył się z pod cieniów dębu i sam natchniony stąpa ku tobie. — Krzyk oburzenia powstał w tłumie, królowie morza włóczniami uderzyli w puklerze — siwe Skaldy wyrzekli przekleństwo. — Ale on już przeszedł straszną zagrodę, już nachyla się nad Tobą, podaje ci rękę i rzecze:

»Przez imie Roma, imie wrogów moich i twoich, wołam cię do życia, powstań Grimhildo«!... I odwrócił się i krzyknął trzy razy: Roma — a Dziewica obudzona podniosła się, powtórzyła raz jeszcze słowo tajemnicze, powtórzyła głosem pożegnania cichym i niewieścim, i poszła za cudzoziemcem, jak żona za mężem. —

* * *

Teraz ojciec twój, senny młodzieńcze, stoi na pokładzie i z uśmiechem niedowiarstwa w ocean pełne wylewa kielichy na cześć Posseidona, potem ku majtkom się odwraca i mówi: »Silniej żagle, dzielniej wiosła trzymajcie, a Bóg Trójzęba wnet uśmierzy te fale«. —

Pod ich stopami drży każda belka, jak ciało niewiasty — u widnokręgu ciemności warstwami się pokładły — z ich łona płyną bałwany zbierając się w kłęby, to rozpuszczając się w nurty, jak niegdyś wąż Piton, nim legł pod strzałami słońca — naprzemian pękają tonie i spajają się białemi pianami — naprzemian w szumie wiatrów głuche oddechy i przeraźliwe jęki.

Pod dachem wspartym stękającemi słupami usiadł Hermes na futrach wywiezionych z Chersonesu Cymbrów i spokojnym głosem tłumaczył dziewicy świat, do którego się zbliżała — opisywał jej wyspę o winnicach i gajach w pobliżu wielkiego lądu — on tam ma swoich oraczy i kupców, dom i okręty swoje. — Tam skarbce jego pełne kosztowności i broni — i ta broń zda się kiedyś! bo w tamtych stronach ród ludzki nie hasa pod wodzą bohatyrów — ale ujarzmiony, hańbę swoją ubiera w złoto, marmury, jedwabie i liże stopy miasta wznoszącego się na między-morzu.

To miasto niegdyś w obliczu świata stało się Bogiem kłamstwa i ucisku — pod jego tchnieniem śmiertelnem brat powstał na braci, syn na ojca, zdrajca na ojczyznę i, jako czas niezużyte, ono pożarło wszystkich królów ziemi! Tu pogoda zeszła z czoła ojca twego i stał się podobnym do burzy, która statkiem miotała.

»Hellada moja niegdyś była duszą narodów — pieśni jej były paniami świata — Barbarzyńców zuchwałych, co przyszli od wschodu, odpędziła szczękiem szabel i dźwiękiem strun swoich.

»Ogień niebieski, wydarty Bogom, jej tylko jednej, jej tylko dostał się w udziele — nieszczęśliwa zaufała miastu przeklętemu. — Dzicz z między-morza przypłynęła do jej wysp szczęśliwych, do jej mirtowych nadbrzeżów. — Nie zdobyli jej bronią, ale rozdzielili jadem pochlebstwa, upoili nektarem obietnic!

W tej chwili rozejdą się chmury — wiatr je rozpruł na zachodzie i kilka gwiazd zamignęło. — Hermes raz tylko rzucił okiem i kiedy znów tonęły w wyziewach, krzyknął do sternika: »na prawo, całą noc na prawo, a o tej samej porze jutro przepłyniem Gadesu cieśninę!« — I dalej tuląc ją do łona rozpowiada o przodku Filopemenie, przedostatnim z ludzi, którzy walczyli przeciw miastu podlącemu — po nim raz jeszcze król barbarzyniec wyszedł w pole i przegrywał lat trzydzieście, aż legł własną ręką przebity — od dnia tego nikt już trzeci się nie zdarzył na obronę ziemi!

Chwilą milczenia, chwilą rozpamiętywania uczcił pamięć wielkiego Mitrydata, potem wrócił do smutnej powieści — ona słucha z niewzruszonemi, pałającemi oczyma. — »Grimhildo, Bóg twój dał ci zgadnąć natchnieniem to, co sam wydobywałem nieraz pracą nienawiści, domysłem nadziei, z nocy przyszłych wieków — cieszmy się, królewska córo — bo miasto nieprawości po zabiciu wszystkich żyjących i wolnych, rozpoczęło teraz samobójstwo swoje!

»Skarby wyssane z całej ziemi już im wkrótce nie wystarczą — niedługo oręż z ich rąk się wysunie — wśród rzezi i festynów dobijają im ostatnie chwile. — O żono moja, śmiej się z tych fal i wichrów, bo my tu nie zginiem, my będziem częścią wielkiego zniszczenia!«

Po tych słowach głos bohatyra przybrał jeszcze bardziej gorzkie i szyderskie dźwięki — wspominał o Bogach Hellady, potężnych kiedyś, którym dzisiaj już rzadko kto wierzy — wyrocznie ich oniemiały oddawna, ale posągi stoją dotąd, bo świat stary odzwyczaić się nie może od nałogów młodości — wszystkie Bogi ziemi objawiły się w mieście przekleństwa. — Jedne piękne, podobne nieśmiertelnym, bo greckiego dłóta — inne potworne, wyrosłe na piaskach pustyni, po szczytach gór dalekich — ale on wie, że jest tylko Bóg jeden, który przed wiekami położył dłonie na wirach chaosu i zwyciężył go na wieki.

»Imie Jego«, zapyta kapłanka Odyna?

»Przeznaczenie« — i poszedł ku sterowi łodzi, bo podwajała się burza.

* * *

Czy pamiętasz wyspę Chiarę, na której wzrośliście ty i siostra twoja, Boska Elsinoe? — Czy pamiętasz wyprawy ojca, kiedy na maszty zarzucał żagle, nie trójkątne, greckie, ale barbarzyńskie, podłużne, sam w dackim kołpaku, z toporem Cymbrów w dłoni z zatoki wymykał się nocą i puszczał na manowce archipelagu?

Wszystkie myśli Jugurthy i Mitrydata odżywały w jego duszy — ku dzikim plemionom latały nieustannie chęci jego i prace. — To gdzie błota meockie, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, to gdzie Syrty w głębiach Afryki i jadem zaprawione strzały, błąkał się na przemian szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu — dłonie królów dzikich ściskając, ucząc się ich mowy, broń ich zatykając na piersi

swojej, sypiąc im dary i rozżarzając ich chucie obietnicą rozkoszy i łupów.

Wtedy matce twojej boleśno schodziły dnie i nocy. Ale niewolnik żaden, obcy żaden, nie wyczytał cierpienia z jej rysów; usta jej nie drżały, kiedy rozkazowała.

Czasem tylko wziąwszy was oboje za ręce, wiodła przez długie portyki w głąb pałacu. Tam, w framudze nabijanej mchem i konchami, stał wojownik z głazu.

Dzikość nieśmiertelna marszczy mu skronie; — w ręce trzyma czaszkę zabitego wroga; a u stóp Jego bryły lodu wykute z paryjskiego marmuru.

Przed nim schyla głowę matka twoja i duma nad ubiegłą Ojczyzną: »Irydionie mój, Sigurdzie mój, ty ziemi srebrnej nie obaczysz nigdy, ni dziada twego, króla mężów. — Patrz: — oto Bóg mój święty — natchnienie moje straszne, to pan Walhalli, niezwalczony Odyn«. — I córkę przyciskając do piersi: »Gdzie ojciec, Elsinoe, mów, gdzie Hermes tej chwili; — słyszę wiatrów szumy i fal żałobne jęki. — Okręt jego pośród wód nieskończonych, nachylony, odarty z żaglów, lub może na bezbożne wyrzucony brzegi... ale nie — on zwycięży burze, on odejmie się dzikim, i wróci do nas z chwałą pół-Boga«.

A kiedy róg przybywającego odezwał się od morza, kiedy bliżej zagrzmiał wśród gajów cytrynowych, kiedy nocną rosą obwisły, spiekły słońcem i dżdżami sczerniony rzucał się Hermes w objęcia żony i oko jego czarne, namiętne, blaskiem nadziei pałało — wtedy znów bywały dni pogodne i szczęśliwe na Chiarze, zapominała kapłanka o gorzkich przeczuciach, a wy biegałyście swobodnie, rozkosznie, po trawnikach wśród kwiatów, po nadbrzeżach wśród muszli, po salach marmurowych wśród trójnogów i kadzideł, odpoczywając na łonie matki, na ojca kolanach; a on co wieczór błogosławiąc wasze głowy do snu pochylone: »Pamiętajcie, powtarzał, nienawidzić Romy. — Dorósłszy, niech

każden z was ściga Ją przeklęstwem swoim — Ty żelazem i ogniem — Ty natchnieniem i niewiasty zdradą« —

Czasem też do Chiary prokonsul lub pretor lub wyzwoleniec jaki Cezara przybywali w goście — wtedy Hermes kazał zastawiać długie łoża i stoły — Lesbijskie wino płynęło strugami — brzmiały głosy niewolnic, niewolników lutnie, pieśniami starego Homera. — »Anakreonta, Anakreonta« wołali Rzymianie — wtedy z szyderczym uśmiechem ojciec twój skinąwszy na śpiewaków Rzymianom pełniejsze nalewał kielichy, świeże rozdawał wieńce, a kiedy wpadli w szum i żarty, znienacka mówił o dziejach przeszłości, o chwale państwa, wspominał z Kartagą przewalczone boje, wycięte Varrusa Legiony i Hiszpańskie Sertoryusza bunty — i pił zdrowie Imperatora, aż puhar pękał w palcach Jego!

* * *

Już zbliża się trzynasta rocznica dnia, w którem kapłanka opuściła Bogów. — Głos jej dziczeje, kiedy woła na dzieci swoje — wzrok jej dziczeje, kiedy je tuli do łona — wspomina ojca, siostry, wodzów ludu i napół przerywane słowo pożegnania z ust jej wypada. — Przed jednym Hermesem upokarza się jej obłąkanie. »Czego ci nie dostaje, Grymhildo moja, królewska córo?« — »Czy słyszałeś o zemście duchów nieśmiertelnych? — na czas tylko ja byłam twoją — u krańców ziemi leży wyspa okuta lodami — góra na niej buchająca płomieniem. — Tam przykuty olbrzym śmierci już ramie wyciągnął, już nachyla dłoń ku otchłani, by rzucić kłębek śnieżny życia mego«.

Hermes dłoń rozciąga nad jej skroniami. — Cień jego rąk, gdyby strumień pokoju, spada na jej czoło, wlewa się do duszy. »Patrz na to niebo gorejące, na to morze iskier — gdzie chmury twej północy i nie użyte Bogi twoje? — gwiazda Amfilocha cię broni — ona cię nie wyda złym

duchom. — Ale i Jemu ciężar jakiś serce przyciskać zaczyna.

Jakiż to krzyk uderzył o wnętrzne sklepienia i rozbił się aż na filarach portyku? — Śpieszą niewolnicy w głębie pałacowe do komnaty Pana. — Tam na porfirowem łożu rozciągnięta kapłanka, a wódz Grecki stoi u węzgłowia z pochyloną głową i depce czarę, na której brzegach ostatnie krople się sączą. — Oni spuścili oczy, słuchają, czekają, a kiedy się odwrócił, zadrżeli wszyscy — bo pierwszy raz w życiu boleść wyższa nad siły rysy mu kaziła — odwrócił się — wskazał, by mu syna przyprowadzić i córkę.

»Grimhildo! teraz Ja twego Pana wyzywam! — Tam, gdzie wśród bohatyrów krew pije na najwyższym tronie pałacu swego, tam niechaj dójdzie przekleństwo Amfilocha Greka — o żono! nie opuszczaj mnie — daremno — daremno — kilka kropel tylko zostało — cały puhar trucizny wrze w piersiach twoich, o Grimhildo moja!«

Podniosła się i bladą była, jak posąg na sarkofagu: »Widziałam go po trzykroć w nocy — szedł z Walhalli podobny do czarnego oceanu i wołał na mnie: o kapłanko moja«.

»Nad śpiącym Irydionem, nad śpiącą Elsinoe zawiesił ramiona ciężkim odziane żelazem i groził im w potędze swojej — przeklinał ich życie ziemskie, jeśli nie pójdę do Niego«.

»Na czas tylko byłam twoją. — Tam, pod jego stopami leży nóż ofiarniczy i zasłona czarna, wieniec pogrzebny kapłanek. — Ty go złożysz przy mnie, ty mi ją rzucisz na skronie po śmierci« —

I schodzi ku niemu po stopniach z marmuru — kibić wyniosła podana naprzód, śnieżne ręce wyciągnięte, drżące, jak gdyby cienie śmierci rozgarnąć chciała, a fałdy szaty białej wloką się za jej stopami. — Zeszła, na mężu się oparła — on ją opasał ramieniem i ku przybytkowi stąpać zaczynają. — On idzie krok za krokiem, walczy z nieznaną

potęgą, zatrzymał się i wzrok cisnął ku niebu, jakim Prometeusz ze skały, Laokoon z nadbrzeżów morza wyrzucał Bogom nędzę tej ziemi; ale do jęków się nie zniża, milczy i znów idzie dalej — Przeznaczenie ich obojga porywa za sobą.

Wzrok Jej zlał się wtedy ostatni raz na głowę twoją, Irydionie — u stóp Odyna żegnała cię imieniem dziadowskim »Sigurdzie, bądź mi kiedyś postrachem dumnych — Elsinoe, duch mój będzie zawżdy z tobą — pamiętajcie o ziemi potoków i o Bogu moim — o dzieci moje, ja dla was umieram«. — Usta jej zbielały — sine cienie łamią się po twarzy i naprzemian to woła, to odpiera was od zatrutego łona.

Nagle myśl Jej porzuci przytomnych i wraca w inne strony i czasy. — Tam ojciec duma stary — tam ją królowie morza przeklinają — wyciągnęła rękę — umierając prorokować będzie: »Bracia moi, do boju — na siedmiu wzgórzach namioty wasze — na szczycie Kapitolu biesiada wasza — a tam nizko, w dole, zgrzyta i płacze w łańcuchy spętana, zdeptana Roma, Roma, Roma« —

I upadła przed Bogiem swoim. — Amfiloch podniósł ją w objęcia — chciała ramieniem obwiązać mu szyję — opadło ramie. — Sama na wznak się chyli, włosy jej zlewają się na dół coraz niżej i niżej, aż z Jego rąk drętwiejących na marmur stoczyło się ciało. —

Przykląkł i czarną zasłonę, wieniec pogrzebny kapłanek, złożył na Jej czole — potem wstaje w dzikim obłąkaniu i woła: »Gdzie topór z Chersonezu Cymbrów, niewolniki?« — podali mu go drżące niewolniki — on go wziął, ścisnął i zbierając wszystkie siły śmiertelne przeciw nieśmiertelnym, stąpa ku posągowi. — Żelazo podniósł, trzy razy błyskawicę ważył ponad głową, a za czwartym razem obalił Boga, wroga swego, i zdeptał w milczeniu rozpaczy! —

Taki ród twój, taka przeszłość twoja, potomku Filopemena, wnuku króla mężów, senny Irydionie! — a teraz

Ojciec twój porzucił dom przodków na Chiarze i z urną Grymhildy płynie ku Rzymowi. — On stracił tę, którą kochał — osiądzie więc pośród wrogów i przynajmniej pełnem sercem nienawidzieć będzie, a dzień przepowiedziany, dzień zniszczenia, nadciągnie tymczasem! —

PIERWSZA CZĘŚĆ.

Sala w pałacu Irydiona w Rzymie. — Z obu stron rzędy kolumn ginące w głębi — pośrodku fontana i kadzidła, palące się w trójnogach — Irydion pod posągiem ojca swego — Niewolniki zapalają światła w lampach z alabastru. —

PIERWSZY NIEWOLNIK. Syn Amfilocha oparł głowę o nogi umarłego —

DRUGI NIEWOLNIK. O zimne stopy z marmuru i zasnął —

TRZECI NIEWOLNIK. A tymczasem w Gineceum siostra Jego, pani nasza, mdleje i płacze —

CZWARTY NIEWOLNIK. Przez Polluxa, słyszałem z ust pewnych, że porwą ją dziś wieczorem murzyny Heliogabala.

PIERWSZY NIEWOLNIK. Pokój Jemu — wychodźmy, bracia, wychodźmy. — *(przechodzą)*

IRYDION. Przesunęli się jak cienie, szanując spokój ducha mojego. — O Ojcze, dla nich i dla wszystkich dotąd we śnie leżę — ty jeden wiesz, że ja czuwam. *(wstaje i idzie do tarczy bronzowej, na której puginał zawieszony)* Zmierzch zapada, godzina już blizka. — Oni przyjdą zaraz — w podobną godzinę stary Brutus musiał własnych synów zabijać. — *(uderza o tarczę)* Elsinoe — Elsinoe —!

Ot! idzie ku mnie jak widmo nieszczęścia — wieniec cyprysowy włożyła na skronie — matka Jej niegdyś tak stąpała pod gniewem Odyna. —

ELSINOE *(wchodząc)*. Czy już przybyli służalcy, czy już zaszedł rydwan przeklętego!

IRYDION. Nie jeszcze — ale chciałem raz ostatni cię natchnąć duchem ojca mego —

ELSINOE. O Bracie...

IRYDION. Wiesz sama, że Cezar nalega w szale — że senat przezwał cię już Boską i posągi twoje stawiać rozkazał po świątyniach miasta — wiesz sama, żeś nie siostra moja, żeś ty nie jasnowłosa Elsinoe, nadzieja domu rodzinnego, pieszczota serca mego — Tyś ofiarą naznaczoną za cierpienia wielu i za hańbę ojców twoich!

ELSINOE. Tak — uczyliście mnie tego od dzieciństwa i gotowa jestem. — Ale jeszcze nie dzisiaj, nie jutro — trochę później, aż sił nabiorę, aż nasłucham się nauk Masinissy i rozkazów twoich — aż do dna puhar waszej trucizny wypiję! —

IRYDION. Wybrana, gotuj się do losów twoich. — Śpieszno nam po drodze, na której stąpamy. —

ELSINOE. Przypomnij sobie, kiedyśmy igrali na trawnikach Chiary, jam cię tak kochała, o bracie, jam zawsze skronie twoje różami wieńczyła i mirtem — Oh! zmiłuj się nade mną! —

IRYDION. Niewiasto, ty mnie kusisz do litości — daremno, daremno!

ELSINOE. Na co próśb i żalów tyle. — Zdarzało się za dawnych czasów, że można było śmiercią odkupić się ludziom i Bogom — patrz — tam błyszczy twój sztylet, Irydionie — przyśpieszmy sobie nicość, Irydionie!

IRYDION. Bluźnisz myślom ojca mego. — Trza żyć i cierpieć, by wielki Duch Amfilocha rozradował się pośród cieniów — o siostro, dawniej dla zbawienia narodów dosyć było życia jednego człowieka — dziś inne czasy — dziś cześć poświęcić trzeba! *(Obejmuje ją ramieniem)* Dziś w róże się uwieńczysz, w uśmiechy się wystroisz — o biedna, złóż tu głowę skazaną — ostatni raz w domu

ojcowskim brat cię przyciska do łona. — Żegnaj mi w całej urodzie świeżości dziewiczej — już ja ciebie nie ujrzę młodą — nigdy, nigdy już! — On cię przepsuje tchnieniem zatrutem, on... ale on zginie, czy ty rozumiesz siostro? on zginie wraz z całem państwem swojem!

ELSINOE. Teraz na twojej piersi, o bracie, a za chwil kilka na czyjej?

IRYDION. Te filary drżą na podstawach swoich, plamy jakieś czarne biegają między niemi. — Bogi, nie dajcie mi upaść u wejścia do areny — Masinisso, przybywaj! —

GŁOS Z ZA FILARÓW. Kto się waha, ten urodził się do słów, nie do czynów. — Śmiechem go witać i śmiechem go żegnać będę — *(wchodzi Masinissa)* posłanniki Cezara już idą ku twojemu pałacowi. —

IRYDION. Ty, na którego czole napisano słowo — potęga — ty, co stoisz nad grobem tak wyniosły, jak za dni twojej młodości, natchnij mnie siłą w tej wyrocznej chwili!

MASINISSA. Gdzie dziewice wybrane — gdzie wieniec z kwiatów dla oblubienicy Cezara? *(zrzuca cyprysy z głowy Elsinoi)* Dziś zaczyna się dzieło nasze!

(Z głębi sali wchodzą służebnice z drogiemi szaty)

CHÓR SŁUŻEBNIC. Jaką była Afrodyta wstając z błękitnego Oceanu, pośród tęcz piany morskiej, pośród woni Zefirów, taką ty będziesz — niesiemy ci róże, kadzidła i perły!

IRYDION. Weź jej ramie, starcze. *(prowadzi siostrę pod posąg Amfilocha)* Słuchaj mnie, niewiasto, jak gdybym umierał, jak gdybyś już głosu mego nigdy usłyszeć nie miała —

Wejdziesz w progi nienawistne, będziesz żyła wśród przeklętych, ciało twoje oddasz synowi sprośności — ale duch twój niech czystym i wolnym zostanie — osłoń go tajemnicą, uczyń go niedostępnym, jako niegdyś był przybytek, w którym matka nasza prorokowała!

ELSINOE. Biada, biada sierocie!

IRYDION. Nie daj nigdy Cezarowi zasnąć na piersi twojej — niechaj wszędzie słyszy pretoryanów wołających do broni, Patrycyuszów knujących spiski, lud cały walący do bram pałacowych — a to czynić będziesz powoli, dniem po dniu, kroplą po kropli, aż go szałem otoczysz i wyssiesz całe życie z serca Jego. — Teraz powstań — zbliż głowę *(kładzie ręce na jej włosach)* — poczęta w pragnieniu zemsty, wzrosła w nadziei zemsty, przeznaczona niesławie i zagubie, poświęcam cię Bogom Manom Amfilocha Greka!

ELSINOE. Głosy Erebu odzywają się zewsząd — o matko moja!

CHÓR NIEWIAST *(otaczając ją)*. Czemu drżą członki twoje pod śnieżną zasłoną, pod wstęgami z purpury, któremi obwiązujem ci piersi? — czemu bledniesz pod wieńcem, który splotliśmy dla ozdoby czoła twojego?

IRYDION. Patrz — mdleje nieszczęśliwa!

MASINISSA. Nie — ona żyć zaczyna, jako żyć jej trzeba. — Czy widzisz, jak te usta spienione pracują?

ELSINOE. Rzucam próg ojcowski, Bogów domowych nie wynoszę z sobą, wieniec mój święty, nieskażony, cisnęłam między popioły rodzinnego ogniska. — Ojciec mnie skazał, brat mnie skazał. — O, ja nie wrócę nigdy, ja idę na mękę i długą żałobę!

Matko! do Odyna w prośby za córą twoją! — Śpiesz się, matko — nie proś o długie życie. — Natchnienia, tylko natchnienia! Dzieci śmiertelnych pierś moja nigdy nie wyda, ale przyszłość poczynać się będzie w mem łonie!

Roma zaufa miłości mojej — Roma zaśnie w objęciach moich!

(Eutychian wchodzi na czele Etyopów niosących dary)

EUTYCHIAN. Trzy razy święty, po trzykroć fortunny Imperator, Cezar i August i Kapłan najwyższy i Trybun i Konsul, przysyła synowi Amfilocha pozdrowienie, a boskiej siostrze Jego sto konch purpurowych, sto kubków ametystowych...

ELSINOE. Natchnienia, natchnienia wśród męczarni!

IRYDION. Stało się! — *(chwyta ją za ramię i prowadzi do Eutychiana)* Masz jasnowłosą.

EUTYCHIAN. Rydwan z kości słoniowej czeka na córę szczęścia! —

IRYDION. Pięćdziesięciu Gladyatorów moich daruję Cezarowi — ona lubiła patrzeć na ich gonitwy — Idźcie — oni pośpieszą za wami. — *(uderza w tarczę — orszak niewiast i Etyopów wychodzi z Elsinoą)*

CHÓR GLADYATORÓW *(w głębi)*. Czy natrzeć na zwierza, czy wroga obalić, czy twoją siostrę obronić? *(wchodzą)*

IRYDION. Bracia Grecy i Barbarzyńcy, wykupieni przeze mnie z paszczy ludu Rzymskiego! — bądźcie mi wiernemi aż do dnia łupów!

CHÓR GLADYATORÓW. Dopóki nie ugrzęzną ciała nasze w mule z krwi i piasku, sprężyste, nagie, gibkie ciała nasze!

IRYDION. Słyszycie jeszcze ich kroki i głosy — w ślady za niemi — krótkim mieczom waszym powierzam głowę Elsinoi; a kiedy staniecie w obliczu Imperatora, głęboki pokłon oddajcie nowemu panu!

CHÓR GLADYATORÓW. Niech zginie — niech zginie przed czasem! *(przechodzą)*

IRYDION. Stare gnębiciele świata — zdziercy Hellady — syny fałszu i wiarołomstwa, poświęciłem wam nietkniętą dziewicę. — Nieśmiertelne Bogi, gdziekolwiek jesteście, wysłuchajcie prośbę moją — niech ona będzie przedostatnią ofiarą, wydaną na pastwę Rzymowi, a ja z tylu nieszczęśliwych, wybranych po wszystkich stronach ziemi, wydartych groźbą i mękami, zapomnianych po mękach i zgonie, niechaj będę ostatnią!

MASINISSA. Sigurdzie!

IRYDION. Nie nazywaj mnie takiem imieniem — lub daj mi Królów morza, otocz mnie ludem dziada mojego, a z purpury Cezarów nici jednej nie zostanie! — Ale droga moja wytknięta wśród ciemności — gdziekolwiek wytężę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo, ruchome jak węże, i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia!

MASINISSA. W nędzach i miernościach ludzkich niechaj będzie twoja nadzieja i wiara, bo Los postawił cię u bram walącego się miasta — otoczył cię wiekiem przesilenia i zgrzybiałości, którego sam częścią nie jesteś — na skargi będzie czas kiedyś, później kiedyś... kiedyś...

IRYDION. Ah! hańba tym Nazareńczykom, co wolą ginąć jak bydło, niźli bić się jak męże — oni, oni to mnie wstrzymują!

MASINISSA. Aleksyan, syn Mammei, codzień do nich zstępuje i naradza się z pierwszemi Kapłany. — Jeśli go nie uprzedzisz, on szalę przeważy, on zmiecie Heliogabala, on swoje państwo nazareńskiem uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków!

IRYDION. Nie — przez Thora, Ja mu przyrzekam, że nie będzie Cezarem!

MASINISSA. W katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie. — Idź — znamię ich na twoich piersiach, woda ich na twojem czole, niech tajemnice ich w twoich ustach będą. — Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga nie zemszczonego dotąd. — Gdzie Jego ołtarze, gdzie Jego chwała na powierzchni ziemi? — A kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o, wtedy, synu mój, Duch mój będzie z tobą! *(Zbliża się i opiera się na jego ramieniu)*

Czy pamiętasz noc, w której Ojciec twój umierając wołał: »Masinisso, powierzam ci syna i myśl moją«. — Ja wtedy nachyliwszy się nad nim, jak teraz nachylam się nad tobą: »O Hermesie, tam, wśród cieniów, do których zstępujesz, zapytaj się o Masinissę, a one ci odpowiedzą: on nigdy nie opuszcza, komu przyrzekł towarzyszyć do końca!

»O Hermesie, duchy nasze trójcą połączone i nic ich rozerwać nie zdoła«. —

IRYDION. To się działo o podobnej godzinie — tylko, że Elsinoe była przy mnie i płakała w moich objęciach! —

MASINISSA. Dziś to samo powtarzam. — Wierz i ufaj do końca — razem na ziemi — razem przed zgonem i po zgonie Rzymu — o dziecie moje wybrane, nie rozłączymy się nigdy, nigdy...

IRYDION. Z twojej wyschłej piersi nurty siły płyną. — Daj rękę, Starcze. — Tak, razem przed zgonem i po zgonie Rzymu! *(pada na krzesło przed posągiem)*

To się działo o podobnej godzinie. — Wzrok umierającego płonął, jak wschodząca gwiazda — wtedy przysiągłem... Czy słyszysz te wściekłe okrzyki? — Cezar rozdał ludowi puginały i sesterce, a lud się raduje z roskoszy Cezara! — *(Togę zarzuca na głowę)*

Zostaw mnie sam na sam z piekłem serca mego!

* * *

Świątynia w lochach pod Kapitolem — Olbrzymi posąg Mitry w głębi — słychać oddalającą się muzykę — wychodzą kapłani i wieszczbiarze — Heliogabal w szatach Arcykapłana i Elsinoe się zostają.

HELIOGABAL. Widziałaś moją potęgę, jasnowłosa Greczynko. — Rozmawiałem z Bogiem światła i Geniuszami nocy, a pierwsi kapłani wschodu dziwili się moim słowom i ofierze —

ELSINOE. W pogardzie u córy lodów miękkie, rozwiązłe Bogi, w dymach kadzidłowych tonące, dźwiękami fletów obwiane, oblane krwią trwożliwych jeleni lub niemowląt — i słońce dyamentowe, co na twoich piersiach

jedwabnych połyska, nie wyrówna słońcu ponad śniegami północy. —

HELIOGABAL. Żmijo, którą kocham, czegóż żądasz więcej?

ELSINOE. Gdzie Odyn, Pan matki mojej, kuty ze stali i dębu, na dżdże, szrony i wichry spokojny, niewzruszony, z czarą, w której krew bohatyrów się pieni — od południa skały ścielą mu się w poręcze Tronu i on oparty o skały patrzy na morze północy, które szybami lodu u stóp Jego pryska. *(podnosi wieniec hyacyntów i rzuca na Heliogabala)* Zwiędłe kwiaty, idźcie do mdłego kwiecia — ale córa kapłanki Cymbrów nie dotknie się puchu. *(odchodzi)*

HELIOGABAL. Zostań się, przez tajemnice Baala, zostań się, nimfo. — Jam Arcykapłan, jam piękny, jam Apollo Delijski — niegdyś Legia cała okrzyknęła mnie Cezarem dla gładkości liców moich. — Nimfo, zostań, rozkazuję tobie. — Jam August, Antonin, Aurelius, pan Rzymu, Afryki, Indyi. — Czego milczysz? czemu spojrzenia twoje tak zimne i przebijające? Obsypałem cię zausznikami, naramiennikami, purpurą, drogiemi szafiry, zastawiłem ci biesiady, o jakich nie marzyło się kochankom Sardanapala, stu lwów zagryzło się wczoraj przed tobą — wygnałem wszystkie nałożnice, a ty zawsze jak marmur nieugięty, połyskujący i mroźny!

ELSINOE. Przeszkadzasz mi, przeszkadzasz, dziecino karmiona móżdżkami ptasząt. — Byłam wśród Walhalli, wśród naddziadów moich siedzących na tronach, każdy z trumną wroga pod stopami — gwar słów twoich przerwał myśli moje dalekie — niepojęte. — Co ty chcesz? — czego pragniesz ode mnie? pora już późna. — Bogów moich najlepiej mi wzywać o takiej porze. — Żegnam cię, Auguście — Cezarze — Aureliuszu...

HELIOGABAL. Jasnowłosa, najurodziwsza, najkształtniejsza, zaklinam cię, błagam ciebie, patrz, jak drżę cały, jak umieram przed tobą — Bogi i Boginie! — w całej Azyi

takiej głowy, takiego łona, takich oczów lazurowych żaden z was nie stworzył! —

ELSINOE. Ciszej — tam głos matki mojej wśród wichrów się przedziera!

HELIOGABAL. Położę się na stopniach ołtarza i całować będę palce białych nóg twoich. *(zbliża się do niej)*

ELSINOE. Na mnie trza żelaznych ramion i ust brzmiących pieśnią straszną, pieśnią bitew. — Idź do Pretoryanów, sługo Pretoryanów!

HELIOGABAL *(padając przed ołtarzem)*. Przeklęta, Ty zginiesz zawcześnie — przed całym ludem każę cię rozbić na krzyżu! — O urodziwa! — słuchaj. — Jeśli ci nie dosyć Cezara, dam ci Mitrę. — Każę cię ogłosić Mitry kochanką. — Ja wszystko mogę. —

Chwilę jeszcze bądź przy mnie — lepiej mi, kiedy stoisz choć z daleka. — Ja biedny, ja tak młody, a już otoczony spiskami i śmiercią. — Nudno mi, nudno i wszystkie strony świata nic mi nie pomogą. — Krew ludzi i zwierząt, woń kadzideł i kwiatów nie służy już Heliogabalowi. — Czy słyszysz? Czy chcesz, bym skonał z wściekłości? — Nimfo — Elsinoe! — Tu razem, obok siebie, z dłonią w dłoni, skronie oparłszy o skronie, zaśnijmy! —

ELSINOE. Tak — śpij, dopóki nie przyjdzie Centuryon i nie zamorduje Cezara. — Nieszczęśliwy, powiedz mi, gdzie zbroja twoja? Nieszczęśliwy, temi palcami z wosku ty rękojeści miecza utrzymać nie potrafisz! — Czekaj. — Ja pójdę i Bogów moich się zapytam, czy został jeszcze ratunek dla ciebie. — *(wychodzi)*

HELIOGABAL. Na pomoc Imperatorowi, na pomoc! — *(wchodzą wieszczbiarze, kapłany, Eutychian)*

CHÓR KAPŁANÓW. Co się stało synowi słońca, panu tajemnic i ofiary? Usta Jego pianą zroszone, gwiazda przepychu pękła na Jego piersiach — a wzrok w obłędach swoich, w kołowaniach swoich zda się żądać rozkoszy, to znów słabieje i zda się żąda snu wiecznego.

HELIOGABAL. Furye rozdzierają członki moje. — Ja wiem, ja wiem...

EUTYCHIAN. *Evoe Bacche!* Uczeń mój piany na wzór ciebie, kiedyś Indye po pianemu zdobywał. —

HELIOGABAL. Aleksyan przytknie mi stal zimną do szyi: »daj gardło, Cezarze!« — Brońcie mnie — każdemu z was dziesięć Talentów. —

EUTYCHIAN. Sam pierwszy za dziesięć Talentów przebiję Cezara. —

HELIOGABAL. Litości nade mną! — Słońce mścić się będzie nad wami. —

CHÓR. Powstań, boski Cezarze. — Tyś naszym panem i ziemia cała poddana woli twojej. — Bogi nieprzyjazne, zazdroszcząc ci chwały, trapią cię zgubnem widzeniem — ale ta mara się rozpłynie w ogniu wiekuistym, w świetle przenajczystszym Mitry, jak fala mętna w oceanu lazurach, jak ciało Semeli w potędze Jowisza!

HELIOGABAL *(podnosząc się).* Podajcie mi ręce, niewolniki — kto was tu sprowadził? — Ja chcę, by ona weszła do łoża mego — czy słyszycie? by ciało jej drżało w moich ramionach — inaczej wszyscy, ile was tu stoi przede mną, zginiecie pod kłami Lampartów!

EUTYCHIAN. *Me hercule!* Jam na Lwa zasłużył. —

HELIOGABAL. Milcz — dziś żartów nie chcę — gdzie ona? —

CHÓR. Jej postać wschodzi z pośród ciemności — Jej Bóg cudzy walczy z naszym Bogiem!

HELIOGABAL. Milczcie — słuchajcie. —

ELSINOE *(w głębi na głazie Hieroglifami okrytym).* Pytałam się ich wszystkich. — Oni zrazu milczeli siedząc na tronach swoich, każdy, jak zasnął po odbytej biesiadzie. —

Pytałam się ich wszystkich. — Jednego czarna zbroja chrzęsła. Jeden tylko się przebudził i wzniósł niedopitą czarę ku ustom spokojnym. —

Pytałam się ich wszystkich — a tam, gdzie czara ust

się dotknęła, kropla krwi się wyśliznie i lecąc przez niebiosa spada mi na czoło. —

HELIOGABAL. Mów, boska moja! — wszak jeszczem nie potępiony — wszak nie zginę przed czasem? —

ELSINOE. Wszyscy na kolana. — Wyrok Bogów grzmi w duszy mojej. —

HELIOGABAL *(przyklękając).* Przebacz, wielki Mitro.

EUTYCHIAN *(przyklękając).* Dobranoc, wielki Mitro. —

CHÓR *(przyklękając).* Niech przepadnie cudzoziemka, święty, potrójny, szybkolotny Mitro!

ELSINOE. Wtedy ujrzałam na ziemskich równinach męża zbrojnego w żelazo i zgrozę. — Czoło jego było spokojne, jak powierzchnia wód głębokich — w prawicy jaśniał miecz zwycięstwa. —

Poznałam — nie zrozumiałam — nie ufałam sobie. — Ale imie Jego powtórzyły wichry nocne i głos zleciał od szczytów Walhalli: »On zbawi Cezara« —

HELIOGABAL. Imie, imie?

ELSINOE. Sigurd, syn Kapłanki. — *(schodzi z głazu i zbliża się do Heliogabala)* Nie tarzaj się więcej w prochu — powstań, a wy oddalcie się wszyscy! — *(wychodzą)*

Nędzny! gdyby ci przyszło wsiąść na kark bałwanom i jeździć po nich, jak na koniu bez wędzidła — żebyś musiał leżeć na śniegu otoczony stadami kruków i całą noc patrzeć w lodowate oko księżyca — biedny ty z purpurą twoją i Bogami twemi! Ale nie drżyj, nie rozpaczaj, bo cię wyrwie z toni syn Amfilocha Greka!

HELIOGABAL. Kto? brat twój — Irydion — prawda! czarna jego zrzenica dziwne sieje połyski. — O, gdyby ten lud cały nosił jedną głowę tylko, którąby zwalić można jednem cięciem! Wtedy jabym zasnął na twoich piersiach, zasnął spokojnie! Irydion Amfilochides! —

On będzie moim dobrym Geniuszem — powtórz raz jeszcze!

ELSINOE. Daj rękę, dziecię, i nie lękaj się, dopóki moje Bogi czuwają nad Tobą. *(wyprowadza go)*

* * *

Inna część pałacu Cezarów — Peristyl — W środku jego przed ołtarzem ofiary siedzi Mammea — Aleksander Severus przed nią — W głębi przysionek oddzielony ciasnem przejściem.

MAMMEA. Kilka razy widzieli łzy w jego oczach, ale nikt nigdy nie dostrzegł uśmiechu na jego twarzy — rysami, mówią, że przypominał Platona, tylko, że coś surowszego panowało mu z czoła. — Podania najsroższych nawet nieprzyjaciół jego w tem się zgadzają. —

ALEKSANDER. Codzień bardziej serce moje lgnie do jego nauki. —

MAMMEA. Wierz słowom moim — w niej jedyna mądrość na ziemi i jedyna nadzieja po zgonie. —

(Ulpianus ukazuje się w przysionku)

(wstając) Toś ty, Domicyanie?

ALEKSANDER. On sam, mój Domicyanus, najukochańszy z ludzi, mistrz mojego dzieciństwa! *(idzie i rzuca się w jego objęcia)*

ULPIANUS. Bądź dobrej myśli — i ty Augusto, bo fortunne przynoszę wam wieści. —

MAMMEA. Ah! jakże długo milczałeś! jakich smutnych przeczuciów nabawiłeś mnie! — chwała nieśmiertelnym Bogom, że się nie ziściły. —

ULPIANUS. Nie odpisywałem z Antyochii, bo lękałem się, żeby kto moich listów nie przejął. — Im dzieło bliższe celu, tem ciszej pielęgnować je trzeba, a nasze już wkrótce pono dojdzie upragnionego końca!

MAMMEA. Mów, mów —

ULPIANUS *(obzierając się)*. Czy te ściany głuche i nieme?

ALEKSANDER. Nuż śmiało patrz — ja głośno wołam, że pod tem jarzmem krótkie życie mi już obmierzło. — Wczoraj jeszcze karzeł Imperatora, ten garbaty Roboam, przyniósł mi kosz pełen zatrutych owoców, który odepchnąłem nogą!

ULPIANUS. Nie unoś się, Aleksyanie — jeszcze cierpliwość niech panuje w tobie — skromność niech ci z oczu wyziera lękliwie i wrogi twoje niech cię nazwą dzieckiem.

Pokojem myśli i powagą ciała dzieją się wielkie czyny. — Cóżby z tego wynikło, gdybym był wpadł do Antyochii, do Laodycei, do Efezu, do Smirny i zaczął wołać o pomstę, świadcząc się Bogami, że Heliogabal tronu i życia nie godzien? — byłem ja tam wszędzie, ale milczącem okiem obejrzałem naprzód tłumy ludu i kohorty Legionów. Każdego skargi wysłuchałem napozór obojętnem uchem, a dopiero, kiedym się przekonał, że dojrzewa ziarno nienawiści, że wszyscy równie pragną zmiany, rzekłem w sobie: »Czas nadszedł. — Iskra rzucona, pożar w całej Azyi wznieci« i z Trybunami, z Kwestorami, z Pretorami tu i owdzie rozmawiając, tu i owdzie zawierając ugody, tym ukazałem zyski, innym wyższe urzęda, każdemu z twojego wyniesienia poczyniłem cel i nadzieję zgodną z jego własnemi chęciami. — Wtem nadeszła wiadomość, że cię brat mianował Konsulem Cezarem — przeczuwając, że w tej łasce czarny podstęp ukryty, natychmiast przybiegłem do Rzymu i w imieniu Legionów przynoszę ci obietnicę świetniejszego losu. — Dozwól tylko czasowi jeszcze nieco upłynąć, a uderzy o brzeg naszego zbawienia! —

ALEKSANDER. Czemuż odkładać do jutra? —

ULPIANUS. Bo w Rzymie Imperator otoczony ludem, który go za Naumachie kocha i Pretoryanami, którzy czczą w nim rozrzutności Boga. — Wiem ja wprawdzie, że lud kocha Cezara, dopóki go nie zamorduje — wiem także, że Pretoryanie, obozujący za miastem, oddawna sprzyjają naszym zamiarom. —

ALEKSANDER. Trybun Arystommachus kazał mi oznajmić dzisiaj jeszcze, że w każdej chwili gotów odważyć życie za mnie i Mammeę —

ULPIANUS. Arystommachus jedyny w godzinie wybuchu — ale przedtem niechaj milczy, jeśli może, bo tę jedyną tylko przysługę nam wyświadczyć zdoła. — Są tam inni, rozważniejsi i sprawniejsi od niego. — A straży pałacowej, a żołnierzy, rozsypanych w mieście, czyż za nic nie liczysz? czy nie wiesz, że codzień kąpią się w łaskach Cezara? — Aleksyanie, i wschód cały jeszcze nie do nas należy. — Syryjczycy nie zapomnieli, że znali Heliogabala dzieckiem w Emezie — później arcykapłanem w świątyni słońca. — Zresztą pamiętaj: że ten, który włada, samem imieniem władcy stoi długo jeszcze, choć podpory jego mocy spróchniały — u ludzi marne słowo jest także potęgą!

MAMMEA. Nie zaprzeczam prawdy słów twoich, ale śpiesz się, o ile możesz, bo stoimy nad grobem, otoczeni nasłannikami jego szaleństwa i złości — w każdej chwili na tych licach roztoczyć się mogą znaki trucizny — i biedne to dziecie moje, chwała moja, przyszłość moja przyjdzie głowę pochylić i skonać na łonie matki! —

ULPIANUS. Dziś jeszcze będę w namiocie Arystommacha i u Lucyusza Tubero. *(zbliża się do Aleksandra)* Następco Augusta nie lękaj się, by parka dni twoje przecięła, nim dostąpisz władzy na ludźmi — nie — Bogi zmiłują się nad tem miastem znękanem — ale kiedy ją osiągniesz, strzeż się jadu ukrytego w tunice Deianiry — w purpurze Cezarów!

MAMMEA. Czyż nie wiesz, że w synu moim ostatnia nadzieja i ostatnia chluba Rzymu? Z myśli Platona, z słów Chrystusa uczyłam go miłości ludzi — on znieważonym i uciśnionym poda rękę brata! —

ULPIANUS. Ale niech wie zarazem, że niesfornych wygubić trzeba — po wszystkich targach Azyi widziałem

rzymskich rycerzy pobratanych z wyzwoleńcami. — Tam w krzesłach kurulnych rządzą światem, łokieć i szalę trzymając w dłoniach — stamtąd rozsyłają gońców z udanemi wieści, by się ceny wznosiły lub zniżały — tam konfiskują dobra, a odwołujących się do senatu wtrącają w czarne lochy lub przybijają do krzyża — widziałem — i w zgrozie odwróciłem oczy! —

ALEKSANDER. Potomki wielkich Konsulów, Dyktatorów!

ULPIANUS. Ich okrucieństwa dziś nam wiernie posłużą. — Po nich, jak po szczeblach, ja cię do tronu powiodę — ale kiedy na nim zasiądziesz, niech te schody runą w otchłań nogą twoją zrzucone — a na to trza więcej, niż nauk Chrystusa!

ALEKSANDER. Znam trudy, które mi się dostały w udziele — nocy schodzą mi na rozpamiętywaniu czynów Dackiego Trajana — albo mu wyrównam, albo zginę młody!

ULPIANUS. Aleksyanie, wspomnij także na Rzeczpospolitą i tam przypatrz się mężom, którzy w togach chadzali. — Ah! cóż nam zostało z ich świętych przykładów — gdzie lud rzymski, którego prawa brzmią mi dźwięczniej, niż pieśni Homera, niż marzenia Platona? Kto dziś obaczy w tem mieście twarz bez skazy, kto usłyszy śmiech szczerego wesela? Wszystkie czoła przyprószone siwizną bez czynów — marną starością strachu lub znudzenia! Wróżbiarze, sofisty, śpiewacy, tancerki zalegają Forum — i wieki już przeszły od dnia, w którym Julius pchnął konia w bród Rubikonu. Wstecz niepodobna się wrócić. — Za dni Kassiusza już za późno było. — Bogów tylko prośmy o Pana, w którego prawicy odmłodnieje państwo, choćby miasto różdżki oliwnej zabłysnąć w niej miało — żelazo Liktorów!

MAMMEA. Znałam na wschodzie ludzi posępnych i świętych — oni mówili, że nadchodzą czasy i lepsze i nowe, że po tylu nędzach zjawi się Cezar, który uzna ich Boga!

ULPIANUS. Nazareńczycy! — Augusto, strawiłem życia

na myśleniu o rzeczach boskich i ludzkich i nie dbam o te krety, nurtujące starą ziemię naszą!

MAMMEA. Z ślepego przesądu nie otrząsłeś się jeszcze. —

ULPIANUS. Jowiszu kapitoliński, nie słuchaj jej słów bezbożnych. — Jam stary Rzymianin. — Jam wyrósł wśród pamiątek wolności i chwały, choć ich za dni życia mego już nie było na ziemi. — Państwo chylące się do upadku wydało tych mdłych gorszycieli, ale za naprawą jego musi nastąpić ich zguba! *(chwytając Aleksandra za rękę)* Tem tylko, czem wzrosło, odbudujesz miasto — nieugiętem męstwem i tajemniczemi obrzędami naddziadów. — Wszystko inne niech przepada, cudze Bogi i ludzie cudzy! —

ALEKSANDER. Matka moja poważa chrześcijan, bo w ich przepisach ukryte są skarby stałości i cnoty — patrz, Domicyanie, na oczy jej zroszone łzami — ona lubi chrześcijan, bo oni mi sprzyjają. —

ULPIANUS. Użyj ich więc za narzędzie, które skruszysz potem. — To moje ostatnie słowo o nich. *(słychać muzykę)* Flety syryjskie! — Może Arcykapłan Mitry przychodzi odwiedzić kochanego brata. —

MAMMEA. Nie. — On codzień o tej samej porze schodzi do ogrodów Palatynu z kochanką. —

ULPIANUS. Słyszałem o tej Greczynce wiele zawiłych powieści na wschodzie — przybyli z Rzymu twierdzili, że brat długo się przypodchlebiał, a potem niecnie ją przedał Cezarowi. —

MAMMEA. I wierzyłeś temu? —

ULPIANUS. Włosy moje siwe oddawna przestały dziwić się podłości, choć jej może czarne dotąd nie pojmują. —

MAMMEA. Ale pamiętasz Amfilocha, od kiedy przypłynął za dni jeszcze wielkiego Septyma na Italskie brzegi — widziałeś zawsze godność niezrównaną w postawie i słowach jego — czy na dworze, czy w własnym pałacu, on zawsze wyglądał, gdyby drugi Cezar w Rzymie! —

ULPIANUS. Prawda — ale pamiątka jego wyniosłości mało tu znaczy, bo najczęściej syny wielkich ojców czołgają się poziomo w hańbie znikczemnienia. — Niech mi lud i senat rzymski odpowiedzą! —

ALEKSANDER. I moje też słowo nie stanie na świadectwo przeciwko Grekowi — choć nigdy nie znać młodzieńczej otwartości na jego bladych rysach, jednak coś szlachetnego żyje w całej jego postaci — nie wiem, co drzemie w głębi tego serca — wiem tylko, że tam ni strachu ni uniżenia niemasz! —

ULPIANUS. Jakże więc wytłómaczyć to, co się stało?

ALEKSANDER. Ślepem zrządzeniem nieubłaganej konieczności — kilka razy Imperator spotkał Irydiona, idącego z Elsinoą. — Kilka razy do cyrku Flaviana razem przybyły ich rydwany. — Sam wtedy widziałem, jak zaraz bratu mojemu nabrzmiały żyły po skroniach i jak złote lejce, któremi lwów swoich kierował, z dłoni wypuścił. — I, przez niebieską Wenus! wszyscy, którzy tam stali, pożerali ją także wzrokiem, bo piękniejszej nie widzieli nigdy!

ULPIANUS. Dawniej, kiedy u ojca bywałem, ona jeszcze greckim obyczajem zamknięta w Gineceum niczyjemu oku widzialną nie była. —

ALEKSANDER. Powiadam ci, że w całym Rzymie takiej drugiej nie znaleźć! — Byłem w sali Narcyssa, kiedy Heliogabal czekał na nią pierwszej nocy porwania — oparty o mnie zgrzytał i szczypał mi ramie, bo wtedy jeszcze dość łaskaw był na mnie. — Ja drżałem z oburzenia i litości, zdawało mi się czasem, że słyszę odgłosy walki — wtem wbiega prefekt pretorium, wiesz, nadworny błazen, Eutychian i do ucha szepnie panu swemu: »Idzie Jasnowłosa«. — Weszły karły i karlice, czarni rzezańce i lidyjscy fletniarze. — »Idzie Jasnowłosa« powtórzył Imperator i skoczył, ale natomiast wstąpił do sali orszak Gladyatorów w ciemnych tunikach — wszyscy nieznajomi

na dworze. Brat mój opuściwszy głowę ugryzł mnie ze strachu, lecz Eutychian z grubym śmiechem oświadczył, że syn Amfilocha tych ludzi darował siostrze i Cezarowi. — Za ich rozstępującemi się rzędami ukazała się dopiero Elsinoe! —

ULPIANUS. Napół zemdlona, niesiona na ręku służebnic?

ALEKSANDER. Nie — owszem, stanęła pośrodku sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, poszanowania nam nie złożyła. — Zrazu miała schyloną głowę, ale wnet podniosła kibić i czoło, wnet spójrzała ognistemi oczyma, gdyby pani nas wszystkich. — Cezar zawołał ją bliżej — ani postąpić, ani odpowiedzieć raczyła — wtedy skinął na nas i wyszliśmy wszyscy!

ULPIANUS. Stara krew Helleńska, w której coś boskiego zostało — a brat, czy bywa u dworu, czy widuje siostrę?

MAMMEA. Słychać, że raz odwiedził Cezara i że długo z nim bawił — zwykle zaś stroni od ludzi, siedzi w pałacu swoim, otoczony niewolnikami i barbarzyńcami, którym dobrodziejstwa sypie.

ULPIANUS. I ojciec niegdyś to samo zwykł czynić. —

MAMMEA. Rozkosz go nie wabi, zbytek nie łudzi — a choć widno, że myśl zacięta go dręczy, umie panować nad sobą i milczeć. —

ULPIANUS. A gdyby ta myśl była żądzą zemsty za krzywdy siostry? — trzeba ufność jego pozyskać — zrazu błędne wskazywać mu cele — wreszcie prawdę z zasłon obnażyć. — Niechaj duma i skarby jego staną się naszemi sługi! — Lecz teraz mówcie, skąd poszło, że potwór tak zokrutniał osiągnąwszy, czego pragnął? — Ta niewiasta wpływ na nim wywarła niepojęty dla mnie!

ALEKSANDER. Eutychian głosi, że ona dotąd nie uległa jemu — a od chwili porwania zamknął się w perystylu Agrypiny i odtąd ustały biesiady pałacowe.

ULPIANUS. Tajemnica nie długo trwać będzie — on ją zamorduje, by spalić na stosie arabskich kadzideł, a na

wystawienie jego wydrze pierwszemu lepszemu życie i dobra, oskarżywszy go wprzód o zbrodnię zelżonego majestatu. — Lecz przed tem sam może —

MAMMEA. Nie, Domicyanie, nie chcę, by zginął śmiercią poprzedników — panowanie mądrości i dobrego nie zacznie się mordem syna siostry mojej — powtarzam ci, że nadchodzą czasy miłosierdzia. — Ty go usuniesz od tronu i każesz zanieść, jak śpiące dziecię, na ziemię wygnania!

ULPIANUS. Na toby trzeba Nazareńczyka. — Niedaleko od tych miejsc Brutus zamordował ojca swego — a ta lekka dusza nie miałaby pójść, kędy poszły stroskane, wielkie cienie pierwszego z Cezarów!

MAMMEA. Biada mi! —

NIEWOLNIK *(wchodząc)*. Irydion, syn Amfilocha, przyszedł powitać Severa, Cezara Konsula, i szlachetną matkę jego! —

ULPIANUS. Zdarzyło się w porę. —

(Irydion wchodzi)

MAMMEA. Czyż zawsze z posępnem czołem? — czyż boska Sofi-a nie zdoła pogodniejszem oświecić je promieniem?

IRYDION. Niech ci Rzymianin, co zginął pod Filippami, odpowie, Augusto, ile mu owa boska przyniosła otuchy. — Zresztą nie poczuwam się do wyrazu liców moich. — Duch mój wewnątrz spokojny i zimny, niczego nie żałuje, niczego nie pragnie i niczego się nie spodziewa. — Jakże zdrowie twoje, Cezarze? czy Bogi modłom twoim sprzyjają w tych czasach?

ALEKSANDER. Dziś właśnie spełniły się życzenia moje. — Najmilszy mój Domicyanus przybył z Antyochii!

IRYDION. Witam cię, mężu konsularny. — Jeśli dobrze zapamiętam, uczęszczałeś niegdyś w progi ojca mego. —

ULPIANUS. Mowy Amfilocha brzmią dotąd w uszach moich. — Żyjeż starzec, który często siadywał przy jego ognisku?

IRYDION. Masinissa?

ULPIANUS. Podobne imie. — Ojciec twój zapoznał się z nim na syrtach Getulów, jak sam opowiadał, wśród dnia skwarnego, zbłąkany pogonią za tygrysami. —

IRYDION. On dotąd, jak za dni ojca mego, siadywa przy ognisku naszem. —

ULPIANUS. Pytam się o niego, bo nieraz mnie zastanowił myślą dziwną i gorzkiem słowem; raz utrzymywał, że Tyberius był największym z Cezarów!

ALEKSANDER. Jakto, przez Bogi Many Antonina?

ULPIANUS. Dowody Jego wyszły mi już z pamięci, to jedno przypominam sobie, iż tak sztucznie władał niemi, iż tak dzikie pomysły rozwijał o przeznaczeniu ludzi, żem milczał w przerażeniu. —

MAMMEA. Nie życzę sobie widzieć tak okropnego mówcy! —

ULPIANUS. Lecz kiedy czarowne wpływy jego rozumu odeszły ode mnie, uspokoiłem się, jak człowiek, co wytrzeźwia się z pijaństwa i własne odzyskuje myśli — bo jakżeż nie przeklinać tych, co miasto sprawiedliwości ucisk ludziom rozdając, obywateli za to, że nie zwierzęta, posyłają pod rózgi i topory Liktorów? Nieprawdaż, synu Amfilocha?

IRYDION. Tak lub nie — ile dusz, tyle serc i sądów!

MAMMEA *(do Aleksandra)*. Na twarzy niewzruszonej uważaj tę wargę spaloną, to oko w płomieniach!

ALEKSANDER. Matko, ja chcę mu dobre, szczere słowo powiedzieć!

MAMMEA. Czekaj jeszcze!

ULPIANUS. Jednak sam nie więzisz ni katujesz niewolników, choć masz słuszne prawo śmierci nad niemi, nie odpychasz ubogich Swewów, Daków, Markomanów żebrzących w mieście. — Tak wieść głosi o Tobie!

IRYDION. Matka moja barbarzynką była!

ULPIANUS. A syn jej chce wmówić we mnie, że jest Epikurejczykiem!

IRYDION. Przez Zeusa Olimpijskiego, stoikom nie udaje się teraz. —

MAMMEA. Ja może lepszych kolei nie obaczę nigdy — ale on, ale ty, Irydionie, wstępujecie w złotą bramę życia — młodość jeszcze jak sen nad wami ulatuje i radzi wam: byście ufali słodszym przeczuciom — ani tobie, ani jemu jeszcze rozpaczać nie wolno!

ALEKSANDER. Daj rękę, synu Amfilocha. — Nieszczęście, jak miłość wiąże ludzi z sobą — bądźmy przyjaciółmi, a może kiedyś razem będziemy się cieszyć!

IRYDION. Dzięki wam, szlachetni Rzymianie! znać was nade wszystkich ukochały Bogi, kiedy wam zostawiły nadzieję. — Lecz wcześniej czy później na was i na mnie przyjdzie koniec jeden — śmierć i zapomnienie!

ULPIANUS *(do Mammei)*. Albo sztuką Danaów nas zwodzi, albo go Jowisz odlał z kruchego metalu. *(głośno)* A gdyby złudzenie prawdą się stało — gdyby cień, który miasto zalega, ustąpił, jak chmura przed pomyślnym wiatrem, a światło cnoty samo jedno zostało, cóżbyś uczynił?

IRYDION. Uczciłbym nieśmiertelnych ofiarą i dziękczynieniem. —

ULPIANUS. A dla przyśpieszenia dnia takiego niebyś nie przedsięwziął? — Czy rozumiesz mnie? gramy w przypuszczenia, jak inni w koście — rozmawiamy o niepodobieństwach, by prędzej uleciał czas, który nam cięży!

IRYDION. Rozumiem cię lepiej, niż Ty mnie pojmujesz. —

ULPIANUS. A więc?

IRYDION. Przez Odyna, powiedz takiemu dniowi, by zawołał na mnie, a ja mu odpowiem!

ULPIANUS. Pamiętaj!

ALEKSANDER. Pamiętaj!

IRYDION. Nie zapomnę tej chwili, Rzymianie! Zobaczymy się, mężu konsularny! —

ULPIANUS. Gdzie idziesz? —

IRYDION. Czeka na mnie grono przyjaciół u stóp Awen-

tynu i zastawiona biesiada i nowe jakieś pieśni sykulskiego Poety. — Idę ich słuchać, by prędzej uleciał czas, który nam ciąży!

ULPIANUS. Młodzieńcze, idziesz ducha własnego zapomnieć na łonie rozpusty. —

IRYDION. Lucius Mummius nic nam nie zostawił, prócz rozkoszy i śmierci. — Długiego życia Aleksandrowi i Auguście Mammei. *(wychodzi).*

ULPIANUS *(patrząc za odchodzącym).* Z tego wosku, kto wie, czy będzie wam można stronnika ulepić. —

* * *

Inna część pałacu Cezarów — podłużne Atrium z sadzawką pośrodku — mozaiki, freski wystawujące Faunów, Satyrów, nimfy — na słupach jaspisowych kamienne żółwie, skorpiony, krokodyle — wzdłuż ścian posągi Wenery i Bachchusa. — Tu i ówdzie grona dworzan — pretoryanów — tanecznic — muzykantów — karłów — Eutychian, prefekt pretorium — Rupilius — Eubullus — jego parasyty. —

EUTYCHIAN. *Evoe Bacche!* dla tego nic mi nie ubędzie, bo cóż zdoła Cezara oderwać ode mnie — jednak takich gości wcale mi nie potrzeba na dworze — i dzisiaj Imperator chce go widzieć — i dzisiaj kazał mi tu czekać na niego.

RUPILIUS. Pół-Bogom podobny Eutychianie —

EUTYCHIAN. Mów: pół-boski. — Imperator jest całym Bogiem — ja zaś po Imperatorze pierwszy. —

RUPILIUS. A więc, pół-boski Eutychianie, pozbawmy go wierzchniego światła. — Niechaj »dulces moriens reminiscitur Argos«! —

EUTYCHIAN. Evoe! — tylko mi nie przywodź wierszy Marona. — Nasi starzy za Augusta nie pojmowali sztuki. *(zamyśla się)*

RUPILIUS. Nie mieli wyobrażenia o sztuce. —

EUBULLUS. Nic zgoła się nie domyślali, co to poezya!

RUPILIUS. Bez żadnej wyobraźni. —

EUBULLUS. Mniej, jak bez żadnej. —

EUTYCHIAN. Zgoda, trza usłać mu drogę do cieniów. — Tymczasem posłuchajcie tej pieśni. — Boski ją Neron dla swoich karłów napisał. —

RUPILIUS. Oto był zaszczyt muzyki i rytmu. —

EUBULLUS. Prawdziwy brat sióstr dziewięciu. —

CHÓR KARŁÓW. Stoim z ubocza, a na szczycie wieży pan nasz stroi lirę swoją — u stóp jego wśród nocy czarnej i mglistej pali się miasto Bogów!

On wzniecił te ognie — on chciał widzieć, jak Troja gorzała przed laty — on żyć nie mógł, jak żyją śmiertelni! — płomieńmi więc się otoczył i stał się panem dramatu z ognia!

Dźwiękami jego nęcone, ze wzgórza na wzgórze coraz bliżej wśród jęków i szumów podskakują ognie. — Nad miastem, co przepada, inny Rzym rośnie w powietrzu. — On dziko świetnieje w piramidach z iskier i słupach syczących płomieni!

A my klaszczem w dłonie, krzyczemy z radości. — Dzień zniszczenia nadszedł wysokim i pięknym. — Na falach Flegetonu pałace i świątynie nikną — a nam nic nie będzie — nas ocalił mistrz sztuki i dźwięku!

FILOZOF *(zbliżając się do Eutychiana).* Ty, co niejako wszystko możesz i jesteś drugim Bogiem w Rzymie, racz dozwolić Anaksagorowi Neoplatończykowi dwa razy na tydzień głośno czytać i mówić w Termach Karakalli. —

EUTYCHIAN. Jakie twoje zasady? — jakich Bogów wyznajesz? Czyś trzeźwy, czyś piany, kiedy uczysz ludzi? —

FILOZOF. Bogiem moim Jedność w Jedności Jednością poczęta, wszystkim niejednościom z konieczności przeciwna i zawarta sama w sobie, wzierająca w siebie samą.

EUTYCHIAN. Satis est — tą nauką nie przewrócisz

państwa; *(do Rupiliusa)* chyba go Tyresias w piekle zrozumie. —

RUPILIUS. Chyba Cerber z trojaką paszczęką.

EUBULLUS *(do Rupiliusza)*. Znamienity Rupiliuszu, kazałeś mi wczoraj coś napisać na tabliczkach. —

RUPILIUS. Czytaj, mój miły. —

EUBULLUS *(czyta)*. »Pojutrze Gladyator Sporus i Tygrys Ernan«. —

RUPILIUS. O trzy razy szczęśliwe przypomnienie — wielki Eutychianie!

EUTYCHIAN. Co?

RUPILIUS. Z siebie uczynię ofiarę dla ciebie. —

EUTYCHIAN. Przez Isysa, Anubisa lub jakiegokolwiek Egipskiego bałwana, wdzięczny ci jestem — ale cóż takiego? —

RUPILIUS. Z Maurytanii sprowadziłem Tygrysa centkowanego złotem i hebanem — w nozdrzach gdyby krew świeża ludzka, w ogonie siła dwóch koni. — Mam Gladyatora dzielniejszego od wszystkich nadwornych, człowieka, co mi się zaprzedał z głodu, prawdziwego Krotoniatę. — Sprosiłem zatem wszystkich miłych moich na biesiadę i już założyłem się z Carbonem o cztery przeciwko jednemu, że Sporus zamęczy Ernana — ale kiedy losy nas zmuszają, trza do innej walki użyć Gladyatora! —

EUTYCHIAN. Stój. *(do Pretoryanów)* Zaśpiewajcie waszemu wodzowi. — E v o e flety i struny w brzęk! *(do Rupiliusza)* teraz mów dalej. —

CHÓR PRETORYANÓW. Niech żyją koście i wino — sesterce i róże. — Dopóki czara się pieni, dopóki Plutus się uśmiecha, stopy nasze do tańca, ręce gotowe do boju. — Daj nam choćby czarne po syrtach Murzynki, choćby śniade po lasach Germanki! Partów i Getów starym obyczajem nie chodzimy ścigać. — Ojce nasze leżą w grobie, z niemi nużące pochody. — Tu, na łożach, tu, czoło ustroiwszy bluszczem, tu, w Rzymie, czekamy na

wrogów — niech nadejdą — wtedy z objęć czarnowłosych, wśród dźwięku szklanic, porwiemy się do tarczy i odporu — do miecza i rzezi! Teraz E v o e! niech żyją koście i wino, sesterce i róże! —

EUTYCHIAN. Choćby się nie udało, to krzywoprzysiężesz? —

RUPILIUS. Świadcząc się wszystkiemi Bogi Chaldei i Syryi. —

EUTYCHIAN. J a c t a e s t a l e a — dziś jeszcze. —

RUPILIUS. Otóż i nasz Grek bladawy. —

(Irydion wchodzi i idzie ku Eutychianowi)

EUTYCHIAN. Aż dreszcz po mnie przeszedł — w oczach jego cóś piekielnego — mówią, że jego ojciec był czarnoksiężnikiem. — *(opiera się na Rupiliuszu)*

RUPILIUS *(usuwając się)*. Pół-Bogom nie wolno się lękać. —

IRYDION. Stawiam się na godzinę naznaczoną. — Eutychianie, prowadź mnie, gdzie przykazano tobie!

EUTYCHIAN. Tak — zaraz, znamienity Greku. *(do Rupiliusza)* Jaki człowiek, jaka duma. — V a e c a p i t i e j u s! —

RUPILIUS *(do Eutychiana)*. Zdrój Lethe wyleczy go z pychy. —

IRYDION. Na dworze Cezara wy wszyscy czas tracić lubicie. — Idźmy! —

EUTYCHIAN. Tędy, szlachetny Irydionie. — *(wychodzą)*

* * *

Inna część pałacu Cezarów — szczyt wieży otoczony kolumnadą. — Heliogabal, Elsinoe. —

ELSINOE *(odchodząc)*. Powierzam cię Bogom i sile jego! —

HELIOGABAL. Ty okrutna! —

(Irydion wchodzi, Elsinoe zatrzymuje się)

ELSINOE. Księżyc wschodzi — wrą ognie i kipi trucizna! *(znika)*

HELIOGABAL. O ratuj mnie — lub, jeśli nie możesz ocalić, nie zwodź, nie udawaj, wyznaj odrazu, a ja ciało moje białe przebiję tą złotą klingą. *(zdejmuje puginał z filaru)* Czy widziałeś kiedy takie szmaragdy?

IRYDION. Skąd boskiemu Cezarowi przyszło dzisiaj myśleć o zawczesnym zgonie?

HELIOGABAL. Cyt, przyjacielu! — mylisz się, jeśli sądzisz, że Cezar nie zdoła się zabić — a z tego puharu jeśli wypiję Elizejskie pola? *(bierze czarę z Trójnoga)* Sto nurków przepadło w morzu, nim jeden tę perłę wydostał — niezrównana!

IRYDION. Z tej czary pić będziem zdrowie Słońca, ale pod innem niebem, wśród innych ludzi. —

HELIOGABAL. Spojrzyj mi w oczy. — Czy ty nie kłamiesz? ah! odwróć oczy. — Bogi w nich szczerym ogniem zapisały, że matka twoja czarownicą była. — Przystąp bliżej filarów — trzymaj się kraty — mów, co widzisz w dole? —

IRYDION. W głębi dziedziniec iskrzy się od drogich kamieni, gdyby jasnolite dno czarnej przepaści! —

HELIOGABAL. Sam, sam wybierałem topazy, beryle i ostre kanty Chrysolitów i krwawe Onyksy. — Dzień jeden i noc całą brukowali ten podworzec, a ja nie zasnąłem, nie odszedłem, aż skończyli — wtedy ich wszystkich stracić kazałem! —

IRYDION. Kogo? —

HELIOGABAL. Podłe niewolniki! — co się pytasz o nich? — Oni poprzedzili pana swego. — Czyż w Rzymie kto powinien wiedzieć, że się Cezar do śmierci gotuje? — było ich stu tylko i chłopiąt dwoje! — Ah! ja nie oddam w ręce ludu śnieżnych członków moich — ja tu głowę moją świętą rozbiję — niech po dyamentach krew moja spływa do Erebu! —

IRYDION. Cóż grozi tak nieodzownie?

HELIOGABAL. Aleksyan! — przebrzydłe imie — Aleksyan! aby zginął przed czasem. — Aleksyan! potrójnej Hekacie głowę jego poświęcam — on, on, Aleksyan, czarne waży myśli i gotuje zdradę. —

IRYDION. Opatrzne oko moje wytężone nad nim i nad matką jego. —

HELIOGABAL. Nie przerywaj mi — nie broń go, jeśli miłe ci powietrze, którem oddychasz — słuchaj — na to, byś słuchał, przyjść ci kazałem. — Szpiegi mi donieśli, że z Ulpianem się naradza, że od kilku dni bledszym się wydaje, że w zadumaniu to odwija, to przygłaszcza pukle — a ten Ulpianus, co przyleciał z Antiochii, ha! czy wiesz, co on zamyśla?

IRYDION. Słyszałem często o nim, jako o zawołanym prawniku. —

HELIOGABAL. Ty go chwalisz? — o Bogi nieśmiertelne! — a ja ci mówię, że bez tego człowieka od lat trzydziestu żaden spisek się nie obszedł. — Domicyanus Ulpianus. — Słodki napozór w mowie, ale stoik nieubłagany, zawsze gotów zabić panującego, lub jeśli się nie uda, samego siebie — istny spisek chodzący, jedzący, pijący — żywe przekleństwo dla jakiegolwiek rządu — miecz Damoklesa nad głową moją — i ty mi go chwalić będziesz! — prawnik zawołany! Jupiter! nie tylko jego, jabym same prawo zamordował — mówże, co robić?

IRYDION. Nie rozpaczać, kiedy jeszcze cicho i spokojnie, a jeśli przyjdzie do niebezpieczeństwa, na mnie polegać! —

HELIOGABAL. A jeśli już odzywają się wróżby mojego pogrzebu? — jeśli przeciw Bogom siostry twojej inne, silniejsze, się podnoszą? *(list rozwija)* patrz — Symmach Niger opisuje mi straszne znaki, co się objawiły nad Dunajem — o wschodzącem słońcu, otoczone świętym orszakiem Bacchusa, wśród głów bluszczem umajonych, wśród rąk, potrząsających Tyrsami, widmo Aleksandra Macedońskiego stanęło na szerokiem błoniu. — Zbroja lśniła się na piersiach jego, ta sama, którą nosił, kiedy zmiótłszy Da-

ryusza szedł podbijać Indye. — Hełm złoty gorzał na pochylonej głowie. — Za nim stąpali wodzowie polegli oddawna. — Ludy Moesyi i Tracyi bili przechodzącym głębokie pokłony i cisnąc się za niemi doszli aż do brzegów morza. — Tam w powietrzu rozwiały się umarłych cienie! *(opiera się o kolumnę)* podaj mi Falernu. — *(bierze puhar)* Tak, Aleksander Severus z rąk Macedończyka weźmie państwo i życie moje! *Dii, avertite omen!* —

IRYDION. Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusa niegdyś ukochał matkę twoją? Alboż zapomniałeś, że dusza Macedończyka żyła w boskich piersiach jego? a teraz, kiedy bohatyr, co był opiekuńczym duchem ojca twego, z grobu powstaje, by chwałę ci zwiastować, ty bledniejesz i potrzeba ci wina — pociech — ręki przyjaciela, byś nie zemdlał i na ziemię nie runął. — Hańba ci, synu Karakalli!

HELIOGABAL. Nie — nie — on Aleksandrowi, on wschodzącemu słońcu się uśmiechał blademi ustami — mnie twarz każda, głos każden, lud, senat, pretoryanie, Rzym cały śmiercią grozi. — Ja czuję, że mnie razem, zgodnie, krok za krokiem odrywacie od słodkiej matki ziemi, i wszyscy, ilu was jest wleczecie do piekła!

IRYDION. Bądź lepszych myśli. — Czyż w odwiecznej walce między człowiekiem a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdoła?

HELIOGABAL. Co mówisz!

IRYDION. O losach waszych! Zginęliście jedni od miecza, drudzy od trucizny, inni z rąk własnych, wszyscy wśród hańby i przerażenia, zdradzeni przez powierników — przeklęci od nieprzyjaciół. — Dlaczegoż jednym trybem zawsze dziać się mają sprawy ludzkie? Rzym dotychczas knuł spiski, mordował Cezarów — niech Cezar stanie się spiskowym, niech Cezar uderzy na wroga! —

HELIOGABAL. Kto? jak? widzę potęgę na czole twojem, ale jej nie pojmuję! —

IRYDION. Czyż te pałace, świątynie, cyrki, czy ten zamek trzy razy spalony z starym Bogiem swoim nigdy upaść nie mają? Czy nie słyszałeś o miastach wschodu piękniejszych i ogromniejszych, co niegdyś były cudem dla ludzi, pieszczotą dla Bogów? a dziś tumany piasku przechadzają się po nich i na zwalonych arkadach samotne skowyczą hyeny! Czyż Hierozolima z rojami wściekłych obrońców oparła się wszystko niszczącym losom? a jednak miała Boga samotnego i silnego jak Fatum! — Idź i zapytaj się pustyń, z czego powstały! — A te wzgórza osadzone marmurami i granitem, czyż to nieśmiertelne Bogi? Patrz na nie i zrozumiej słowa moje. — Oto prawdziwy Aleksyan, oto wróg twój mściwy, rozciągnięty u nóg twoich, ale nadymający się dniem i nocą, by obalić ciebie. — Jeśli go nie ubieżysz, biada ci, nieszczęśliwe dziecię, w ramionach Olbrzyma. *(chwyta go za rękę)* Wznieć silną wolę w sobie — ten świat, który ci wskazuję, wyzwij do boju! Stań się, czem kilku było na ziemi, Niszczycielem — a te gmachy piane życiem tysięców, te wille rozigrane w promieniach słońca, te Trofea, te wszystkie pamiątki i rozkosze ludzi oddamy w puściźnie po ludziach skorpionom i wężom!

HELIOGABAL. Teraz przejrzałem! Nieraz to samo czułem, pragnąłem. — Ha! jaka chwała dla Mitry, kiedy Jowisz kapitoliński piasek gryźć będzie — ale czyje ramie podejmie się czynu? kto powstanie na święty zamek i na wieczne miasto? —

IRYDION. Syn kapłanki i Amfilocha Greka. —

HELIOGABAL. Czy myślisz, że jaki żołnierz pójdzie za tobą lub za mną w tak ostatecznej chwili? a senatory, a rycerze, a lud wreszcie cały! Bój się nieśmiertelnych — co tobie się stało, co ty zamyślasz, Irydionie? —

IRYDION. Z natchnienia Bogów Cezara ocalić! —

HELIOGABAL. Strach mnie ogarnia. — Geniusz miasta zwyciężył wszystkich — jażbym się miał targnąć na niego! —

IRYDION. Żyj więc w trwodze, dopóki nie skonasz w mękach. —

HELIOGABAL. Dopełnij zlecenia Bogów, potężny śmiertelniku — purpurą cię obłoczę — zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę, jedno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wybaw mnie od śmierci!

IRYDION. Zbawić cię tylko mogę rozpędzeniem Senatu, wycięciem Pretoryanów i przeniesieniem stolicy! —

HELIOGABAL. Senat rozegnać, to jeszcze, to jeszcze potrafim — ale reszty dokonać? —

IRYDION. Dawniej Katylinie, późniejszemi laty Neronowi nie brakło na pożarnikach. — Łatwiej rozrzucić w perzynę to, co żyje dzisiaj, niż zbudować w głazy to, co ma żyć jutro. — Zresztą ci, co się zostaną na zgliszczach, zwać się jeszcze będą Rzymianami. — Długo jeszcze kilka pałaców rozpadłych na chaty zwać się będą Rzymem. — Zostawić zgrzybiałym dzieciom to imie drogie — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach. — Cezarze, w dniu wielkiego morderstwa ja sam ludzi ci dostawię i stanę przy boku twoim! —

HELIOGABAL. Skąd — jakich — gdzie oni?

IRYDION. Nie tobie jednemu Rzym wszystkie dni życia powlekł śmiertelnemi ciemności. — A niewolnicy, a Gladyatorowie, a barbarzyńcy, a wyznawcy proroka nazaraeńskiego? Ty na czele, oni w ostatnich ciągną szeregach, ale ich i ciebie zarówno geniusz Romy przeznaczył boleśnemu życiu i haniebnej śmierci! Zbijmy więc ich nędzę w jeden podrzut zemsty, na jedną chwilę tylko — a panowie amfiteatru, a żołnierze pretorium nie dotrzymają kroku tylu zgłodniałym, namiętnym i wściekłym! —

HELIOGABAL. Dobrze — dobrze — a potem, czyż oni nas samych nie pożrą — gdzie się podzieć wśród takiego zgiełku? Kto skróci ich zuchwałość, czem pragnienie krwi zgasiemy w ich piersiach?

IRYDION. W pierwszych dniach zemsta i chciwość upiją się

krwią i złotem wśród pożaru miasta. — Następnie ich ramiona i chęci, związane tylko wspólną nienawiścią Rzymu, rozprzągną się i każdy wróci do przesądów wiary swojej, lub do zwyczajów swojego narodu. — Wtedy już rozdzielonych i osłabłych na wschód pociągniem za sobą, obietnicami lepszej jeszcze rozkoszy. — Tam wymrą od skwarów nieznośnego słońca, wymrą od zbytków, na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich — a reszta rozpłynie się i wyschnie wśród ludów, które cię kochają i Boga twego wyznają. — Naprzód więc bez trwogi, ale w milczeniu śmierci — inaczej nigdy nie dorwiemy się życia! —

HELIOGABAL. *Jo triumphe!* Tyś z Prometeuszem razem chodził po ogień do niebieskich progów. — *(klaszcze w dłonie)* O, gdybym nową świątynię zbudował w Emezie — o, gdybym żyć mógł wśród wieszczbiarzy moich!

IRYDION. Młode państwo założysz na miejscach, w których wziąłeś życie — wolny od bezsennych nocy, razem Arcykapłan i Cezar, podobny starożytnym Pół-bogom Nilu, słodkie dni pędzić będziesz wśród dymów aloesu i mirry, wśród tonów cytary i fletu. — Gdzie spójrzysz, tam czołgać się będą niewolniki ciche i stopę wegniesz w ich karki czarne. — Co zażądasz, stanie się twojem — co każesz ludziom zapomnieć, zapomną — co każesz pamiętać, zapamiętają — wielkie imiona przeszłości zgasną w obliczu twojego — a nie będzie już wtedy senatora lub prawnika, coby marząc o Rzeczypospolitej śmiał przedrzyźniać twoją Mitrę chaldejską, natrząsać się z obwisłych rękawów wschodniej szaty twojej! —

HELIOGABAL. Przemierzłe Kwiryty! niby ich stara toga, ich fibule, ich tuniki piękniejsze! Mitro, słuchaj mojej przysięgi — obym nigdy do twoich promieni się nie dostał, oby geniusze nocy członki moje rozerwali, jeśli wszystkich Bogów Rzymu spętanych w łańcuchy nie rzucę przed twoje ołtarze. — Synu Amfilocha, co radzisz,

uważam za dobre i pożyteczne — przez Baala i Astarata, zburzymy to miasto — radź dalej tylko! —

IRYDION. Każ potajemnie skarby twoje wywieźć do Emezy. — Zabawiaj lud igrzyskami, pretoryanów hojnemi datkami — a tymczasem ściągaj do miasta z legii windelickich zaciążne Goty, z nadreńskich zaciążne Cheruski — w miarę, jak będą przybywać, ja zapoznam się z niemi — matka nauczyła mnie dzikiej mowy północnych! —

HELIOGABAL. Zapominasz o włoskich legiach, stojących w Efezie, w Tarsus, w Pergamie, w Milecie. —

IRYDION. Wyszlij gońca do pretora Variusa, by je zgromadził i najśpieszniejszym pochodem udał się na Partów. — Zajętych nad Kaspią przykremi utarczki dójdzie wieść o tem, co się stało w Rzymie — wtedy jednych złowi nieprzyjaciel, drudzy się rozsypią, inni przybiegną połączyć się z nami i żyć z łask dworu twojego. —

HELIOGABAL. Bitne to kohorty — pomyśl jeszcze — może niebezpiecznie?

IRYDION. Nie lękaj się nikogo po zniszczeniu Romy. — Bezkarnie deptać można po ciele, z którego wyleciała dusza — a my samą duszę państwa, duszę świata wydrzem i zabijem! —

HELIOGABAL. A gdyby nas Aleksyan uprzedził tymczasem? Zamiejskie pretoryany szemrzą coraz bardziej i piosnki nucą o jego odwadze. — Ulpian senat przyciągnie. — Obudzą mnie w nocy, przerzną mi gardło...

IRYDION. Ty wprzódy wyrzeczesz nad niemi »*Salve Aeternum*«. — Tylko Eutychianowi nie zwierzaj się z niczem — przybierz zimną i spokojną postać — odwiedź Aleksyana i Mammeę — a kiedy z niemi będziesz rozmawiał, niech słowa słodkiemi, niech spojrzenia twoje spokojnemi będą. — Uwierząli czy nie, zawżdy to ich wstrzyma na czas jakiś od stanowczego działania. —

HELIOGABAL. Uśmiechnijcie się, Bogi! Mitro, rozjaśnij

zasępione czoło! — Venero, matko lubieżności, połóż się na modrych falach, lecącemi otoczona syny! Bacchusie, pij zdrowie Heliogabala! Dajcie róż i Falernu! — Chodź, najmilszy z ludzi — rozciągniem się na purpurze — pić będziem i chwalić Bogów za to, że wróg nasz zginie! *(skacze mu na piersi)* Ten pocałunek weź od Cezara — nieprawdaż — wonne usta moje i gładkie czoło wzorem najśliczniejszej dziewicy? — Chodź. — Ja i Elsinoe panować będziem na Syryjskich wybrzeżach, tam, gdzie święte gwiazdy rozmawiają z ludźmi o losach przyszłości. *(wychodzą)*

* * *

Ogród Cezarów na palatyńskim wzgórzu. — Pod posągiem Diany Elsinoe i Irydion. —

ELSINOE. Dalej iść nie sposób, za długoby mi wracać było. — Lecz ty nie opuszczaj mnie jeszcze. —

IRYDION. Śpieszno mi także — ostatnia czerwień słonecznych promieni już umiera na szczytach Amfiteatru, a nim wrócę do siebie, muszę zamiejskich pretoryanów odwiedzić. —

ELSINOE. Nie proszę o długie godziny — błagam o jednę chwilę tylko. *(kładzie głowę na podstawie posągu)* Spojrzyj na twarz niepokalanej — patrz, obwiała ją tunika zmierzchu — o, jabym mogła była kochać, jak ona, kiedy wśród cichej nocy oparta na łuku złotym spuszczała się przez fale błękitu, by marzyć nad sennym Endymionem! — a teraz pójdź, zapytaj się ludzi, na co wyszła siostra twoja? »Między Poppeą i Messaliną, odpowiedzą ci, postawiono Jej ołtarze«. —

IRYDION. Kto się poświęcił dla dobra ludzi, powinien o ich sądzie zapomnieć. — Czy wiesz, kto jest Bogiem Nazaarenów? Ten, co dla zbawienia braci sam przystał na

hańbę Krzyża! — O Elsinoe, i nam podobne dostały się Losy!

ELSINOE. Ty już cudze wiary przejmujesz! szukasz pociechy u tych, któremi pogardzili ludzie! Ale ty znasz Aleksandra, wiesz, jak go wychowała Mammea, słyszałeś o nim przepowiednie starców, że zrówna kiedyś boskiemu Aureliuszowi! — wczoraj w przysionku Dejaniry napotkałem Jego. — Zatrzymał się i spojrzał — pierwszy wzrok był niepewny, drżący — drugi już mocniejszy, wyrazistszy — wreszcie odwrócił się w milczeniu pogardy.

IRYDION. Oni wszyscy żyjący w tem mieście przeznaczeni zgubie. —

ELSINOE. Precz, precz, ja nie żądałam zemsty — odwołaj, odwołaj!

IRYDION. Biedna, uspokój się. — Nieszczęśliwa, jakże ci teraz — w nagłej bladości zdałaś się omdlewać przed chwilą?

ELSINOE. Lepiej mi, lepiej — daruj — nie do takich żalów powołały mnie Bogi — idź — ja wrócę, kędy mnie furye czekają — ja pójdę stopy wikłać z gadem, co nieustannie pląsa naokoło — tam zawczesna starość w nagrodę upodlenia i męki — tam konwulsya wstrętu — ale cicho, cicho — ty nie znasz tajemnic dziewiczego łona!

IRYDION. Ah! ty, coś niedawno płonęła życiem tak promiennem, nimfo ruchu i piękności, gdzieżeś się podziała? Tę łzę, co spływa po twarzy mojej, wylałem dla ciebie. — Lecz teraz oddal się — pamiętaj na wyroki Odyna i dotrwaj do końca.

ELSINOE. O bracie!

IRYDION. Pogardzonemu szałów przysparzaj, doniszczaj rozum Jego i życie. — *Vale!*

ELSIONE. Niechaj cienie Amfilocha i Grimhildy będą naokoło ciebie — — *vale!*

* * *

Sala Amfilocha w nocy. — Irydion wchodzi z Masinissą — za niemi przełożony niewolników. —

IRYDION. Czegóż chciał, Piladzie?

PILADES. Ani słowa nie przemówił — jedno zasiadł i postanowił czekać na ciebie. — Myśmy zwykłym obyczajem domu twojego dali mu chleba, mięsa i wina. —

IRYDION. Niech wejdzie. —

(wychodzi Pilades)

MASINISSA. Strzeż się tego człowieka. —

IRYDION. Czemu? —

MASINISSA. Ten człowiek przychodzi cię zabić — masz! *(miecz mu podaje)*

IRYDION. Jeśli prawdziwe twoje przeczucie, szkoda tej kartagskiej stali. — Tym puharem, z którego pijał Amfiloch, roztrzaskam mu głowę. *(wchodzi Gladyator)* Czego chcesz, niewolniku? —

GLADYATOR. Przez chwilę być sam na sam z tobą. —

IRYDION. To mój powiernik — mów śmiało przed nim. —

GLADYATOR. Pan rzekł do mnie: »Miasto darcia się z tygrysem zamorduj Greka, a będziesz wolnym«. Lecz ten, który mnie przysłał, sto razy gorszym jest od ciebie. *(rzuca sztylet na posadzkę)* Niechaj przepadnie niewola! —

IRYDION. Kto cię przysłał?

GLADYATOR. Człowiek nowy, podlec i tchórz, okrutnik i lichwiarz. —

IRYDION. Ha! to pewno Rzymianin! —

GLADYATOR. Zgadłeś — Aetius Rupilius. —

IRYDION. Nadworny błazen nadwornego błazna, *(kładąc puhar)* wiedziałem o tem — patrz — czaszka twoja rozpaść się miała na odciski tej rzeźby korynckiej! —

GLADYATOR. O synu Amfilocha, nie przeląkłem się ciebie. — Roślejszym i dzikszym parłem stopą piersi na piasku Areny — ale głodny byłem — jeść mi dali w pa-

łacu twoim — spragniony byłem — dali mi wina w pałacu twoim — i czekając na ciebie, słyszałem braci Gladyatorów, którzy imie twoje błogosławili. — Teraz bądź zdrów, ja zginę jutro pod kłami tygrysa. —

IRYDION. Nie — ty żyć będziesz i zemścisz się niewoli twojej na panach twoich. — Ho! Pilades!

(Pilades wchodzi)

Sto sesterców wydać temu człowiekowi i tunikę i pierścień żelazny, jaki noszą domownicy moi. — Imie twoje?

GLADYATOR. Za dni dzisiejszych zowią mnie Sporusem. —

IRYDION. W mowie twojej prostej coś dumnego się odzywa. — Ostatek jakiejś przeszłości żyje w tobie, jak promień lampy, wymykający się ze szpary Sarkofagu. — Jeszcze raz pytam się o imie twoje?

GLADYATOR. Niegdyś przodków moich na wzór Jowiszów czcił lud i senat rzymski — ale co przeszło, przeszło. — Imie moje: Lucius Tiberius Scipio! —

IRYDION. Marzysz niewolniku — ród ten wygasł już oddawna. —

GLADYATOR. Ale tylko w pamięci ziomków — ostatniemu z naszych, o którym świat wiedział, Nero zabrał żonę, pałac w Rzymie, imiona w Italii, Sycylii i Afryce — i posłał go na wygnanie do Chersonezu — syn jego po latach wielu wrócił do miasta o żebranym chlebie — odtąd jesteśmy nędzarze, a ojciec mój już był Gladyatorem! —

IRYDION. I nikt was nie poratował w Rzymie?

GLADYATOR. Kto miał wspomódz starego Patrycyusza? Czy prawnuki naszych Liktorów, dziś bogate Pany? Czy Imperator, wróg przeszłości, morderca pamiątek? Ojciec mój, hakami wywleczony z Amfiteatru, skonał w spoliarium, przeklinając Bogów. — O! niech przepadnie miasto, które opuściło wnuki swoich konsulów. *(podnosi sztylet)* Jedno słowo tylko, a pójdę Rupiliusa, tego dzisiejszego Rzymianina, zabić! —

IRYDION. Śmierć jednego jest szałem dziecka tam, gdzie trza śmierci tysiąców. — Zachowaj się na szersze pole, do lepszego dzieła. —

GLADYATOR. Jeśli dzień taki lub owaki blizki, w którym można będzie mścić się i łupić, to ci przywiodę Verresa, Kassiusza, Sullę — wszyscy z dawnych, jako ja, i wszyscy w nędzy!

IRYDION. Każdy z nich znajdzie schronienie pod temi filary — na teraz dom mój niechaj będzie waszym. — *Vale.* —

MASINISSA. Idź, żądaj zemsty sercem całem, a losy ci jej nie odmówią. —

(Gladyator wychodzi)

IRYDION. Wygrywam, starcze, wygrywam! Ah! Tryumfatory dawne, coście braci moich spętanych w łańcuchy wiedli obok królów w kajdanach, zburzyciele Kartagi, Koryntu, Syrakuzy, patrzcie! — ostatni Scipio stał się sługą i Greka narzędziem — przyszedł żebrać u niego i jadła i mordów! — Ah! doczekałem się upadku przeklętych i dumnych. — Masinisso, tym kielichem pij zdrowie Scypionów! *(nalewa mu i daje)*

MASINISSA. Długiego powodzenia rodowi Scipionów! *(oddaje w ręce Irydiona)*

IRYDION *(pije i rzuca puhar)*. A jako ten kamień drogi, niechaj pryśnie pycha Romy! —

MASINISSA. Pochłaniamy stopniami cudze wole i siły — rośniemy, Sigurdzie, ale dopóki Nazaret nie wrócony na naszą wiarę, dopóty nie zdołamy walczyć wstępnym i zwycięskim boiem! —

IRYDION. Starzec-Bóg, przed którym oni zginają kolana i myśli, ku czarnym sklepieniom długo trzymał wzniesione ramiona, wzywał ducha i wpoił tego ducha w skronie moje rękoma drżącemi, z których sączyła się woda tajemnicy — grono bladych, wynędzniałych braci śpiewało,

powtarzając imię moje nowe: »Hieronim, Hieronim« a ich głos ciągnął się, jak pogrzeb nadpowietrzny, niewidomy — w tej pieśni jednak były słowa nadziei!

MASINISSA. I znamię ich zawiesiłeś na piersiach? —

IRYDION. Zawiesiłem. —

MASINISSA. Przycisnąłeś do ust w pokorze? —

IRYDION. Przycisnąłem. —

MASINISSA. Dobrze — teraz ich serca się rozdzielą! —

IRYDION. Już zaczęły się mieszać — w starych, w tych, którzy odbyli męczeństwo i niebo, jak twierdzą, roztwarte nad sobą widzieli, napróżno chciałem rozniecić iskrę zapału — odpowiadali mi zawsze te same słowa — jak strumień, co zawsze o jedne rozbija się żwiry: »Przebaczenie — Zapomnienie — Miłość zabójcom« — ale młodsi, świeżo namaszczone żołnierze, niewolniki, barbarzyńcy, pielgrzymy, co odwiedzili pustynie Egiptu, coś dzielniejszego czują. — Ich wzrok się płomieni na wzmiankę obelg i męczarni. — Ich serca przynajmniej czegoś pragną na świecie. — Zrazu błogosławią złemu, co ich gniecie, ale wreście, kiedy krew zagra im po żyłach, chcącym niechcącym wyrywam przekleństwo. —

MASINISSA. Na to, byś wcielił królestwo nie tej ziemi w namiętności ziemi, trza ci niewiasty. — Oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej starości; z łupów cielesnych rozkoszy wydumali parę tajemniczą, oni przed niewolnicą męża schylili czoła. — Z tylu dziewic, które tam więdnieją w modlitwach i postach, jedną wybierz i rzuć im ponad dusze. — Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich — niech je odbija i ciska naokół bez pojęcia, bez czucia — ale siłą, co w piersiach męża góruje porwana i zniszczona! —

IRYDION. Znam jedną — wszyscy darzą ją imieniem błogosławionej i świętej przed czasem, a ona lubi mi rozpowiadać niebiosa...

MASINISSA. Tknąłem i odbrzękła mi struna — niepraw-

daż, oko jej czarne jak węgiel, błyszczące jak żary — ród Metellów kończy się na niej? —

IRYDION. Wiesz — po co się pytasz?

MASINISSA. Pamiętaj chwalić jej Boga, każdą ranę Jego chwalić, z każdym gwoździem, co przebił Jego, żałośnie się pieścić. — Ona się kocha w tem ciele rozkrzyżowanem, w tych rysach, które sobie wymarzyła pięknemi, gasnącemi w zwycięstwie miłości. — Ona ich nie widziała, kiedy konały ze wstrętem bolu, w milczeniu osłabienia, zmazane krwią, z wichrem, gwiżdżącym wśród włosów! — Słuchaj, przeprowadź Jej myśl od niego do siebie — on daleki, on był kiedyś na ziemi, on nie wróci nigdy. — Ty żyjesz i jesteś przy niej. — Ty będziesz Jej Bogiem! Alma Venus i Eros, sprzyjajcie! —

IRYDION. Ah! kto zbada tajnie Jej bytu, kto schwyci źródła Jej życia? — ona żyje ciemnościami w tych puszczach podziemnych, widoma i niepojęta, nacechowana boleścią i z niej wyłudzająca urodę. — Sam Fidyaszby jej kształtów wszechmocnem nie zatrzymał dłótem — ona całą piękność swoją uniesie z sobą razem w ostatniem westchnieniu! Przeciwko niej ja słaby jestem! —

MASINISSA. Czego się wahasz i wątpisz? ona twoją być musi — nie dla marnej rozkoszy, ale że rozum mój, że dzieło nasze żąda jej zguby, jak zapytanie odpowiedzi i dźwięk dźwięku następnego — kiedy Jej głowa opadnie na łono twoje, kiedy pierś Jej zadrży, jak pierś każdej niewolnicy i dusza niebieska zapomni siebie samej w ciała pożarach — wtedy w katakumbach znajdziesz wiernych służalców, o synu! — wtedy duch mój będzie z tobą i zemsta stanie się ciałem. *(odchodzi)*

IRYDION. Masinisso!

MASINISSA. Czego żądasz?

IRYDION. Błagam cię — powiedz mi jak przyjaciel — nie — daj wyrok jak sędzia — od czasu, w którem śmiałem się dziecinnie, w którem niewiadomie, wesoło, trąca-

łem o krzywdy i hańbę pokolenia mego, aż po dziś dzień, każde słowo, sprawę, wszystkie chęci moje odwołaj, przelicz — rozumiesz?

MASINISSA. Czemu wzrok twój tak zmętniał i głos twój taki rozdarty, zbłąkany?

IRYDION. Wszak co świętem i lubem było dla drugich, było zawsze świętokradztwem dla mnie? Wszak dzikiej cnoty ślubowanej Furyom dochowałem wiernie? Dotąd niema na mnie ani skazy litości, ani plamy żalu? —

MASINISSA. Ale też niema czynu, syna ręki twojej. — Dopóki to dziecię w powiciu nicości, dopótyś sam jeszcze nieznany i słaby — w tym samym dniu, o tej samej chwili, staniesz się ty przez dzieło twoje i dzieło twe przez Ciebie samego!

IRYDION. Ah! w tych piersiach coś niepotrzebnego zostawiły Bogi — czuję jad, co podchodzi mi skronie i do ócz się tłoczy. — Niewiasty ten jad nazywają łzami! — Powiedz! wszak ja kiedyś miałem być człowiekiem?

MASINISSA. I jesteś nim właśnie w tej chwili nikczemności. — Ty nie wiesz, że każden z was zdołałby zostać Wszechmocnym myślą własną, nieubłaganą, zażartą — ale Wróg przewidział i zawiesił w łonie waszem serce — bojaźń, ułudę, podłość, którą tulicie, jak niewolniki, którzy przystali na hańbę. — Tem on was rozdwoił i rozrzucił nizko i daleko. — Tem on panuje na długo i żaden go nie strąci, choć każden mógł go strącić!

IRYDION. O kim mówisz? kto mnie nędznym i nieszczęśliwym uczynił? Jednego tylko znam zabójcę wszystkich chwil moich — Rzym się nazywa.

MASINISSA. Jest inny Rzym, który zaginąć nie może! On nie na siedmiu wzgórzach, on na gwiazd milionach oparł stopy swoje! On nie ród ludzki, marny jeden, ale plemion Anielskich wielkich i urodziwych krocie znękał. — Z was wszystkich on ma tylko błaznów, z nich męczenników

i w każdej chwili, jako wy w omamieniu chwalicie, oni w mądrości i piękności swojej o pomstę wołają!

IRYDION. Co ty mi zwiastujesz, ty straszny, niezgłębiony?

MASINISSA. Walkę!

IRYDION. Gdzie? Kiedy?

MASINISSA. Po zgonie Rzymu! — Wszędzie, kędy twój Duch zdoła czuć i myśleć!

IRYDION. Bez końca, bez końca więc?...

MASINISSA. Ja sam cię do niej powiodę — na padole obłąkanych wygrywaj tymczasem dzieje swoje zatrute przez wroga!

Przeciw niemu i Jego służalcom obrócisz kiedyś czoło w pełności rozumu!

IRYDION. A zwycięstwo, czy będzie zwycięstwo? Czy kiedy zdejmę tu, czy na jakiej gwieździe, ciężką zbroję moją? Czy kiedy opuszczę głowę bez oczekiwania, bez niebezpieczeństwa, wolny, ukochany, kochający, szczęśliwy?

MASINISSA. Nie pytaj się przed czasem! — Idź naprzód, panuj zwierzęciu w sobie, naucz się być samotnym na ziemi, jako on jest na szczytach świata; naucz się cierpieć, jak cierpią Duchy potężniejsze od ciebie! — Bo nim dójdziesz tego, na co wyrość możesz, ogień cię przetrawi razy tysiąc, konanie cię przetworzy razy tysiąc, gniew Jego cię odepchnie razy tysiąc. — Będziesz jak fala rzucana pod obłoki i strącana w przepaście — tylko, że ona martwa, ślepa, głucha, a w tobie nieśmiertelne czucie!

IRYDION. Jakibądź nieprzyjaciel mój, przed nim nie uniżę Ducha. — Noc późna — wrócisz jutro rano — jutro pomówimy jeszcze. — Idź teraz — prawda, prawda! nie miałem litości nad siostrą, miałżebym Jej, nieznanej żałować?

MASINISSA. Pamiętaj na słowa moje; bo miną kiedyś narody tej ziemi, ale mój rozum nie przeminie. *(odchodzi)*

IRYDION. *(zrzucając chlamydę)*. Idź — ty mi ciężysz — *(rzuca pierścień)* precz — ty mnie palisz — chciałbym włosy zmieść ze skroni — one mną nie są — one dole-

gają mi. — Gdzie Ja? Irydionie, pokaż mi się! Męczarnio, co żyjesz w głębi łona tego, wynijdź — kto ty jesteś, niech ujrzę, raz niech się dowiem! *(zdejmuje sztylet z nad tarczy)* Powiedz mi, ogniku nocny, modra klingo, czy ty zdołasz wyssać mnie z piersi moich? — ale słyszysz, na zawsze! — Nie, nie, tyś także złudzeniem! — Katon gdzieś się obudził i tam już inny Cezar stał nad nim, trząsając mieczem i kajdany! *(rzuca sztylet i depce)* Kłamco, coś zwiódł tyle dusz cierpiących marną obietnicą nicości — ja urągam się tobie — ja, czy tu, czy tam, niewolnik! ja nie spocznę nigdzie — leż w kurzawie, żmijo fałszu! — *(obciera czoło)* Nieznośnie temu, który zaginąć nie zdoła — który kona wiecznie, a nie skona nigdy! *(stąpa po sali)* Jaka pustynia milczenia i spoczynku. — Jeden ją zalegam nieuśpioną myślą. — Noc mi wieniec z gorączek i trosków na czole złożyła. — Dzięki wam za taką purpurę, Bogi piekielne! *(staje przy posągu)* Ojcze! kiedy spojrzę na rysy twoje, zda mi się, że słyszę obietnicę świętą. — Nieszczęśliwa Hellado! ty mnie przyciśniesz do łona, — Tryumfator pędzi — u kół rydwanu Jego skrępowane Rzymiany — ich czoła pękają za osi gorejących obrotem! Ha! nie dbam o męki nieskończone, byleby dzień ten, jeden dzień taki, czoło mi w laury okwiecił! *(klęka)* Ale czyż i ją mam zgładzić także? Ojcze, daruj Jej — ona nie cierpi, jak my wszyscy, bo ma swoją wiarę i przyszłość nieskończoną. — Dumnych mordować — nędznych tysiące zepchnąć do Erebu — skazaną dobić — ah! to w losach moich wyrytem było — ale szczęśliwą znieważyć, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć! *(porywa się)* Syn Amfilocha gnany jędzami, jak niegdyś Orestes! — *(lampę bierze)* Idźmy zasnąć — błogosławieństwo Larów nad tym domem spoczywa. — — To miasto, to ojczyzna — błogo w niem i lubo — gwiazda pomyślności, znać, świeciła nad kolebką naszą! *(wychodzi)*

DRUGA CZĘŚĆ.

Katakomby — w środku ciemnicy zawieszona lampa. — Dwa Sarkofagi w głębi — od każdego rozchodzą się ulice, ginące w oddali. — Ściany zasute nadgrobkami ułożonemi w piętra. — Biskup Wiktor. — Aleksander Severus w żołnierskim płaszczu z zasuniętym kapturem. —

WIKTOR. Wieki, co przeszły, były dziecinnemi czasami ludzkości. — Im bardziej stworzenie zbliżać się będzie do Stwórcy, tem żarliwszą miłością goreć będzie ku niemu i braciom swoim. — Miecza nikt nie znajdzie na ziemi, ani ręki kata, a ten błogosławiony już dzisiaj, kto uwierzył w przyszłość takową i stał się jej przyśpieszycielem!

ALEKSANDER. O, gdybym mógł w dniu jednym dzieło sprawiedliwości, obietnicę ust twoich, ziemi objawić!

WIKTOR. Synu, nie spodziewaj się tego snu domarzyć, bo każdemu dostała się jedna fala w nieskończoności — pęd jej słabszy lub silniejszy, ale ona płynie dni kilka tylko. — Żyj więc i przemiń, jak reszta braci twoich, ale działaj według światła zlanego na ciebie. — Stań się pocieszycielem, byś mógł kiedyś stać się wybranym na lewicy Chrystusa i patrzeć, jak inni natchnieni kończyć będą przez ciąg wieków, co zacząłeś w pokorze i miłości Ducha.

ALEKSANDER. O! niech błogosławieństwo twoje zleje się na głowę Aleksandra. — Cezar wkrótce nie zaprze się Jego, *(schyla się)* przygotuj ich do zmiany — przyzwy-

czaj ich do imienia mojego, ojcze! — o to cię prosi Mammea. —

WIKTOR. Jak ja ciebie w tej chwili, niech cię kiedyś cały lud twój pobłogosławi i pamięć twoją syny synów ludu twego. — Wstań, pomazańcze Chrystusa!

ALEKSANDER. Słyszę kroki czyjeś — ojcze, w godzinie walki bądź moim dobrym Geniuszem! — *(wychodzi)*

(Przeciwnemi drzwiami wchodzi Irydion w płaszczu Pretoryanina)

IRYDION. Chwała Panu w niebiesiech! *(składa miecz, włócznię i zbroję u wejścia)* broń ziemskich gwałtów niech drzemie u progów mieszkań Jego!

WIKTOR. Czekałem na ciebie, Hieronimie — sługi twoje dziś z rana przynieśli ciało brata ściętego pod mauzoleum Cecylii Metelli. — Tam zgromadzeni wierni z ich rąk je odebrali — pogrzeb Jego przejdzie tędy za chwilę — dzięki ci, Synu! —

IRYDION. Uczyniłem powinność moją. — Teraz przybywam od przysionka Cezarów — na pobladłych rysach Dworzan myśl strachu się zataczała — pretoryanie zamiejscy burzyć się zaczynają przeciwko Imperatorowi. —

WIKTOR. Powierzchnia ziemi odmienia się w swoich pychach, jak barwy morza za lada powiewem — ale to nie powinno mieszać spokojności grobów! — módlmy się w cieniu palmy męczeńskiej, zerwanej przez Atanadora!

IRYDION. Ojcze, dozwól słów kilka jeszcze. — Wszak w twoim ręku przyszłość nasza, wszak jednem skinieniem możesz tysiące nas rzucić na szalę, a gdzie one zaważą, tam będzie zwycięstwo!

WIKTOR. W niewidzialnem królestwie walczyć mogę przeciw książęciu świata modłami i ofiarą, a jeśli wszyscy połączycie się ze mną w obliczu Pana, obiecuję wam zwycięstwo!

IRYDION. Ja mówię teraz o bliższych zapasach, o prędszym tryumfie! Ojcze, cierpiemy jak ludzie, spodziewamy się jak ludzie i posady nam ziemskiej potrzeba. — Dotąd potęga nienawistnych ściskała nas zewsząd, tak, żeśmy woleli umierać, niż kłaniać się rozpuście lub czcić kłamstwo na ziemi. — Lecz dzisiaj to, co gubi narody, stanęło u bram tego miasta — zgrzybiała starość i duma bez granic. — Heliogabal sił nie ma do utrzymania swoich, Aleksander do ustalenia nowych rządów, a resztę sił doniszczą w zbliżającem się starciu — pomiędzy niemi obuma czyż każdy, co uwierzył w Chrystusa, nie radby krzyż wyrwać z wnętrzności ziemi i zatknąć na Forum romanum? — ojcze, widzę chmurę zgrozy na czole twojem. — Daruj, że pałam miłością ku braciom uciśnionym — daruj, żem śmiał ci ogłosić, że nadeszła pora ugodzić w samo serce pogaństwa i Romy!

WIKTOR. Z litością słuchałem słów twoich! Napróżno wodę chrztu wylałem na głowę twoją! Napróżno tłumaczyłem ci świat ducha. — Tyś go nie pojął, nie zrzuciłeś starego człowieka. Tyś w żelazie i ogniu położył nadzieję doczesnego zbawienia. — Ciężkie winy twoje! *(słychać pieśni pogrzebowe)* Czy słyszysz te Hymny, płynące wśród grobów, jak ostatnie szumy burzy, w której Jedyny skronie opuścił i skonał? — Czyż On wzywał na pomoc Aniołów, czyż On wołał o pomstę do ojca? —

IRYDION. A więc nędza i poniżenie naszym działem na zawsze? —

WIKTOR. Mylisz się w hardości twojej, kiedy chwilę czasu nazywasz wiecznością! — Zaprawdę ci mówię, że w tych cmętarzach śpią goście tylko — że nie tylko na progach niebieskich, ale i na płaszczyznach bolu, Miłość przemoże nareście. — Zaprawdę, zaprawdę, ludy pokłon jej oddadzą, i nie będzie Cezara, któryby przed nią nie uderzył czołem. — Czy znasz tę postać? *(wskazuje rzeźbę na sarkofagu)*

IRYDION. Lutnia Helleńska, Ojców moich czworodźwięczne struny. — To Lykaoński Orfeusz! —

WIKTOR. Jako on, podług waszych pamiątek, dzikie rozpieścił zwierzęta, tak Jezus dusze milionów spoi brzmieniem żyjącego słowa — patrząc na tę lutnię ziemską, pojmij roje duchów, pracujące nad światem, i dźwięk u stóp krzyża poczęty, rozlegający się już pomiędzy narodami. — On żyje sobą samym i sił nie czerpa na ziemi! *(znak krzyża kreśli nad czołem)* Uwierz i nie grzesz więcej! — Ostrzegłem cię teraz, jak ojciec rozżalony błędami syna — później, jeśli winę powtórzysz, napomnę cię, jak pasterz trzody, ukaram, jako sędzia ludu!

CHÓR W POBLIŻU. Z głębi przepaści wołamy do ciebie, Panie! —

Duszę zamordowanego weź na łono twoje! —
Daj jej odpoczynek w chwale twojej! —
Ona odlatując przebaczyła katom! —

(Wchodzi orszak, męczennik na marach, głowa ścięta na piersiach spoczywa — mężc w czarnych sukniach z pochodniami — za niemi niewiasty w białych szatach.)

WIKTOR. Podajcie mi znak świadectwa i męki, święty na ziemi i niebie! *(przynoszą mu Prochristum — bierze je i składa na piersiach umarłego)* Własną krew twoją, wylaną za syna człowieka, daję ci do trumny, byś z nią kiedyś zmartwychwstał w dzień sądu. — *(przyklęka i razem wszyscy)* Ty, coś kształt nieszczęśliwych przybrał, by nieszczęśliwych ocalić, złóż z nas złości nasze i wrzuć w głębokość morską wszystkie grzechy nasze — a temu, który zaczął drugą pielgrzymkę — ostatnią, uiść się w prawdzie twojej!

GŁOS DZIEWICY. Daj mu ujrzeć święte oblicze twoje!

INNY GŁOS. Daj mu wiosnę, wiosnę, której nie miał na ziemi. —

IRYDION. A nas wybaw od pokusy zemsty. —

CHÓR. Zemsty?

WIKTOR. Szczęśliwi, którzy umierają dla Pana. — Oni

zwyciężyli przed czasem. *(wznosi ręce nad tłumem)* Powstańcie i zanieście zwłoki do cmętarza Faustyna. *(staje na czele — przechodzą zwolna — Irydion jeden tylko zostaje z tyłu — od orszaku niewiast oddziela się na wyjściu Kornelia Metella)*

KORNELIA. Czemu nie łączysz się z nami?

IRYDION. Tej nocy w innym miejscu być muszę. —

KORNELIA. Gdzie, Hieronimie?

IRYDION. Tam, gdziebyś drżała o zbawienie duszy, choć stamtąd wznidzie chwała ludu twego. —

KORNELIA. Wiem, że się coś strasznego na cmętarzach gotuje. — Widziałam dzisiaj towarzysza twojego, Symeona z Koryntu — przechodząc, trącił mnie i nie obejrzał się i szedł dalej z lwią skórą na barkach, z okiem wbitem w próżnią przestrzeni — w tem oku bunt się palił i srogie natchnienie. — Oh! ja nieszczęśliwa! —

IRYDION. Czemu, Kornelio? przecież sam Pasterz, Ojciec, Sędzia ludu, sam Wiktor codzień powtarza, żeś pierwsza wśród sióstr twoich i że znak wybrania już spoczął na twojem czole. — Czegoż żądać więcej na ziemi?

KORNELIA. Niezwykły to głos twój, bracie!

IRYDION. Zdaje się tobie.

KORNELIA. Ah! czy ty ten sam, z którym klęczałam na cmętarzu Eufemii, którego uczyłam modlitwy mojej — Hieronimie, czy to ty?

IRYDION. Ja, siostro. —

KORNELIA. Modliłam się tyle, pokutowałam tak ciężko dni i nocy tyle!

IRYDION. I zasiądziesz w niebiesiech. — Któżby wątpił, Kornelio?

KORNELIA. O, nie za siebie — nie!

IRYDION. Za kogóż?

KORNELIA. Za jednego z braci moich. —

IRYDION. Za jednego z braci? *(zbliża się do niej)*

KORNELIA. Jaki ty straszny!

IRYDION. Mów prawdę, mów imie Jego, ktokolwiek jest, twoim będzie! — Śpiesz się tylko, niewiasto! — Niedługie chwile nam zostały — czasu nie będzie potem na ślub przed krzyżem, a ja was obojgu połączyć chcę, odesłać gdzie daleko, byście żyli razem — szczęśliwie — na Tebaidzie — mówże! — Ha! ziemska miłość wstąpiła do duszy wybranej!

KORNELIA. Szalejesz!

IRYDION. Imie Jego — tego jednego — tego brata?

KORNELIA. Hieronim! ale ten, co był kiedyś, nie ten, co tak dziko spogląda, co bez zmysłów stoi przede mną. — *Apage* — *Apage!*

IRYDION. Cicha, piękna, szczęśliwa, patrz! terazem spokojny, jak wprzódy —

KORNELIA. Słodki, jak niegdyś?

IRYDION. Pokorny przed tobą —

KORNELIA. Przed Panem! —

IRYDION. U stóp twoich klęknę i będę powtarzał imie Chrystusa —

KORNELIA. Obiecaj, że nie wmieszasz się do nich, że nie wdziejesz zbroi na gwałty świeckie i potępione!

IRYDION. Biedna, ty nie wiesz, co mówisz.

KORNELIA. Nie chcesz?

IRYDION. Ja sam ich powiodę —

KORNELIA. Biada mi! —

IRYDION. Czyś nie słyszała od wielu świętych, że już blizkie czasy? Czy nie pamiętasz słów Jedynego, kiedy odchodząc przyrzekł swoim, że powróci i królować będzie? Czyż ulubieniec Jego na dzikiej Patmos nie powtarzał, że Babylon runie, a sprawiedliwi na gruzach zasiędą?

KORNELIA. Kiedyś, kiedyś, ale nie dzisiaj —

IRYDION. Dziś, siostro, lub nigdy! —

KORNELIA. Wiktor wyklął Eugenesa, który tak myślał i mówił. —

IRYDION. Rzymianie ukrzyżowali Eudora, który tak myślał i mówił. —

KORNELIA. Pójdź do Biskupa, wyspowiadaj się Jemu, zapytaj się go, jak posłuszne dziecię...

IRYDION. Ja dzieckiem tylko być zdołam przy Tobie na chwilę, znikomą jak fala, co nie wróci nigdy. — Za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczyć będę — trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci!

KORNELIA. Bluźnisz!

IRYDION. Nie — ja przeczuwam tryumf Boga twego!

KORNELIA. Czyż on takiego zwycięstwa nauczał? Czyż nie odpuścił wszystkim? Czyż słabych nie ubłogosławił dla ich słabości? — Czyż niewiniątkom nie obiecał królestwa niebios? dlatego, że drobne i ciche? —

IRYDION. Taki był początek — ale dziś, siostro, słabi w siłę wyrośli, niewiniątka stali się mężami!

KORNELIA. Miłosierdzia, miłosierdzia wołam nad nim, o Panie! Ty mu nie dasz przepaść w oczach moich. — Ah! co ja mówię? gdzie jestem? Wszak ślubowałam ci, Panie, całe serce moje. — Jakże tu ponuro — pierwszy raz strach umarłych mnie napada — kto tu jest z nami? *(obziera się)*

IRYDION. Oprzyj się na mnie!

KORNELIA. Tak, tak, ty się nie odejmiesz mojej potędze. — Łaska uwiośni twą duszę. — Ja wiem, żem się urodziła, żeby ciebie zbawić!

IRYDION. Ani ty, ani nikt na ziemi, nie wydrze z piersi moich pragnienia, które je rozdziera. — Gdyby sam Bóg nie wołał na nas, gdyby pomoc świętych nam obiecaną nie była, sam jeden jeszczebym dzieło rozpoczął. — Ostatni raz może mówię do ciebie. — Znasz dzieje Matki mojej, ale ukryte przed tobą wielkie myśli Ojca mego. — Pij kroplami ze mnie gorycz, która mnie pożera. — Słuchaj!

KORNELIA. Ty ostatni raz — ty do mnie mówisz?

IRYDION. Słuchaj! *(Siada u stóp Sarkofagu — ona wyżej opiera się na tym samym grobie)* W trzynastą rocznicę śmierci Grimhildy on nagle zawołał mnie do siebie z rana. — Już od dni kilku bladość złowieszcza kaziła mu lica. »Synu, rzekł, niech zastawią biesiadę w sali Delfickiego Apollina. — Ostatni raz dzisiaj położym się u jednego stołu. — Bóg Matki twojej mnie ściga, nim wejdzie jutrzejsze słońce, opuszczę tę ziemię«. — Strach mnie ogarnął. — Szedłem jego wypełnić rozkazy. — On dzień cały strawił ze Starcem Maurytańskich pustyni. — Głosy ich rozchodziły się, jak ostatni szczęk dogorywającej bitwy — stało się cicho — wyszli oba i stąpali ku sali Festynów!

KORNELIA. Dreszcz, jak łuska gadu, przesuwa się po mnie! —

IRYDION. Siostrę moją przycisnął do łona i odpychał potem zwolna i rzekł: »Co brat ci rozkaże, czynić będziesz dla miłości mojej«. — Do płaczącej słowa już więcej nie przemówił, ale kilka kropel wina rozlał w ofierze i legł i mirtami uwieńczonym puharem pił zdrowie wielkich mężów. — Wyzwoleniec czytał mu Fedona — stu niewolnikom wejść kazał i darował im wolność, a kiedy mu dziękowali: »Jako wasze pęta skruszyłem, pamiętajcie drugim, o ile wam sił stanie, zrywać łańcuchy. — Czyńcie kiedyś, co wam mój syn powie«. — I wstał pogodny, jak wieczór, co zwolna nocą się obwija a jeszcze purpury słońca nie zatracił! *(chwila milczenia)*

Wtedy w najdalszej komnacie pałacu zaczęła się ta noc ostatnia, w której zawiązały się losy moje — wokoło nas jaśniały płomienie trójnogów. — Masinissa rzucał w nie kadzidła — głowa Amfilocha leżała na łonie przyjaciela i stopniami schodziło z niej życie — ale powaga zawsze była jedna, niezachwiana. — Żal przerwanych zamysłów w głębi ducha leżał spętany. — Boleść nadaremno się wysilała. — Jedynym Jej znakiem była wzgarda na ustach — on umierał tak, jak żyją Bogi!

KORNELIA. Widzę, widzę go — ale gdzie anioł stróż Jego w tej chwili?

IRYDION. W tej chwili on tworzył przyszłość, której niegdyś pragnął dla siebie, którą teraz mnie zapisywał. — »Nie uchylisz czoła, nie stracisz wiary w złej godzinie — w dobrej nie przebaczysz, nie zaprzestaniesz, ale przejdziesz po zwłokach zrzuconego, by stojących obalać. — Nie miej smutku ani słabości, bo, jako księżyc na niebie, tak dzieje narodów na ziemi wzrastają, by maleć. — Dziś Roma u stóp widnokręgu, blizko nizin śmierci«. — Tak nauczał, a z milczenia nocy stopniami budziło się życie — a co chwila Bóg mściciel bardziej ciężał nad nim!

Wreście przysiągłem przed Jego świętym obliczem. — On dłoń trzymał na czole mojem — przysiągłem rozkoszy nie mieć — przywiązania nie znać — litości nie słuchać — ale żyć, by niszczyć, dopóki Duch mój się z Ojca Duchem nie połączy!

KORNELIA. Przebacz mu, Panie, on nie wie, co mówi!

IRYDION. Masinissa krew dymiącą wylał z czary na głowę moją i na rękę Jego i pierwszy promień zorzy błysnął na łożu umierającego. — »Hellado moja!« zawołał głosem miłości i spojrzał, jak Tryumfator ubóstwiony zwycięstwem! W tem natchnieniu ustało Jego ziemskie życie. — Kornelio! zemsta dobrem mojem — w zemście żyć muszę i skonać!

KORNELIA. Na kim ty ją chcesz wywrzeć? — Hieronimie, kto Jemu, kto tobie przewinił?

IRYDION. Ci, którzy was przymusili błądzić, skąd uciekają żyjący po złożeniu umarłych! Ci, którzy Boga twojego zelżyli razy tysiąc i, co było w sercach ludzi boskiem, zdeptali na ziemi! — Czy ty wiesz przeszłość? Tłumaczyć ci ją będę, jak Chrystus, wracając z Emaus, pismo nieświadomym. — Stało się pod wieczór świata — zwiędły kwiaty poranku, zgasły ognie młodości na Egejskich wybrzeżach. — Raz jeszcze na północy ozwał się głos wol-

nych — potem wszystko ucichło — wtedy powstał człowiek, który rzekł: »Dawne chwały przywrócę a zniszczę tych, co wszystko zniszczyli«. — Czy ty go potępisz, córo chrześcijan? — On chciał, by cierpiący odrzucił więzy — by ślepy w niewoli przejrzał i poznał progi ojczyste — by głuchy i niemy przemówił rodzinną mową. — Czyż on nie zwiastował powtórnego przyjścia Boga twego? Jan niegdyś samotny, bezbronny, wołał na pustyni, że nadchodzi syn człowieka, ale ten, który umęczon będzie. — Ojciec mój poprzedził Tego, który zwycięży — Tego, co królować będzie, Tego, o którym zwątpiłaś!

KORNELIA. Ja?

IRYDION *(chwytając ją za ramię)*. Boś sądziła, że on tę ziemię zostawi na łup Rzymianom — ty myślałaś, że on krwi waszej niesyty będzie!

KORNELIA. Zgubiony — ah! Panie! a jednak ogień wiekuisty, ogień Cherubów w oczach mu jaśnieje!

IRYDION. Uwierz. — Ty się nie domyślasz, co mnie czeka jutro. — Uwierz — ja wodzem ludu twego. — Uwierz, a Jowisz z Kapitolu runie, by nie powstać więcej. *(słychać kroki)* To Wiktor, to niewierny! — Zostań. — Ja wrócę za chwilę. *(wchodzi w ciemne przejście)*

KORNELIA *(przyklęka)*. Serce biedne, nie moje, nieznane serce, ty, co bijesz tak rozdzierająco, módl się do Chrystusa. — Panie — Panie, odpowiedz słudze twojej!

Od krzyża nigdym oczu nie spuściła ku śmiertelnym twarzom — a teraz, o Panie, dwoje oczu utkwiło mi w pamięci — Jego oczy, Jego, Panie!

I jako prorok, i jako święty, i jako Archanioł, on staje przede mną i mówi, a ja go słucham, Panie! — i chciałabym skonać. *(głowę zniża między ręce)* Zmiłuj się nade mną!

WIKTOR *(wchodzi z orszakiem)*. »Ile razy zbierzecie się w imieniu moim, będę z wami«. — Czemu nie usłuchałaś słów tych dzisiaj? Ciebie i Symeona z Koryntu i innych

wielu nie dojrzało oko moje. — Córko, zostaw ścieżki samotne nieprawym i odwróć się od nich, kiedy za grobami schyleni naradzają się chytrze.

KORNELIA. Ojcze!

WIKTOR. Czy przynajmniej modliłaś się tutaj w uczestnictwie nas wszystkich?

KORNELIA. Modlę się, Ojcze —

WIKTOR. Czy sama tu byłaś?

KORNELIA. Ojcze! sama jestem —

WIKTOR. Drżysz, jak światło gasnące — co tobie się stało, Metello?

KORNELIA. Szukam Boga, Pana mego, i znaleźć go nie mogę. —

WIKTOR. Naiwiększym świętym przydarzały się chwile niepewności. — Znać wtedy, że nieprzyjaciel w pobliżu. — Módl się więc i czuwaj, bo duch skory, ale ciało słabe. *(wychodzi)*

KORNELIA. Ojcze! —

WIKTOR *(odwracając się)*. Co, dziecię moje?

KORNELIA. Czy już blizki poranek?

WIKTOR. Dopiero noc się zaczęła.

KORNELIA. A dzień Sądu czy blizki, ojcze?

WIKTOR. W każdej chwili syn człowieka może nas powołać przed swoje oblicza. — Czy ty co przeczuwasz?

KORNELIA. Nie — tylko słabo mi bardzo — tylko wiedzieć chciałam —

WIKTOR. Dziś jeszcze w Eloimie ofiarę świętą odprawię za ciebie. — Schorzała dusza twoja i ciało zmęczone pokutami — wstań, nie trwoż się, idź zasnąć, córko. — *(wychodzi)*

KORNELIA. Czemu nie zatrzymałam Biskupa! *(Irydion wchodzi)* Słyszę stopy lekkie, stopy kusiciela. *(odwraca się)* Ah! piękny, piękny, jak Anioł! — Wiktorze, Wiktorze!

IRYDION. Nie usłyszy ciebie. —

KORNELIA *(obejmując Sarkofag ramionami)*. Popioły świętych, strzeżcie mnie tej nocy! —

IRYDION. Czego się lękasz?

KORNELIA. Czy nie widzisz, jak ciemno, czy nie czujesz zimna — tak, jak gdyby wszyscy umarli, a nas dwoje tylko zostało — potępionych dwoje? — Oni, reszta, wszyscy w niebiesiech!

IRYDION. Godzina, którą ci opowiedziałem, za twarda na serce twoje!

KORNELIA. Mylisz się. — Wzdychałam do palmy męczeńskiej, a miałabym drżeć przed zwycięstwem Pana mojego! nie, — nie. — Tylko coś rozprzęgło się w duszy mojej, coś mi w głowie się usuwa, coś w sercu pęka, Hieronimie. —

IRYDION. Niewiasta czynów nie potrzebuje, jedną cichą modlitwą zbawiona być może. — Jeśli się nie poczuwa do mocy, niechaj idzie precz ode mnie. — Tu rozdzielą się drogi nasze — będziesz spokojna, jak wprzódy — obaczym się kiedyś, ale nie na ziemi. —

KORNELIA. Prawdę wyrzekłeś — stopy, unieście duszę daleko, daleko. *(usiłuje powstać — Irydion rękę jej podaje)* Ah! przybiłeś mnie na nowo — nie mogę —

IRYDION. Biedna!

KORNELIA. Coś nieśmiertelnego opasało mnie, niewidzialnych ramion dwoje!

IRYDION. Ostatni raz mówię ci: Uciekaj. —

KORNELIA. Nie. — Dopókiś w błędzie śmiertelnym nie wyzionął Ducha, dopótyś bratem moim w obliczu ojca niebieskiego. —

IRYDION. Świadczę się wami, kości umarłych, i tobą, matko Ziemio. — Chciałem ją, ją jedną ocalić! *(przechadza się po ciemnicy)* Tak ojciec mój niegdyś zabił duszę niewinną kapłanki. — Siła dzikiego Fatum zewsząd mnie opasuje. — *(zbliża się do niej)* Kornelio, Kornelio!

KORNELIA. Modlę się za ciebie, klęknij tu przy mnie, zbądź pychy, powtarzaj słowa moje...

IRYDION. Jutro, pojutrze zacznie się moja modlitwa — głośna, siostro, wśród jęków nieprzyjaciół!

GŁOS W POBLIŻU. Hieronimie, do broni! —

IRYDION. Przybywam —

KORNELIA. To on — to Symeon! —

IRYDION. A tam dalej tysiąc podobnych Jemu drży z niecierpliwości i czekają na mnie *(zrywa jej welon)* pryśnij, osłono duszy mojej! *(porywa ją w objęcia)* Usta, zostawcie na tem bladem czole obietnicę lepszego Losu! —

KORNELIA. Ah! wraz z tobą na wieki potępiona jestem! *(mdleje)*

GŁOS. Śpieszaj, śpieszaj!

IRYDION *(biorąc hełm i oręż, potem wraca i nachyla się nad nią)*. Nie, ty nie umarłaś! *(przyciska ją do piersi)* Obudź się na twardym pancerzu męża, obudź się, Kornelio! Masinisso! bądź mi przeklętym, jeśli jej zguby nie odkupisz mi zwycięstwem!

KORNELIA. Kto woła?

IRYDION. Ten, o którym powiedziano, że przyjdzie i pokona dumnych!

KORNELIA. Widzę nareście, widzę ciebie — Ty raczyłeś dotknąć się oblubienicy twojej! — Długo czekałam...

IRYDION. Podnieś głowę — rozedrzyj wzrokiem te sklepienia. —

Tam wybrani śpiewają Hymn tryumfu. — Zmartwychwstań! —

KORNELIA. O Panie! chwała bitew naokoło twarzy twojej — płoniesz cały blaskami żelaza. — Panie, gdzie rany twoje? niech je obleję łzami!

IRYDION *(podnosi ją)*. Jutro, niewiasto, spełnią się przepowiednie o królestwie Krzyża.

KORNELIA. O, nie rozpraszaj się wśród ciemności — oni mówili, że przyjdziesz, a teraz ty mnie nie weźmiesz z sobą! — Ty zapomnisz o służebnicy twojej!

IRYDION. Biedna! powstań — nie płacz — nie rozpaczaj!

KORNELIA. Daj mi zaginąć w chwale twojej! ja już umarłam, o Panie! —

IRYDION *(porywa ją z ziemi)*. Dni kilka jeszcze, niewiasto. — Tymczasem wołaj na braci swoich: »do broni, do broni!« *(odchodzi)*

KORNELIA. Słyszycie ostatnie słowa jego? — On zstąpił drugi raz na ziemię i tą razą miecz w jego prawicy połyska. — Do broni! kości umarłych, żyjący kapłanie, ludu boży, odpowiedźcie! On tak kazał. — Za mną: do broni, do broni! *(ucieka)*

* * *

Inna strona katakomb. — Symeon z Koryntu — obok krucyfiks, księga i trupia głowa.

SYMEON. W dniu jednym świat posiąść, nie ten nędzny, kędy błyszczy złoto i stęka żelazo, ale ten ogromny, ten świat dusz wszystkich, i panować im w imieniu twojem, o Boże! Ah! gdyby morze jasności, ta myśl przede mną rozciągnięta — ku niej płynę w potokach cierpienia i poniżenia, coraz olbrzymiej rozpychając zasępione fale. — O Chrystusie! podbiję ci wszystko, co zowie się ciałem. — Tam w dole będą pustynie, skały, miasta, stamtąd szumią wołania królów i kupców, a duch mój, odbicie twego na ziemi, zawieszony w górze, jednością potęgi ich ściska. — Każe im milczeć lub modlić się, drżeć lub radować się — myśleć lub zasnąć!

IRYDION *(wchodząc)*. Witam cię, synu Hellady, po dwakroć bracie mój!

SYMEON. Wreście nadeszłeś.

IRYDION. Czas jeszcze —

SYMEON. Czy widziałeś Wiktora?

IRYDION. To dziecię stare, które panuje nad nami. — W nim słodycz jest słabością, a słabość staje się uporem —

SYMEON. Zaprawdę ci mówię, że trzoda nie puści się na nieznane pole bez błogosławieństwa pasterza. —

IRYDION. Zwlekajmy do ostatniej chwili — wtedy nagle otoczym go rozpacznemi prośby. — Nieprzygotowanego strach ogarnie lub duch boży oświeci!

SYMEON. Do stóp mu się rzucę — iskra, co pryśnie od mojego serca, duszę mu rozerwie. —

IRYDION. Śpi u niego głęboko dusza — twarz wyschła mu od cnoty — zresztą idźmy zawsze naprzód, nie oglądajmy się nigdy — w tem nasze zbawienie.

SYMEON. Stanie się, jako mówisz. — Czy słyszysz te pomieszane głosy? — gromadzą się, jak im przykazałem, na pograniczu świętych grobów, na szerokich cmętarzach starych pogan.

IRYDION. Ukrzyżowanego, niezemszczonego weź w ręce i nieś przed ich oblicza!

SYMEON *(porywając za krucyfiks)*. O, jakżem był niegdyś małoduszny i ślepy! Wierzyłem, że niesprawiedliwość znosić trzeba, by docierpieć się nieba — *(podnosi czaszkę)* patrz na te zapadłe skronie — w tych załomach jaśniało niegdyś życie życia mego! — Biskup miał złączyć ręce nasze. — Dnia jednego nie dostawało, lecz nocą wpadł Centurion i porwał niewinną do cyrku Flawiana. — Z pod paszczy tygrysa to mi tylko zostało! — I jeszcze długo potem walczyłem z żądzą odporu, jakby z Szatanem, a to był duch żywy, święty, co owładał mną stopniami! *(kładzie czaszkę)* Spoczywaj, niebogal wkrótce z martwych ty powstaniesz dla mnie!

IRYDION. Zemsta więc — i naprzód tam, gdzie brzęczą pszczoły! *(wychodzą)*

* * *

Przestronne lochy. — Cenotafy po ścianach. — Mogiły rozsypane tu i ówdzie. — Zgromadzenie Chrześcijan przy pochodniach.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW. Nieszczęśliwy ten, co urodzon z niewiasty. — Dni jego błahe i znikome — od krzyża ramion odwiązać, od cierniów skroni odchylić nie zdoła. — Ciemności siostrami jego i grobem!

CHÓR STARCÓW. Święty, Święty, Święty, słuszne sądy twoje! Ty przez męki ojców wynosisz przyszłe pokolenia. — Na stosach kości naszych zieloność wiosny i szkarłat potęgi rozwiedziesz synom naszym —

CHÓR MŁODZIEŃCÓW. Zeszlij nam pocieszyciela — niech on stanie na wysokościach, niech karki wyniosłych stopom swoim podściele w równiny. — *(wchodzą Symeon i Irydion)* Witajcie!

SYMEON. W imieniu Ojca, Syna i Ducha, nadzieja niechaj będzie z wami. —

CHÓR STARCÓW. Symeonie, Symeonie! dlaczego ten, co idzie za tobą, co niedawno jeszcze nosił szatę Katechumena, dziś przywdział zbroję? — Naucz go i oświeć, by puklerzem była mu skrucha, a szczera modlitwa jedynym orężem —

SYMEON *(do Irydiona)*. Wstąp na mogiłę — odpowiadaj za siebie. — Ja tymczasem wezwę jeszcze ducha — chwil kilka jeszcze, a stanę się w duchu —

IRYDION. Kto się pyta, niechaj własnej mądrości nie ufa, ale niech spójrzy wokoło i przypomni sobie przepowiedziane dnie klęski, mające zawisnąć nad ziemią!

Czasy milczenia kończą się dzisiaj, bo przebrały się męki sprawiedliwych — w grobach już miejsca nie znaleźć! — Koście umarłych gwałtem nas wypychają ku słodkim błękitom. —

Kto leżał w prochu, niechaj powstaje, kto się weselił nad naszemi głowy, niechaj zadrży — bo przepaście wejdą w górę a wzgórza zapadną w otchłanie!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW. Synu obietnicy, pokój Pana niechaj będzie z tobą!

IRYDION. Pioruny gorejące Pana niechaj będą ze mną i z wami! — Z krzywd waszych stało się moje natchnienie — w łasce Jedynego, Potrójnego, wszczęła się otucha moja — a waszą wolą, moja posetniona siła niechaj wre i woła o pomstę do Boga!

Słuchajcie mnie. — Miasto rozdzieliło się tej nocy — Syn wszeteczeństwa zachwiał się na tronie — Pretoryanie odwrócili serca od niego. — Lud, jak morze niepewne, któremu wiatru się podda, dotąd kołysze się i milczy — ale wnet nań spadną ciężkie wichrów skrzydła, runą weń grady pomieszanych chęci. — Patrzcie! widome ciemności gromadzą się nad stolicą, która morduje proroków i świętych — W całej Azyi powstają Legiony. — Nad Renem burzą się Allemany — Cezar i Aleksander zabierają się do ostatniej rozprawy. — Ten wzywa Mitrę, tamten Statora — a któren zwycięży, zwycięży z przekleństwem Chrystusowi na ustach!

Oto znak wam dany, hasło obiecane — patrzcie, a ujrzycie. — Chciejcie, a będziecie wolnymi!

CHÓR STARCÓW. Kto ci dał władzę i na czole twoim wyrył słowo boże? Gdzie Wiktor, Ojciec wiernych, pasterz namaszczony? Czy on powie o tobie: »On jest Ten, którego Pan wzbudził?«

SYMEON *(wstępując na drugą mogiłę)*. Ja mu świadczę! *(wznosi Krzyż)* Płyńcie, łzy moje, roztwórzcie się, rany piersi moich! — Oto Pan nad wszystkie pychy, Bóg i zwycięzca przybity do progów śmiertelnych. — Wy, którzy nie macie serca, stójcie na miejscu, jak głazy porzucone na ścieżce. — Ja nie dla was mówię. — Wy, co nie pragniecie, by Hierozolima wyszła z toni czasów, starzejcie się i milczcie. — Ja nie do was mówię!

Tych tylko wzywam, dla których on hańbę znosił, pośmiewisko wytrzymał, aż słońce od mąk Jego przesłoniło

się nocą! Od nocy tej straszliwej kto się upomniał o obelgi Syna człowieka? Nikt go nie odział, nikt nie napoił. — Wszystkie narody ziemi jedne po drugich ukrzyżowały go na nowo!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW. Przekleństwo czcicielom Molocha!

IRYDION. Nie wypuszczajcie chwili, która nadlatuje. — Nie patrzcie na nią, jak na skrzydła, co mijają i giną w oddali, jak na błyskawicę, co błyśnie i zamrze w błyśnięciu! Ale wszyscy razem, zgodnie, wyciągnijcie ramiona — objąć ją — przycisnąć do serc waszych, o bracia! — Z niej, drobnej dzisiaj, z niej, co nie powróci nigdy, wydobyć iskrę życia — bo zaprawdę wam ogłaszam, że w niej długie wieki drzemią. — Jeśli je obudzicie, staną się waszemi!

CHÓR STARCÓW. Ogień modlitwy gaśnie w łonie naszem — mgła tajemnicza zsuwa się nad nami — Panie, od pokus zwodziciela wybaw nas, Panie!

IRYDION. To słabość — przez kajdany Ojców waszych, odrzućcie ją — przez stosy Nerona, odrzućcie ją — przez ofiary Cyrku zaklinam was, bądźcie silnemi!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW. Głos twój, jak dźwięk trąby grzmiącej, pędzi nas ku płaszczyznom ziemi — ale drżą nam piersi, włosy powstają na głowie! O Symeonie z Koryntu, odezwij się — mów, czy nie widzisz czego?

SYMEON. Widzę wzrokiem Jana, który przed laty patrzał na Hierozolimę wybranych. — On w grobie śpi wśród nachylonych Aniołów i powstanie dzisiaj lub jutro — wtedy się usunę — a teraz ja prorokuję, ja wołam!

CHÓR. Ścisnęły się zmarszczki czoła jego — Krzyż czarny drży mu w dłoniach, jak gałąź wśród wichrów!

SYMEON. Duch mnie ogarnął, unosi. — Stąpam na zwaliskach miasta — Bożyszcza przewrócone, jak kawały darni — orły złote bez dziobów, bez skrzydeł, na garściach potrzaskanej broni — purpury, jak płótna na łące, obwite niciami pajęczyn — łuny igrają po trupach. —

Rozpuszczone warkocze dziewic, długie szaty Konsulów, Cezarów, porwane wozy znikają w oddali. *(pada na kolana)* O Boże umęczony, natchnij ich dusze, jakeś moją natchnął, i ogień pożerający bitew rozniecć w ich dłoniach! *(wstaje)*

Modlitw waszych spienione fale dopłynęły Niebios. — Dusze zabitych złością synów ludzkich stanęły u ołtarza, co wiekuiście pali się na podnożach tronu. — I ujrzałem tego, który panuje na tronie — przeliczył je wszystkie, a liczba ich dopełniona i zawarta księga świadectwa i śmierci — Głos zagrzmiał: »Odtąd mi świadczyć będziecie życiem i zwycięstwem!«

CHÓR *(przyklękają wszyscy)*. Chrystusie, Chrystusie, wrą nam serca, bo zmartwychwstać chcemy! Nie opuszczaj nas w chwili niepewności! — Daj nam objawienie Sądów Twoich!

IRYDION. Czy się jeszcze pytacie, ludzie małej wiary? Wznieście oczy. — Oto pan wasz kona — oto jeszcze roztwarte usta i ostatnie wołanie: »Czemu opuściłeś mnie, Ojcze!« Bracia, czy my go jeszcze i dzisiaj opuścim?

CHÓR. Nie — Nie —

IRYDION. Ha! *(odwraca się)*

SYMEON. Bledniejesz?

IRYDION. Tam — gdzie zakręcają się sklepienia — tam na samej granicy świateł i ciemności —

JEDEN Z CHÓRU. Ktoś nas podchodzi lekkiemi stopy. —

(Wbiega Metella)

SYMEON. Witaj, Dziewico, poślubiona wiekuistej miłości —

CHOR. Skąd do nas idziesz tak późno, sama, z rozpuszczonym włosem?

(Metella zatrzymuje się przy mogile Irydiona)

SYMEON *(do Irydiona)*. Przemawiaj dalej!

IRYDION *(obracając się do Kornelii)* Czy mnie poznajesz, czy moje słowa pamiętasz?

JEDEN Z TŁUMU. Słyszeliście ten krzyk świętej?

DRUDZY. Straszno, straszno stało się o tej godzinie sercom naszym —

IRYDION. Milczcie, teraz ona mówić zaczyna!

KORNELIA. Objawiłeś się i wyrzekłeś straszne słowo — Odtąd biegnę i wołam — dni i nocy mijają, ja biegnę i wołam — *(odwracając się do ludu)* Do broni, do broni!

IRYDION. Przez ciebie, Masinisso, zwyciężam! *(do ludu)* Dusza niewiasty prędzej od was wszystkich zrozumiała tajemnicę niebios. — Zmyjcie hańbę waszą w krwi bałwochwalców! *(kładzie dłonie na włosach Kornelii)* Stań się żywym głosem chwały przyobiecanej! — Rozderzyj zasłonę czasu przed oczyma ludu!

KORNELIA. W gromy zbrojnego widziałam. — Szedł zdobywając, by zdobywać dalej — i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego!

CHÓR STARCÓW. Czyś miała widzenie i dotąd spoglądasz na jego mdlejące ostatki? Odpowiedz nam, odpowiedz!

KORNELIA. W gromy zbrojnego widzę — Idzie i zdobywa — Nic mu się nie oprze — Strzała jego cięciwy ziemię odmierzy w przelocie — Strachem otoczył się, jak zwojami królewskiego płaszcza, i śmierć blada posuwa się za nim! *(ucieka)*

JEDEN Z CHÓRU. Wśród głów i pochodni, jej włosy podskakują i toną jak fala —

CHÓR. Gdzie lecisz?

KORNELIA. Gdzie światło nie dójdzie, niech mój głos doleci; do broni!

WSZYSCY. Do broni, do broni!

GŁOS KORNELII. Rozstąpcie się, ciemności — martwe skały, zadrżyjcie na świadectwo Panu!

SYMEON. Zniknęła porwana natchnieniem. — Teraz słuchajcie brata mojego, zważajcie na słowa młodzieńca!

IRYDION. Kto przyjdzie do pałacu Amfilocha, kto wymówi, stanąwszy na progu: »Sigurd, syn Grimhildy« ten dostanie miecz i pocisk i szyszak miedziany. — Pamiętajcie: »Sigurd, syn Grimhildy« —

PIERWSZY BARBARZYNIEC. Niegdyś w Chersonezie słynęła Kapłanka —

DRUGI. Imie to Ojcowie nasi powtarzali z drżeniem —

TRZECI. W borach saksonskich przybyli bracia od morza północnego, śpiewali o niej żałobne wspomnienia —

IRYDION. To matka moja, a wy bracia moi! *(schodzi i staje wśród nich)* Dajcie ręce wasze — z błędów wyszliśmy, ale błędy ojców ogniwami synom. — Dziś w imieniu Chrystusa bądźcie mi wiernymi. —

CHÓR BARBARZYŃCOW. Synu Grimhildy, synu ziemi srebrnej, od wolnych ludzi wolne przyrzeczenie i wiara niezłomna! Błękitnooki, długowłosy nie zdradzi ciebie. — Ślubujem tobie ciało nasze, jakośmy duszę poślubili nowemu Bogu!

IRYDION. Wnuk króla mężów dziękuje braciom swoim.

CHÓR BARBARZYŃCÓW. Przed laty Herman zaczął walkę z południowym słoniem. — Święte jego kości spoczywają w czarnych Irminsulu gajach — naprzód, naprzód! Tameśmy, nim duch bezdrożów ujął nas za ramie i wygnał na obszary świata, słyszeli pieśni zwiastujące zgon strasznego Rzymu — naprzód, naprzód! Ty będziesz Hermanem — pod wodzą twoją zdradzieckich Italów zburzymy pałace!

(słychać podziemne huki)

SYMEON. Czemu odzywasz się, ziemio, matko ciał umarłych a nie żyjącego ducha?

IRYDION. Wyrok zapada nad miastem —

CHÓR STARCÓW. Symeonie, Symeonie! czy poznajesz gniewu pańskiego straszliwe odgłosy?

SYMEON. Zaprawdę, gniew pański wam ogłaszam i błogosławię Jemu! — Patrzcie! Podniósł się Wszechmocny i otchłań woła o miłosierdzie do niego! Patrzcie! Dreszcz

bieży po skałach, zrywają się wichry, jak syczące węże — Hosanna — Hosanna! Mogiły bałwochwalców pękają na dwoje. — Dzień zemsty zstępuje wśród burzy!

CHOR MŁODZIEŃCÓW. Hieronimie, dotrzymaj obietnicy — Wola Jedynego objawia się nam —

IRYDION. Skarby moje, waszemi. — Krew moja, waszą do ostatniej kropli — przysięgnijcie tylko krzyż ten zatknąć na szczytach Kapitolu. —

CHÓR STARCÓW. Biada wam — biada —

CHÓR MŁODZIEŃCOW. W imieniu Chrystusa, przysięgamy —

IRYDION. I wprzódy nie odpoczniecie, nie pomodlicie się Jemu, ani ciało Jego pożywać będziecie!

CHÓR. Nie — nie — nie!

CHÓR STARCÓW. Uciekajcie, bezbożni — łamią się filary — ziemia się rozstępuje —

IRYDION. Pod nami tak Rzym padać będzie —

INNI. Strzeżcie waszych pochodni —

SYMEON. Idźcie za mną. — Ten, którego niosę, na rozhuzdanych falach stąpał bezpiecznie —

INNI. Ognia, ognia!

CHÓR BARBARZYŃCÓW. Rwijmy się za pasy z tłumem. — Syny lodów nie zginą tu marnie wśród podrzutów siarczystej, niecierpianej ziemi!

INNI. W tył, nazad — tu ognie buchnęły!

IRYDION. W tę stronę, ku naszym cmętarzom, ku Eloimowi! — Ah, trwoga pomieszała rozumy wasze!

SYMEON. Odparła mnie opoka i jednym rzutem runąłem do stóp twoich —

IRYDION. Oprzyj się na mnie — ten głaz dotąd nie zadrżał ni razu —

SYMEON. Gdzie ci, którzy szli za mną?

IRYDION. Zniknęli. — Nocy takiej nie widziałem nigdy — z tysiąca pochodni ledwo gdzie jeszcze tli się gwiazda jaka —

SYMEON. Zgasła ta, na którąś patrzał. — Ah! i tamta i tamta!

POMIESZANE GŁOSY. Odpuść nam winy nasze — w godzinę śmierci błagamy cię, Panie!

SYMEON. Wyciągnij ramię — zawieś pochodnię nad tym morzem cieniów —

IRYDION. Daremno —

SYMEON. Słyszałeś łoskot, co przydusił głos starców?

IRYDION. Tam odzywają się żyjący — do mnie!

SYMEON. Ale ci, którzy Pana tu błagali przed chwilą?

IRYDION. Pan już o nich pamięta teraz — do mnie, do mnie!

CHÓR BARBARZYŃCÓW. Błądziliśmy naprzemian w ciemnościach i w ogniu — zewsząd odegnały nas pioruny, ale serca nasze biją tak zimno, jak biły przed burzą!

IRYDION. Przytknijcie wasze pochodnie. — Ja was wyprowadzę. — Ja pamiętam drogę —

SYMEON. Ot, głuche gwary się ozwały. — To bracia nasi, co się przedarli ku Eloimowi — za niemi!

GŁOS W ODDALENIU. Pal się, ziemio, na dzień ostatni świata —

IRYDION. Słyszeliście?

CHÓR. Nie traćmy czasu — naprzód!

IRYDION. Uciekajcie!

GŁOS *(bliżej)*. Do broni, do broni!

CHÓR. To ojciec złudzeń, który cię woła na zgubę twoją!

IRYDION. To ona!

SYMEON. Nie puszczę ciebie —

IRYDION *(odpychając go)*. A kto ich wywiedzie, jeśli ja nie wrócę! *(idzie naprzód)* Ojcze! wzywam ciebie, niech się płomienie Erebu ukorzą przede mną!

GŁOS W POBLIŻU. I wieniec mój będzie z gwiazd nieśmiertelnych przy boku twoim —

IRYDION. Chrystusie, Boże jej niebios, ocal nieszczęśliwą! —

(Rozwidnia się — ognie z pod ziemi buchają — wśród nich Kornelia)

CHÓR BARBARZYŃCÓW. Zajaśniał hełm nieustraszonego i utonął w ciemnościach!

SYMEON. Hieronimie —

CHÓR. Sigurdzie — Sigurdzie!

GŁOS IRYDIONA. Śpieszę do was — *(wraca, trzymając Kornelię w objęciach)* Odwróćcie twarze — na dół schylcie pochodnie — tędy, tędy, za mną!

CHÓR *(w oddaleniu)*. Zbaw nas, o synu człowieka, a trzykroć tak zniszczony, trzykroć tak spalony Rzym będzie, wróg ludzi świętych południa i ludzi wolnych północy!

GŁOS WŚRÓD CIEMNOŚCI. Śpijcie, wichry, z popiołami starych czcicieli.

(Nadchodzą słupy ognia, wśród nich Masinissa)

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Patrz! staliśmy się jak lampy cichej świątyni, o my gorejący, o my nieszczęśliwi, ofiary mąk tylu, od wieków tylu!

MASINISSA. Przyjdzie chwila, w której cała ziemia na pastwę oddaną wam będzie — ale na dzisiaj tu koniec drogi waszej — nie pójdziecie dalej!

CHÓR. Zwycięstwo! Do czasu, do czasu tylko żyjem rozpaczą i nocą! I zapytają się duchy niebieskie: »Gdzie ziemia, siostra nasza?« i zapyta się ten, który ją zbawił: »Gdzie oblubienica moja?« a my wytrząśniem pod ich gwiazdy Jej umarłe popioły!

MASINISSA. Zwolna, z cicha, dzieci moje! — Ta chwila w nieśmiertelności waszej, ale tysiąc tysięcy ludzkich pokoleń od niej przegradza was jeszcze!

Wprzód muszą siły swoje styrać — każdą wiarę krwią popierać i ogłosić ją fałszem — każde zaprzeczenie błotem zarzucić i ubóstwić je wreście! — aż doważy się szala ich mierności i dumy, aż siwizna głupstwem się stanie a siła szaleństwem!

CHÓR. I zginą!

MASINISSA. Myśl ich osiądziem — w niej światy tworzyć będziem coraz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni, zamęczym w ich duszach — Uwieńczym ich skronie ognikami wiedzy. — Znikome berła powierzym ich dłoniom. — Wyniesiem ich na samodzierżców ziemi!

CHÓR. I zginą!

MASINISSA *(przechadza się wśród ogniów)*. Wiaro, nadziejo, miłości! Trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych, błogosławieństwa Twego! Nie! — Ty niemi nie zaludnisz spustoszałych przestrzeni, kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych — Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów! — Sama zgasiłaś słońca, które były chwałą twoją!

CHÓR. Niechaj trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe — niechaj pieśni pochwalne u ich stóp konają!

MASINISSA. Tej nocy naszych następców poczęła się zguba. — Jako my niegdyś, tak i oni odpadną od niego!

CHÓR. I przyjdą jeść chleb nasz i mieszkać w ciemnym domu naszym!

MASINISSA. Wrogu! ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierwszej wiosny ziemi! — Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje!

W Imieniu twoim będą zabijać i palić — W Imieniu twoim gnić i milczeć — W Imieniu twoim uciskać — W Imieniu twoim powstawać i burzyć!

Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szałach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!

Na szczytach niebios ten puhar goryczy pić będziesz, dopóki ich nie przeklniesz na wieki. — Na szczytach niebios, wśród potęg twoich, doznasz, co to piekło nasze!

CHÓR. Chwała nam i Temu, co dotąd jaśnieje w ogniu odrzucenia, jak pałał niegdyś tęczami siły! Chwała nam — chwała nam!

MASINISSA. On skazę piorunów zakrył dłonią na czole. — Na dnie przepaści on myśl krzepi na dzień ostatni świata! Chwała Jemu. — A teraz owiończie mnie, ciemności — teraz w milczeniu skonajcie, bracia moi!

TRZECIA CZĘŚĆ.

Namiot w obozie zamiejskich Pretoryanów — Arystommachus i Lucius Tubero na przodzie — W głębi na łożach Aleksander Severus i Ulpianus rozmawiają pocichu — Wchodzi Irydion.

IRYDION. Przybywam, Rzymianie, w imieniu Pana waszego. — Odmówcie wasze skargi — każdą wysłucham i na każdą odpowiem według myśli Cezara —

ARYSTOMMACHUS. Jeśliś był ciekawy zażaleń naszych, trza było do nas zawitać przed rokiem. — Wtedy bylibyśmy rozprawiali z sobą — ale dziś, Greku, kto jął się oręża, ten zapomniał się skarżyć — kto grozi, ten nie odpowiada, ale rozkazuje — Przechodząc widziałeś wszystkich stojących w zbrojach, gotowych do pochodu! Innej odpowiedzi nie otrzymasz ode mnie!

IRYDION. Czy tak samo i Lucius Tubero myśli?

TUBERO. Chociaż mój popędliwy towarzysz lepszy do szeregu niż do mownicy, jednak, Irydionie, do jego słów w tej chwili mało co mam dodać. — Przypomnisz tylko od nas Imperatorowi, żeśmy długo prośby nasze podawali bez żadnego skutku — że obiecanego amfiteatru nie raczył nam wystawić i że należnych nadgród nie rozdał. — Ode mnie przypomnisz Imperatorowi, że ojca mojego do przerznięcia żył sobie w kąpieli, że córkę siostry mojej do połknięcia gorejących żarów przymusił. — Powtórzysz mu imiona Senatorów, których na utratę czci i gardła

w przeciągu trzech lat skazał. — Powiesz mu, że liczyłem niegdyś krocie przyjaciół i krewnych opływających w dostatki — a że dzisiaj nie mam już nikogo — lub że głód rozdziera wnętrzności tych, co pozostali. — Ale za to żyje Eutychian i kilku wyzwoleńców i kilka nałożnic purpurę noszą. — Dodasz wreście, że zhańbił Greczynkę z starożytnego, z uczciwego domu... *(Irydion dobywa tabliczek i stylem pisze na nich)* Co zapisujesz, synu Amfilocha?

IRYDION. Tę chwilę, imie twoje i śmierć twoją. — Teraz ciągnij dalej!

TUBERO. Dzięki ci, Danausie! Jednak oświadcz Panu Twemu, że, jeśli wyda Eutychiana, byśmy go na krzyżu rozbili, i wszystkie skarby swoje, byśmy sobie z nich żołd wypłacili; że, jeśli złoży natychmiast władzę Konsula, Trybuna i Arcykapłana, to go może jeszcze zostawim przy życiu, przy kochance, i odeszlem tam, skąd się do nas przywlókł na wstyd i nieszczęście miasta!

ARYSTOMMACHUS. Niech się tylko śpieszy, bo jutro o świcie u bram Rzymu staniemy — godziną później w pałacu Cezarów!

IRYDION. Czy nic już więcej, przezacni Rzymianie?

ARYSTOMMACHUS *(dobywając miecza)*. To jedno tylko!

TUBERO. Bo tem tylko można się odwdzięczyć w dniu jednym za poniżenie lat kilku!

ARYSTOMMACHUS. Tem tylko przeciąć diadema na skroniach Cezara i wyziębić uśmiech szyderczy na ustach Jego powiernika!

IRYDION. Dobrze mówisz — zgadłeś! — Śmieję się sercem całem, bo slyszę Rzymian, mówiących o jarzmie ze wstrętem, z oburzeniem o hańbie!

Wy, których Ojców na trzodę bydła zamienił Tyberius, wy, których Ojcami gardził Neron, sam pogardzony od kurzawy, na której stąpał, śmiecie wyrzekać na poniżenie! Wy, potomki tych, którzy całą ziemię spodlili! — nie łudźcie się daremnie! — Ród wasz czy dawniej czy później był zawsze świątynią podłości! — Inaczejby pod strumieniami, co z niej wypłynęły, nie była wyschła i Azya i Grecya i świat, jako wielki, jako nieszczęśliwy, aż po Hyrkańskie Syrty i pustynie Jazygów! — Tak, tak, śmieję się, Rzymianie, ale ten śmiech, nie wiecie, co wróży. — *(postępuje kilka kroków naprzód)* Jeśli broni nie złożycie natychmiast — jeśli nie padniecie do nóg Heliogabala — jeśli dziesiątego z pomiędzy siebie nie poświęcicie zemście Jego, biada wam wszystkim! Takie moje zlecenia —

ARYSTOMMACHUS. Precz stąd — wracaj do Syryjczyka! — Niech włosy namaści do biesiady Plutona. —

IRYDION. Z tobą już skończyłem — Dla tamtego mam jeszcze słów kilka. *(zbliża się do Aleksandra)*

ULPIANUS *(do Aleksandra)*. Zbądź go milczeniem pogardy!

ALEKSANDER. Nie mogę!

IRYDION. Brat się przypomina Tobie — zapytuje się, czemuś zniknął w nocy z pałacu Cezarów — wzywa cię nazad i karę śmierci zamienia dla ciebie na karę wygnania —

ALEKSANDER *(porywając się z łoża do Ulpiana)*. Jeszcze raz, nie — pod tem coś się ukrywa — zostaw mnie z nim, proszę ciebie — oddalcie się, przyjaciele. *(wychodzą wszyscy)* Synu Amfilocha, czyż mściwe Bogi rozciągnęły między nami chmurę jaką zwodniczą? Ja nie pojmuję ciebie! — Ty może nie poznajesz Sewera? — Irydionie, ty ślubowałeś przecie Hekatombę Fortunie, która dzień sprawiedliwości rozświeci nad Rzymem? —

IRYDION. I dotąd Bogini to samo przyrzekam. — Gdyby mogła choć jedną chwilę sprawiedliwości mi przynieść, kto wie, możebym przez wdzięczność sam Rzym w Hekatombie poniósł na jej ołtarze!

ALEKSANDER. Synu Amfilocha, nie obrażaj mnie dwuznacznemi słowy — bo winieneś mi wdzięczność za to, że własnym oczom nie dowierzam, choć mi jasno prze-

wrotność twoją wskazują. — Ach! sam nie wiem, czemu ci ufać pragnąłem!

IRYDION. Dzięki moje Sewerowi! Gdyby mnie były Losy stworzyły człowiekiem i serce moje chciały uposażyć błogim darem przyjaciela, byłbym je prosił o ciebie. — Teraz chyba żelaza piersi naszych zetrą się na polu bitwy!

ALEKSANDER. Czas jeszcze — porzuć sprawę Tyrana; wyjrzyj z mgły, którą się otoczyłeś, powiedz mi jedno słowo przywiązania, a nie będę wątpił o wierze twojej! Irydionie, gdzie siostra twoja?

IRYDION. Tam, gdzie ją Fatum przykuło!

ALEKSANDER. Ale ona czysta, jak myśl moja o niej! — Irydionie, wołam na ciebie — Irydionie, zatrzymuję ciebie — ona go nie cierpi — czytałem w jej oczach nieznośne męczarnie — a tybyś miał walczyć w Jego obronie?

IRYDION. Czemu dni twoje tak krótkie, latorośli młoda! Z uniesień twoich ku piękności i cnocie śladu nie zostanie — przejdziesz, jak dźwięk nie słyszany od ludzi, tylko znany Bogom!

ALEKSANDER. Czemu tak żałobnym wzrokiem wpatrujesz się we mnie? Ach! słyszałem, że matka twoja gdzieś, kiedyś, nosiła Boga potężnego w piersiach!

IRYDION. Puścizną dobrego po niegodziwych jest — kara! Synu Mammei, twoja godzina się zbliża!

ALEKSANDER. Ty chcesz mnie przerazić?

IRYDION. Mylisz się, ja ci tylko prawdę ogłaszam. — Jeśli przegrasz, zginiesz z ręki zwycięzcy, jeśli zwyciężysz, z ręki tych, którym za hasło dzisiaj twoje imie służy.

ALEKSANDER. Hańba temu, ktoby się frasował o śmierć przed godziną lub w godzinę śmierci! Bądź co bądź, zostań przy mnie. — Ja Elsinoe wyrwę z paszczy Tygrysa i Rzym na nowo stanie się wiosną siły, zbrojną w nieśmiertelne gromy. — Czemuś się wzdrygnął? Co tak cierpkiego dla ciebie w tych nadziejach moich?

IRYDION. Przypomniałem sobie, że przyszedłem od Cezara po twoją odpowiedź!

ALEKSANDER. Nie wspominaj mi Jego — ale jeżeli jaką iskrę czucia dały ci Bogi, niech ją krzywda siostry i pamięć Ojca teraz na pożar zamieni! Przecie naddziady twoje śpiewali Persom, że zemsta jest rozkoszą Bogów!

IRYDION. Niewinny jesteś — *(ściska mu rękę)* ostatni raz — ostatni, bo oba stoimy nad grobem, i nim trzecia wejdzie zorza, jeden z nas zstąpi do Erebu. *(wychodzi)*

* * *

Sala w pałacu Cezarów w filary, w rzeźby, w kosztowne naczynia — pośrodku ołtarz poświęcony Mitrze — w głębi kurtyna w drogie kamienie, spuszczona od dwóch kolumn złotych — Elsinoe w purpurze cesarskiej — Irydion wchodzi w szyszaku i zbroi —

IRYDION. Gdzie przeklęty?

ELSINOE. Tam, tam ciało Jego leży na fiałkach, dusza na łonie jędz spoczywa. — Wyszłam, by odetchnąć na chwilę!

IRYDION. A nim zasnął, czy mówił o mnie? — czy go przygotowałaś tak, jak przykazałem?

ELSINOE. Przystał na wszystko płacząc i tłukąc się w skronie. — Eutychiana przywołał, rzucił mu się na szyję, za ręce go ściskał, ale jeszcze nie śmiał oznajmić, że ty weźmiesz dowództwo pretorium — powtarzał tylko, iż się spodziewa, że łagodnemi słowy i obietnicami nawrócisz zbuntowanych — mnie się polecał, bym go moim polecała Bogom — potem skoczył i legł wśród kwiatów i tarzał się, jak wąż niespokojny. —

IRYDION. Obudzić go trzeba —

ELSINOE. Chodź za mną. *(idzie i roztwiera kurtynę, za nią widać drzemiącego Heliogabala na stosach róż i fiałków)*

IRYDION. Czekaj, jeszcze te usta rozemknięte coś wymówić mają.

ELSINOE. Przekleństwo im! czy sennym, czy na jawie, czy żyjącym, czy w grobie!

HELIOGABAL. Iry, Iry, czego opuściłeś mnie?

ELSINOE. On marzy o tobie —

HELIOGABAL. Elsi, Elsi moja, czego opuściłaś mnie?

ELSINOE. Ah! córa Grimhildy nigdy twoją nie była!

IRYDION *(dotykając się Heliogabala)*. Imperatorze!

HELIOGABAL. Kto woła — co — gdzie? *(zrywa się)* Ah! to wy! — Ah! to róże moje i kochane trójnogi! *(bierze ich za ręce i kilka kroków idzie naprzód)* Umierałem już, kiedy głos twój mnie wskrzesił!

IRYDION. Cóż tak strasznego widziałeś?

HELIOGABAL. Okropnie mi było. — Zdało mi się w początkach uśpienia, że lud cały i wszystkie narody zdrobniały w karła bezsilnego, spętanego w łańcuchy; moja noga błyszczała na jego włosach, jak muszla przejrzystej białości — Tron mój pałał blaskami Olimpu — Rzym też już płonął naokoło, według obietnicy twojej, i ludzi nigdzie nie było, bo wszystkich żyjących gniotłem jedną stopą moją!

IRYDION. A więc pomyślną wróżbę zesłały ci Bogi!

HELIOGABAL. Słuchaj, słuchaj. — Zdało mi się, że z Mausoleów powstali umarli — powstał Tubero i Lucius Viktor i dwaj Apuleje i inni; wiesz, inni wszyscy — a u widnokręgu nagle ukazał się ojciec mój Karakalla, z głową okręconą żmijami, z ludzkiemi czaszkami w dłoniach, ogromny, zataczający się w popiołach, i zapadł wołając: »O Synu!« — Oni wtedy ku mnie stąpać zaczną — karzeł rozśmiał się i zrzucił nogę moją — Oni idą, idą — Tyś stanął przy mnie, a z drugiej strony ona — Oni idą, patrz, idą togi zarzuciwszy na lewe ramie, w prawym ręku ściskając sztylety. — Wtedy rzekłeś, wydając mnie: »Oto Cezar« i Elsinoe rzekła wydając mnie: »Oto wasz morderca« i sto nagich błyskawic mignęło przed mojemi oczyma — sto rozrzynających gromów ugrzęzło mi w piersiach! *(cofa się i zakrywa oczy)* Znowu on, on, Ojciec mój!

IRYDION. Otrząśnij te ziarna zwodnicze, któremi przelatujący Morfeusz osypał ci zmysły. — Teraz więcej niż kiedykolwiek bądź przytomnym i silnym — bo pretoryanie zerwali z twoją purpurą na zawsze! Aleksander zaprzysiągł nie spocząć, dopóki twoim dyadematem skroni nie opasze!

HELIOGABAL. O, ja nieszczęśliwy! Możeś ty im nie powiedział wszystkiego, nie obiecał przebaczenia i nagród?

IRYDION. Nie złota, ale krwi twojej żądają!

HELIOGABAL *(obejmując ołtarz ramionami)*. O Trójco rozkoszy! O chaldejski Panie!

ELSINOE. Dopóki u nóg Mitry kwilisz, dopótyś w kole niebezpieczeństwa i śmierci. — Módl się do Odyna, a zlecą święte kruki i przemogą nad orłem —

HELIOGABAL. Głos twój, Elsinoe! głos twój niechaj słyszę w ostatniej godzinie — ramiona twoje daj piersiom moim za przepaskę śmiertelną — Ja cię kochałem za życia, choć ty mnie nie cierpiałaś —

ELSINOE. Nie konaj przed zgonem — wstawaj, każ przywołać Eutychiana i straż twoję — Bratu mojemu daj władzę, a on ci da zwycięstwo —

HELIOGABAL *(podnosząc się)*. Ah! gdyby można jeszcze...

IRYDION. Nie — nie, trza grać w koście życia i śmierci na ołtarzu Fortuny! — Dziś w nocy jeszcze miasto zacznie się palić — nie lękaj się — przy tym świetle skonają pieśni na ustach Arystommacha. — Gdzie skarby twoje?

HELIOGABAL. Część przesłałem już do Syryi — reszta pod strażą Eutychiana —

IRYDION. Co zostało, każ rozdać pretoryanom dworu!

EUTYCHIAN *(wbiegając)*. Boski, Boski, źle się nam dziać poczyna! — Lud odpędził żołnierzy od bram Kuryi —

Senatorowie się wcisnęli do Kuryi. — Siedzą i radzą — a o czem, miły Anubisie? O śmierci Boskiego!

IRYDION. Śpiesz się, Cezarze!

HELIOGABAL. Stary przyjacielu, podaj mi rękę. — Tak, dobrze, opieram się na Tobie, jak za dawnych czasów — razem kadziliśmy w świątyniach Mitry, piliśmy razem. — Ah! w przeszłości mojej wszak smaczne bywały papuzie wątróbki i dziewic rozgorzałe usta — a teraz losom przeciwnym ustępujemy razem — miecz swój oddaj Irydionowi — proszę cię — Ty zostaniesz przy mnie, a on będzie prefektem pretorium!

EUTYCHIAN. Kto! ja? oni chcą głowy mojej, on dostojeństwa mego — bez głowy, bez miecza, jakże to będzie? — ja przyprawiłem dla ciebie ostatnią czarę Sylwiusza, a...

HELIOGABAL. Milcz i oddaj!

EUTYCHIAN *(miecz odpasując)*. Greku, nie trudź dziecięcia mojego — ono u lędźwi moich zawsze się hojdało w miedzianej kolebce —

POSŁANIEC *(wbiegając)*. Panie mój, w tej chwili przebrany wyszedłem z Senatu; a kiedym wychodził, już wnosił Kanuleius, żebyś zginął śmiercią Nerona, a brat twój państwo odzierżał!

HELIOGABAL. Ah! ah! ci sami twarze pasowali wczoraj do śladów moich na piasku —

IRYDION. Jeszcze raz: nie lękaj się! — Ty, żołnierzu, przebiegnij dolne piętra i zwołaj co możesz Pretoryanów — niech czekają na mnie w Atrium Domicyana — potem skocz do mojego pałacu. — Tam znajdziesz gotowych Gladyatorów pod wodzą Scypiona — niechaj w tej samej chwili ruszą ku bazylice, w której senat rozpoczął obrady — a przechodząc niech wołają imie moje! *(posłannik wychodzi)* Synu Scaemidy, rozpędzę tych mowców i lud rozepchnę, jak dwie nędzne fale! — Lecz, by Aleksandra zwyciężyć, trza mi czegoś więcej jeszcze!

HELIOGABAL. Mów —

IRYDION. Czasu nie masz ogłosić mnie panem dni kilku przed wojskiem i ludem — pożycz mi pierścienia twego — a kto nań spójrzy, uzna mnie namiestnikiem Cezara i pójdzie za mną, jeśli wierny Tobie.

HELIOGABAL. Czy nie wiesz, że Geniusz państwa na tym kamieniu wyryty? że świętokradcą Imperator, który go cudzym dłoniom powierza?

EUTYCHIAN. Oddaj — proszę cię, oddaj Irydionowi! — Ja zostanę przy tobie, a on będzie Cezarem!

HELIOGABAL. Nie przedrzyźniaj pana twego — patrz na ten żart obosieczny, maczany w jadach Getulskich — przyszła mi chętka zatknąć go w sercu twojem. —

EUTYCHIAN. Złota klinga! złota, sługa twój nie lękał się nigdy —

(Heliogabal rzuca się na niego)

Przepowiedziano w kościele Ozyrysa, że we trzy dni po śmierci Eutychiana Cezar ducha wyzionie —

HELIOGABAL. Co mówisz, przyjacielu? — Ah! podłóż ramie głowie mojej biednej — nie wierz złym językom. — Ja nigdy nie przestałem cię kochać —

EUTYCHIAN. Jak piany Macedończyk starego Klitusa —

IRYDION. Znaku mi potrzeba — znaku —

HELIOGABAL. Precz! — nie oddam ci tych wężów złocistych i tego Boga z dyamentu! — Masz wszystkie moje skarby, czary, jedwabie — dosyć, dosyć — *(odzywają się krzyki z daleka)*

IRYDION. Czy słyszysz początek pieśni tryumfalnej Severa?

ELSINOE. Uczcij i uszanuj syna kapłanki — czyń wolę syna kapłanki!

HELIOGABAL. O Elsi! —

IRYDION. Słyszałeś wyrocznię? — ręka twoja!

HELIOGABAL. Sam zdejm z palca Heliogabala — nie — poczekaj jeszcze chwilę — kiedyś i ja biłem się z Legiami Makryna. — Dzień był rażącej pogody — wóz mój

srebrny toczył się po trupach i włóczniami złotemi ciskałem, promieńmi drugiego słońca! — Dzisiaj ja chcę na nowo... Ah! — czy widzicie nad Trójnogiem? — Ah! teraz za kolumną — On sam i ręką mnie woła — Okręca się purpurą z krwi własnej — Ojcze! *(pada w ręce Eutychiana)* Źle mi, przyjaciele — pierś moja, jak dom porzucony — nie ściskaj mi tak dłoni, Greku — zbrodnia zelżonego Majestatu...

IRYDION. Gdzie siła, tam niechaj będzie i godło! — *(zdziera pierścień)* Idź zasnąć — a kiedy zerwą się płomienie, przyjdę cię obudzić!

HELIOGABAL. Eheu! on teraz Cezarem — prowadź mnie, Eutychianie. — Siądziesz u węzgłowia mego. — Tarczę moją gładzić będziesz. — Wśród pożaru chcę raz jeszcze przejrzeć się w niej. — Ah! słabo, zimno, czarno Heliogabalowi! — Eheu — Eheu! — O Elsinoe!

ELSINOE. Śpieszę za tobą —

EUTYCHIAN. Cny Amfilochidzie! kiedy piasek jeść będziesz i własną krwią popijać, wspomnij o mnie. — Byłem za młodu kucharzem.

(Kurtyna zapada nad nim i Cezarem)

ELSINOE. Stało się. — Szaleństwo mu dałam za ostatniego towarzysza u brzegu wód piekielnych, nad któremi stoi teraz.. — Mów, czy mam jeszcze co wykonać, o bracie, bo dzisiaj w nocy, bo jutro nad rankiem przyjdzie może Pretoryanin — może wcisną się płomienie lub pierś sama nie zechce dalej cierpieć i wzgardzi powietrzem!

IRYDION. Strzeż go, dopóki nie wrócę — wtedy opuścisz skazane progi i pójdziesz za mną —

ELSINOE. A z nim co będzie?

IRYDION. Mało mi zależy na jego śmierci, mało na jego życiu. — To, co nim było, na palcu moim połyska, to, co nim jest, nie warte jednej myśli mojej!

ELSINOE. Jeśli tak, zbliż się do mnie — jeszcze, jeszcze — a teraz czy słyszysz cichy głos mój?

IRYDION. Czego chcesz, siostro? — ręka twoja drży w mojej — bicie serca twego rozlega się na tym pancerzu!

ELSINOE. Niechaj więc zgasną oczy, pod któremi zwiędłam — niech ramiona, co opełzły szyję moją, opadną, jak dwie starte żmije! — Usta, co pierwsze ust moich dotknęły, niech znikną w popiołach!

IRYDION. Na jednym więc stosie o tej samej chwili on i Severus...

ELSINOE. Nie — nie! — Daj mi ostatniej woli dokończyć! — Znam, Irydionie, siłę ręki twojej i dlatego ostatnią prośbę zanoszę do ciebie: oszczędzaj Aleksandra na polu bitwy — nie zarzucaj śmiertelnych cieniów na to greckie czoło! — On jeden się domyślał... Ah! czemu lica odwróciłeś ode mnie?

IRYDION. Nie myśl o nim! On jeden już tylko Romę wydziera z objęć nienawiści mojej — Bogowie pozazdrościli go ludziom — wyrok jego zapadł już oddawna! —

ELSINOE. A więc raz jeszcze siostrę przyciśnij do łona! — czujesz-li, jak to serce pracuje? nim wrócisz, ono pęknie, synu Amfilocha! — Ale pamiętaj — krwi niczyjej Elsinoe nie żądała od ciebie! — Żyjcie wszyscy, wszyscy — i on, Syryjczyk, i on, przemierzły, niech żyje — pod koniec ofiary rąk białych i śnieżnej szaty nie skazi dziewica! — Ah! ona stała długo przed ołtarzem. — Dniem i nocą jej sny, jej żądze, jej wiosna paliła się na zgliszczach! — Patrz! dymy z niej tylko w powietrzu — ale godzina już blizka i ciało się odwiąże, jak koturnu taśmy — wiązka piołunu tylko zostanie na ziemi i duch stanie się cieniem!

GŁOSY ZEWNĄTRZ PAŁACU. Naprzód! przez Fortunę Irydiona Greka!

IRYDION. Precz z niewczesną żałobą, kiedy już Nemezis wieniec zemsty dla nas w każdej ręce trzyma! — Zwycięstwo zstępuje mi w duszę! — W tych szczękach,

w tych wrzaskach hasa życie moje. — Urodziłem się w tej chwili, a ty miałabyś umierać? Bądź raczej szczęśliwą i dumną! — Co twój Ojciec wzywał, o co Bogów ze łzami długie wieki prosiły, zbliża się jak piorun. — Huki grzmotów czy już słyszysz w oddali?

GŁOSY. Irydion, Irydion!

IRYDION. Bądź zdrowa!

ELSINOE. Idź! — Ty bądź szczęśliwym i wielkim — a jeśli kiedy przepływać będziesz po Egejskich wodach, garstkę popiołów moich rzuć na brzegi Chiary!

* * *

Najwyższy Taras pałacu Irydiona otoczony balustradą i posągami Bogów Greckich — Masinissa na krześle z kości słoniowej — z tyłu domownicy, barbarzyńcy, żołnierze Irydiona.

MASINISSA. Patrzcie jeszcze!

PILADES. To pewno, że około bazyliki coś dzieje się teraz — ale co, to chyba Sfinksy odgadną. — Stąd łuk Septimiusa wygląda, jak dziecię na piasku. — Jeden tylko Kapitol jak wielki, tak wielki!

JEDEN Z BARBARZYŃCOW. O dwieście kroków dajcie gałąź leszczyny, a rozedrę ją strzałą po strzale. — Lecz to Forum przeklęte za daleko stoi!

MASINISSA. Choć lat tyle ciąży moim powiekom i słońc różnych tyle psuło mi zrzenice, wzrok mój dalej sięga, ludzie młodzi. — W tej chwili sęp Jego hełmu przesuwa się nad tłumem — przed nim idzie miecz dobyty Scypiona — za nim czarne głowy braci waszych!

DRUGI BARBARZYNIEC. I mnie raz łysnęło się w oczach —

PILADES. Czy wydało mi się, bracia? czy słyszałem jakby konające echo głosów tysiąca?

INNI. Ot! grzmi znowu —

MASINISSA. Nic mu nie będzie — przeszedł i już zniknął w przysionku. — Gladyatorowie usiedli na schodach, a motłoch, jak znużone morze, liże stopy gmachu. — Ho! Verresie —

VERRES. Jestem —

MASINISSA. Wielu masz ludzi pod sobą?

VERRES. Syn Amfilocha powierzył mi niewolników z Sycyonu i rotę Germanów, co od Legii Cysalpińskiej zbiegła do nas wczoraj —

MASINISSA. Jak tylko wejdzie Hesperus, ruszysz z niemi ku Samnickiej bramie. — Tam czekaj, aż slup ognisty wzbije się z wierzchołków, na których rozmawiamy, a wtedy zaczynaj od villi Rupiliusa i pożar rozpuszczając w lewo zmierzaj zawsze ku Forum —

VERRES. Polegaj na mnie, jak na Katylinie!

MASINISSA. Ah! ufam staremu patrycyuszowi, że puhar zemsty wychyli aż do dna.

VERRES. I znów napełni do brzegów —

MASINISSA. Alboinie!

ALBOIN. Czego żąda syn Pustyni?

MASINISSA. Ojciec raczej — gdzie twoi Herule?

ALBOIN. Już wrócili, zatrzymawszy jeden wodociąg za miastem a w mieście fontannę Galby i zdroje Manliusa. —

MASINISSA. W nocy stanowisko twoje będzie u sadzawki Nerona — pamiętaj czynić powinność, na którą przysiągłeś.

ALBOIN. Nie ma co przypominać — wioskę hordy mojej Cesarz Karakalla spalił nad brzegami Renu — mnie kazał służyć i dosłużyłem się wreszcie dzisiejszej nadgrody! Odepchnę żeby ślepego starca z wiadrem, żeby drobne chłopię z rączką wyciągniętą po kroplę wody!

MASINISSA. Dobrze mówisz. — Błogosławieństwo starca nie zaszkodzi Tobie!

VERRES *(do Masinissy)*. Proszę cię, spojrzyj — serce mnie boli z oczekiwania —

MASINISSA. Pusto już wszędzie. — Jeden Scypion tylko leci na koniu —

WSZYSCY. Skąd?
MASINISSA. Od Kuryi Hostylii — teraz jednym skokiem przepadł wśród pałaców —
PILADES. Może panu naszemu trza ruszyć na pomoc —
MASINISSA. Nic nie słyszycie?
WSZYSCY. Nic — nic —
ALBOIN. Jakiś niedobitek dźwięku krąży w uchu mojem —
MASINISSA. Ja wam mówię, że tętnią kopyta. —
VERRES. Coś takiego — coś takiego —
PILADES. Patrzcie! — On, on się wydobył —
VERRES. Teraz obelisk i portyk go przesłoni —
ALBOIN. Jak strzała przebił na wylot świątynię —
MASINISSA. Scypionie!
GŁOS SCYPIONA. Zwycięstwo!
CHÓR. Niech żyje wnuk Afrykanina!
GŁOS SCYPIONA *(na wschodach)*. Nie traćcie czasu — słońce już w kałuży krwi tonie za Tybrem — z lochów wynieść pnie i gałęzie cyprysów i, nim wejdą gwiazdy, stos z nich ułożyć nad domem — *(wchodzi)* Verresie, Masinisso, przyjaciele, niema już Senatu!
PILADES. A pan mój gdzie?
SCYPIO. Udał się do pałacu Cezarów, by straż pretoryańską obejrzyć. — Za chwilę ujrzycie go tutaj! *(do niewolników wchodzących z drzewem i konwiami)* Tu, pośrodku — między Minerwą Ateńską i Dianą z Efezu — a każdą warstwę przysypać korą aloesu, polać zdrojem nafty!
MASINISSA. Lubię głos twój, Lucyuszu! Mów nam, jakoś braci wypędził z siedzeń kurulnych. —
SCYPIO. Irydion samowtór ze mną wszedł do kuryi — Siedzieli spisani Ojcowie, jak za dobrych czasów — posąg Heliogabala leżał na ziemi z głową przy stopach, z rękoma u szyi, a Volero starszy nogą parł mu piersi i przemawiał, udając Katona!
VERRES. Syn kupca!
SCYPIO. Umilkł też, jak Greka zobaczył, bo na czole Greka

noc posępna, jakby noc wieków przeszłych, leżała w tej chwili. — Maxymin Uxor zapytał, jakim prawem znieważamy progi senatu — na to syn Amfilocha oparł się o podstawę filara i, ręce założywszy na meduzie pancerza, rzekł: »Rozejdźcie się i miasto opuśćcie!« Wrzaski zagłuszyły te słowa. — Kapłan Jowisza, Ventidius, krzyczy na Liktorów — inni porywają się z krzeseł i dobywają sztyletów. — Irydion wtedy ozwał się, szydząc mroźnym głosem: »W przybytku, gdzie Ojcowie wasi potępili Grecyę, zhańbię was na zawsze, jeśli mnie nie usłuchacie!« Volero rzucił się z pod mównicy, ale sztylet jego ześliznął się na zbroi Greka, i sam padł u podnóża Kaliguli — na ostrym węgle rozkrojone czoło krwią plusnęło i zemdlał Senator. — Grek nie raczył nawet dobyć miecza, obrócił się ku mnie: »Oddaję ci ich, Scypionie« i klasnął. — Nasi drzwi ze spiżu wyrwali, Liktorów przeparli, runęli do Kuryi — przed ostrzami ich mieczów ustępowali Ojcowie — kto się opierał, ten leży obok Volerona — kto mógł, wyskoczył bocznemi ujściami — uciekając, świadczył się Jowiszem, a ja zwycięstwem pod Zamą, Verresie!
VERRES. Ah! mnie tam nie było!
MASINISSA. Uspokój się — za to dziś w nocy zasiądziesz do lepszej biesiady!
CHÓR. Oto pan nasz idzie — głos jego słyszymy —

(wchodzą Gladyatory — za niemi Irydion)

PILADES. O synu Amfilocha, tyś nam wrócił cały! —
IRYDION. Wstań, dobry mój Piladzie — dzięki tobie!
Ha! stós już wzniesiony, tylko niema całuna z amiantu dla popiołów Romy! — Witajcie mi wszyscy. — Starcze, rozdałeś rozkazy?
MASINISSA. Stało się według życzenia syna mego. —
IRYDION *(siadając przy Masinissie)*. Odpocznijmy chwilę, zdejm mi szyszak, Piladzie — Lucyuszu!

SCYPIO. Słucham, wodzu!

IRYDION. Zważaj pilnie na każde słowo, iżbyś je zapamiętał i strzegł, jak zemsty swojej! — W ogrodach pałacowych stali Pretoryanie w nieładzie i przerażeniu, jedni piani, drudzy bez oręża, inni bez znaków Centuryi swojej. — Dałem im się wykrzyczeć — a kiedy ucichły gwary, wzniósłem rękę moją — na widok pierścienia niebezpieczeństwo grożące pojęli. — Trybuni otoczą mnie i pytają się — krótko przemówiłem — rzezańce Syryjczyka znieśli pełne misy srebra — przysięgi straszne z ust wszystkich zagrzmiały — »aż do ostatniej kropli — aż tchu nie stanie« i inne, na dzisiaj dobre, zgrzybiałe do jutra. Idź więc i obejmij nad niemi czuwanie — uprzedziłem, że przyślę jednego z moich — na znak weź miecz Eutychiana i na pomoc przybierz Gladyatorów Elsinoi. — Trzymaj ich ciągle w oczekiwaniu, mów, że za murami już widać manipule Severa — kiedy jęk w mieście rozlegać się zacznie, mów, że to manipule Severa — kiedy łuna dojdzie ogrodów, mów, że to manipule Severa. — Oni nie wyjdą na spotkanie wściekłych braci swoich — a gdyby nad rankiem nadeszli Zamiejscy, wtedy z początku łudź Aleksandra, wynajduj jakie chcesz warunki, zrywaj je i odnawiaj, dopóki cierpliwości mu stanie — a potem bij się do upadłego. — »Heliogabal i Karakalla« niech będzie twojem hasłem zwodniczem — aż ujrzysz płomienie u szczytów Kapitolu i płomienie na Forum — poznasz wtedy, że syn Amfilocha blizki!

SCYPIO. A gdyby Syryjczyk wyczołgał się z głębin pałacu i chciał pomieszać nam szyki?

IRYDION. Nad Syryjczykiem czuwa siostra moja. — Zresztą szanuj Jego życie do końca, bo Pretoryanie służą nam tylko, dopóki on oddycha. —

SCYPIO. A ty gdzie się udasz?

IRYDION. Może jeszcze w nocy zawitam do ciebie. Teraz śpiesz się — już zmierzch lekkie zagony rozpuścił po niebie. —

(Scypio wychodzi)

I tobie czas odejść, Verresie!

VERRES. Za mną! *(wychodzi z kilkoma)*

IRYDION. I Alboin w jedną drogę z niemi. —

ALBOIN. Do widzenia, Sigurdzie! *(wychodzi)*

IRYDION *(do niewolników)*. Niedługo i wam już trzeba się wybrać. — Lecz pierwej w dolnych perystylach zasiądźcie do przygotowanej biesiady. — Ostatni raz jedzcie i pijcie w domu moim. — Jutro ten dom się rozsypie. — Jutro będziecie zamożni i wolni!

CHÓR NIEWOLNIKÓW. Byłeś ojcem naszym i matką naszą — pożywając chleb z ręki twojej, żyjemy dotąd, a innych po cyrkach i polach nagie świecą kości — Jeśli który nie wróci, nie pytaj się o niego — On zginął dla chwały twojej, błogosławiąc Tobie!

IRYDION. Idźcie, a kiedy stós ten cyprysowy błyśnie, od świątyń, od Termów, od bram miasta, odpowiedźcie mu płomieniem i dymem! —

(wychodzą — on wstaje i opiera się na stosie)

Im bliżej godziny, tem srożej krew moja szaleje. — Czy to nie fałszywe ciemności? Czy odwieczna żądza serca mojego tych gwiazd nie wykłamała przed mojemi oczami? — nie — nie! — Teraz poznaję noc ostatnią Rzymu! — Czy widzisz, Masinisso, jak tam skradają się męże? — W bok czy widzisz tę samotną pochodnię ciągnącą nad wzgórzem ogrodów? — Ah! konie zarżały! to konie Verresa — cicho, cicho, ludzie moi —

MASINISSA. I pod nami dziedzińce zaczynają się wypróżniać — coraz mniej głosów — jedno zdrowie jeszcze wnoszą —

IRYDION. Imie moje rozbiło się o sklepienia —

MASINISSA. Teraz z portyków jedni po drugich schodzą i zgarbieni, milczący, zapadają w ciemnościach —

IRYDION. Wszyscy dotrzymali słowa, wszyscy z domu Amfilocha idą na zgubę Romy — Nazaarenów tylko jeszcze nie widać! — Ale Symeon przysiągł, że o trzeciej godzinie sam ich przyprowadzi do mnie. —

MASINISSA. Niedługo ci czekać — Hesperus stanął już nad Kapitolem i włosy Bereniki z nad gór Sabińskich się wznoszą. —

IRYDION. O nocy! nie skąp mi chmur i wiatrów — przez wieki potem świecić będziesz jasno i cicho nad rozwalinami! Czas mi się ociąga -- czas mi dolega, starcze!

MASINISSA. I mnie także. — Lecz ja czekam dłużej, niż ty, na upadek wroga i czekam w milczeniu. —

IRYDION. Ah! głos twój zdał mi się głosem ojca! — Czyż w tej chwili posąg Amfilocha nie dostanie krwi i żył i bijącego serca? W ciemnościach na tem białem krześle ty mi go przypominasz. *(idzie do niego)* I toga Jego tak samo była zarzucona w dniu śmierci! — Daj ręce obie — wyrzecz nad głową moją słowo opieki, tak, jakby on czynił przed hasłem do boju! —

MASINISSA. Niechaj znak mój będzie na czole Twojem aż do końca wieków! — Przetrwasz z nim koleje, których nie obaczą te gwiazdy!

IRYDION. Miasto całe w płomieniach! — nie — tylko w zrzenicy mojej buchnęły pożary — Gdzie oni? gdzie Chrześcijanie? Coraz czarniej, corąz ciszej w dole — coraz wietrzniej w górze — a ich niema jeszcze!

PILADES *(wchodzi)*. Czy mnie wołasz?

IRYDION. Nie ciebie. — Stój — czy w lochach nie odezwały się szelesty? czy od katakumb nie zbliżają się kroki?

PILADES. Wracam z sali Amfilocha — nigdzie nic nie słyszałem —

IRYDION. Przynieś pochodnię. *(Pilades wychodzi)*. To być nie może — oni za chwilę tu będą!

MASINISSA. A gdyby nie przyszli?

IRYDION. Nie przeklinaj mnie! — Na nich oparta cała moja potęga. — Na ich czele zbiegnę miasto i ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa — Gladyatory i żołnierze moi bez nich nie wystarczą tłumom. — Jeśli mnie zdradzili, zginąłem!

MASINISSA. Dośpiewują Hymnów swoich — bądź cierpliwy, synu!

(Pilades wraca z pochodnią)

IRYDION. Zatknij nad stosem!

Konam, jak Prometeusz w łańcuchach, o chmurę jedną od biesiady Bogów. — Czego ty milczysz? — ozwij się, Masinisso — niech żyje Hellada!

MASINISSA. Milczę, bo godzina naznaczona minęła w tej chwili i każde pióro jej skrzydeł śmiechem przedłużonym szumiało w przelocie. — Teraz nic już nie słychać.—

IRYDION. Wbrew Losom i ludziom niech się stanie wola Ojca mego! *(porywa za pochodnię)* Cześć ziemi Greckiej, cześć! a Ty, potrójna Hekato, przyjm tę ofiarę —

Ha! kto idzie? odpowiedz, czarne widmo! — Jeżeli jesteś moim złym Geniuszem, przyjdź później! Teraz nie wstrzymasz mnie!

POSŁANNIK. Pokój Tobie w imieniu Jezusa Nazareńskiego!

IRYDION. Tak — tak — cóż dalej? gdzie pustelnik? gdzie bracia?

POSŁANNIK. Symeon wzywa ciebie w rozpaczy. — Na progach Eloimu Biskup zatrzymał wszystkich zbrojnych śpieszących ku miastu!

IRYDION. Dzięki ci, sługo świętych — Patrz! zimny jestem — nie zabiję ciebie! *(depce pochodnię)* Ty jedna tylko umieraj! — *(do Masinissy)* Jeśli kto z moich wróci, niechaj siądzie i czeka!

MASINISSA. Jeszcze daleko do zorzy —

PILADES. Panie, panie, szyszak twój!

IRYDION. By zwyciężyć, dość miecza — by zginąć, nie potrzeba hełmu — naprzód, Nazaarenie! *(wychodzą)*

MASINISSA *(wstając i wznosząc ręce)*. O miasto serdeczne moje, błogosławię tobie! O Roma, w cieniu tych ramion bądź spokojnej myśli! — Zbawiona jesteś dla podłości twojej! Zbawiona jesteś dla okrucieństwa twego! Żyj i uciskaj – by ciało zepsuło się w mękach, a duch zwątpił o Bogu! *(znika za stosem)*

* * *

Przybytek Eloimu w katakumbach. — Wiktor na stopniach ołtarza. — Za nim kapłani i starce. — Z jednej strony klęczy Symeon, z drugiej stoi Metella. — Dalej chrześcijanie zbrojni, na kolanach — na ołtarzu kielich święty i krzyż obwisły różami, wśród palących się kadzielnic —

WIKTOR. Jako po tych dymach mdlejących, tak i po was śladu nie będzie na ziemi ni w niebie! O! żeby sen wasz mógł być kamienny, bez wspomnień, bez przebudzenia! Ale w przestworach śmierci wy żyć będziecie tam, gdzie zemsta Pana wiecznym gromem uderza! Wy żyć będziecie na wieki! *(do Symeona)* Uciekaj, jak pierwszy morderca z przed oblicza Jehowy!

SYMEON. Słuchaj mnie raz jeszcze!

WIKTOR. Spojrzyj na tę niewiastę, do której się już nie odzywam, bo ręka sądu spoczywa na jej czole. — Odpowiedz — kto duszę tę zabił a ciału przepuścił, by ono pośmiewiskiem było wśród żyjących? Czy nie poznajesz głosu opętania na tych ustach nieszczęśliwych?

KORNELIA. Czego mnie prześladujecie, kapłani ludu mego?

CHÓR KAPŁANÓW. Milcz, córo buntu! — Ty miałaś być aniołem, ale nie dotrwałaś do końca — potępionaś, potępionaś!

KORNELIA. On wyrzekł nade mną: »Biedna« — On wiedział, że hańbę będę cierpieć za niego! — Ale, o Symeonie, nie wątp — On przyjdzie — ale, bracia, nie odpadajcie od niego — On przyjdzie! Z pośród ogniów mnie wyrwał, kiedy się już kłóciły o ciało moje — z pośród was mnie wybawi — on przyjdzie, on przyjdzie!

SYMEON. Wiktorze, słuchaj mnie raz ostatni — Byłem ci posłuszny zawsze — kto przeciwko mnie świadczyć będzie? Czym dwa razy nie odbył męczeństwa, raz w lochach Antyochii, drugi raz na rynku w Tarsus? Czym lat długich nie pokutował na pustyni? Czym kiedy przełamał zakon lub zgorszył braci moich?

WIKTOR. Gorszysz ich w tej chwili chwaląc się, jak Faryzeusz, przeklęty przez Syna człowieka!

SYMEON. Mówię prawdę. – Kto z was głębiej rozmyślał nad męką Pańską — w kim żarliwszą miłość obudziły wspomnienia Golgothy? Sam Bóg, by świat zbawić, ubrał się w ciało — a my, by świat nauczyć, nie dostaniemże ciała? Dotąd marne duchy z nas! — Gdzie dom, gdzie kościół, gdzie potęga nasza?

WIKTOR. Sofisto koryncki, kogoż ty usiłujesz omamić? »Królestwo moje nie z tego świata«. Czy słyszycie?

SYMEON. Czemu opuściłem moje piaski wrzące! — Tam Niestworzonego kochałem — tu nie cierpię stworzonych!

WIKTOR. Synu!

SYMEON. Głos słyszany po nocach mnie pędzi! — Czyż to marne przeczucia?

WIKTOR. Tyś niedawno jeszcze był wybranem dziecięciem kościoła — a dzisiaj Pana twego chcesz ukrzyżować na nowo —

KORNELIA. Niżej czoła! słyszę odgłos zniebozstąpienia!

(Irydion wchodzi)

On to, z nieśmiertelną młodością na licach! — *(Do stóp mu się rzuca)* Mówiłam im, że ty przyjdziesz, o Panie, Panie!

CHOR KAPŁANÓW. Precz stąd, kacerzu!

WIKTOR. O tej godzinie czara miłosierdzia wysycha w ręku anioła twego —

IRYDION. Krwią Rzymian ją odświeżę. —

Kto przysiągł i nie dotrzymał? Symeon z Koryntu! — Kto się zgarbił do ziemi i oręż z dłoni wypuszcza? Wy, bracia — a w mieście teraz Cezar i Bogi miasta czekają tylko zmartwychwstania świętych, by skonać! — Ha! zostawcie zgrzybiałych na grobach, chodźcie za mną — tam zwycięstwo, tam gwiazdę ujrzycie, jaką widzieli królowie w dniu narodzenia Jezusa! — Tam Archaniołów śpiewy!

SYMEON. Hieronimie, Hieronimie, ku tobie, ku naszym nadziejom wyciągam ramiona!

CHÓR. Proś Wiktora!

IRYDION. Ojcze!

WIKTOR. Dziś Ojca straciłeś w niebiesiech!

IRYDION. Starcze!

WIKTOR. Siwizny mojej nie dożyjesz, bezbożny!

KORNELIA *(do Irydiona)* Daruj mu, Panie! — On nie wie, co czyni — do broni, do broni!

IRYDION. Ty jedna tylko, bo ciebie także opuściły Losy!

WIKTOR. Syny ludu mego, patrzcie! Znak wam dany będzie, abyście żałowali za winy wasze, abyście ocaleli za wdaniem się pasterza waszego!

Ty, pierwsza niegdyś, dziś ostatnia u stołu pańskiego, przybliż się. — Niech moją rękę położę na skroni twojej!

KORNELIA. Dawniej tyś miłował córę Metellów! — Czego chcesz od niej dzisiaj?

WIKTOR *(wznosząc puhar)*. Uniż się przed krwią Pańską!

KORNELIA *(obracając się ku Irydionowi)*. Uniżę się przed Panem!

(Kapłani podają wodę święconą Wiktorowi)

WIKTOR. Duchu święty, w Ojcu i Synu poczęty! to serce obłąkane uczyń na nowo domem twoim!

Tak, jak w godzinę Chrztu, poświęcam skronie twoje, Kornelio!

CHÓR. Czyż sen ogarnia dziewicę, że zawarła powieki i skłoniła głowę?

WIKTOR *(do kapłanów)*. Otoczcie ją — podajcie jej ramiona!

KORNELIA. Do broni!

WIKTOR. Milcz, zły duchu, który przemawiasz jej obłędem! — Znakiem krzyża opasuję ciebie — słowem »Jezus« rozkazuję tobie! — Kłamco, jakiekolwiek imie twoje — jakakolwiek potęga twoja, wynijdź i zniknij!

KORNELIA. W piersiach sto jęków nie moich, sto jęków słyszę!

WIKTOR. Ustąp!

KORNELIA. Ratujcie mnie!

IRYDION. Tu, droga, tu, w objęcia moje!

KORNELIA. Ziemio, rozstąp się — ukryj mnie przed jego wzrokiem śmiertelnym!

IRYDION. Kornelio, ty moja, ty!

KORNELIA. Gdzie ona? nie nazywaj ją tem imieniem! Ona uwierzyła tobie — ona zginęła na wieki! — Ha! śmiechy, śmiechy rozrywają powietrze! czarne widma okrążają ciebie — precz — precz —

IRYDION. Rozstąpcie się! — Oddajcie mi ją — bracia, wyrwijmy dziewicę z rąk katów!

KORNELIA. Czyj to głos? słyszałam go tyle razy! — Ah! ona była prosta i szczera — ona kochała ciebie przed laty — i ty piękny byłeś — tak — i ty mówiłeś jej: »Chwała moja twoją będzie« —

WIKTOR. *Apage Satanas!*

KORNELIA. Nie przybliżaj się, uciekaj ode mnie — czy widzicie te tysiące skrzydeł czarnych nad nim? Gdzie Bóg mój?

WIKTOR *(krzyż jej wskazuje)*. Tu córko!

KORNELIA. Daj go do ust moich. *(krzyż całuje)* Daruj mi, daruj!

WIKTOR. Wyrzekasz się złego ducha?
KORNELIA. Wyrzekam się! — *(pada)* Bracia, on zwiódł ją, on zwiódł was wszystkich!
CHÓR. Czegoś tak zbladła strasznie, czemu powstać nie możesz?
KORNELIA. Sąd Pana dopełnia się nade mną. — Umieram — ale słuchajcie, słuchajcie — Ja w Panu umieram! *(ciśnie się ku stopom Wiktora)* Ojcze, pobłogosław — Ojcze, przyciśnij do łona — Ojcze, obroń konającą — już zimno — już straszno — już nie widzę ciebie!
WIKTOR. Bądź spokojna — żal twój zbawił ciebie!
IRYDION. Oderwij się od tej piersi bez serca — do mnie, do mnie Kornelio!
KORNELIA. Ah! *(obraca się ku niemu)* przebaczam ci, Hieronimie — Hieronimie, módl się do Chrystusa! *(pada)*
WIKTOR. Czy ty słyszysz mnie jeszcze? Córko, odpowiedz — Kornelio!
KORNELIA. Czuję woń rosy i kwiatów. *(umiera)*
CHÓR CHRZEŚCIJAN. Ojcze, wdaj się za nami do Niewidomego! — Co rozwiążesz na ziemi, i tam rozwiązanem będzie. — Ten, który nas uwiódł, sam blednie teraz!
IRYDION. Hańba wam! Czyż słowa niewiasty będą jedyną wiarą waszą? czy na jej rozkaz porwiecie żelazo? czy dlatego, że ją zabili niegodziwi, porzucicie sprawę moją? głuche milczenie — wstyd usta wam zawarł ciężki, ciężki, jak kamień sarkofagu!
SYMEON. Szatę rozdarłem — pchnij mnie! — Sen i życie niech się kończą razem!
IRYDION. Nie odzywaj się do mnie, niewolniku starców! — Ty, coś ją wydał starcom! Ty przeklęty!
WIKTOR. Wyklinam cię z pośród synów ludu mojego — kto się dotknie dłoni twojej, skażon będzie — kto stanie, by słów twoich słuchać, odrzucon będzie! — Idź! — Imie twoje było Hieronim!

(wchodzi posłannik)

CHÓR KAPŁANÓW. Pan z tobą — co nam przynosisz, Julianie?
POSŁANNIK *(klękając przed biskupem)*. Augusta Mammea poleca się modłom waszym, bo w tej chwili syn jej wkroczył do miasta i bój rozpoczął na Forum!
IRYDION. Czas mnie ubiegł — Ludzie mnie zdradzili; *(wyrywa krzyż z pod zbroi i rzuca)* Oddaję wam znak życia wiecznego! — Patrzcie! jak prysł na stopniach ołtarza! Życie, podli!
KILKU BARBARZYŃCÓW. Stój — słowu naszemu wierni idziemy za tobą — Jezus niech nas sądzi potem!
IRYDION. Wołajcie: »Odyn i Grimhilda!« *(odchodzi z niemi)*
WIKTOR. Módlcie się za Aleksandra Severa — on będzie Cezarem.

* * *

Ulica pomników przy murach Rzymu — żołnierze wnoszą rannego Verresa. — W głębi czasem przebiegają uciekający. —

VERRES. Twoja pochodnia dwoi mi się i troi przed oczyma. — Czytaj napis, Greku!
ŻOŁNIERZ *(czyta)*. *Diis manibus Attilii Verris, bis consulis...*
VERRES. Dosyć — złóżcie mnie u stóp pradziada — i mówcie: »dobranoc«, bo choć dzień blizki, nie obaczę słońca!

(Z przeciwnej strony wśród rozwalin pomnika wychodzi Irydion z katakumb. — Za nim zbrojnych kilku)

IRYDION. Zorza ta natrząsa się ze mnie, udając łunę pożaru. — Topory oderwać od pasów, towarzysze! *(Idzie kilka kroków naprzód)* Co wy za jedni, oparci na grobach?
VERRES. Czy śni się umierającemu, czy słyszę głos Irydiona Greka?
IRYDION. Mój własny, Verresie — co się dzieje z tobą?
VERRES. Chodź bliżej — wiesz — pamiętasz, znak miał

być dany — czekałem, jak zgłodniałe zwierzę, i nic, nic nie widziałem, wreście sam zacząłem. — Wyjrzyj za tę piramidę, proszę cię, tam, tam, kłęby dymu jeszcze się wiją na lewo — Rupiliusa udusiłem w popiołach — i lud napadł nas potem i: »Severus niech żyje« zewsząd huczało. Dostałem, co mi kraje wnętrzności — coraz widniej a Roma stoi dotąd — a ja, ostatni z Verresów — ja pod nożycami Parki! *(umiera)*

IRYDION. Tak, ostatni! Darmo go cucicie, Greki moje — zapłacił, co był winien Losom. — Uszykujcie się i wy — Germanie, połączcie się z braćmi, których przyprowadziłem. *(wbiega niewolnik uciekający)* Stój — skąd bieżysz?

NIEWOLNIK. Od Forum romanum — puszczajcie!

IRYDION. Darowałem cię niegdyś siostrze mojej — Tyś mi nieraz śpiewał Homera — wczoraj jeszcze zapinałeś fibulę chlamidy mojej w pałacu Cezarów, a nie poznajesz mnie?

NIEWOLNIK. Ah! szlachetny panie mój!

IRYDION. Co słychać? — nie oszczędzaj mi bolu!

NIEWOLNIK. Źle, źle bardzo, panie mój, bo ledwo kawał nocy ukroczyły gwiazdy, aż tu nagle nie wiedzieć skąd wrzasnęły Legie Severa i hurmem rzucą się na wzgórze Palatynu. — Scypion bronił się wściekle. — Głos jego noc całą słyszałem, gdyby wycie rozjuszonego wilka. — Wiesz, panie, na służbie ja stałem obok komnat Cezara — Eutychian przychodził i odchodził niezmiernie blady — Siostra twoja raz tylko wyszła i rzekła: »Euforion!« — »Czego żądasz, boska Elsinoe?« Ale ona i słowa więcej nie mówiła — odeszła zwolna, piękna, piękna zawsze. — Ale na czole dziwna świeżość, jakby tam już plusnęła fala Styksu. — Zewnątrz krzyk i łoskot coraz większy — Eutychian nie wytrzymał, zawisnął u porfirowego ganku i woła bez zmysłów: »Grek zdradził!« to znowu: »Greczynka zdradziła!«, to: »Imperator chce miasto zburzyć!« i: »darujcie mi, Kwiryty!« Z drugiej strony Arystommacha

słyszę, mówi o nadgrodach, o wspaniałości Aleksandra, a kiedy umilknie, wnet jęki z pod jego miecza, a kiedy odpoczywa, znów ludzi naszych obietnicami — wreście Pretoryanie się zbuntowali — Trybunów i Centuryonów słuchać nie chcą — groźby Scypiona marnie latają w powietrzu — bitwa ustaje w ogrodach — wszyscy razem walą do nas! — Ja wtedy, panie, wszedłem, kędy była siostra twoja, bo przysiągłem był tobie jej bronić. — Cezar leżał z obłąkanym wzrokiem, do dyadematu przypiął był nadusznice Arcykapłana, nóż ofiarniczy w jednej ręce trzymał, w drugiej czarę z trucizną; ale nie mógł się zabić i jęczał, to znów wolno, cicho oddychał, to nucił pieśń rozkoszną, jak gdyby w śnie jakim dziwnym! Ona siedziała opodal na krześle złotem, okolona purpurą, milcząca. — Drzwi pierwsze, drugie, trzecie stęknęły i pękły — kroki, głosy, szczęki bliżej — zastawiłem ją ciałem mojem!

IRYDION. Daj rękę!

NIEWOLNIK. Włóczni dwadzieścia rozdarło zasłonę, która nas od Perystylu dzieliła. — Runęli, wiódł ich Arystommachus, wołając: »Rabujcie, mordujcie!« — Imperator jak tygrys podskoczył w górę i nazad ugrzązł w różach krwią oblany — wtedy przesłonili go żywą ścianą mieczów — ale potem gdzieś ręce jego widziałem — w innem miejscu głowę jego!

IRYDION. A Elsinoe, Elsinoe?

NIEWOLNIK. Źle, źle, panie, bo kiedy wchodził Aleksander Severus, wołając z sił całych: »Kto dotknie się Greczynki, temu nie żyć jutro!» ona sama, odchylając purpurową zasłonę, pchnęła się sztyletem. — Błysk stali i krwi strumienie — to tylko dojrzałem i słów niewiele ostatnich utkwiło mi w pamięci!

IRYDION. Nie zważaj — nie zważaj — kamienną duszę dały mi Bogi!

NIEWOLNIK. »Irydionie, wroga twego nie będę kochała!« i rzekła jeszcze: »Dopełniłam! — Teraz, matko, przyjm

mnie do siebie!« — Wtedy wśród tłoku pchany i odpychany potknąłem się na trupie Eutychiana i uciekać zacząłem. — Po drodze spotkałem Scypiona — on ustępuje z kohortami Cherusków, co jedne przejść nie chciały do Severa — Oto on już idzie, panie!

IRYDION. Słońce, które wschodzisz tak obmierźle, tak jasno, odpowiedz mi, gdzie siostra, biedna siostra moja?

(Odchodzi w bok i opiera się na grobie)

Tam, na zachodzie, opłakana, ostatnia mgła nocy za trzymała się jeszcze nad szczytem Wulkanu! Elsinoe, czy to ty mnie żegnasz? Matka powiadała niegdyś, że cienie lubią się kołysać na czarnych chmurach — Elsinoe!

(Scypio wchodzi z Kohortami i staje przy ciele Verresa)

SCYPIO. Pierwszy z nas zasnąłeś, bracie! skrzepłą rękę niech ci ścisnę jeszcze — *Sit tibi terra levis!*

NIEWOLNIK. Patrz! to on wśród tych kolumbariów stoi i pasuje się z bolem!

SCYPIO. Kto?

NIEWOLNIK. Czy nie widzisz? Syn Amfilocha!

SCYPIO. Ah! wodzu — darmo czekałem na płomienie twoje!

IRYDION. Wiem o tem —

SCYPIO. Fortuna zdradziła nas wszędzie —

IRYDION. Wiem o tem —

SCYPIO. Ulpianus i Tubero gonią za nami — cóż poczniemy?

IRYDION. Czoła ku nim obrócim — krwi rzymskiej, krwi rzymskiej jeszcze trochę, Scypionie!

SCYPIO. Niema słabości w tobie — rozpacz drugim mieczem twoim! Żyj, wodzu, bo takiemi niegdyś byli Patrycyusze Romy. — Mnie lepiej zginąć przy tobie, niż obalić się na Cyrku. — Naprzód!

IRYDION. Za nadzieją precz niechaj idzie pochwa — a ty, rękojeści, przyrośnij do dłoni! — Śmierć Aleksandrowi! naprzód! *(wychodzą)*

CZWARTA CZĘŚC.

Pałac Cezarów — Aleksander Severus, Ulpianus, Dworzanie.

ULPIANUS. I czegóż jeszcze po nim spodziewać się możesz? Czyż zrazu nie zwodził nas mglistą posępnością? Czyż później nie powstał przeciwko nam — jasno, nieubłaganie? a teraz wdałże się w prośby, uznałże cię panem Rzymu? Wczoraj dzień cały walczył z nami, w nocy spalił dwie świątynie, popierając sprawę zgubioną raczej jak Duch nienawistny, niż jak człowiek śmiertelny — bo z przejrzenia Bogów ludzie kochają się w złem dla celów swoich tylko, nie zaś dla miłości złego! — Radą moją: nie mieć żadnej litości — i tak już dosyć łaski twojej, żeś mu ciało siostry odesłał. —

ALEKSANDER. Kiedy z łonem przebitem, wstrzymując jęki, gasła w moich ramionach, przysiągłem, że bratu przebaczę — i duch jej z tą obietnicą odszedł ode mnie —

ULPIANUS. Inni mogą chwalić wspaniałomyślność Cezara — mnie przystało nazwać to słabością tylko. — Juniusa za to uczcili przodki nasze Sprawiedliwego imieniem, że własnym nie przepuścił synom — kto występnym przebacza, ten niewinnych będzie karał kiedyś!

MAMMEA. Trwaj w myśli twojej. — Miłosierdzie jest drugą purpurą królów!

ULPIANUS. I bywa ostatnią!

ALEKSANDER. Konsulu, nie odmienimy postanowienia naszego — na dzisiaj taka wola nasza. — Idź i podaj mu warunki, które ci wskazałem, a jeśli wrócisz z pomyślną wieścią, obrócę się do was wszystkich i, szczęśliwszy od Tytusa: »nie straciłem dnia, rzeknę, przyjaciele moi«.

ULPIANUS. A jeśli wrócę ze wstydem odrzuconej łaski?

ALEKSANDER. Wtedy wolny będę od słowa mego — a ty zaczniesz wywierać sprawiedliwość twoją!

(Ulpianus wychodzi)

* * *

Sala Amfilocha. — Ciało Elsinoi na wzniesionym łożu, w białych szatach, osypane cyprysu gałązkami. — Obok woda lustralna. — Ołtarz po środku sali. — Chór dziewic płaczek. — Pilades — wchodzi Irydion, za nim Gladyatorowie i niewolnicy.

IRYDION. Gdzie Masinissa?

PILADES. Nie widziałem go od chwili, w której i ty po raz ostatni widziałeś go, Panie —

IRYDION. Masinisso!

CHÓR. Masinisso!

IRYDION. Dwa razy sklepienia odpowiedziały za niego. *(siada pod posągiem Ojca)*

PILADES. Starzec zdradził, Panie!

IRYDION. Nie mów tego — *(twarz zakrywa rękoma)* on, przyjaciel Amfilocha, on, przed którym groby pękają, kiedy je zaklnie potęgą słowa! — nie — nie — on wróci — on nie opuści Sigurda. — *(wstaje)* Zgromadziłem was w chwili, kiedy znużone kohorty Rzymian odstępują od walki, byście wyrządzili cześć ostatnią zwłokom siostry mojej. — Ona pierwsza padła ofiarą naszej świętej sprawy — kto mnie poważa, niechaj Jej pamięć szanuje — kto nienawidzi Romy, niechaj Jej wdzięcznym będzie — kto przysiągł zginąć ze mną, niechaj błogosławi Jej cieniom! —

(podnosi kropielnicę cyprysową i rzuca kropel kilka na ciało — wszyscy jedni po drugich przechodzą i to samo czynią)

CHÓR NIEWIAST. Dotąd jeszcze straszny sternik, syn Erebu i Nocy, nie zabrał cię pod czarne żagle. — Dotąd jeszcze, o Elsinoe, błądzisz z tej strony Styksu. — Ale już sztukę złota kładziemy ci w usta, byś okupiła się przewoźnikowi. — Ale już mak i miód kładziemy ci w dłonie, byś uśpiła Cerbera. —

Chwil kilka, a pójdziesz, kędy się wiją roje umarłych, jako dymy ciężkie, jako liście jesienne, pójdziesz ku sądowi Radamanta, ku płaczom i jękom! — *Salve aeternum!*

Ale stopy twoje dotkną się tylko płomieni i znikome, białe, jak skrzydła, uniosą cię dalej. — Zostawisz za sobą miedziane progi Erebu — ognistą, siedem razy w okół Tartaru okręconą rzekę przelecisz i słodkie ujrzysz światło i zielone gaje. — Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju Letejskiego czeka na ciebie i cienie dziewic, co jako ty zniknęły przed czasem, kwiatów ściętych ocalone liście. — Idź — już sztukę złota kładziemy ci w usta — już miód i mak kładziemy ci w dłonie. — *Salve aeternum!*

(wchodzi Euforion) —

IRYDION. Co nowego?

EUFORION. Poseł Cezara i konsul o posłuchanie prosi —

IRYDION. Niech go wpuszczą!

(Ulpianus wchodzi — za nim niosą orły cesarskie).

ULPIANUS. Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj, wrogu, do ciebie przychodzę w poselstwie —

IRYDION. Jako wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpowiem — »do broni!«

ULPIANUS. Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wywróżą — nam przyniosły zwycięstwo...

IRYDION. Zwycięstwo! — czy już zaszedł rydwan na *via sacra?* czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głową

Tryumfatora? Czy kto już spędził Alboina z Wiminalu? czy Scypion ustąpił z Awentynu? Ostatniej nocy, powiedz mi, kto kościół Faustyny, kto bazylikę Emiliusa w popioły rozwiał przed waszemi oczyma?

ULPIANUS. Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć wrzeszcząc i poklaskując. — I wy tak czynicie! Tymczasem Aleksander, jak dziecię swawoląc z pomyślnemi Losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni...

IRYDION. Może zelżonego Majestatu?

ULPIANUS. Czyż jej nie popełniłeś?

IRYDION. Majestat wasz od wczoraj się poczyna, a zbrodnia moja stara, jako serce wolnych — dalej!

ULPIANUS. Imperator żąda, byś stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzódy jednak przysięższ mu na wierność przy dymiących trzewach i co do jednego wydasz wspólników twoich. — Jeśli zgodzisz się na te warunki, on, który cię może okuć w łańcuchy i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni...

IRYDION. Głośniej, mężu konsularny! *(odwraca się do swoich)* Czy słyszycie, ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy, bylebym was, spętanych jak bydlęta, rzucił pod rózgi Liktorów! Cóż mam począć, ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara — wszak miło czołem rozbić się o stopy Jego!

Nieśmiertelne Bogi, wy, które o nas nie dbając drzemiecie na wierzchołkach Olimpu, roześmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mammei hańbę przysyła mi w darze przez usta prawnika swego! *(wstaje i zbliża się do Ulpiana)* Prędzej Skorpion usiądzie, jak niewinny motyl, na dłoni Cezara, prędzej piorun Zeusa prosić się go będzie: »Daj, daj tę chmurę rozedrzeć«, niżli ja broń złożę i wydam braci moich!

ULPIANUS. Nie nalegam na ciebie, dopełniam tylko zleceń tego, który mnie przysłał. — Owszem, bądź ślepy do końca i z garstką złoczyńców dni jeszcze kilka zżymaj się na wielkiem łonie Romy — walcz za pamięć i sławę pana, którego obrałeś sobie na ziemi, a kiedy na czele swoich zasuwać się będziesz w ciemności Tartaru, jeszcze na brzegach Styksu wołaj: »Niech żyje Syryjczyk!« A trójgłowy Cerber wtórować ci będzie!

IRYDION. Takżeś prawdy doszedł, znawco serc ludzkich? — Robak, co wił się po ziemi, proch, co z koturnów moich zlatywał, dłużej mi się ostały w pamięci, niż Jego wspomnienie. — Zapytaj się ich, czy którykolwiek odpowie, że znał Syryjczyka!

CZĘŚĆ CHÓRU. Irydionowi służyliśmy tylko!

INNI. Sigurdowi tylko!

ULPIANUS. A umarła?

IRYDION. Sam ją poświęciłem, ale nie groźbom przemocy, nie obietnicom podłości! Nie obrażaj śpiącej, która się już nigdy nie przebudzi! — Ona czystszą była pod tchnieniem Tyrana, niż wszystkie wasze matki i córy!

ULPIANUS. Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

IRYDION. Długie to dzieje, starcze!

ULPIANUS. Aleksander Severus łaskawym był zawsze na ciebie —

IRYDION. On też drobną cząstką tylko nienawiści mojej —

ULPIANUS. Mów więc, kto wrogiem twoim?

IRYDION. Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedzcie, o bracia, kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu i przymusił stąpać ścieżkami ciemności? — kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamie pragnienia i głodu? — kto w latach późniejszych nie dał wam ukochać niewiasty i zasiąść w świetle domowego ogniska?

CHÓR. Roma!

IRYDION. Kto, sam śmiertelny, w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył najsłodsze nadzieje? — kto pochwalił syna Mitrydata, kiedy rękę podnosił na starego ojca? — kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny swoje? — kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

CHÓR. Roma!

IRYDION. I nektarem z łez i nektarem z krwi upił się, jako Bóg piekieł?

CHÓR. Roma — Roma!

IRYDION. Słyszałeś? wiesz teraz, czem jestem?

ULPIANUS. Szaleńcem! To miasto od pierwszych dni swoich żyło uśmiechami Bogów. — Ono było drugiem Fatum świata! — Czy nie wiesz, że Fortuna, jak niewolnica, niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem Jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię, że co było upartych i wściekłych, zniknęło z powierzchni ziemi? A ty się porwałeś, szczupły siłą, mierny zasobami, niedojrzały wiekiem, by zniszczyć Boga, którego pioruny grzmią nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów!

Stąd widzę miejsce, na którem głowa twoja padnie pod cięciem Liktora!

IRYDION. Wprzódy jeszcze pocisk Cymbra utknie w sercu twojem, topór Cheruska rozetnie pancerz Arystommacha, wprzódy jeszcze Lucyuszowi Tubero niezłomnej obietnicy dotrzymam!

CHÓR. Wprzódy jeszcze za każdą krzywdę naszą czaszkę krwi wychylim — a potem, potem przyjdą nasi dziedzice i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziem!

ULPIANUS. Bezpotomni jesteście, ostatni z rodu waszego! — Tylko szał i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym wzgórzom —

IRYDION. I na nim będzie napis pogrzebowy Romy!

ULPIANUS. Słaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego, co mądrze i święcie opatrzyły nieśmiertelne wyroki! I komuż berło oddać miały, jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może przedanej Afryce, może rozwiązłej Seleucyi, lub igrającej, śpiewającej Helladzie? nie — tam potęga się urodziła, gdzie lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole, zamiast wianka mirtu, sprzęgały się twardej

miedzi blachy, a w duszach mężów nie było rytmu, ni swawoli — jedno była wola, jako otchłań wrzącej siły, i nad nią rozsądku powaga, niezachwianego opieka rozumu!

IRYDION. Słyszeli męczennicy narodów o rozsądku waszym! — Geniusz Romy z tem słowem na czole stanął u progów Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, podchlebiał i łudził, aż z pod zgrzybiałej ręki wyrwał zapisy Pergamu!

Z tem słowem na czole podniósł się wśród Istmijskich igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecyi! Z tem słowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał! —

A kiedy kto uwierzył Jemu, kiedy nieszczęśliwy przystał na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia i chwały po zgonie, on wtedy śmiejąc się wołał: »Rozsądny jesteś!« i nogą spychał go z Tarpejskiej skały!

Prawdęś wyrzekł — nie — nigdy Hellada takim nie spodliła się rozumem! — Jej życie nie było rachubą, Jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach! — Syn Latony zamieszkał w niej i opromienił ją dokoła — na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało Jej czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp Jej były zakochanem podnożem! Zemsta, zemsta za nią!

ULPIANUS. Pojrzyj na ramiona naszej potęgi — wśród gromów ich pędu sława Aten, imie Sparty i Koryntu jak brzęki pszczół giną w oddali! — One coraz sięgać będą dalej — od wschodu na zachód, one spocząć nie mogą, aż światu całemu stanie się na imie — Roma!

IRYDION. Ah! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzielenić po brzegach, by koście ofiar i łupy kościołów i miecze, wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz, że ród bez czci i ducha przyuczysz do sił straconych i roześlesz po wieńce Laurowe! Ty i Cezar twój błogo marzycie — jak starcy, czekający na dzień odmłodnienia, a dzień ten będzie śmiercią waszą —

ULPIANUS. Wodzu pożarników, tchnienie twoje kala powietrze cnotliwym! Zbrodnia goreje na czole twojem, opuszczonem od Bogów! Na jego widok stare lata moje się wzdrygnęły!

IRYDION. Ojcze, Ojcze! patrz! Rzymianin usłyszał mowę wolnych i oburzył się cały! Konsulu, odpowiedz mi jeszcze! Cóżeście uczynili ze światem, od kiedy Bogi złego oddały go w wasze ręce? Stoją łuki tryumfalne i bite drogi Aedylów, na głazach zapisaliście się krwią i potem umierających! — Ah! kiedy ziemia staczała się w wasze objęcia, jak złudzona niewiasta, kołysały się nad nią dumania Platona i skrzydła Kartagi lśniły się od Gadesu po *ultima Thule!* A teraz co? odpowiedz mi, Konsulu! — w lochach Nazaarenów słabowite westchnienia — tu i owdzie Stoików obłąkane cienie i kilka słów Aureliusa wśród żałobnego jęku boleści! Gdzie bujniej od dnia klęski naszej porosły oliwne gałązki? gdzie pieszczoną pieśnią, gdzie nauką mądrości ukołysały przodki twoje żale podbitych?

O, wiem! August zawarł podwoje Janusa — o zmierzchu życia, grały mu lutnie przedajnemi struny — wtedy milczące pustynie, grodów na piasek rozemlone gruzy, on nazwał ciszą swoją i na mogiłach plemion rzekliście wszyscy: »Pokój synom ludzkim!« —

ULPIANUS. Jako Ojciec rodziny dzieci, jako Patrycyusz Plebejów, jako pan niewolników, tak my, kwiryty, prowincye dostali w podziele. — Żelazem zdobyliśmy ziemię i prawo żelaza nad nią zawieszone trzymamy!

IRYDION. Bogdajbyście łatwowiernych nigdy nie byli zwodzili tem słowem! — Odwróć się ku bitnym Legiom Rzeczypospolitej — czy widzisz, jak pierzchają przed słoniami Pirrusa, jak korzą się pod widłami Samnitów, jak żniwem kładą się na brzegach Trazymenu, jak w Hiszpańskich wąwozach wołają miłosierdzia i wody, jak w lasach Hercyńskich zbladłe klękają pod nożem ofiary? — Nie lotnym gromem Aleksandra, nie krótkim mieczem waszym, ale

czarą trucizny, ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi, ale obłudną radą, ale pobratymstwem zdrajców dopełzaliście się potęgi! — I orzeł Romy wylągł się na bagnach, nie na szczytach gór!

ULPIANUS. Darmo wołasz, bluźnierco! — niewzruszona opoka, na której zgrzytasz, nie słyszy ciebie!

Odrzuciłeś więc miłosierdzie pana twego?

IRYDION. Kto panem moim? na ziemi nie znałem go — za stósem, jak stada drapieżnych ptaków, krążą Geniusze śmierci — oni mi powiedzą, czyj poddany jestem! Ale tu miałem wrogów tylko i braci kilku, co mi wierni służyli — i jedną chwilę boską — krótką, jak szczęk mieczów, co prysną odrazu, ale świętą, świętą na wieki!

Nikt z was jej nie podzielił, Towarzysze! Ona mną, Ja nią byłem cały — pochodnia zemsty gorzała w tym ręku — Miasto poświęcone u stóp moich leżało, tuląc się coraz ciszej pod zawoje nocy. Ah! Nemezis — *(opiera się na posągu Amfilocha).*

ULPIANUS. Zbladłeś!

IRYDION. Całej krwi waszej zabrakło licom moim!

ULPIANUS. Wróżbą ostrzegły cię Bogi. — Ja raz ostatni z urzędu mojego przypominam ci, że wyrok zapada nad tobą. — Czas jeszcze przebłagać Cezara — Roma przebacza pokornym!

IRYDION. Takążeś naukę z słów moich wyciągnął? Nie odchodź — zatrzymaj się jeszcze!

Euforion, podaj mi poświęconą czarę —

Amfilocha śnieżną pianę Lesbijską wylewam na stopy twoje — przyjm pierwiosnki zgonu mojego — pijcie teraz, bracia, jak męże Leonidasa przed śmiertelnym świtem! Pijcie i bądźcie wolni od złej myśli! *(Zbliża się do ołtarza palącego się między posągiem a ciałem)*

Znak opiekuńczy państwa, błogosławiony wróżbą Augurów i Westalek pieniem, znak od senatu powierzony Cezarowi, tobie, Ojcze, poświęcam i tobie, Hellado matko!

ULPIANUS. Nie dopuśćcie zbrodni — wstrzymajcie świętokradcę —
Jeśli jest tu jaki obywatel rzymski, niech głos mój usłucha — życie wam darowane będzie, przysięgam na Statora i Kwiryna! Stój, zuchwalcze — w tym pierścieniu zapisane imie tajemnicze Romy!

IRYDION. Słyszeliście, bracia! *(rzuca pierścień do zgliszczów)*

CHÓR. Euge! Euge! Rzymianin togę zarzucił na lica, pierś Jego wzdęła się żalem i nie śmie spojrzeć na oblicza nasze!

IRYDION. Nim usta moje zawrą się na wieki, ostatnią wolę moją opowiedzieć chcę. — Słuchajcie mnie i przeklinajcie miasto!

CHOR. Patrzcie! odblysk-li to żaru, czy promień, zesłany od Bogów, tak wspaniale osrebrzył mu lica?

IRYDION. Biada zwycięzcom! — Jako nas chcieli spodlić, tak im podłość narzucona będzie — i dziecię urodzone w Rzymie i starzec konający w Rzymie i mąż dojrzały, jedno miano będą nosili — Niewolnik!

CHÓR. Niewolnik!

IRYDION. O Fatum przedwieczne! z nad głowy Bogów wtedy ty podniesiesz stopy i zejdziesz ku dolnym przestworom i niżej jeszcze, ku siedmiu wzgórzom, i będziesz jędzą ich skonu — by one, co wszystko zniszczyły, umierały w obliczu Ciebie, któryś wszystko stworzył!

CHÓR. Ród ich przepadnie, język ich niech zatracon będzie —

IRYDION. Ale niech sława o nich żyje w późne wieki — niech powieść o ucisku będzie ich nadgrobkiem! — niech go ludzie potomni czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje aż do końca świata!

CHÓR. Świata!

IRYDION. Przeszedł czas modlitwy, zgasł płomień ołtarza i skonał Bóg Romy! Konsulu, możesz podnieść oczy —

ULPIANUS. Złamałeś ustawy ludzi i znieważyłeś obrzędy święte — obyczajem przodków wyjmuję cię z pod opieki prawa, zabraniam ci udziału ognia i wody! Za głowę twoję obiecuję wolność niewolnikowi, wolnemu posąg przy Rostrach i miejsce obok Konsulów w Cyrku —
Bezbożni, czekam na was u progów Mammertyńskiego więzienia! — Skazani, czekam na was u stóp Tarpejskiej skały!

IRYDION. Nikt z nich ręki nie podniesie na mnie. — Idź, starcze. — Gniew siwej nie przystoi głowie. *(Ulpianus wychodzi)* Stós twój już gotowy, Siostro — nieście ją i *ultimum vale* powtarzajcie za mną!

* * *

Noc miesięczna — Świątynia Wenery naprzeciw Amfiteatru Flawiana — na schodach Pretoryanie i Lucius Tubero.

TUBERO. Co znaczy, że dotąd Arystommachus nie dał znać o sobie? Noc ledwie zapadała, kiedyśmy się rozłączali, a teraz już księżyc depce wierzchołki Amfiteatru. — Spokojność arkad, przełamanych w te długie cienie, dolega mi, nie wiem sam, czemu. — Chłodny powiew spieki moim licom przydaje, a jednak rozpaczniejsze widziałem sprawy bez oczekiwania, bez niecierpliwości. — Duszo, niewolnico Lucyusza, czemu dzisiaj buntujesz się przeciw panu twemu? *(przechadza się zwolna)* Słyszałem od ludzi, że pod koniec żywota Duch sam siebie ostrzega dziwnemi niespokojności. — Tak Brutusowi w wilią przegranej, tak Ottonowi pod Bedriakiem, wieszcze znaki się objawiły. — Diespiter! nie w porę dziś umierać Lucyuszowi Tubero! już młodzieniec na mojej starej cnocie polega. — Ja tylko i Ulpianus drugi wędzidło trzymamy — a gdyby prawnik padł od Germańskiej strzały lub pod ręką Amfilochida, wtedy... Któż mi odpowiada? nie — to w lochach Cyrku lew się przebudził i ryknął — a teraz

co innego — pomieszane głosy, rżenia, łoskoty! przez Kastora, kto idzie?

(Zbrojni wbiegają w nieładzie — za niemi Arystommachus)

ARYSTOMMACHUS. Na pomoc!

TUBERO. Hańba! Cezar czeka na Forum, byś mu Greka przyprowadził w łańcuchach, a ty przed nim uciekasz!

ARYSTOMMACHUS. Kto mówi, że Arystommachus się przeląkł, ten kłamie, choćby był Ojcem ludzi i Bogów. — Sam dwóch Centurionów tą włócznią przebiłem, kiedy od pałającej twarzy Greka odwracali oczy —

TUBERO. Skądże ta przemoc Jego niespodziana? — Czyż posiał kły smoka i świeże z nich męże wyrosły?

ARYSTOMMACHUS. Goni ostatkiem, ale wściekle goni. — Szliśmy jeszcze pochyłością Wiminalu, kiedy on pierwszy zaczął i od przysionków pałacu spłynął, jak lawa, paląc ciskanemi pochodniami, rozognionemi strzały, kipiącą naftą. — Trzy razy zwarłem się z nim — z pod miecza mego i z nad tarczy Jego sypnęły się iskry, jak z kuźni Cyklopa — trzy razy rozparły nas tłumy!

TUBERO. Idźmy! zdarte z szyi Greka łupy ślubuję zawiesić w twoim kościele, o Marspiter!

ARYSTOMMACHUS. Ściągnij pancerz — dwie łuski pękły ci w tej chwili nad sercem —

TUBERO. *Dii, avertite omen!*

(wychodzą)

MASINISSA. *(na schodach świątyni)*. Ptaki nocne, karmione krwią Areny, splatajcie się w wieniec nade mną!

Zgrzybiała ruino Wulkanu, ty przemarzona od ludzi na gwiazdę czystości i wdzięku, dosyłaj mi bladych promieni!

Ziemio, daj, co się należy — powietrze, daj, co mi winne jesteś — bym karmił się krwią i jadem, jak niegdyś wiekuistemi ogniami Eteru!

Jeszcze noc jedna i ranek jeden, a ja i syn mój opuścim te strony!

CHÓR Z WNĘTRZA ŚWIĄTYNI. Piękne, lubieżne witają Pana! nad hełmami tańcując, krwią z ran ludzkich odświeżyłyśmy lica i puklerz syna twego był zwierciadłem naszem!

Piękne, lubieżne ostrzegają Pana! — Z gwiazdą Oriona wszedł Duch tajemniczy, strumieniem kołujący w błękitach, i wszystkie ciche drgania i wszystkie smętne fale swoje zebrał wokoło Irydiona duszy — przelatując, spotkałyśmy się z jego nurtem!

MASINISSA. A syn mój czy zważał na podszepty ducha?

CHÓR. Ile razy ta myśl bez głosu dotknęła mu serce, bladł i mieczem błądził po zbrojach i nie łamał żadnej — w przerwach bił się, jak anioł strącony — śpiesz się — śpiesz się do niego!

MASINISSA. Mdłe dusze świętych niewiast, z tamtej strony grobu wracające westchnienia, nie wydrzecie mnie go! — nie do złotych harf przyuczałem mu tak długo palce, nie do pieśni pochwalnych skręcałem mu usta! *(znika)*

* * *

Forum — przy pochodniach Aleksander Severus na krześle kurulnym. — Obok stoi Ulpianus — z tyłu straż z złotemi orłami — Arystommachus wchodzi — za nim prowadzą rannego Scypiona.

ARYSTOMMACHUS. Boski Imperatorze, już w tej chwili Tubero musiał schwytać Greka. — Ja w bok się udałem i rozpocząłem bitwę z Cheruskami, którzy stali pod wodzą tego człowieka na drugiej pochyłości Wiminalu — pchałem ich ostrzami mieczów, aż zaczęli krzyczeć: »Niech żyje Cezar Severus!« i kląć się na wszystkie Bogi północy, że jakiś szał ich opętał po śmierci Heliogabala. —

Ten człowiek dwóm czy trzem wtedy zawarł usta pugi- nałem, ale wnet hurmem wszyscy przeszli do nas. —

ALEKSANDER. Dzięki nasze walecznemu Arystommachowi—

ARYSTOMMACHUS. Teraz nazad do Tuberona. *(wychodzi)*

ULPIANUS. Imię Twoje?

SCYPIO. Umierający!

ULPIANUS. Wyznaj więc prawdę i pogódź się przed ostatniem tchnieniem z sprawiedliwemi Bogi —

SCYPIO. Z sprawiedliwemi!

ULPIANUS. Odpowiadaj mi w obliczu Imperatora. — Od jak dawna wasz spisek zawiązany?

SCYPIO. Od wieków —

ULPIANUS. Nie żartuj, niewolniku — czy mieliście wspólników w innych miastach państwa?

SCYPIO. Wszędzie!

ULPIANUS. Kto z pomiędzy nich najznaczniejszy?

SCYPIO Ty i Cezar — póki jesteście, my będziem! *(umiera)*

ALEKSANDER *(zstępując z tronu)*. Ni łaską, ni groźbą takich nie przymusić ludzi! —

ULPIANUS. Ale żelazem i ogniem!

Ucz się, jak stąpać nad wrzącą otchłanią i nie przepaść na dnie — nie słuchaj niewieścich głosów — nie ufaj szlachetności cudzej — w tobie cała Roma się skupiła — bądź więc, jak ona, silny i nieubłagany! *(wychodzą)*

* * *

Puste miejsce przy fontannie Neptuna — Słychać w dali szczęk mieczów i wrzaski — Wchodzi Irydion, następując na Tuberona.

TUBERO. Noc całą oko twoje jak żar piekielny mnie ścigało — jakiż z Bogów zbroję ci wykuł? pod twojemi ciosy nie zdrętwiała odwaga, ale zemdlały siły moje —

IRYDION. Ostatni raz tę klingę odbiłeś!

TUBERO. Ojcze Neptunie, pomagaj! *(pada)*

IRYDION. Powiedz siostrze mojej, że przybywam do niej! *(zabija go)* Zemsto! ty mi krople tylko sączysz, kiedy ja cię o morze krwi prosiłem — teraz wrę całą mocą życia! dusze ginących braci przelewają się we mnie! Stałem się Tytanem! a umierać mi trzeba — nie — ja nie chcę umierać! *(Schyla się i wydziera miecz Tuberona)* Ah! czego mnie ścigasz, niewidomy duchu? Chrystus — Chrystus — i cóż mi po tem imieniu? Oddal się — nie męcz mnie, Kornelio! Patrz — idź za księżycem temi śladami srebra — za chwilę ciemności ogarną tę ziemię!

(Alboin wchodzi)

Wróg-li czy przyjaciel Irydiona Greka?

ALBOIN. Niegdyś jego towarzysz —

IRYDION. Czyś zbladł od strachu, czy od miesięcznych promieni?

ALBOIN. Scypiona ciało na brzegach Gemonii!

IRYDION. Ojcowie jego bywali na szczytach Kapitolu!

ALBOIN. I Cheruscy co do jednego poddali się Cezarowi —

IRYDION. Ah! skróciły się ostatnie chwile! — Chodź — wrócim do pałacu — Rzymian wpuścim na dziedzińce — tam żarzy się jeszcze stos Elsinoi. — Zginiemy w płomieniach i ty i ja, i oni i dom ojca mego — Naprzód!

ALBOIN. Dopóki tlała iskra nadziei, służyłem ci wiernie — jako ty nienawidzę Romy — ale teraz —

IRYDION. Służalcze orła, Legionisto Karakalli, ty mnie zdradzisz także?

ALBOIN. Nie ja, ale fortuna opuściła cię pierwsza! chleb mój woła mnie w inną stronę! — Czy słyszysz głosy Trybunów? Cezar głowę twoją puścił na targ mieczom naszym. *(dobywa puginału)*

IRYDION *(przebijając go)*. Idź do piekła — na tej drodze wcześniej czy później spotkasz się z Cezarem! — *(wychodzi przeciwną stroną)*

* * *

Podworzec na wzgórzu przed pałacem Irydiona — Niewolnicy, Gladyatory, żołnierze z pochodniami — Dymiący stós Elsynoi z boku.

KILKU. Gdzie bieżysz, Pilades?

PILADES. Do lochów, gdzie cyprysy i sosny. — Pan tak rozkazał!

INNI. Zatrzymajcie go — wyrwijcie mu pochodnię!

PILADES. W tył — nie zbliżać się do mnie — rozstąpić się — czy nie poznajecie mnie, bracia?

POMIESZANE GŁOSY. Rzuć pochodnię — stój na miejscu, jeśli nie chcesz zginąć —

INNI. Tam w dali już lecą orły Arystommacha —

INNI. Z tej strony Tubero się wdziera.

IRYDION *(wchodząc)*. Mylicie się, ludzie moi — Tubero przeżył już wszystkie dni swoje! *(wstępuje na podstawę obelisku)* Cóż to znaczy? topory, puklerze na ziemi — Sami w nieładzie stoicie, jakbyście nie wiedzieli, co czynić — Bracia, raz ostatni wołam was do boju, a potem sen i wieczne milczenie!

(chwila i cichości)

Cóż to znaczy? patrzycie ku mnie wzrokiem bojaźliwych — opuszczacie ramiona — przelatujące połyski bledną od bladości liców waszych — do broni!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY. Wodzu, biłem się od zmroku aż do zachodu miesiąca —

DRUGI. Kto ostał się przy nas? jedni leżą bez ducha — drudzy konają w torturach — inni sobie poradzili lepiej — przeszli do Cezara!

INNI. Patrz na rany nasze — ledwo ustać możemy —

INNY. Arystommachus pół żelezca w piersiach mi załamał. — Daj wody — wody trochę!

IRYDION. Ognia, ognia tylko ci dać mogę!

WSZYSCY. Ty okrutny — ty bezbożny!

IRYDION. Diomedesie, tyś rodem z Koryntu. — Czy chcesz uniżyć się przed tymi, którzy Ojczyznę ci wydarli? I ty, Lastenes, i ty, Glaucus, i ty, piękny Eutellu?

CHÓR GŁOSÓW. Źle, źle nam — mdło i posępnie — co z naszych mąk umarłej ojczyźnie?

IRYDION. Chwała, Bluźnierce!

CHÓR. Życia, życia, nie chwały —
Chleba, chleba, nie chwały!

IRYDION. Nędzni! słyszałem wasze przysięgi — widziałem wasze zbroczone oręże — byliście dzielnymi kiedyś! — Lecz teraz, nad grobem, przyszedł na was koniec wspólny ludziom — nie rozpacz — nie wściekłość — nie zaślepienie — ale hańba podłości!

CHÓR. Cezar kochał cię niegdyś — podaj nas i siebie do łaski Cezara — czas jeszcze, o Irydionie!

IRYDION. I wy myślicie żyć długo po przebaczeniu Romy? — Ja wiem, że niesława nie skróci dni waszych — ale poszlą was na wygnanie, kędy piasek zeżre wam stopy, a słońce głowy na węgiel rozsypie; ale poić was będą trucizną na biesiadach świątecznych; ale oskarżać codzień o nowe zbrodnie! — Kto wejdzie w służbę, tego krew zawczasu wrogom przedaną będzie. — Kto zostanie w mieście, ten skona, budując teatra ludowi, i wszyscy zginiecie, jako na was przystało, podłe niewolniki!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY. Co ty nam złorzeczysz, ty, któryś nas zdradził? —

DRUGI. Obiecałeś zwycięstwo — dotrzymaj!

IRYDION. Pilades! pchnij tego, który cię trzyma i idź dalej. —

ŻOŁNIERZE. Głowa twoja skazana!

DRUGI. Bracia, zanieśmy ją Cezarowi. —

IRYDION. Odrzuciłem tarczę — mierzcie — ale zanadto drżą wam ręce, byście trafili — Ah! biedny mój Pilades!

PILADES. Los twój gorzej mnie boli, synu Amfilocha. *(pada trafiony i umiera)*

CHÓR. Czy widzisz te orły złote, tę purpurę cesarską? czy słyszysz trąby Legionów?

IRYDION *(zeskakując z podstawy obelisku).* Każdy z tych mieczów gardło jedno przetnie — ty, nędzny, przejrzyj się w klindze Sigurda — ale ani kroku bliżej. — Zdrajco, nie garnij się pod żelazo Tuberona — precz mi z drogi! Ułóżcie ręce do prośby — kolana w bruk wgniećcie — módlcie się do Rzymian! *(przechodzi wśród nich i wstępuje na stós Elsinoi)*

CHÓR. Synu nieszczęścia, niech krew poległych płynie przed tobą — niech przekleństwa żyjących grzmią za tobą na ciemnych brzegach Styksu!

IRYDION. Ojcze, umieram syt goryczy i krótkich dni moich! Ojcze, ty nie przebaczysz podłym! *(powstaje Masinissa obok stosu)* I ty przybyłeś nareście — ustąp się, człowieku! To nie twoja godzina jeszcze — to moja! Tam idź, idź — tam Cezar ci przebaczy!

MASINISSA. Za mną, synu!

IRYDION. Nie znam ciebie —

MASINISSA. Strzegłem cię wśród walki — ale tyś mnie nie widział — wspierałem w rozpaczy — ale tyś mnie nie widział! — Teraz przychodzę cię zbawić!

IRYDION. Giń wraz ze mną, jeśliś cnotliwy!

MASINISSA. A jeślim nieśmiertelny? *(porywa go w objęcia)*

IRYDION. Czemże jesteś?

MASINISSA. Bogiem! *(zapada z nim)*

(Wchodzą: Arystommachus, Aleksander Severus, Ulpianus, rzymskie kohorty)

ALEKSANDER. Gdzie syn Amfilocha? — odpowiedźcie, buntownicy!

CHÓR. Wstąpił na stós siostry i głos jego słyszanym był raz jeszcze i zniknął — ale my broń złożyli, ale my błagamy ciebie!

INNI. O boski Cezarze, my go chcieli wydać Tobie —

ALEKSANDER. Przebrała się litość moja —

CHÓR. Bądź nam miłosierny — on jeden winny! — On nas omamił i zgubił!

ULPIANUS. *Vae victis!* Zbliżcie się, Liktory!

* * *

Szczyt góry — Rzym w mglistej oddali — z drugiej strony morze. — Masinissa, Irydion oparty na jego ramieniu.

IRYDION. O ty, którą kochałem dla mąk twoich, Hellado, Hellado, czy byłaś tylko cieniem? Chmuro miłości mojej, czy ty odchodzisz na wieki? Wróg twój, jak wprzódy, stoi niewzruszony i marmury wyszczerza przed słońcem, jak białe kły tygrysa! — po co mnie być tutaj? gorączka pali głębie czoła mego — myśli toczą mi duszę, jak robaki trupa! *(zsuwa się na murawę)*

MASINISSA. Odśwież siły w mgle poranku — pij chłodne powietrze i światło —

IRYDION. Jak ogniwo do ogniwa, do mojej dłoń twoją spiąłeś i przywlokłeś mnie, ale człowiek raz tylko żyje — ten raz przyszedł dla mnie — ja skonałem wczoraj —

MASINISSA. Synu! zawód twój nie skończył się jeszcze!

IRYDION. Nie dręcz mnie. — Ojciec mój umarł w twoich ramionach — siostra skonała w pałacu Cezarów — Ja u stóp twoich dogorywam. — Czyż nie dosyć tobie? *(podnosi się nawpół)* Niewinna, którą ci poświęciłem, rozpłynęła się w powietrzu na żałosne jęki — głos jej drga w uszach moich — krzyż jej widzę na błękitach! Ah! gdyby jej Bóg żył nad wszystkiemi bogi — gdyby on był jedyną prawdą świata!

MASINISSA. Cóżbyś wtedy uczynił?

IRYDION. Umierając z tem pryśniętem żelazem w dłoniach, wezwałbym jego!

MASINISSA. Ojcze, któryś jest w niebiesiech, daj długich

dni Romie! przebacz tym, którzy mnie zdradzili! — Zbaw tych, którzy po wszystkie czasy nękali rodzinną ziemię moją!

IRYDION. Nie — »Ojcze, któryś jest w niebiesiech, ukochaj Helladę, jak ja ją kochałem!« — opowiedz mi w ostatniej godzinie, Masinisso, ty, który mnie zwiodłeś, ty, któryś mi obiecał tyle, ty, na którego łonie głowa moja w dzieciństwie zasypiała — ty, który w tej chwili stoisz nade mną, jakbyś światu rozkazował, o, mów, patrz, mieszają się myśli Irydiona, prędzej, mów prędzej czy Chrystus jest panem nieba i ziemi?

MASINISSA. Sam wyrzekłeś!

IRYDION. A więc świadczysz Jemu?

MASINISSA. Jak wróg nieśmiertelny nieśmiertelnemu wrogowi! Dzisiaj on władnie starem niebem i zgrzybiałą ziemią — ale są przestwory, kędy imie Jego zmazane, jako moje starte w niebiesiech. — Są światy nieskończonej młodości, pracujące w bolach i w odmęcie, słońca bez blasku, przyszłe Bogi w okowach, morze nie nazwane dotąd, wezbrane wiecznie ku szczęśliwym brzegom! — a on już ustał, już zasiadł na tronie i rzekł: »Jestem« i opuścił skronie!

Nie zaprzeczam Go — widzę Go — oczy moje, ranne Jego blaskiem, odwracają się ku ciemnościom, ku nadziejom moim! — Z nich będzie zwycięstwo! — Wybieraj —

IRYDION. Statek żelaznego cierpienia czerni się na czole twojem — ale wśród tych zmarszczków pokaż mi nadzieję — nie — nie — ty z toni wieków nie podniesiesz się nigdy! — Tyś zwiódł mnie i zgubił!

MASINISSA. Nie opuszczaj mnie, jako ciebie opuścili nikczemni. *(porywa go z ziemi)* Stań nad przepaścią — wejrzyj ku miastu nienawiści twojej! Czy wiesz, kto je wyrwie z rąk braci twoich, kiedy według przepowiedni Grimhildy przyjdą rozorać Italię na brózdy krwi i zagony popiołów? Czy wiesz, kto zlatującą purpurę Cezarów podchwyci w powietrzu? Nazaareńczyk! — i w nim zdrada Senatu i w nim okrucieństwo ludu żyć będzie niestartą spuścizną — włosy jego białe i serce nieubłagane, jak u pierwszego z Katonów — mowa tylko czasem niewieścia i słodka — u stóp jego zdziecinnieją męże północy i On drugi raz ubóstwi Romę przed narodami świata!

IRYDION. Ah! żądałem bez miary, pracowałem bez wytchnienia, by niszczyć, tak, jak inni żądają bez miary, pracują bez wytchnienia, by kochać i błogosławić przy zgonie temu, co kochali za życia! — Ah! a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy!

MASINISSA. Nie rozpaczaj — bo przyjdzie czas, w którym cień krzyża spieką się wyda narodom i on darmo wytęży ramiona, by raz jeszcze odchodzących przytulić do łona. — Jedni po drugich powstaną i rzekną: »Nie służymy więcej!« — Wtedy u wszystkich bram miasta słyszane będą skargi i narzekania — wtedy Geniusz Romy znów twarz zakryje i płacz jego nieskończonym będzie — bo na Forum same prochy zostaną — bo na Cyrku same gruzy tylko — bo na Kapitolu sama hańba tylko! — i przechadzać się będę po tych błoniach, wśród trzód dzikich i bladych pasterzy, ostatnich mieszkańców Romy — i walka moja na ziemi zbliży się do końca!

IRYDION. Znów serce mi bije. — Ah! dzień ten czy daleki jeszcze?

MASINISSA. Sam ledwo go przeczuwam!

IRYDION. O Amfilochu, więc syn twój był tylko marzeniem — tylko cieniem, odbitym od późnej przyszłości — i, jak zawczesną igraszkę, rozbiły go losy! *(do Masinissy)* odejdź — ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej — na tej skale, patrząc w oczy Romy, umrę, jako żyłem w samotności ducha!

MASINISSA. O synu słuchaj mnie!

Bladość liców twoich odrzucę nazad śmierci — Ognisko

siły na nowo w sercu twojem rozpalę — Dam ci niepamięć przeszłości — dam ci niewiedzę przyszłości!

IRYDION. Precz ode mnie!

MASINISSA. Dam ci żądz tysiąc i sił tysiące. — Umarłych piękności wskrzeszę ci kształty — każda, nim się rozemdleje, spali się w twoich uściskach — i Helena Trojańska i Idalska Venus i Ptolomeów córa —

W przejrzystej fali, w ogniu promienia, w czarnej, twardej ziemi, jeszcze będą tchnienia rozkoszy dla ciebie!

IRYDION. Nie kuś mnie!

MASINISSA. W dalekich stronach wydzielę ci plemię posłuszne w progach pałacu, dzikie w dniu bitwy. — Wśród czarów podchlebstwa ukochasz siebie, jako Helladę kochałeś. — Zgrozą króla i miłością króla upoję cię, synu! Aż przyjdę, aż znów mój znak położę na tobie i rzeknę: »Czas wrócić do walki!«

IRYDION. Nie kuś mnie! albo rozłam w gruzy sklepienia, których kamień każden przeklinałem — Ha! jesteś potężny, choć raz wynijdź w pole —

MASINISSA. Na dzisiaj próżna prośba twoja!

IRYDION. A więc tobie na dzisiaj nie być panem moim!

MASINISSA. Słuchaj, słuchaj mnie jeszcze!

IRYDION. Słaby geniuszu, w twoich skarbach niema nic dla Irydiona! — Umierając gardzę nim i tobą!

MASINISSA. A jeśli wieki zniszczę dla ciebie?

IRYDION. Co?

MASINISSA. Jeśli cię wyrwę z pośród pędzących fal czasu i złożę na miękkim brzegu, uśpię cię na łonie nicości i zapomnienia — aż do chwili, w której te wieże rozrzucę i wbiję do ziemi? — Jeśli wtedy obudzę cię takim, jakim dzisiaj jesteś?

IRYDION. W Rzymie, po latach wielu?

MASINISSA. Tak, by dopełniła się jedyna żądza twoja, byś deptał ruiny i popioły!

IRYDION. Ale nie, kiedy płomienie wrzeć będą — nie, kiedy bracia matki mojej zatrąbią w rogi swoje na siedmiu wzgórzach.

MASINISSA. Kiedyż więc?

IRYDION. Kiedy na Forum będą prochy tylko!

Kiedy na Cyrku będą koście tylko!

Kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!

MASINISSA. Ale wtedy, synu...

IRYDION. Będę twoim — przysięgnij!

MASINISSA. Przyrzekam zachować twe ciało — Przyrzekam duch twój uśpić i wskrzesić — Przez to, co On przezwał złem, przez jedyne dobro moje, przyrzekam! Teraz daj rękę!

IRYDION. Bierz tę nieszczęśliwą, co napróżno walczyła!

MASINISSA. Wszystkie potęgi nocy zgromadzone nad tobą i otchłań, matka moja, słucha twej przysięgi! wyrzekasz się wroga mego?

IRYDION. Wyrzekam się — Ah! jęk rozpaczy przeleciał mi nad głową!

MASINISSA. Nie zważaj!

IRYDION. Patrz! skała porysowała się w krzyże i czarne krople na nich — Ah! patrz krople krwi się sączą —

MASINISSA. Nie zważaj, synu —

IRYDION. Burza zrywa się nad morzem — Ah! ah! ktoś woła na mnie — tam — daleko — coraz dalej — czy słyszysz?

MASINISSA. A teraz?

IRYDION. Milczenie —

MASINISSA. Razem więc na wieki, bez końca, bez odpoczynku, bez nadziei, bez miłości, aż dopełni się wiekuista zemsta.

IRYDION. Razem — byleby wprzódy dopełnił śmiertelnej!

MASINISSA. Stało się — za mną teraz!

IRYDION, Gdzie?

MASINISSA. Do brzegów jeziora, do chłodu jaskini, pod liścia winne i bluszczane wieńce — kędy ni zorzy, ni gwiazd niemasz, ni głosów, ni bolu, ni marzeń. — Tam spoczywać będziesz, aż wnijdziesz do królestwa mego!

IRYDION. Idźmy! — Mnie Rzym, tobie duszę moją!

DOKOŃCZENIE.

O myśli moja, ty przetrwałaś wieki! Ty senną byłaś w dniu Alaryka i w dniu wielkiego Atylli — ni brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ni Rienzi, trybun ludu, nie obudził ciebie! i święte pany Watykanu jeden po drugim przesunęli się przed tobą, jak cienie przed cieniem! Ale dzisiaj ty powstaniesz, o myśli moja!

* * *

Dzisiaj w Kampanii rzymskiej słońce wrzało nad pustynią i posępnie teraz u brzegów pustyni zachodzi. — Nad piołunem piasków, nad sitowiem bagnisk, nad samotnemi sosnami wzgórzów, nad cyprysami dolin, już kołują cienie. — Gwiazda wieczorna, dawnych ludzi Bogini, żałobnie się wznosi i z nią kilka łez rosy tu i ówdzie pada. — Tylko na morzu jeszcze w krwawych połyskach gra kipiąca piana. —

* * *

W powietrzu skwar i milczenie — chmury żadnej, żadnego powiewu, a głębie się wzruszyły i pełnemi bałwany, piersią purpurową, jęknęły ku niebu — Ten, który zamieszkał w otchłani, ten, który obiecał, stanął na wirach fal i stopą czarniejszą od nocy gniótł niewolnice swoje. —

Od jego postaci łuna wzbija się, jakby drugie słońce zaszło. — Od jego ramion stacza się mgła na dalekie wody. — On idzie samotny i, jak przed wiekami z nieśmiertelną starością na czole. —

* * *

A kiedy dosiągł lądu, odetchnęło morze i w zmierzchu znękane usnęły bałwany. — On szedł dalej. — Górom Samnickim ślad swój zostawił na szczycie i zstąpił ku brzegom jeziora. — Tam w potędze jego czarów, o Synu Zemsty! budzić się zaczęło życie twoje. —

* * *

Wąż, co strzegł stóp twoich, zadrgnął i zdał się przeczuwać powrót pana swego. — Wzmogło się światło łusk bladawych — roztoczył sploty i na marmury łoża z nich sypnęły się iskry. — Wspiął się w górę i czeka teraz, jak gorejąca pochodnia, a w jej blaskach jaśnieją czarne głazy i spiekłe rysy twoje!

* * *

Zrazu połysk czucia tlał ci na czole, jak ognik nocny nad grobem — ale od progów jaskini głosy uroczyste, witając cię po imieniu, wznoszą pieśń życia twego i za każdym ich ustankiem jedną siłą zmartwychwstajesz więcej. — I dana ci wiedza lat, zbiegłych od chwili zaśnięcia twego. — Gdyby dzieje dnia jednego, ujrzałeś wszystkie męki Rzymu i tryumfy Krzyża!

* * *

Wszystkie, wszystkie naokoło ciebie wrą ognistemi barwy — i kopyt tętenty i chrzęsty pancerzy i brzęki

dzwonów i odgłosy hymnów przelatują nad tobą, jak przeleciały nad snem twoim. —

Umarłe Biskupy ciągną się długiemi rzędy — przed każdym idzie król jeden i na plecach swoich roztwartą, świętą księgę niesie. — Na siedmiu wzgórzach, z dołu w górę i z góry na dół, ciągle jednem kołem idą i wracają. — Jednym anioły wieńce kołyszą w powietrzu — drudzy samotni, z znakiem zbawienia w ręku, z mieczem wojny u boku i czarą trucizny w lewicy!

* * *

A im bliżej obudzenia twego, tem mniej orszaku, tem głuchsze stąpania, tem bielsze głowy panów Rzymu i bardziej drżące ich dłonie. — Wtedy ponad wszystkie śpiewające głosy wzniósł się jeden, pełen sił i rozkazów — głos, który nie dochodzi niebios, ale któremu ziemia odgrzmiewa w wnętrznościach swoich, i ten głos zawołał: »O Synu!«

* * *

Wtedy na szybach jeziora, na darni brzegów, na sklepieniu jaskini błysnęło i piorun powtórnego życia uderzył cię w łono i, jakoś był młody i jakoś był piękny przed laty, powstałeś na łożu! — i gorejące oczy twoje spotkały za pierwszem spójrzeniem bladą twarz Cyntyi na szczytach Latyńskich — i odparłeś: »Jestem!« a on skinął dłonią i prowadzi ciebie. — Stąpań nie powtarzają echa — jedno po czarnych wąwozach, jak dwie czarne chmury, żeglują wasze postacie.

* * *

Stanąłeś w Kampanii rzymskiej — przed twoim wzrokiem ona nie ma czem zakryć hańby swojej — gwiazdy migają, jak tysiąc złotych wspomnień i urągań. — Czarne

wodociągi idąc ku miastu, nie znachodząc miasta, stanęły — opadłe z nich głazy leżą pogrzebnemi stosy — tam powój się rozwlekł, przysypan kurzawą — tam radzą ptaki nocne i jęczą!

* * *

Pójrzał syn wieków i uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej. — Każda ruina była mu nadgrodą: i niziny, wdowy amfiteatrów, i wzgórza, świątyń sieroty — z lekkich stóp swoich otrząsał proch i perzynę tam, gdzie cyrk Karakalli, tam, gdzie Mausoleum Cecylii, żony Krassusa. — I ulicą grobów starodawnych wiódł go straszny przewodnik do bram Rzymu. — One same się roztworzą — nie słuchać zgrzytnienia zawiasów. — Weszli. — Straże nagle usnęły oparte na broniach. — Oni przeszli, jak cienie!

* * *

I wśród długich, samotnych kaplic ciasna im droga się wije. —

O nocy jedyna, ostatnia! o nocy miłości mojej, coś słonecznego w twoich blaskach jaśnieje — nad każdą ruiną zasłonę cieniów rozdzierasz — i truchlejącą, nagą, wydajesz wrogowi. — Twój księżyc nędzne domy i nędznych, rzadkich mieszkańców wytyka szyderstwa promieniem!

* * *

W krużganku Bazyliki stoi dwóch starców w purpurowych płaszczach. — Żegnają ich zakonnicy imieniem książąt kościoła i ojców — na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli — wsiedli do powozu — czarne, schorzałe konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem, konającem z głodu, i na ramach u okien i na listwach u dołu ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące

koła, siwe głowy wychylone zniknęły. »To następcy Cezarów, to rydwan kapitolińskiej Fortuny« rzekł przewodnik, a syn Grecyi pójrzał i klasnął w dłonie. —

* * *

A teraz stromą pochyłością, sadzonemi schody, wstąpili na puste dziedzińce — pośrodku posąg Aureliusza na koniu, z wyciągniętą dłonią w próżniach powietrza. — Cezar bez poddanych — Tryumfator bez pieśni — a z tyłu czarne tło murów Kapitolu!

* * *

Obok skały Tarpejskiej ułamkiem miecza, wracający na ziemię po latach tylu, zostawił znak swój na czole najlepszego z Cezarów — i dźwięk greckiego żelaza o spiż rzymską rozległ się, jak dzwonu uderzenie pogrzebne, ostatnie! i z nad szczytów zamku odparł żałośny krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa, błądzącego po innych ruinach!

* * *

A przez *via sacra*, przez drogę zwycięstw, stopniami ze żwiru i błota zeszli na forum. — Łuk Septyma Severa aż po piersi i świątyń ostatnie kolumny aż po szyję zakopane w ziemię, wystają jak głowy potępieńców. — Inne nie tak zagrzęzły, stoją wysoko, samotnie, wysmukłością szkieletów. —

Ich kapitele, kwiaty, ich liścia akantu, co tak biało, tak nieznośnie tobie świeciły przed wiekami, dziś jak zbrudzone włosy na czole włóczęgi, dziś na pół pęknięte marmury ich kibici idą w proch, jak fontanna w krople. — I nie mogłeś nic poznać, nic nazwać w godzinie tryumfu twego!

* * *

Tam, pod resztą portyku, dwóch nędzarzy śpi pod łachmanami płaszcza jednego — w księżycowej bladości ich twarze jak dwa głazy grobowe — jaszczurki ślizgają wśród ich ramion splecionych — a teraz jak liście jesienne przed wiatrem uciekły przed tobą. —

Powitałeś ostatki ludu rzymskiego na Forum — przechodząc, trąciłeś ich nogą — oni się nie przebudzili!

* * *

Przewodnik wskazał ku ulicy drzew zgrzybiałych. — Tam cień Palatynu leżał na ziemi, tam Bogów poćwiertowane ciała się walały i bohatyrów rozpadłe piersi z jaspisu, z porfiru. — Tam bramą Tytusa, pękniętą, zlepioną, jak ogromna rana, przeszli znów na jasne miejsca puste i stroskane. — Tu wydało się temu, który zmartwychwstał, że Koliseum dotąd stoi cało, ale starzec głośniej jeszcze się rozśmiał — i wziął go za rękę!

* * *

Na milczącej Arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad, przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków, z szczelinami w łonie, tyś podziękował losom za spodloną Romę! —

Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — stąd miałeś pójść, kędy miliony — — — —

* * *

I wszystko, coś widział niegdyś, wszystko, czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć. — Tam był tron Cezarów — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. — Słońca tylko niema, niema purpurowej obsłony, co powijała na wierzchołkach Cyrku — Księżyc

blado świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących niknących. —

* * *

Z nich wszystkich został się głos Hymnu, słyszanego niegdyś. — To »niegdyś« było wczoraj — tu wczoraj — skonali Nazaareńczycy. — Ich twarze były pogodne, jak wieczór letni — i otóż na miejscu, na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku Areny — od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze. —

* * *

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żałoba ledwo za jej zbrodnie staje — nie strach obranego losu — ty zanadto cierpiałeś, byś mógł się lękać — nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekuistego zapomniał — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewiczej -- jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelezca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz — i zdało ci się, że on znużony, jako ty — opłakany, jak losy Hellady niegdyś — i zdało ci się w promieniach księżyca, że on świętym na zawsze!

* * *

Jednak nie uchylisz się od przyrzeczonej wiary — wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni. — On się wzdrygnął, on przeniknął duszę twoją — i kołem ramion ogromnych, posępnych, otaczając ciebie, odrywa cię krok za krokiem od zbawienia znaku — Ty stąpasz za nim zwolna, jak ojciec twój w dniu śmierci!

* * *

I piękny, gibki, z tuniką czarną, z koturnem Argijskim stanąłeś i, ku niebu wytężając ręce, byłeś wśród gruzów jako dźwięk szybki, ogromny, co połączy tysiąc innych zbłąkanych. — Korynckich festonów szczątki westchnęły za tobą!

* * *

»Synu, czas! wypiłeś napój, który ci wieki sączyły do czary, i kropli nie zostało. — Synu, czas! zorza niedaleka — nam ubiedz długą drogę trzeba«.

Jęki słychać z pod ziemi, tam męczenników dosypiają kości — jęki słychać w powietrzu — tam ulatują duchy Chrystusa — ale od szczytów Amfiteatru ponad te dźwięki żałobne zabrzmiał głos pełen chwały!

* * *

Tam postać bieleje przejrzystą jasnością — tam zebrały się wszystkie miłości księżyca i, jak wstęgi powiewne, to skupiają się, to rozpuszczają się w promienie około anielskich, cichych, zwartych skrzydeł dwojgu!

Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy — poznałeś dawne kształty, ale wyświeżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios, i spoglądałeś na nie, jak ten, co się żegna z pięknością na wieki!

* * *

Głos wzywał starca napowrót przed stopnie krzyża, na sąd nie rozstrzygniony jeszcze. — On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie i wrócił od bram Cyrku. — Zgrzytał i rwał ci ręce i wołał: »Potępiony, potępiony, kto mi wydrze jego?«

* * *

Tu, u stóp męki Pańskiej, kiedy do zorzy blizko już było, kiedy miesiąc zapadł niżej Amfiteatru, kiedy cała Arena świetniała połyskami, bijącemi od skrzydeł, brzmiała muzyką niewidzialnego choru, zaczął się spór ostatni, wyroczny wokoło twojej poświęconej głowy!

* * *

A ty, powyżej kusiciela, poniżej anioła, stoisz na stopniach krzyża — trwogi niema na czole twojem, ni modlitwy na ustach — jesteś, jako byłeś zawżdy, samotny na świecie!

* * *

On, wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje: »Wrogu nieśmiertelny, on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy«. Lecz anioł, rozwiązując tęczę skrzydeł, potrząsając złocistemi puklami: »O Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę«.

* * *

I od walki potęg zamgliło się powietrze — uczułeś powtórne konanie. — Życie twoje stało się całe oczekiwaniem i rozdarciem — ogień piekieł palił ci stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy — tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę — wtedy nadzieja boska wszczęła się w sercu twojem i zemdlała i znów się obudziła, jak iskra, i znów zagasła i stało się czarno — pusto — głucho, jak w nicości — boleśno — gorzko — nieznośnie, jak w rozpaczy — i słabo — nikczemnie, jak w hańbie.

* * *

O godzino, przeznaczona każdemu z żyjących, oddal się od myśli mojej!

Ojcze niebieski! ty raz tylko jeden w wieczności, raz syna własnego opuściłeś, by odtąd już nie opuszczać żadnego z dzieci twoich; — nie — żadne dzieło twoje nie pójdzie w rozsypkę na wieki!

* * *

Powstań, o synu Grecyi — patrz! wróg dłoniami zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysileń — w mgle zarannej coraz posępniej mdleją kształty jego. — On kona, głowę oparłszy o bramy Cyrku — głos jego już teraz, jak szum wód dalekich. — Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecyę!

* * *

Powstań! czy słyszysz ten głos co zagrzmiał nad milczeniem wszystkich duchów? O pierwszych połyskach świtu on to zleciał jak piorun i woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu:

* * *

»Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów — poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci — po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy.

* * *

»Idź i zamieszkaj wśród braci których ci daję — tam powtórna proba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz

przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje!

* * *

»Idź i ufaj imieniowi mojemu — nie proś o chwałę twoją ale o dobro tych których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przeminą ale ty i słowo moje nie przeminiecie!

* * *

»A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem — i tem co obiecałem ludziom na szczycie Golgothy — wolnością!

* * *

»Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu jako wprzódy było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym Synem Niebios!«

* * *

I weszło słońce nad ostatkami Romy — i nie było komu powiedzieć gdzie się podziały ślady myśli mojej — ale ja wiem że ona trwa i że ona żyje!

PRZYPISKI AUTORA DO »IRYDIONA«.

PRZYPISKI DO WSTĘPU.

Strona 89, wiersz 1: *Już się ma pod koniec starożytnemu światu.*

Niniejsza powieść pomyślaną jest w trzecim wieku po Chrystusie. — Stan państwa rzymskiego w tych latach był stanem konania — rozwiązywania się — dezorganizacyi. — Wszystko, co niegdyś było życiem jego, co sprawiało ruch jego postępowy i byt, teraz wracało w nicość, słowem: umierało — przetwarzało się. — Trzy systemata stały obok siebie: — Pogaństwo, już bez życia, ale uzupełnione wszystkiemi religiami, przybyłemi ze wschodu — jakby ciało, we wszystkich częściach swoich pysznie ubrane, leżące na marach — Chrześcijaństwo, dotąd bez ciała prawie, bez kształtu, prześladowane, rosnące między ludem, wyzywające wszystkie wiary symboliczne przyszłości do walki, z filozoficznemi zaś to ucierające się, to godzące naprzemian — podobne do ducha, potężnego w pracy wcielania się swego — i Barbarzyństwo rozmaite, dzikie, ruchome, jak morze wśród burzy, mające także swoje myty, ale po większej części niepamiętne ich na łonie Rzymu, żyjące od dnia do dnia w legiach rzymskich, buntujące się przeciwko Rzymianom w północnych prowincyach, gwałtem jednak zewsząd cisnące się ku Włochom, czy zbrojną ręką, czy jako zaciążne żołnierstwo, pełne jakiejś niespokojności, na wzór atomów, kiedy

się zrosnąć i skupić mają, ale bez poczucia się, bez wiedzy żadnej, bez *conscientia sui*, ślepe, straszne, jak siły natury. — Była to materya już wrząca, już gotowa stać się kształtem, przylgnąć jako ciało do ducha przechadzającego się w katakombach — do Chrześcijaństwa! Milczenie, które poprzedziło tę wielką burzę, w której Rzym zniknął i przetworzył się na Europę chrześcijańską, były to ostatnie biesiady Cezarów — była to nędza nieopisana ludu i niewolników we wszystkich częściach państwa. — W rzeczy samej zbytki materyalne i nędze materyalne są zawsze wielkiem milczeniem ducha czy indywiduów czy narodów — jest to życie zwierzęce na najwyższym lub najniższym szczeblu swoim — a życie moralne zda się odpoczywać tymczasem, by powstać i zagrzmieć — zresztą świat starożytny był raczej światem liczb i kształtów, niż wolnych ruchów ducha — dlatego musiał, konając konwulsyjnie, ogromnie się tarzać w materyi swojej — nasz zbytkuje duchownie raczej. —

Strona 89, wiersz 5: *Fatum jedno spokojne, niewzruszone, rozum nieubłagany świata.*

Fatum u Rzymian, Ἀνάγκη u Greków, według Hesioda syn Nocy i Chaosu, znaczyło przeznaczenie, konieczność wyższą od wszystkich Bogów i Duchów, czy niebieskich czy piekielnych; wystawiali go pod postacią starca, gniotącego nogami ziemię a trzymającego w dłoniach urnę, w której spały losy śmiertelnych — najczęściej jednak w sensie idealnym pojmowany, znaczył jedność boską, ostatnią przyczynę, matematykę, *universum*, której nic oprzeć się nie mogło. —

Strona 90, wiersz 16: *Motłoch i Cezar — oto Rzym cały.*

Pod Cezarami ułożyła się równość wszystkich poddanych — przed Cezarem — przyjęte zostały do prawa obywatelstwa, tak skąpo rozdawanego przez patrycyuszów, wszystkie prowincye państwa. — Większa część Cezarów

pochodziła z prowincyi — Trajan był Hiszpanem, Heliogabal Syryjczykiem, Maksymin Gotem itd. Rzym, którego myślą było ujarzmić świat a samemu zostać na boku, tak, jak Bóg po stworzeniu świata, musiał koniecznością okoliczności otworzyć bramy swoje ludom północy i południa. — Egoizm jego nie mógł się utrzymać zawsze w tej samej, odległej, samotnej postawie — nie rozlał on swojej indywidualności, ale ci, których podbił, rozdarli ją stopniami — każdy przyszedł upomnieć się o jej cząstkę. — Sztuki Greków, filozofia grecka, pierwsze wcisnęły się do miasta — nauczyły miasto — wyosobniły w niem cząstkę duchowną sobie. — Tem samem zgubiły je — bo wielki egoizm materyalny dopóty silny, dopóki zupełnie jest materyalnym. — Ducha w nim obudzić a zgubić go, to jedno — bo naturą ducha jest dążenie zewnątrz, jest siła rozlewania się — wcześniej czy później od jego usiłowań pęknąć musi skupienie materyalne — Dalej wschodnie podania, myty, obrzędy i czary przybyły do Rzymu, — one w gminie to samo sprawiły, co filozofia grecka w Senacie i patrycyuszach. — One symbol egoistyczny wiecznego Kapitolu rozerwały — później okazały się dotykalnie skutki widome tych przyczyn niewidomych, moralnych — Rzym stał się Grecyą, Egiptem, Azyą mniejszą, a nie Grecya, Egipt, Azya mniejsza stały się Rzymem. — Barbarzyńcy zasiedli w Senacie rzymskim — pomieszały się wszystkie wiary i prawa w tej *colluvio nationum*, w tym składzie dezorganizującym się upadły wszystkie dawne porządki i podania rzymskie. — Arystokracya zupełnie wyginęła, to przez zawiść Cezarów, to przez wyczerpnienie sił żywotnych. — Cezar, konfiskując jej dobra lub biorąc zapisy, stał się jej dziedzicem — również zgromadził w sobie wszystkie prawa Kapłanów i ludu. — Co mógł zniszczyć na swoją korzyść, zniszczył — siły zniszczonych zebrał w sobie. — Jednej tylko rzeczy, jednej jednostki nie mógł zniszczyć — to jest ludu, któremu panował. — Został się więc sam na sam z nim — a że w tej drugiej

połowie państwa była siła materyalna, siła prostobytu, musiał jej nieraz ulegać, podchlebiać jej darami, igrzyskami itd. Lecz prócz niego i ludu nic już nie było w Rzymie. —

Strona 90, wiersz 29: *Czy gdzie nie spotka Odyna, Boga lodów swoich.*

Ze względu religii rozróżnić można plemiona Germańskie na dwa wielkie oddziały. — Germania, o której Tacyt mówi, a w której górują Suevy (Hermiones) ma religię natury, czci żywioły, drzewa, krynice. — Bogini Hertha *(Erde*, ziemia) każdego roku na wozie przesłoniętym, powstaje z gajów dalekich od wysp północnego morza. — Rozmaite zapewne były u rozmaitych Hord miejscowości, obrzęda, ale ogólnie biorąc, ich wiary jeszcze były bardzo pomieszane, niepewne. — Na tem tle bladawem mocne wycisnęły się barwy przez napad Hord dalej ku północy mieszkających, Rzymianom nieznanych. — W tych Hordach wszczął się już był ruch postępowy, bohatyrski, objawienie jakieś religijne. — Temu objawieniu na imię było Odyn. — Odyn od Islandyi, gdzie później jako religia najdzielniej i najobficiej się rozwinęła, do brzegów Renu opanował umysły ludów. — Gothy, Saksony, Gepidy, Lombardy, Burgundy były to odyńskie pokolenia, wierzące w wcielenie się Odyna, w pewne, opisane obrzęda, w nieśmiertelność za grobem, w nadgrody w pałacu Odyna w Walhalli, w jakieś miasto Asgard, święte na ziemi, skąd wyszli ich ojcowie, a do którego wrócić mieli wcześniej czy później. — Z tego kształtu, nadanego ich wiarom, z tych mytów już opisanych wyszła ich siła popędowa. — Oni to poruszyli plemię Germańskie, leżące martwo w niższej Germanii — oni to ze Skandynawii zeszli ponad brzegi Baltyku, spuścili się ku Dunajowi i przebiegli całe Niemcy, ocierając się wszędzie o granice Cesarstwa. — Z ich runięcia od północy wszczął się chaos w Germanii, który później cały na Włochy się zwalił. — U Gothów później Odyn przybrał imie Wodana. — Saksony jeszcze przez

czas jakiś nieporuszonemi zostali na brzegach morza niemieckiego. — Myty odyńskie w krótkości są następujące:

Przedewszystkiem był olbrzym Imer. — Tego zabił Odyn wraz z braćmi swemi Vile i Ve — z czaszki zabitego powstały niebiosa, z jego ciała ziemia, morze z krwi jego. — Inny olbrzym, Norw, był ojcem Nocy. — Noc porodziła dzień. — Oboje nieustannie na niebie na dwóch wozach kołują. — Hrim-fax (zmarzła grzywa) koniem Nocy — Skin-tan (grzywa światlana) koniem Dnia. — Most wielki wiedzie od ziemi do nieba — z trzech barw złożony, a na imię mu: tęcza; — przerwie się on kiedyś, kiedy złe duchy po zwycięstwie nad Bogami przechodzić nim będą. — Świat ma skończyć pożarem. — W ostatniej walce świata złe duchy zwyciężą. —

Odyn jest Bogiem nad wszystkimi innymi. — Dają mu imię Alfader, ojca wszystkiego, ojca bitew — zowią go jeszcze Hor, Janfchar i Thridi (wyższy, równy wyższemu i Trzeci — Trójca); on poległych bohatyrów bierze do swego pałacu w niebiesiech, do Walhalli — pięćset czterdziestuma bramami tam wchodzą. — Na ramionach Odyna siedzą dwa kruki — jeden zowie się Hugin (rozum), drugi Munin (pamięć) — przez nich wie, co się dzieje w przestrzeniach. — Synem Odyna jest Bóg Thor, Bóg wojny, z młotem w ręku. — Młot stał się u tych plemion symbolem zdobycia. — Boginie, dziewice wojny, zowią się Walkiryjes. — Jest ich dwanaście — a najpotężniejsza Frigga. — Loke jest Bogiem złudzeń i złego. — Bogi niebios okuły w kajdany syna jego, wilka Feuris; — w tym Loke skandynawskim jest jakby przeczucie Mefistofelesa. — Wodzowie pochodzący od Bogów, szlachta wiodąca do bitew, zwana u Gothów Amali i Balthy. — Saksoni dłużej pozostali spokojnymi — dopiero kiedy z jednej strony Franki, z drugiej przyparli ich Sławianie, ułożyli się w hordę wojenną, oddawna już przemagającą w składzie Gothów, i rzucili się na Anglię — Gothy zaś, Lombardy, Burgundy zaraz poddali się wodzom; u nich

to rozwinęło się przywiązanie żołnierskie, słowo niezłomne żołnierskie, początek feudalnego składu. — Oni to pierwsi rzucili się na dalekie błędy, goniąc za złotem i niewiastą. — To wszędzie było ich bohatyrskim celem — stąd później wyrosła poetyczna postać Sygurda w poemacie Nibelungów — w niej zarazem połączone rada i waleczność, to, co rozdzielonem było w mytach greckich, Achilles i Ulysses. — Z tego więc pierwiastkowego objawienia się formy religijnej w Skandynawii wyszedł ruch i życie. — Ruch gwałtowny, dzikie życie, jak źródło, z którego wypływało — Nieopisaną jest ponurość podań Skandynawskich. — Jedyną ich moralnością jest chwała, obiecana za odwagę. — W Walhalli biesiadują bohatyry i wśród biesiad te szkielety zbrojne wstają i walki przeszłe odnawiają między sobą. — We wszystkich mytach odyńskich przebija wpływ natury północnej — znać w nich jakby brak nadziei, jakby rozpacz wieczną, połączoną z dzikiem, bohatyrskiem męstwem, idącem zawsze naprzód, nie dbającem o to, że koniec będzie straszny i fatalny. — Myśl, że świat skończy nieszczęśliwie, że na końcu wieków złe duchy przemogą, kołuje jak zorza północna, krwawa, nad tą całą mytologią — w jej blaskach biją się do upadłego wojownicy na ziemi i, goniąc wszędzie za niebezpieczeństwem, nie przepuszczając ni sobie, ni wrogom, szukają zapomnienia — żyją tak gwałtownie zewnętrznie, by nie myśleć wewnątrz.

Taka myśl matka, takie przeczucie zniszczenia wszystkiego, musiało wcielać się w zniszczenie szczegółowe — musiało z tych ludzi utworzyć Alaryków, Genseryków, Attylów — Jako chrześcijaństwo w swoim najgłębszym początku jest duchem postępowym miłości, tworzenia, spajania, tak myty barbarzyńskie, północne, były siłą postępową niszczenia, rozprzęgania. — Ale kiedy chrześcijaństwo postawiło się w środku tego koła zdarzeń i plemion, działać na nie zaczęło atrakcyjnie, i zdarzenia i plemiona północne przetworzyły się na okrąg porządny, zamknięty. — Po dopeł-

nieniu klęski, po ukaraniu Rzymu, ta materya rozerwana, ciężąca wszędzie śmiertelnie, ożywiła się i stała się. — Chaos powoli zaczął przechodzić w organizm — miłość ducha zwyciężyła opór materyi — Nasza powieść dzieje się jeszcze przed poczęciem się chaosu i tworzenia — Irydion jest tylko przeczuciem chaosu, a zatem i życia — bo chaos na to zdał się tylko, by stało się życie. —

Strona 91, wiersz 25: *Morituri te salutant, Caesar...*

Formuła, którą przechodzący zapaśnicy przed rozpoczęciem igrzysk witali Cezara: — »Mający zginąć witają Cezara«.

Strona 91, wiersz 27: *Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów.*

Na wzgórzu palatyńskim stał pałac Cezarów — dziś ostatki pałacu Farnezów, na głębszych jeszcze gruzach pałacu Cezarów. —

Strona 92, wiersz 2: *Wzlatywały z katakumb...*

Katakomby, przestronne lochy, wydrążone pod całym Rzymem i częścią Kampanii rzymskiej, dochodzące nawet, jak twierdzą, aż do morza, pierwszych Rzymian cmentarze dla chowania ubogich i niewolników, których nie stać było na stós; później schronienie Chrześcijan podczas prześladowania; dziś w niektórych miejscach jeszcze całe, dostępne, po większej części zaś zasypane, składające się z mnóstwa nizkich i ciasnych manowców, czasem rozprzestrzeniających się w kwadratowe lub okrągłe ciemnice — ściany zaś zasute nadgrobkami męczenników. — Dotąd kości męczenników z nich wykopują. —

Strona 93, wiersz 9: *W Chersonezie Cymbrów...*

Rzymianie tak nazywali półwysep Jutlandzki — i wszystkie plemiona Skandynawskie nazywali ogólnem imieniem Cymbrów. —

Strona 93, wiersz 9: *W ziemi srebrnej potoków...*

Sami barbarzyńcy tak nazywali Chersonez od białości śniegów i potoków tam płynących. —

Strona 93, wiersz 10: *Brat za brat z królami morza...*

U Anglów, Saksonów, Nord-Manów, u wszystkich Skandynawów wodzowie nazywali się królami morza. — Ich życiem były ciągłe rozboje morskie.

Strona 99, wiersz 28: *Błota meockie* (palus maeotis).

Azowskie morze.

PRZYPISKI DO PIERWSZEJ CZĘŚCI.

Strona 105, wiersz 8: *A tymczasem w Gineceum...*

U Greków kobiety jeszcze nie były doszły europejskiej wolności — coś jeszcze wschodniego zostało w sposobie ich życia i Greczynki wychowywały się w haremach, zwanych Gineceum, od słowa γυναιχή niewiasta, i nie wychodziły stamtąd przed zamęściem. —

Strona 105, wiersz 11: *Murzyny Heliogabala.*

Tak przezwanym został syn Scemidy i Variusza Marcella, Varius Bassianus, od Boga Halgah-Baal czyli Mitry, którego Arcykapłanem był w Emezie, nim został Cesarzem rzymskim. — Dzieje Heliogabala są najmocniejszym dowodem, najwyraźniejszym symbolem zgrzybiałości ówczesnego świata. — W piętnastym roku życia wstąpił na tron, w ośmnastym zaś zginął zamordowany przez pretoryanów, a w tym znikomym przeciągu czasu zużył wszystkie rozkosze, jakie potęga przynieść może.

On nigdy nie był młodym. — Imię jego: starość uosobniona. — Zdawałoby się, jakoby przeszłość działalności, przeszłość czynnego Rzymu zostawiła w nim próżnię, której niczem zapełnić nie mógł. — Dwa znamiona jego cha-

rakteru są: Nuda i Lubieżność — to samo zupełnie, co starców cechuje. — Nuda albowiem jest męka, pochodząca z uczucia wiecznej próżni i z daremnej żądzy jej odsunięcia — Lubieżność zaś jest pracą wyobraźni na wynalezienie czegoś, coby rozbudzić mogło martwe zmysły. — Namiętność jest zawsze silną, prostą, jest to synteza, jest to poezya ciała. — Lubieżność przeciwnie jest wymyślną, rozkładającą się na tysiąc szczegółów, jest raczej prozą, analizą. — Heliogabal nie dogadzał swoim namiętnościom, bo ich nie miał — on miał tylko żądzę ich mienia — on szukał w całej naturze, w całem państwie swojem, w całym sobie, tylko podniety, iskry, coby zapaliła jakiekolwiek ognisko w jego piersiach — na tym trudzie nieszczęśliwym przeszło mu życie — dlatego wszystko, co czynił, było kaprysem. — Taki skład niepojęty byłby w człowieku młodym, gdyby na nim nie ciężyła już fatalna starość świata, w którym się urodził. — Heliogabal był starcem przez świat otaczający, a był młodym przez siebie — stąd wieczna sprzeczność, niemoc i żądza. —

Ten starzec, ta jednostka spróchniała i zmagająca sama z sobą, to dziecię zgrzybiałe wychowało się w Syryi, w kraju czarodziejskich mytów i pochłaniającego klimatu. — Babka jego Moesa była siostrą Julii, żony Septymiusza Severa — po śmierci tego Cesarza cała familia jego żony, odsunięta od potęgi, poszła na wygnanie do ojczystego kraju, do Syryi. — Moesa miała dwie córki, Scemidę i Mammeę, matkę Aleksyana, sławnego później pod imieniem Aleksandra Severa. — Heliogabal przed czternastym rokiem życia jeszcze został Arcykapłanem w świątyni Emeskiej. — Czczono w niej wielkiego Boga Halgah Baal, czyli Mitrę, Boga Chaldejskiego, w którym zeszły się wszystkie podania wschodnie i Egipskie. — Był to symbol słońca, uważanego za Boga, czystego, najwyższego, Jedynego, że tak powiem: Oderwanego. — Dlatego też nie miał posągu żadnego, tylko kamień czarny, ostrokręgowego kształtu był jego symbolem. — W tej samej świątyni inne były Bogi: — Baal-Fegor, czyli słońce

już zmateryalizowane, jako siła obudzająca wegetacyę — Gad-Baal, czyli słońce jeszcze bardziej ucieleśnione, ogłaszające wyrocznie, Phoebus-Apollo — Astarte-Baalis, wielka Bogini, żona Halgah-Baala, czyli księżyc oświecony słońcem, natura ożywiona przez słońce — Baalis-Benoth, czyli Venera, i Baalis-Derceto czyli Afrodyte grecka, obie wyrażające naturę już uczłowieczoną, niewiastę. — Obchodzono w świątyni śmierć i zmartwychwstanie Adonisa, czyli symbol natury opuszczonej w zimie od słońca i znów przezeń na wiosnę ożywionej. — Cała Azya słała dary do tej świątyni. — Z nadludzkim przepychem odbywały się jej obrzęda i z zwierzęcą sprosnością zarazem. — Tam rozwinęły się nasamprzód myśli Heliogabala. — Tam wola jego wolna i siła wszelka zabitemi zostały u wstępu do życia przez sceny fantastyczne, dalekie od rzeczywistości świata, przez wpływ rozwiązłego, zachwycającego klimatu. — Podług wszystkich podań był on niezrównanej piękności. — Biegały wieści pomiędzy ludem, że matka jego niegdyś była kochanką Cesarza Karakalli, że on synem Karakalli, którego pamięć ubóstwiali żołnierze legionów. — Makryn, prefekt pretorium, po zamordowaniu Karakalli panował podówczas Rzymowi i światu — ale jego rządy słabemi były. — Legia przechodząca przez Emezę ujrzała młodego Heliogabala. — Piękność jego i pamięć ojca wzruszyły Legionistów — do tego przydać należy wszystkie przebiegi i starania się Moesy, nie mogącej zapomnieć, że niegdyś siostra jej była pierwszą w Rzymie. — Ona to w nocy przyprowadziła Heliogabala i Scemidę ze świątyni do obozu Legii. — Tam syn Karakalli ogłoszony Cezarem. — Ulpius Julianus, posłany przez Makryna, zbity na głowę — w tej bitwie Heliogabal pierwszy i ostatni raz w życiu pokazał się odważnym. — Makryn sam uciekając, dowiedziawszy się o zabiciu syna, zeskoczył z wozu i ramię złamał — głowę mu ucięli, zanieśli ją Heliogabalowi. — Odtąd poczynają się dni jego panowania, czyli ciągłe marzenie, jakby się nie nudzić. —

I, żeby się nie nudzić, Halgah-Baala sprowadził do Rzymu — do jego świątyni kazał zanieść wszystkich innych Bogów, bohatyrów, palladium trojańskie, Westę i puklerze Numy. — Z nich porobił służalców, urzędników, prokonsulów i nałożnice Bogowi swemu — potem szukał mu żony. — Palladę Ateńską dał mu zrazu, potem ją rozwiódł i z Kartagi Wenerę sprowadził — ta została. —

I, żeby się nie nudzić, jeździł wozami z Sycylii, trzymał fletniarzy z Egium, kucharzy z Elidy, piekarzy z Aten; kobiercami lidyjskiemi zaścielał posadzki, kadził woniami z Syryi, posyłał po gołębie do Cypru, po perły do Lydyi, po konie do wyspy Melos, po ostrygi do przylądku Pilos, po ryby do Hellespontu, po raki do Minturnu, po gruszki do Eubei, po śliwki do Damaszku, po winograd do Rhodu, po pomarańcze do Persyi, po cedraty do Palmiry, po granady do Antyochii, po daktyle do Fenicyi, po migdały do Naksos, po wino z Tasos, woniejące jabłkami, i po wino z Saprias, rozlane wonią fiałek, róż i hyacyntów.

I, żeby się nie nudzić, zaprzęgał do wozu swego wielbłądy, lwy, słonie — nosił długą szatę medyjską zamiast krótkiej, rzymskiej tuniki, z wielkiem zgorszeniem Rzymian nosił diadema na czole wewnątrz pałacu, bo nie śmiał tak występować przed ludem, nosił koturny z drogich kamieni. — Nigdy dwa razy nie wdział tej samej sukni, ni obuwia, ni pierścienia tego samego — pływał w ogromnych wannach marmurowych, w wodzie zaprawionej szafranem i najdroższemi woniami — spał na łożach srebrnych, na puchu łabędzim lub kuropatwim — pijał z czar kryształowych, bursztynowych, onyksowych lub złotych. — Za każdem daniem odmieniał wieniec na głowie — podczas pierwszego nosił wieniec róż — podczas drugiego wieniec z fiałek, na trzecie kładł mirtowy, na czwarte narcysowy, na piąte bluszczowy, na szóste wieniec z papyrusu i róż splecionych — na siódme wieniec z lotusów aleksandryjskich. —

I, żeby się nie nudzić, kazał sobie podawać grzebienie,

wyrwane żywym jeszcze kogutom — języki pawie i słowicze — móżdżki z kwiczołów i kuropatw, głowy z bażantów, kanarków i papug. — Przed stąpającym w portykach pałacu lub w ogrodach idący niewolnicy rozsypywali róże i piasek srebrny. — Raz kazał przynieść sobie dziesięć tysięcy pająków — inną razą dziesięć tysięcy myszy — to znowu zachciało mu się dziesięciu tysięcy kun i kotów — po odbytych igrzyskach rozrzucał między ludem zgromadzonym żmije i bazyliszki. — Parasytom swoim posyłał w darze naczynia najdroższe, zalutowane, pełne ropuch i niedźwiadków. — Spraszał ich na biesiady do sal, których podniebia się roztwierały i wypuszczały deszcz z fiałek, róż i innych kwiatów. — Zrazu rozkosznie się rozciągali pod temi spadającemi wieńcami — ale deszcz nie ustawał — coraz więcej przybywało kwiatów, sala się przepełniała i nazajutrz wyciągano ich ciała przyduszone pod małgorzatkami i liliami. — Czasem znowu kazał wprowadzać do sali lwów i tygrysów ułaskawionych — i napawał się trwogą senatorów, konsulów, dworzan biesiadujących. —

I, żeby się nie nudzić, spróbował, jak się jeździ po cyrku za pieniądze — został powoźnikiem i zbierał sztuki srebra, rzucane przez widzów — potem został płatnym muzykantem. — Zdaje się, że jak ojciec jego, Karakalla, namiętnie naśladować chciał Aleksandra, tak on sobie za wzór obrał był Nerona — tego Nerona, który, przebijając się w jaskini jakiejś Kampanii rzymskiej, wykrzykiwał do towarzyszów: »Patrzcie, jaki artysta umiera!«

I, żeby się nie nudzić, zamordować kazał Pomponiusa Bassussa — żonę jego młodą oderwał od ciała, które oblewała łzami i do swego łoża wprowadził — nazajutrz o świcie odesłał ją, już znudzony. —

Dalej próbował, czy też Westalka święta, niepokalana, nie potrafi go zabawić, rozerwać — Nikt nigdy w całej starożytności na Westalkę się nie targnął — tem ten pomysł nowszym się mu wydał i przyjemniejszym. — Sam

Akwilią Severę porwał z przed ognia Westy — nazajutrz odesłał ją — już znudzony. —

Wyprawił potem naumachię czyli igrzyska wodne, wśród cyrku, na jeziorze z wina i wody piołunowej. —

Siostra Scemidy, Mammea, odziedziczyła po matce silną wolę, bystry rozum i żądze wywyższenia się. — Jako Scemis wdała się była we wszystkie czary, symbola rozwiązłości wschodnie, tak Mammea oddawna poszła była drogą idealizmu, filozofii neoplatońskiej i nauk chrześcijańskich. — Syna swego Aleksyana obznajomiła z niemi — Aleksyanus miał w swoim *sacrarium* (kaplicy) posągi Pytagora, Abrahama, Orfeusza, Apolloniusa z Tyany i Chrystusa — żył tylko owocami i nabiałem — wiersze sam pisał i czytał nieustannie Senekę, Virgiliusa i Cycerona. — Mammea wmówiła w siostrzeńca, że najprzyzwoiciej jemu, jako Arcykapłanowi słońca, by trudnił się tylko nadziemskiemi czarami, a ziemskie sprawy, nędzne i mierne, poruczył komuś. — Heliogabal zrazu uwierzył, uznał tę radę za godną siebie i przybrał do spraw ziemskich Aleksyana, którego zaraz mianował Aleksandrem, Severem, Cezarem i Konsulem. — Wtedy zaczęła się z początku ukryta, potem otwarta walka w pałacu. — Heliogabal chciał Aleksandra na swój obraz przetworzyć — a że Aleksander mu się nie dawał, rozwściekał się na jego matkę i nauczycieli. — Retora Sylwina skazał na śmierć — Ulpiana, sławnego prawnika, wygnał — Mammeę otoczył szpiegami — wreszcie siostrzeńca kilka razy otruć usiłował — ale nie udało mu się, bo czynne oko matki go strzegło. — Wtedy kazał Senatorom, by tytuł Cezara odebrali Aleksandrowi, a Pretoryanom, by jego posągi zrzucili. — Senatorowie zbledli, nie śmieli usłuchać — Pretoryanie, podjudzeni i przekupieni przez Mammeę, rokosz podnieśli. — Heliogabal, ten sam, który przed trzema latami na czele Legii Emeskiej wyzwał był potęgę Makryna i dzielnie sobie poczynał na polu bitwy, bez zbroi, bez hełmu, prawie nagi, z jednym tylko mieczem w ręku — teraz uniżony, struchlały, udał się do obozu za miastem i obiecał szanować i poważać brata Aleksandra. — Wróciwszy zaczął rozmyślać, jakby się jego pozbyć najrychlej. — Po niejakim czasie dla wywiedzenia się ducha pretoryanów kazał rozsiać fałszywą wieść o śmierci Aleksandra. — Znowu bunt się wszczął w obozie — znowu cesarz musiał brata żywego i całego pokazać żołnierzom, by ich uspokoić — ale kiedy stojąc na wozie przemawiał do nich, oparty na Aleksandrze, usłyszał zewsząd wznoszące się groźby — zdjęty gniewem każe chwytać winnych zbrodni zelżonego majestatu — zamieszanie się powiększa — z jednej strony Mammea zagrzewa żołnierzy — z drugiej Scemis obiecuje im nagrody — ale Heliogabal, ogarnięty strachem i przeczuciem śmierci, ucieka — w tej jednej chwili w życiu się nie nudził. — Stronników jego wyrzynają pretoryanie — Aleksander ogłoszony imperatorem. —

Wieszczbiarze Syryjscy oddawna byli zgadli, że ich Arcykapłan nie zwyczajną śmiercią zakończy życie — przepowiadali mu więc zawsze, że sam się zabije. — Do tego on był sobie różne przygotował narzędzia: — czary zatrute, klingi zatrute, podwórzec brukowany u stóp wieży marmurowej drogiemi kamieniami — On chciał sobie śmierć przyprawić, jak przyprawiał biesiady, rozpusty, igrzyska — ale w chwili śmierci, w tej jedynej chwili mocnego czucia, nie nudy, zapomniał o wymarzonych, przygotowanych lubieżnościach zgonu. — Z matką po prostu, bez dalszej analizy, skrył się w najodleglejszych tajnikach pałacu — w miejscach najnieprzystojniejszych Cezarowi rzymskiemu, o których nawet Neron nie był nigdy pomyślał w ostatecznem niebezpieczeństwie. — Tam pretoryanie go wykryli i zabili — głowę mu ucięli, ciało jego i matki, wleczone po ulicach miasta, w końcu wepchnięto do kloaki, ale, że otwór był ciasny, wyciągnięto nazad i do Tybru rzucono. — Ostatnie przezwisko Heliogabala było: Tiberinus. —

W nim uczłowieczyły się myty wschodnie, symbola po-

zostałe same w całej sprosności kształtów swoich, symbola głębokich, prawdziwych myśli, tylko że nie pamiętanych, zatraconych — i uczłowieczyły się, by tem pewniej, jaśniej zniknąć z powierzchni ziemi. — Symbol wschodni mógł być tylko takowym. — Myśl najczystsza nie mogła na wschodzie przybrać formy czystej, bo, jak tylko wcielała się, wpadała pod prawa Natury tamtejszej, Natury, pochłaniającej wolność ludzką — nęcącej do rozkoszy, porywającej do zapomnienia, zaprzeczającej ducha przez własną piękność i siłę swoją. — Zwykle historycy z pogardą mijają krótkie dni Heliogabala. — Jako indywiduum on jest jej godny, ale nie jako faktum historyczne. — Od niego albowiem zwycięstwo Chrystusa codzień staje się pewniejszem — przez niego pogaństwo zeszło na najniższy szczebel — przez niego ukazało się oczywiście, że ono spróchniało, że owocu już żadnego nie wyda — bo w całej potędze, w całej rozległości swojej się w nim objawiło — nadaremnie. — Heliogabal we wszystkiem, co czynił i wyobrażał, jest starością i śmiercią — jest brakiem ducha — jest materyą w gniciu. — Opowiadają, że był nad miarę urodziwym — było to materyi *a Lightning before Deoth*, jak Szekspir mówi. —

Strona 106, wiersz 7: *Że Senat przezwał cię już boską...*

Po łacinie *Diva*. — Zwyczajnie wyrokiem Senatu Imperatorowie i żony ich stawali się Bogami — stawiano im posągi — świątynie. — Dlatego tylu Chrześcijan ginęło, że nie chcieli rzucać kadzidła na ołtarz, palący się przed obrazami Cezarów. — Antinous, ulubieniec Adryana, po śmierci zapisany został w regestr Bogów za Senatuskonsultem — i za wolą Adryana. —

Strona 112, wiersz 17: *Jam August, Antonin, Aureliusz...*

Imiona wielkich Cezarów, policzonych po zgonie między Bogi, stawały się tytułami dla ich następców lub Książąt z rodu cesarskiego. — I tak Cesarze mianowali na Augustów, na Cezarów. — Tak Heliogabal, przybrawszy jako honoryficzne tytuły imiona najlepszych Cesarzów, zwał się Antoninem, Aureliuszem i t. d.

Strona 114, wiersz 3: *Evoe Bacche!*

Wykrzyknik, używany przy tańcach świąt Bacchusowych — oznaczający wesołość i komiczność. —

Strona 114, wiersz 23: *Me hercule!*

»Przez Herkulesa« — wykrzyknik, używany od Rzymian.

Strona 116, wiersz 3: *Peristyl* —

Peristyl był to salon starożytnych. — Domy ich po większej części składały się z ciągu komnat, idących jedna za drugiemi tak, że stanąwszy w *vestibulum* t. j. u wejścia, najczęściej ciasnego, można było odrazu przejrzeć aż do *viridarium* czyli ogrodu, zwykle kończącego dom z drugiej strony. — Zaraz po *vestibulum* następowało *atrium*, czyli sień, w której niewolnicy siedzieli i goście podrzędni przyjmowani byli. — To *atrium*, pośrodku którego było *impluvium*, czyli sadzaweczka okrągła lub kwadratowa na zbieranie się wody deszczowej, otoczone było małemi izdebkami sypialnemi — przez otwór nad *impluvium* wchodziło światło dzienne. — Dalej było *tablinum*, czyli podłużna sala, wystrojona w kosztowności domu — za nią dopiero *peristyl*, kwadratowa przestrzeń, otoczona zwykle kolumnami, zwykle bez dachu, przeznaczona przechadzce i rozmowom — potem następował *triclinium*, czyli pokój jadalny, połączony z *viridarium* lub często w samym *viridarium*, gdzie stały posągi, kwiaty, krzewy. — Ten cały ciąg komnat był na oko jako jeden korrydorz długi, urozmaicony tylko występującemi, to rozstępującemi się ściany, posągami, freskami, ołtarzami Bogów domowych w *vestibulum*, Bogów innych w *peristylu* i w *viridarium*. — Izdebki, w których mieszkali niewolnicy, w których spali panowie, kuchnia, spiżarnia i t. d. były

tylko przydatkowemi ciupkami do tego korrydorza głównego, z obu stron ciągnącemi się przy nim — Rozumie się, że w Rzymie i że w pałacu Cezarów wszystkie części domu nabyły większych proporcyi — ale w ruinach Pompei ten tylko korrydorz główny, przeznaczony na publiczność domowego życia t. j. na przyjmowanie gości, na biesiady itd., jest obszernym i pięknym — reszta złożona z pokojów ciasnych, nizkich, słowem z ciupek. —

Strona 120, wiersz 32: *Wielkiego Septyma.*

Septymius Severus, którego żona Julia, siostra Moesy, matki Mammei i Scemidy. — Po Septymiuszu nastąpił syn jego Karakalla, po nim Makryn, prefekt straży pretoryańskiej a dopiero potem Heliogabal. —

Strona 121, wiersz 14: *Do cyrku Flaviana* —

Dzisiejsze Koliseum, wystawione przez Flaviusa Vespasiana.

Strona 123, wiersz 19: *Czyż boska Sofi-a...*

Sofi-a, σοφεία, mądrość po grecku, stąd φιλοσοφεια miłość mądrości.

Strona 124, wiersz 10: *Przez Bogi Many Antonina...*

Bogi Many czyli cienie, duch czyjś po śmierci. — Na grobach nie pisali starożytni: poświęcone temu lub owemu, ale: Bogom manom tego lub owego, np.:

Diis Manibus
Pueri Septemtri
onis. annor. XII. qui
Antipoli in Theatro
Biduo saltavit et
placuit —

Napis znaleziony w Antibes — w nim cała nieużytość świata starożytnego rzymskiego się odbiła — dlategośmy go tutaj raczej od każdego innego przywiedli. —

Strona 125, wiersz 15: *Sztuką Danaów* —
Timeo Danaos et dona ferentes. — *Virg.*

Strona 126, wiersz 6: *Lucius Mummius nic nam nie zostawił..*

Lucius Mummius zabił Grecyę zburzeniem Koryntu.

Strona 126, wiersz 27: *Dulces moriens reminiscitur Argos.*

Cytacya z Eneidy: »Niech słodkie umierając wspomina Argos«.

Strona 127, wiersz 29: *W Termach Karakalli.*

Były to kąpiele, wystawione przez Karakallę. Gmach, którego gruzy dzisiaj jeszcze są gmachem U starożytnych kąpiel nie była rzeczą tak krótką i mało znaczącą, jak u nas. Najsłodsze godziny życia przepędzali w Termach. Były to budynki pełne portyków, ogrodów, bibliotek, przyozdobione arcydziełami sztuk pięknych. Tam wyszedłszy z wann marmurowych, namaściwszy się najdroższemi kadzidłami, przechadzali się lub słuchali Filozofów, lub grali w różne gry, ćwiczyli się w gimnastyce. — Czasem w Termach bywały Teatra i Cyrki.

Strona 128, wiersz 1: *Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.*

Tyresias, sławny wieszczbiarz, syn nimfy Charycloe — oślepiony przez Junonę, darem proroctwa obdarzony przez Jowisza. Do niego, do piekieł, zstępowali Bohatyrowie, ciekawi przyszłości i objawień o tajemnicach życia.

Strona 128, wiersz 20. *Prawdziwego Krotoniatę.*

Mieszkańcy Krotony słynęli z siły i zręczności w zapasach.

Strona 129, wiersz 7: *Jacta est alea.*

»Kość rzucona!« — słowa Juliusza Cezara, przesadzającego Rubikon.

Strona 129, wiersz 17: *Vae capiti ejus!*

»Biada głowie jego!« — zwykłe przekleństwo u Rzymian.

Strona 131, wiersz 23: *Proh! Jupiter!*

»Ach! Jowiszu« — zwykły wykrzyknik u Rzymian.

Strona 131, wiersz 33: *Rąk potrząsających Tyrsami...*

Tyrsy, święte laski, oplecione bluszczem, zakończone gronem winnem, niesione w igrzyskach i świętach Bacchusa. Ukazanie się tego widma Aleksandra Wielkiego znane jest w historyi.

Strona 132, wiersz 6: *Podaj mi Falernu.*

Falernum, sławne wino u Rzymian.

Strona 132, wiersz 8: *Dii, avertite omen!*

Poświęcony sposób mówienia u starożytnych dla odwrócenia złej wróżby.

Strona 132, wiersz 9: *Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusza (Karakalla) i t. d.*

Ta cała mowa Irydiona zasadza się na szalonej miłości, którą powziął był Karakalla ku pamięci Aleksandra W. Karakalla był to człowiek bardzo mierny, o żelaznych kaprysach, nie woli, niezmiernie chełpliwy, pełny drobnej miłości własnej, cierpiący niejako pomieszanie mózgu, zresztą odważny żołnierz. Koniecznie mu się wydało, że jest bohatyrem i że do ogromnych celów stworzyło go Fatum. Postać, która najdzielniejszym bohatyrstwa blaskiem świetniała nad światem Greckim i Rzymskim, postać Aleksandra W., obudziła w nim żądzę takiej samej chwały — we wszystkiem go naśladował. — Dworzanie twierdzili, że podobny jemu jak kropla do kropli — posprawiał sobie podobne zbroje, hełmy, szablę — głowę pochyloną na wzór jego nosił — ale że nie mógł być zdobywcą i Geniuszem, pocieszał się musztrami Legionów — a że nie mógł zdobyć Tyru ni Babilonu — pojechał do Aleksandryi, miasta swojego własnego, i tam w jednym dniu wyrznął połowę mieszkańców, udając przed sobą samym, że gdzieś zwycięża i morduje, jak niegdyś Król Macedoński. Nareszcie tyle kłamał sobie samemu, że uwierzył pod koniec dni swoich, że w rzeczy samej metempsychosą duch Macedończyka wszedł w niego i zupełnie się ujednoczył z Aleksandrem Wielkim.

Strona 133, wiersz 25: *Święty zamek.*

Kapitol — *arx sacra, aeterna.*

Strona 133, wiersz 33: *Geniusz miasta.*

Każde miasto, każde państwo w pogaństwie miało Geniusza swego, Ducha opiekuńczego, niby Anioła Stróża.

Strona 134, wiersz 29: *Panowie Amfiteatru.*

Tak nazywano motłoch rzymski.

Strona 135, wiersz 13: *Io triumphe!*

Wykrzyknik, używany w pieniach do Bacchusa.

Strona 135, wiersz 31: *Ich fibule.*

»Fibula« sprzączka, na którą sprzęgała się Toga lub Tunika na ramieniu.

Strona 136, wiersz 28: *Salve Aeternum!*

Formuła, używana przy pogrzebach, pieśń przed zaniesieniem ciała na stós — tak samo, jakby kto po polsku powiedział: »Ty wprzódy nad niemi wyrzeczesz — Wieczny odpoczynek«.

Strona 138, wiersz 31: *Vale!*

Formuła pożegnania u Rzymian: »Bądź zdrów«.

Strona 139, wiersz 24: *Człowiek nowy.*

U Rzymian *homo novus* zwał się plebejanin, co dostał się do urzędu, lub człowiek z miasta obcego, nie mającego prawa obywatelstwa, co przyszedł do Rzymu i urząd pozyskał. Cycero był *homo novus* — (un parvenu).

Strona 140, wiersz 30: *Skonał w spoliarium.*

»Spoliarium« nazywało się miejsce obok każdego Amfiteatru, do którego rzucano konających Gladyatorów, z ran odniesionych na Arenie.

Strona 143, wiersz 14: *Alma Venus.*

»Alma« przymiotnik zwykły Cybeli i Venery, znaczy: wszystkorodząca.

PRZYPISKI DO DRUGIEJ CZĘŚCI.

Strona 148, wiersz 14: *Pod mausoleum Cecylii Metelli.*

Zdaje się, że obok tego pomnika, wystawionego żonie Triumvira Krassusa, było ukryte wejście do katakomb. — Dotąd stoi obok kościół św. Sebastyana w Kampanii rzymskiej, od którego schodzi się w tę resztę katakomb, po której chodzić można.

Strona 149, wiersz 11: *Na Forum romanum.*

Tak zwał się plac przed Kapitolem, na którym stały mownice i kurye, czyli trybunały, w których odbywały się sądy, a czasem narady Senatu. — Od tego Forum wstępowały schody aż na szczyty kapitolińskiego wzgórza. — Tam, na lewej wyniosłości, nad skałą tarpejską, stał kościół Jowisza Feretryjskiego, na prawej zaś Jowisza Kapitolińskiego; — *via sacra*, czyli święta droga tryumfujących, szła

na Forum przez łuk Fabiana, wychodziła zaś z niego, by już iść w górę na Kapitol, przez łuk Septyma Severa. — Naprzeciwko Kapitolu, z drugiej strony Forum, stała świątynia i klasztor Westalek, bliżej zaś stóp wzgórza Kapitolińskiego, świątynia Fortuny i Zgody — na samym zaś środku, na czystem miejscu, była mownica. — Kształt całego Forum był równoległoboczny. — Boki jego wszędzie zasute były rzędami kolumn, ciągnącemi się przed świątyniami i bazylikami. — Widok ten musiał być nadewszystko uroczystym i wspaniałym. — W Architekturze starożytnej nie było uniesienia Ducha, odbijającego się w Gotyckiej, ale zato najwyższa powaga ciała wszędzie panowała.

Starożytny Patrycyusz, niewzruszony, z zarzuconą togą, odpoczywający po ofierze złożonej Bogom, jest obrazem Architektury starożytnej. — W niej każda cząstka opisana, ograniczona, doskonale skończona — Idea miary i piękności, przeniesiona do okręgu zupełnie zawartego. — Niewzruszoność i jedność są zatem jej piętnami, kiedy w Gotyckiej ruch prawdziwy, rozmaitość i nieskończoność żyją. — Możnaby powiedzieć, że Architektura starożytna jest Duchem zupełnie wcielonym w rozmiary, w materyę, a Gotycka materyą pracującą, by się zidealizować, by zduchownieć. — Dlatego też niema kościoła Gotyckiego prawie, któregoby budowa zupełnie skończoną była, a nie było kościoła pogańskiego, któryby nie był zupełnie dokończonym w każdej części swojej. — Stąd pochodzi, że architektura pogańska przenosi o wiele chrześcijańską pod względem sztuki, chrześcijańska zaś pogańską pod względem myśli, Ducha.

Strona 149, wiersz 28: *Że w tych cmentarzach śpią goście tylko.*

Napis był na jednym z wejściów do katakomb: — *Caemeterium est domus, in qua hospites dormire solent.* Cmentarz jest domem, w którym spać zwykli goście.

Strona 149, wiersz 35: *To Lykaoński Orfeusz.*

W katakombach pełno było rzeźb i malowideł symbolicznych po ścianach i na Sarkofagach. — W początkach chrześcijaństwa sztuka była całkiem symboliczną. I tak Orfeusz, pierwszy mędrzec, poeta, założyciel towarzystwa u pogan, wyrażał Chrystusa — postać Noego, Izaaka, Józefa Patryarchy to samo znaczyły. — Złoty świecznik o trzech ramionach wyrażał Chrystusa — latorośl winna to samo. — Lira była symbolem krzyża — palma: zwycięstwa niebieskiego — krzyż z drogiemi kamieńmi, otoczony wieńcami róż, z wiszącemi na złotych łańcuszkach dwiema literami Greckiemi *alfa* i *omega*, znaczył Boga, koniec i początek wszystkiego. — Paw był symbolem zmartwychwstania a czasem znowu Szatana. — Oliwne drzewo było Hieroglifem wieczności i pokoju — cyprys i sosna: śmierci — kotwica: zbawienia — ryby: ludzi — z powodu słów Chrystusowych do Apostołów: *Faciam vos piscatores hominum* — delfin: nadziei i umarłych, co z tego świata w lepsze strony się udali — Samson, z wyrwanemi bramami na barkach, znaczył Chrystusa na tej zasadzie: *Tollit portas civitatis id est Inferni et removit mortis imperium.* Tu *civitas* raz znaczy czyn Samsona realny, drugi raz oznacza świat starożytny cały, który był tylko składem *civitatum* miast (citée) czyli Egoizmów, zamkniętych w sobie, najsrożej uciskających. — W rzeczy samej Chrystus zadał śmierć składowi temu, porządkowi całego świata starożytnego, powołując ludzi do braterstwa i wolności. — To dowodzi, że i Chrześcijanie pierwszych wieków już czuli swoje powołanie polityczne. — Dalej jeleń znaczy Apostołów, kogut, czujność pasterską — a krzyż zawsze składał się z czterech gatunków drzewa — z cyprysu, cedru, palmy i oliwy.

Strona 150, wiersz 20: *Przynoszą mu Prochristum.*

»Prochristum« była to flaszeczka, zawierająca trochę krwi męczennika, złożona na Jego piersiach w trumnie, z wyrzniętemi literami: *p. Ch.* co znaczyło *za Chrystusa.* — Dotąd w katakombach po takowym znaku poznają ciała męczenników, gdyż nieraz żadnego napisu niema przy nich ani na grobie. —

Strona 152, wiersz 12: *Apage.*

Znaczy *precz* — używana formuła na odstraszenie Szatana.

Strona 152, wiersz 26: *Czyś nie słyszała od wielu świętych, że już blizkie czasy.*

Od śmierci Chrystusa aż do połowy prawie średnich wieków trwała w chrześcijaństwie posępna wiara, że świat blizki ciągle końca i sądu ostatniego. — Im dalej w lata, im dalej od Chrystusa, tem bardziej słabnęła ta wiara, lub odkładaną była na odleglejsze czasy — ale w pierwszych wiekach Chrześcijanie, osobliwie mistycy, pustelnicy, anachorety, spodziewali się lada nie codzień powrotu Jezusa. — Osobliwie na wschodzie, w Egipcie, panowało to oczekiwanie. — Rzymski kościół od samego początku swego był raczej praktycznym, niż idealnym, raczej starającym się wcielić w kształt i potęgę, niż gotującym się na rozwcielenie się zupełne z wszelakiego kształtu; ale i na zachodzie jednak wielu wierzyło w blizkie ukazanie się Chrystusa — najbardziej do ustalenia tej wiary przyłożyły się natchnienia św. Jana na wyspie Patmos, zawarte w znanej księdze »Apocalypsis«. — W pierwszych i następnych wiekach mnóstwo było podobnych ksiąg objawień, widzeń. — Niejeden męczennik, konając, widział otwarte niebiosa, przepowiadał koniec rzymskiej potęgi, a zatem świata, a zatem z niebios zstąpienie Chrystusa — Bardzo pomieszane były i zawikłane pod tym względem domysły, nadzieje, życzenia pierwszych Chrześcijan. — Jedni sądzili, że wróci Chrystus i że na ziemi zacznie się Jego panowanie — tę wiarę nazwano później wiarą w *Millenium*, bo później przeniesiono ostateczny

termin sądu na rok tysiączny. — W rewolucyi Angielskiej siedemnastego wieku znów znalazła się sekta polityczna i religijna, która tę wiarę wskrzesiła. — Drudzy myśleli, że w rzeczy samej próba materyalna się zakończy, że ziemia zniknie z przestworów wraz z Rzymem — że umarli powstaną i że się objawi w przestrzeniach obiecana przez św. Jana nowa Hierozolima. — Nic dziwnego w tem wszystkiem nie było. — Naprzód na niektórych słowach samego Chrystusa przed śmiercią, mogła zasadzać się ta wiara. — Dalej ludzie, przyjmowani na łono Chrześcijaństwa w pierwszych czasach, byli jeszcze bardzo materyalnie wszystko sobie wyobrażający, były to po większej części wyobraźnie rozgorzałe, cierpiące, rozdrażnione poniżeniem i niesprawiedliwością świata, pragnące, by wszystko, i ludzie i natura, przetworzonemi zostali. — Codzień powtarzano im formuły chrześcijańskie: — że świat ten materyi jest tylko złudzeniem, że życie ludzkie jest cieniem znikomym — że jest inny świat duchowny, wyższy — codzień widzieli ginących z nadludzką odwagą, by do tego drugiego się dostać; i jakże nie było im czasem pomyśleć, że ten drugi wkrótce znidzie, zniszczy niższy i sam jeden zostanie? — Oni czuli się powołanymi do obalenia świata realnego, prześladującego ich. — Oni jeszcze nie wiedzieli prawdy moralnej, że myśl zwycięża zawsze materyę, jak kropla, co kamień przedrąża po wiekach wielu — sądzili więc, nie widząc w samych sobie żadnej potęgi świeckiej, że im Chrystus i Anieli przyjdą w pomoc, że w dniu jednym runie Kapitol i zarazem rozpadnie się ziemia, bo wiarą także równie silną, zakorzenioną w świecie ówczesnym było, że Roma stoi, dopóki świat stoi. — Wreszcie wspólnem to jest przesądem wszystkim ludziom, że niejasno pojmują, jakoby mógł świat żyć dalej po skonaniu tego, w czem wzrośli, czego sami częścią byli. — Państwo rzymskie oczewiście wtedy zbliżało się do śmierci. — Co potem nastąpić miało, nie mogło wcisnąć się w mózgi ludzi żyjących wśród państwa tego, a zatem bez dalszych

domysłów świat cały na śmierć skazywali, błędnem przeczuciem. — Zdaje mi się jednak, że to było tylko wiarą ludu, ale nigdy naczelników Chrześcijaństwa. — Biskupi Romy przeczuwali, że nauka Chrystusa wcieli się jeszcze na ziemi w jedynowładztwo materyalne. — Na tych to podaniach o końcu świata, o zmartwychwstaniu Świętych, o zniszczeniu Romy zasadza się spisek Irydiona w katakombach. —

Strona 153, wiersz 8: *Trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci.*
Słowa Attyli.

Strona 154, wiersz 20: *Wyzwoleniec czytał mu Fedona.*
Dyalog Fedona o nieśmiertelności Duszy, dzieło Platona, które Kato odczytał przed zabiciem się w Utyce.

Strona 162, wiersz 1: *Cenotafy po ścianach.*
»Cenotaf«, nadgrobek po grecku.

Strona 167, wiersz 18: *Przed laty Herman...*
Po teutońsku Herman, po rzymsku Arminius, ten sam, który wyrznął Legie rzymskie pod dowództwem Varrusa. Znany jest żal Augusta i słowa: Varrusie, wróć mi Legiony moje! —

PRZYPISKI DO TRZECIEJ CZĘŚCI.

Strona 174, wiersz 7: *Irydion dobywa tabliczek i stylem pisze na nich.*
Starożytni nosili zawsze przy sobie tabliczki, polane cieniuchną warstwą wosku, po której pisali ostrym metalowym piórem, zwanym *stylus.* Ten stylus zatknięty mieli zwykle u przepaski tuniki — używali go czasem miasto puginału. Większa część spiskowych, którzy zabili Cezara,

przyszła do senatu uzbrojona tylko w stylusy. Brutus pchnął go stylusem.

Strona 174, wiersz 13: *Byśmy go na krzyżu rozbili...*
Najohydniejszą śmiercią u starożytnych była śmierć na krzyżu, to samo, co u nas na szubienicy.

Strona 175, wiersz 5: *Aż po Hyrkańskie Syrty i pustynie Jazygów.*
Hyrkania była nad brzegiem Kaspijskiego morza, blizko Partyi — pustynie Jazygów między Dnieprem a Donem.

Strona 175, wiersz 27: *Przecie Hekatombę.*
»Hekatomba« z Greckiego, ofiara z stu byków złożona — w przenośni każda wielka ofiara.

Strona 177, wiersz 6: *Zemsta jest rozkoszą Bogów.*
Stare greckie przysłowie.

Strona 179, wiersz 35: *Od bram Kuryi...*
»Kurya« każden budynek, w którym sąd lub senat się zbierał.

Strona 182, wiersz 12: *Eheu!*
Po łacinie: Niestety!

Strona 185, wiersz 9: *Hesperus.*
Gwiazda wieczorna »Wenera«.

Strona 186, wiersz 26: *Polać zdrojem nafty.*
Nafta, gatunek oleju ziemnego, palnego.

Strona 187, wiersz 20: *Zwycięstwem pod Zamą.*
Pod Zamą Scypion Afrykanski zbił na głowę Hannibala.

Strona 187, wiersz 29: *Całun z amiantu dla popiołów Romy.*
Żeby rozeznać po spaleniu na stosie popioły ciała od popiołów stosu, starożytni zwykli trupy obwijać w koszule, utkane z włókien kamienia zwanego »Asbest«. — Takie włókna prząść się dają i zowią się Amiantem.

Strona 188, wiersz 17: *Manipule Severa.*
Legia rzymska we trzy rzędy ułożona stawała na pobojowisku. Pierwszy rząd składali Hastati, drugi Principes, trzeci Triarii. Każdy rząd dzielił się na dwanaście Manipulów. — Dwie Manipule stanowiły Centurie, której przełożony zwał się Centurion, a trzy Manipule składały Kohortę. W Manipuli bywało najmniej po sześćdziesiąt, najwięcej po sto dwadzieścia żołnierzy.

Strona 190, wiersz 6: *Włosy Bereniki.*
Konstellacya, z siedmiu gwiazd złożona, tak nazwana od siostry i żony zarazem Ptolomeusza Evergeta, króla Egipskiego, która przyrzekła włosy swoje uciąć i zawiesić w świątyni Marsa za powrotem męża z wyprawy do Azyi. Dotrzymała obietnicy — ale włosy tej samej nocy zniknęły. Conon z Samos, nadworny Astronom, przysiągł wtedy, że wyobserwował, jako Zefir za rozkazem Wenery wniósł je do niebios — i nazwał siedm gwiazd świecących obok *ogona Lwa* »włosami Bereniki«.

Strona 191, wiersz 2: *Ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa.*
Brennus, wódz Gallów, który zdobywszy miasto i senat wyrznąwszy, kiedy okup żądany brał od Rzymian, rzucił jeszcze do szali miecz swój z tem słowem sławnem: *Vae victis!* — biada zwyciężonym!

Strona 191, wiersz 18: *Potrójna Hekato...*
Dlatego potrójna, że nazywała się Księżycem w niebie-

siech, Dyaną na ziemi, Prozerpiną lub Hekatą w piekle. Epitet jej zawsze jest *Dea feralis* — zgubna bogini.

Strona 191, wiersz 19: *Jeżeli jesteś moim złym Geniuszem...*
Było wiarą ustaloną pomiędzy starożytnemi, iż każdy z nich ma dobrego i złego Geniusza. Brutusowi ukazał się jego zły Geniusz przed bitwą pod Filippami.

Strona 198, wiersz 35: *Darujcie mi, Kwiryty* —
Quirites, imię Rzymian od pocisku zwanego *quiris*.

Strona 200, wiersz 15: *Sit tibi terra levis* —
Formuła, którą umarłych żegnali Rzymianie, odchodząc od stosu lub od urn. — Zwykle nawet te słowa pisano na każdym nagrobku: — *Ziemia niechaj ci lekką będzie.* —

Strona 200, wiersz 16: *Wśród tych kolumbariów* —
Pomnik dla uboższych ludzi, podobny z kształtu do gołębnika z framugami, w których stały urny, nazywał się *columbarium*.

PRZYPISKI DO CZWARTEJ CZĘŚCI.

Strona 207, wiersz 6: *Stanął u progów Attala...*
Znaną jest rzeczą, że Senat Rzymski wydzieliwszy najpiękniejsze prowincye, zdobyte na Antyochu Wielkim, Attalowi, królowi Pergamu, kiedy tenże Attal umierał bezpotomnie, kazał je sobie zapisać i darować. —

Strona 207, wiersz 9: *Podniósł się wśród Istmijskich igrzysk...*
Przed wdaniem się jeszcze czynnem i zdobywczem do spraw greckich, poseł rzymski oświadczył publicznie na igrzyskach istmijskich przed zgromadzonymi mieszkańcami wszystkich miast greckich, że senat i lud rzymski, wziąwszy

na uwagę, o ile niesprawiedliwe są żądania króla macedońskiego i o ile piękną i pożyteczną jest niepodległość Grecyi, obiecują jej bronić wszelkiemi siłami przeciwko napadom tegoż króla. —

Strona 207, wiersz 9: *Syn Latony.*
Phoebus Apollo. —

Strona 208, wiersz 8: *Bite drogi Aedylów.*.
Aedyle, urzędnicy przełożeni nad budowaniem publicznych gmachów, dróg, mostów, wodociągów i t. d.

Strona 208, wiersz 12: *Od Gadesu po ultima Thule* —
Gades: Kadyx dzisiaj — Thule: Islandya; — prawie zawsze starożytni przydawali do niej ten przymiotnik *ultima*, ostatnia, bo ją uważali za najodleglejszy kraniec ziemi. —

Strona 208, wiersz 14: *Stoików obłąkane cienie* —
Ostatnim wyrazem szkoły greckiej Platońskiej byli przy kończącym się starożytnym świecie Stoicy. — Idealizm starożytny w nich się wcielił tak, jak materyalizm u Epikurejczyków. — Cnota Stoika była wielką, ale niewzruszoną. — Umieli umierać, ale żyć nie umieli. — Pierwszą ich zasadą było słowo ἀπέχου — wstrzymuj się. — Wstrzymywali się więc od wszystkiego, smutnym wzrokiem spoglądali na świat obumierający, ale nie szli go ratować. — Zawarci w sobie, korzący się tylko przed sądem dumy własnej, którą nazywali sumieniem, wyszli na samolubów moralnych, pełnych nadzwyczajnej egoistyckiej godności, ale nie związanych z sobą, nie natchnionych iskrą wspólnego, towarzyskiego życia. — Ich myśli i przepisy krążyły ciągle w idealnym świecie, nigdy nie dały się przystosować do ziemskiego — i dlatego też zostały nam tylko podania o ich sławnych zgonach, nie zaś o ich życiu. — Marek Aureliusz, Cesarz, tchnął ich najczystszym, najpiękniejszym duchem. —

Jego maksymy przez długi czas pocieszały niejako ten świat, codzień bardziej się rozrabiający w rozprzęgnieniu śmierci — ale i one nic nie utworzyły wielkiego, żyjącego. — Systema stoickie możnaby nazwać Testamentem, w którym konający nic nie zapisuje dziedzicom swoim, prócz kilku smutnych uwag nad życiem. — Pierwsi Stoicy wprowadzili na świat chorobę zwaną *spleen*, odziedziczoną przez Anglików, której ostatecznem przesileniem jest samobójstwo.

Strona 208, wiersz 23: *Jako ojciec rodziny dzieci, jak Patrycyusz Plebejan...*

Wyobrażenia prawnika rzymskiego. —

Strona 208, wiersz 33: *Jak w lasach Hercyńskich zbladłe klękają pod nożem ofiary...*

W lasach hercyńskich Herman, czyli Arminius, otoczył legie Varrusa i pierwszych naczelników zabił w ofierze Bogom Germańskim.

Strona 208, wiersz 34: *Nie lotnym gromem Aleksandra...*

Nigdy nic idealnie wyniosłego nie było w dziejach Rzymu — ale zato nikt nigdy na ziemi nie był bardziej *realnym*, *praktycznym*. Praktykował Senat rzymski niesłychane podstępy i podłości od samego początku aż do końca Rzeczypospolitej. — Nieprzyjaciół najczęściej pozbywał się zdradą (Hannibal, Jugurtha, Sertoryusz, zburzenie Kartagi, Mitrydat), przyjaciół zaś i sprzymierzeńców oszukiwał na wszystkie sposoby (Grecya, Azya mniejsza, Pergam, Egipt, Gallia i t. d.). Wytrwałość w złych losach, wiara, że Rzym stać powinien, bo powinien, bezczelność, która się niczego nie wstydziła, sprawiły wielkość tego miasta. — Nigdy Rzymianie nie puścili się na wyprawę młodzieńczą, poetyczną, na wzór Aleksandra wielkiego — nigdy myśl cywilizacyi nie powstała w ich sercu, jak w sercu ucznia Arystotelesa. — Egoizm ciężko-materyalny wiódł ich wszędzie — dlatego

nie starali się spajać ludów razem, nie usiłowali ich narodowości połączyć w harmonię, uczynić ograniczonej całości, ale zagubiali, niszczyli, wytępiali. — Wyroki Senatu rzymskiego są wzorem obłudy i nieskończonego świadczenia się Bogów, powtarzania rozmaitych przepisów cnoty, sprawiedliwości, pobożności. — W imieniu sprawiedliwości wyzuwali z własności, kraje wolne zamieniali w prowincye, lub królestwa, którym umarli królowie, ogłaszali swojemi na zasadzie praw najśmieszniej wynalezionych, najbezwstydniej utrzymywanych. -- Zarazem przybierali na się wszystkie pozory szlachetności, występowali ciągle nibyto w obronie słabych, skrzywdzonych — a potem i skrzywdzonych i krzywdzących ogałacali z posiadłości i władzy. — Układy, zawierane przy niepomyślnych okolicznościach przez wodzów Rzeczypospolitej, były tylko igraszką, bo senat zwykle ich nie potwierdzał, tłómacząc się tem, że ów Pretor lub Konsul nie miał dostatecznej władzy i wydając jego samego za karę. — Potem ciągnął dalej wojnę, korzystając ze straty czasu, wyłudzonej na wrogach. — Rzymian potęgą były także frazesa. — Ich posłowie u dworów zagranicznych wciąż kłamali, wciąż opisywali siły swoje z największą bezczelnością i pychą. — Udawało się im. — Papilius Lenas najpotężniejszego mocarza wschodu, Antyocha Wielkiego, nie wypuścił z okręgu zakreślonego na piasku, nim odpowiedział na jego żądania — a jednak jeszcze wtedy Azya ledwo była słyszała o Rzymie. — Słowem — nikt Rzymowi nie zrównał w praktycznym rozumie — ale nikt też tak ciągle, bezprzestannie światu nie kłamał — nikt tak niecnie przysiąg nie łamał, nikt na tyle potęgi nie wydał tak ogromnego zapasu złej wiary. — W świecie ducha dlatego też słabemi pozostali Rzymianie — nic nigdy nie wynaleźli, nie odkryli. — Literatury, sztuk, nie mieli. -- Rozum ich był przedewszystkiem adwokacki. Ich zdobycze podobne procesom, z wielką sztuką prowadzonym — a ich ostateczne zwycięstwo, ich panowanie światu stało się zepsuciem i śmiercią

świata. — Ludzkość zgniła pod ręką Rzymu. — Jedność, o której marzyli, była tylko skupieniem mechanicznych cząstek — nie organicznem ożywieniem wielkiego ciała. — Na czem się znali, to nam zostawili: — Kodeksa — prócz tego nic a nic — bo wszyscy ich pisarze są tylko odbłyskiem cywilizacyi greckiej, prostem jej naśladownictwem i to bardzo niewolniczem. — W świecie materyi panami byli, w świecie ducha niewolnikami — karę swoją wycierpieli w samych sobie, przez siebie samych. — Zginęli przez to, że nigdy prawdziwego życia politycznego ni towarzyskiego nie pojęli — przez to że podbijali, nie urządzali — że wygubiali, nie pomnażali — że uciskali, nie uwalniali — że zbijali siłą, nie spajali duchem. — Kiedy przyszło umierać Rzymowi, obejrzał się naokół, czy gdzie iskry życia nie odkryje, któraby mógł w stare swoje żyły zaszczepić, ale nic nie ujrzał, prócz trupów, leżących u stóp swoich — i darmo wołał na nie w godzinie śmierci — one się nie przebudziły!

Strona 210, wiersz 8: *Euge, Euge!*
Wykrzyknik, to samo, co: »nuż a nuż« po polsku.

Strona 211, wiersz 4: *Przy Rostrach* —
Rostra: mownica. —

Strona 211, wiersz 11: *Ultimum vale.*
Ostatnie pożegnanie przy pogrzebach. —

Strona 211, wiersz 26: *Diespiter.*
Miasto: *pater diei*, ojciec dnia. —

Strona 212, wiersz 8: *Ojcem ludzi i Bogów* —
Epitet zwykły Jowisza.. —

Strona 212, wiersz 12: *Czyż posiał kły smoka* —
Jazon, dobywając runa złotego, zabił smoka i kły jego

posiał — z nich natychmiast z pod ziemi zbrojni męże wyskoczyli.

Strona 212, wiersz 21: *Marspiter.*
Zamiast *Mars pater* mówili Rzymianie.

Strona 215, wiersz 16: *Gemonii.*
Studnia, w którą rzucano trupy złoczyńców.

PRZYPISKI DO DOKOŃCZENIA.

Strona 227, wiersz 20: *Bladą twarz Cyntyi.*
Imię Dyany.

Strona 230, wiersz 25: *Niema purpurowej obsłony...*
Podczas igrzysk rozciągano nad całym Amfiteatrem zasłonę, zwaną *velarium*, dla uchronienia się od promieni słońca.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY

DO »IRYDIONA«.

Str. 89. J o w i s z — najwyższy bóg u Rzymian.

Str. 89. P l e b e j a n i n — klasa nieuprzywilejowana, potem mniej uprzywilejowana w starożytnym Rzymie.

Str. 89. W e s t a l k a — dziewicza kapłanka bogini Westy.

Str. 89. K a p i t o l — jedno ze 7 wzgórz, na których Rzym wzniesiony.

Str. 89. L e g i o n — oddział wojska rzymskiego.

Str. 90. T y t a ń s k i e c z a s y — Tytan, olbrzym mitologiczny.

Str. 90. I z y d a — bogini egipska.

Str. 90. M i t r a czyli Helgal-baal — bóg chaldejski.

Str. 91. P a w ę ż (staropolskie) — tarcza.

Str. 97. S k a l d y — pieśniarze staro-germańscy.

Str. 97. P o s s e j d o n — bóg morza u Greków.

Str. 97. W ą ż P i t o n — potwór, zabity przez boga Apollona.

Str. 98. G a d e s — miasto w Hiszpanii, dzisiejszy Kadyks, położone w pobliżu cieśniny Gibraltarskiej.

Str. 98. F i l o p e m e n (właściwie: Filopomenes) — znakomity wódz Greków w III i II w. przed Chr., wróg Rzymian.

Str. 98. M i t r y d a t czyli Mitrydates — król Pontu (II–I w. przed Chr.), zacięty wróg Rzymu.

Str. 99. J u g u r t h a — król Numidyi (II w. przed Chr), wróg Rzymian.

Str. 99. S y r t y — zatoki u północnych brzegów Afryki.

Str. 101. P r o k o n s u l i p r e t o r — urzędy u Rzymian.

Str. 101. W y z w o l e n i e c — uwłasnowolniony niewolnik rzymski.

Str. 101. A n a k r e o n — poeta grecki, piewca miłości i wesela (VI w. przed Chr.).

Str. 101. V a r r u s — wódz rzymski, który w walce z Germanami w miejscowości, zwanej Lasem Teutoburskim, w 9 r. po Chr., poniósł znaczną klęskę.

Str. 101. S e r t o r y u s z — dowódca powstańców hiszpańskich, (I w. przed Chr.), długo i szczęśliwie walczył przeciw Rzymianom.

Str. 101. O l b r z y m ś m i e r c i — Odyn.

Str. 103. P r o m e t e u s z — postać z mitologii greckiej, wykradł bogom ogień i udzielił go ludziom, za co przez Jowisza został przykuty do skały na Kaukazie, i sęp wyżerał mu wiecznie odrastającą wątrobę.

Str. 103. L a o k o o n — kapłan trojański, który ostrzegał rodaków przed wprowadzeniem do miasta słynnego konia drewnianego z ukrytymi w jego wnętrzu Grekami, został wraz z dwoma synami zaduszony przez węże.

Str. 105. P o l l u k s — Kastor i Polluks, cz. Polideukes, synowie Ledy, bracia Heleny trojańskiej; zwano ich też Dyoskurami.

Str. 105. S t a r y B r u t u s — konsul rzymski, według podania skazał na śmierć własnych synów za spisek, dążący do przywrócenia władzy królewskiej.

Str. 107. A f r o d y t e — grecka bogini miłości, miała się urodzić z piany morskiej.

Str. 108. E r e b — miejsce przebywania potępionych duchów w państwie cieniów.

Str. 108. E u t y c h i a n — wódz straży przybocznej Heliogabala, postać historyczna.

Str. 112. S a r d a n a p a l (właściwie: Asurbanipal) — ostatni król asyryjski, słynny z rozpusty i zbytków.

Str. 113. C e n t u r y o n — niższy stopień dowódcy w wojsku rzymskiem.

Str. 114. I n d y e z d o b y w a ł — Bachus, bóg wina i wesołości, odbywał tryumfalne pochody do różnych krajów, między innemi i do Indyi.

Str. 114. T a l e n t — jednostka monetarna u Greków, około 1.500 rb.

Str. 117. N a u m a c h i e — igrzyska cyrkowe, polegające na sztucznej walce okrętów.

Str. 118. P a r k a — grecka bogini losu ludzkiego; było ich trzy.

Str. 119. D y k t a t o r — wódz z władzą nieograniczoną, wyznaczany w razie groźnego niebezpieczeństwa.

Str. 123. B r u t u s z a m o r d o w a ł o j c a s w e g o — ściśle mówiąc: opiekuna, t. j. Juliusza Cezara; Brutus zginął pod Filippami.

Str. 124. S y r t y G e t u l ó w — zatoki u północ. brzegu Afryki.

Str. 124. S w e w y, D a k i, M a r k o m a n y — plemiona germańskie.

Str. 124 i 125. Epikurejczyk, stoik — szkoły filozofów greckich, pierwsi zalecali używanie dóbr doczesnych, drudzy — wstrzemięźliwość.

Str. 126. Sykulski poeta — sycylijski, zapewne sielankopisarz Teokryt (III w. przed Chr.).

Str. 127. Flegeton — ognista rzeka w państwie cieniów.

Str. 127. Neoplatończyk — szkoła filozoficzna.

Str. 127. Satis est — dość (łać.).

Str. 128. Cerber — trójgłowy pies, strzegący państwa cieniów.

Str. 129. Lethe — rzeka zapomnienia w państwie cieniów.

Str. 130. Elizejskie pola — miejsce przebywania dobrych duchów w państwie cieniów.

Str. 131. Potrójna Hekata — bogini grecka.

Str. 132. Moesya i Tracya — kraje, nad dolnym Dunajem i pod Bałkanami położone.

Str. 134 Katylina zawiązał w I w. przed Chr. spisek przeciw Rzymowi.

Str. 136. Kwiryty — tytuł urzędowy obywateli rzymskich.

Str. 136. Astarat — bóstwo chaldejskie.

Str. 137. Niepokalana — dziewicza bogini Dyana.

Str. 137. Endymion — słynny z urody, postać mitologiczna.

Str. 137. Poppea (żona Nerona) i Messalina (żona cesarza Klaudyusza), słynne z rozwiązłości.

Str. 140. Liktorowie — przyboczna straż wyższych urzędników rzymskich.

Str. 143. Eros — grecki bożek miłości.

Str. 144. Furye (Erinnie) — boginie zemsty.

Str 146. Orestes, gnany żądzami — t. j. przez Erinnie za zabicie własnej matki Klitemnestry, która zabiła swego męża, Agamemnona.

Str. 146. Lary — domowe bogi opiekuńcze u Rzymian.

Str. 147. Biskup Wiktor w rzeczywistości umarł na 20 przeszło lat wcześniej; wówczas biskupem rzymskim był Grek Kallistus (217—222), postać niesympatycza, chciwiec i zdzierca.

Str. 152. Ulubieniec Jego na dzikiej Patmos — św. Jan na wyspie Patmos pisał swe Objawienie.

Str. 154. Starzec Maurytańskich pustyń — tak Irydion nazywa tu Masinissę.

Str. 157. Eloim (hebrajskie Elohim) — miejsce święte, kaplica.

Str. 163. Allemany — plemię germańskie.

Str. 163. Stator — przydomek Jowisza.

Str. 167. Irminsul (właściwie: Irmensäule) — słup drewniany lub olbrzymie drzewo w świętym gaju, gdzie Germanie oddawali cześć bogowi Irminowi.

Str. 174. Danaus — Grek.

Str. 175. Fortuna — bogini szczęścia ludzkiego.

Str. 178. Mausoleum — grobowiec.

Str. 179. Morfeusz — bożek snu.

Str. 181. Piany Macedończyk — t. j. Aleksander Wielki, który zabił podczas biesiady w uniesieniu własną ręką przyjaciela Klitusa.

Str. 183. Nemezis — bogini zemsty.

Str. 184. Sfinks — potwór mityczny, zadawał przechodniom zagadki, a gdy ich nie rozwiązali, zabijał ich.

Str. 186. Kurya Hostilia — budynek w Rzymie, miejsce posiedzeń senatu.

Str. 186. Minerwa — bogini mądrości.

Str. 186. Spisani ojcowie — senatorowie.

Str. 186. Kato — znakomity mąż stanu II w. przed Chr., niezłomny cnotą i męstwem.

Str. 187. Meduza — potwór mityczny, z wężami zamiast włosów; wyobrażano ją w płaskorzeźbie na pancerzu.

Str. 193. Sofista — szkoła filozoficzna grecka, polegająca na wykrętnem rozumowaniu.

Str. 197. Diis manibus Attilii Verris, bis consulis — cieniom Atiliusza Werresa, dwukrotnie konsula.

Str. 198. Chlamida — płaszcz.

Str. 198. Styks — rzeka w państwie cieniów.

Str. 200. Cheruskowie — plemię germańskie.

Str. 201. Junius — Brutus (p. przypisek do str. 105).

Str. 202. Tytus — cesarz rzymski (79—81 po Chr.), który mawiał, że każdy ten dzień, w którym nic dobrego nikomu nie zrobił, daremnie stracił.

Str. 202. Woda lustralna — woda oczyszczająca, według pojęć rzymskich zetknienie z umarłymi zanieczyszczało.

Str. 203. Radamant wzraz z Eakiem i Minosem byli sędziami w państwie zmarłych.

Str. 203. Via sacra — święta droga, jedna z ulic starożytnego Rzymu.

Str. 204. Wiminal i Awentyn — wzgórza z owych siedmiu, na których Rzym zbudowany.

Str. 206. Seleucya — część Syryi.

Str. 208. Aureliusz Marek — cesarz rzymski (161—180 r. po Chr.).

Str. 208. Janus — bóg rzymski; podwoje jego świątyni zamykały się podczas pokoju, otwierały podczas wojny.

Str. 208. T r a z y m e n — jezioro Trazymeńskie, gdzie Rzymianie ponieśli klęskę od Hannibala, wodza Kartagińczyków.

Str. 208. K w i r y n — przydomek Marsa, boga wojny.

Str. 210. O t t o n — cesarz rzymski, zginął w walce pod Bedrynkiem r. 69 po Chr.

Str. 211. Z g r z y b i a ł a r u i n a W u l k a n u — księżyc.

Str. 212. N e p t u n — bóg morza u Rzymian.

Str. 214. C ó r a P t o l o m e ó w — słynna z urody królowa egipska Kleopatra.

Str. 222. A l a r y k — król Ostrogotów, zburzył Rzym w r. 410 po Chr.

Str. 225. A t y l l a — słynny król Hunnów (V w. po Chr.).

Str. 225. K a r o l — Karol Wielki koronował się na cesarza rzymskiego w Rzymie w r. 800.

Str. 225. R i e n z i — w XIV w. stanął na czele ludu rzymskiego, któremu pragnął przywrócić wydarte mu przez magnatów prawa.

Str. 225. Ś w i ę t e p a n y W a t y k a n u — papieże.

Str. 229. S e p t y m i u s z S e w e r — cesarz rzymski (193—211).

Str. 229. L i ś c i e a k a n t u — ozdoby rzeźbione u kapitelów kolumn.

Str. 232. K o t u r n — rodzaj wysokiego obuwia u Greków.

MODLITEWNIK

MODLITWA ZA UMARŁYCH.

O Panie! jako ja żyję i cierpię, oni żyli i cierpieli, i przeminęli, jako ja przeminę.

O Panie, wzrosłam wśród nich, nie pojmowałam niegdyś, co to jest być bez nich, a dziś już nie pojmuję, co to jest być z niemi. Gdzie oni są, o Panie?

Czasem w głosach słyszanych zda mi się, że ich głos się odzywa — czasem w nocy strach mnie przejmie; patrzę naokoło, jakgdyby oni stali blizko — i minie chwila i niema nikogo!

O! Daj im odpoczynek na łonie Twojem, o Panie. — Oni w czasie grzeszyli, a teraz klęczą u stóp Twoich w Wieczności.

Tyś miłością Jedyną, Tyś Ojcem ich, Tyś Ojcem naszym — poczęliśmy się w tchnieniu miłości Twojej, żyjemy w niej, oh! żyć w niej będziem na wieki. Ty się w miłosierdziu kochasz, o Panie!

A im krótkie dni były pełne utrapienia — przyszli na te padoły, nie pamiętając, skąd idą, nie wiedząc, gdzie pójdą, ufając tylko Imieniowi Twemu — w nieszczęściu wzdychali do Ciebie!

Daruj, o, daruj im, Panie! Złe ich otaczało, ale nie było w ich sercach. — Jeśli zwątpili kiedy o Tobie, to im męką było. — Jeśli doznali rozkoszy, to im męką było. Jeśli nadzieję swoją położyli w ziemskich celach i uciechach, to im

męką było — i na każden ich uśmiech sto łez spłynęło, o Panie!

Z przejrzenia mądrości Twojej światło, które ich oświecało, było drżące i gubiące się w ciemnościach. Świat ten był dla nich zagadką i tajemnicą tajemnic. — Omackiem stąpali, a kiedy gdzie dotknęli się przelotnej chwały Twojej, czcili Ciebie i kochali łaski Twoje! Przebacz im, Panie!

Jeśli dotąd za winy pracują zdaleka od Ciebie, pozbawieni niebieskich radości; jeśli dotąd nie rozerwana zasłona ich losów; jeśli wiedzą jeszcze, co to łzy i westchnienia: o, skróć chwile ich próby — a jako Ja dzisiaj modlę się za nich, daj, Panie, by kiedyś ci, których zostawię na ziemi, modlili się za mnie. — Połącz mnie kiedyś, o Panie, z temi, których zaznałam i ukochałam na ziemi — byśmy razem żyli w Tobie na wieki wieków. — Amen.

LITANIA.

Gdybym straciła wszystkie ułudy i pociechy, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby ludzie, co mnie winni przywiązanie i opiekę, powstali na mnie, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby świat mnie odrzucił i szarpał, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby serca, którym zawierzyłam, mnie oszukały i zdradziły, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybym przytułku w żadnej duszy znaleźć nie mogła, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybyś spuścił na mnie złość ludzką i boleść serca i boleści ciała, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby dzieci moje zapomniały o miłości mojej, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby ci, których mieniłam szlachetnemi, spodlili się, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybyś dom mi odjął i piękność i dobra moje ziemskie, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybym żyć musiała samotna, opuszczona, bez dźwięku jednego wesela, bez słowa jednego litości, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybym konała bez ręki, coby mi ostatni raz moją ścisnęła — bez pożegnania niczyjego — jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Boś ty miłością pierwszą, Jedyną, najwyższą — bo wszystkie miłości serc na ziemi są tylko strumykami, płynącemi od morza jasności Twojej, bo Ty mnie zbawisz, kiedy dni moje się przeliczą, i pocieszysz stroskany duch mój, któryś zesłał w to ciało moje na znikomą chwilę — bo Ty nie opuścisz dzieła rąk Twoich, myśli Twojej, córki Twojej, tu płaczącej i jęczącej ku Tobie. — Amen.

MODLITWA DO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY.

U stóp konającego, kiedy konający raz jeszcze obrócił się ku Tobie i rzekł: »niewiasto« — Maryo, Maryo, pękło serce Twoje!

I od tej chwili ból nie ustał w duchu Twoim, aż po dniach wielu, po łzach wielu, o Maryo, Maryo, zstąpili po Ciebie Anieli! I wniebowstąpiłaś.

Każda z niewiast płacze za Tobą, jak mąż każden krzyż swój nosi na podobieństwo Syna Twego.

Każda z niewiast kocha, jako Ty kochałaś, i miłość swoją przebitą, umierającą widzi, zostaje sama na ziemi i nie może umrzeć.

Oni szczęśliwsi, oni na wzgórzach świata konają w obliczu ludzkości — a my w ciemnościach jęczemy na dole — i błogosławieństwa nasze tak ciche, że oni sami ich nie słyszą — bo łona nasze, co ich kochały i karmiły, rozdarły się przed czasem.

Jako zwiędłe krzewy, porzucone jesteśmy.
Głos nasz szczytów nie dochodzi krzyża.
Jako ciało bez ducha niepamiętane jesteśmy!
Boleść nasza wspomnianą nie bywa.
Męki nasze lekkie jako cienie przed oczyma ludzi.
I żyjem dłużej od nich pod ciężarem nieznośnym.
Obwijamy ich ciała w powicie kolebki.
Obwijamy ich ciała w całuny trumny.

A oni witają nas płaczem, a oni żegnają nas twardem słowem.

My błogosławim przychodzącym, a oni nas nie słyszą!

O Ty, która cierpiałaś tyle, wejrzyj na mnie i módl się za mnie, za cierpiącą, do Syna Twego.

Ty już zasiadłaś na tronie — Tyś wybraną była wśród wszystkich — Ty już nie cierpisz i nigdy już cierpieć nie będziesz.

Przez wspomnienie męki Twojej módl się za mnie!

Przez to słowo »niewiasta« módl się za mnie!

Przez tę noc, w której Syn Twój skonał, módl się za mnie!

I jakoś wniebowstąpiła, daj, Maryo, Maryo, daj mi wniebowstąpić kiedyś z tamtej strony grobu!

MODLITWA ZA DZIECI.

O Panie, Panie, Tyś ukochał dzieci, Tyś im obiecał królestwo Twoje, Tyś im pozwolił się dotykać szaty Twojej!

O Panie! Serce dziecka umiera zwykle wśród zgryzot i doświadczeń życia — inne serce w piersiach ludzkich wyrasta.

I to, co było boskiem w pierwszem, nie bije już w drugiem.

O Panie, dozwól, by córkom moim została się zawsze w oczach łza dziecinna i w duszy dziecinne szczęście!

Uczyń je pięknemi, jako kwiaty na polu, które nic o swojej piękności nie wiedzą!

Niechaj będą wdzięczne i miłe, by źli nie odważyli się powstać na nie; by każdy, co spojrzy, odszedł zwyciężony ich prostotą!

Daj im ognisko domowe lepsze, niż innym, by w jego świetle była pociecha ich duszom i ułuda ich oczom!

Uchroń je od tęsknoty za tem, czego na ziemi nie znajdą nigdy! — Serca, które je pokochają na wiosnę ich lat, niech ich potem nie zostawią samotnemi!

Wysłuchaj prośbę matki: każ aniołom Swoim, by je strzegły — samotność ducha oddal od nich — niechaj nigdy nie umierają sercem, nim umrą ciałem!

O Panie! daj im różę zbawienia bez palmy męczeństwa! — Daj im wieczną niewinność, miasto chwilowej cnoty — o Boże, wiekuisty Boże, niechaj będą piękne i szczęśliwe i wybrane!

MODLITWA ZA SIEBIE.

Ojcze mój, któryś jest w niebiesiech, spojrzyj na mnie i zmiłuj się nade mną!

Oblokłeś mnie, Panie, w ciało i kazałeś dni kilka przeżyć na wygnaniu — obiecałeś mi przez usta Syna Twego, że wrócę kiedyś tam, gdzie Ty królujesz.

I nieraz myślę, kiedy się zadumam, żem tu przybyła zdaleka — skądsiś, gdzie lepiej było — żem Ciebie już znała i oglądała w chwale Twojej.

W kościołach Twoich przy ofierze mszy, kiedy głosy z ciemności chóru się wznoszą i dźwięki zagrzmią, o Panie! zda mi się, żem już nie na tej ziemi. — Akkorda, gdyby skrzydła anielskie, podnoszą serce moje ku Tobie.

Nie zdołam już myśleć — czuję wtedy tylko i czucie moje nie podobne do codziennej pracy życia.

Nie widzę twarzy Twojej, ni już o ludzkich pamiętam. — Zda się, jakobym zasypiała, by obudzić się na łonie Twojem.

I ciemno, i lubo, i święcie mi jest, o Ty Jedyny, o Ty, miłości nieskończona — o Ty, Ojcze mój, Ojcze niebieski!

Daruj mi, jeślim zgrzeszyła — zapomnij przestępstwa moje, jako dziecięciu, co klęka przed ojcem, lub szlocha u stóp matki! O Panie, zmiłuj się nade mną!

Samotnie mi na tych padołach — często wysycha mi dusza i łzy żadnej niema w oku mojem.

I nadzieja, zda się, gaśnie we mnie i wiara w potęgę Twoją przemaga nad wiarą w miłosierdzie Twoje.

O, oddal ode mnie strach sądów Twoich — niech cię zawsze kocham i coraz goręcej niech wyciągam ramiona ku Tobie — w miłości Twojej niechaj będzie otucha moja — nie bojaźń w przemocy Twojej!

Wszak ja myślą Twoją serdeczną, którąś ukochał przed laty i którą kochać będziesz zawsze — dlategoś mnie obdarzył wolnością.

Gwiazdy i ślepe skały, i martwe siły natury poczęły się w rozumie Twoim — w konieczności mądrości Twojej — ale ja poczęłam się w sercu Twojem — na chwilę znikomą oderwałam się od niego — poszłam na pielgrzymkę — i w nieutulonym żalu wzdycham do rodzicielskiego domu.

Żal mój, o Panie, to niezrozumiane marzenia moje; to wyrywanie się duszy mojej ku wszystkiemu, co piękne; to walka moja z przeszkodami, które mnie dzielą od Ciebie; to przykrości, nieszczęścia i smutki ziemskie.

Żal mój, o Panie, to tajemnica, która zewsząd mnie otacza; to zwątpienie, które mnie czasem dręczy; to niespokojność, która mi nigdy spocząć nie daje; to niecierpliwość, która mnie odrywa od tego, co zrozumiałam, ku temu, co nie pojmuję.

Kwiat nie marzy, nie płacze — rośnie i rozkwita bez nadziei, umiera bez rozpaczy. — Zadna myśl mu nie przyjdzie, bo on cząstką nieustanną Rozumu Twego. — Tyś go stworzył, ale Tyś się nie rozmiłował w nim.

Mnie dałeś *być przez siebie samą*, na podobieństwo Twoje — mnie ukochałeś sercem Twojem — nie chciałeś, bym żyła bez wiedzy, że żyję.

Dziwnie przez mękę Swoją wyszlachetniłeś mnie, Panie!

I dlatego ku Tobie dążę bez wytchnienia — poczuwam się, że jestem częścią Twoją i sobą zarazem.

Żeś mnie wyrwał z Siebie, jako kwiat wyrwałeś, ale żeś mi dał życie i kształt własny na wieki.

Umrzeć nie mogę — przemienię się, przeobrażę się. — Dzień śmierci będzie dniem poczynającej się chwały mojej.

I gdzież nadal będzie życie moje? Czyż tchnienie, co wyszło z łona Twego, może być nieszczęśliwem na wieki? Czy Ty zapomnisz o niem tak, jak ludzie zapominają o tych, których niegdyś ukochali?

O Panie, Panie, zmiłuj się nade mną!

Ty jesteś wszędzie — gdzież ja mogę się dostać, gdzieby Ciebie nie było? a gdzie będziesz, tam Ty poznasz zawżdy dziecię Twoje.

Słyszałam, że łzę każdą, wylaną na ziemi, unoszą do niebios Anieli Twoi. Oni sami nigdy nie płaczą, ale w łzach ludzkich się kochają i strzegą ich aż do dnia sądu.

Słyszałam, że matka Syna Twego modli się nieustannie za nami u stóp tronu Twego.

Słyszałam, że święci, którzy umarli za Ciebie, modlą się ciągle w niebiesiech

O zmiłuj, zmiłuj się nade mną!

Spuść na mnie Ducha Świętego!

Tego Ducha, co łączy się z Synem Twoim. — Tego Ducha, którego nieskończoność wciela się w skończoność.

Bym żyła pełnem życiem nadziei.

By mnie nie trapiły kłamstwa świata.

By dusza moja nie spustoszała.

By serce moje nie zwiędło jak kłos, z którego ziarna wypadły.

Bym zawsze czuła Ciebie i miłość Twoją.

Bym nie szukała Ciebie po nocy ciemnej i daremno nie wołała: »O Panie!«

Bym nie zasnęła snem przywalonych nieszczęściami — snem zrazu markotnem, martwem później, snem nicości.

Od tego letargu duszy uchroń mnie, Panie!

Od tego zwątpienia wyratuj mnie, Panie!

Od tej pustyni serca ocal mnie, Panie!

Bądź tarczą moją, bądź podporą moją!

Okryj mnie płaszczem opieki Twojej!

Oddal puhar goryczy od ust moich!

Ale jeśli wola Twoja, bym cierpiała: niech się ona stanie, a nie moja, Panie!

Daj mi boleść, ale pozwól, bym żyła w Tobie!

Przebij serce moje, ale dozwól, by ono biło, Panie!

Nie daj mi zasnąć — nie daj mi znędznieć pod smutkami — nie daj, bym przystała na śmierć serca!

Bym wolała nie czuć, niż cierpieć.

A po męce życia Ty wspomnisz o służebnicy Twojej.

Za to, że ból w niej był ciągle, bez przerwy, Ty zmiłujesz się nad sługą Twoją.

Za to, że nie wątpiła o miłości Twojej, Ty rzekniesz nad nią: »Darowanem jej jest, bo kochała wiele«.

Za to, że opłakała wszystkie nadzieje i sny swoje, Ty ją wyrwiesz z tego snu ziemskiego i przeniesiesz ją do nieskończonej rzeczywistości.

Tam będzie miłość bez miary.

Tam szczęście bez ustanku.

Tam życie bez granic.

Tam myśl i serce będą Jednością.

I walka ustanie wszelka.

I tajemnica pryśnie wszelka.

I w Duchu Twoim Duch mój będzie na wieki wieków w miłości miłości. — Amen.

MODLITWA, ZEBY UMRZEĆ MŁODĄ.

Dozwól, Panie, bym zniknęła jak kwiat, ścięty kosą o południu — bym nie więdnęła w wieczornej żałobie.

Dzieci moje jak rozwiną się na podobieństwo pączków pękających, przechodzących w róże, wtedy czas mi odejść, Panie!

O, skróć pielgrzymkę moją — umniejsz chwil starości, próbie mojej!

Duch mój w świeżości niech oderwie się od świeżego ciała!

Niech umieram w pełności sil!

Niech konam w latach, w których Syn Twój skonał — niechaj nie przeżywam siebie samej!

Niechaj nie słyszę głosów ludzkich, mówiących o mnie, jakom była kiedyś!

O jesieni życia niechaj odlecę, jak liście borów, jak kwiaty łąk, jak motyle kwiatów!

Zimy ciemnej, zimy martwej nie nasyłaj na mnie, o miłości moja!

Nie karaj mnie tem, czem ukarałeś starców — przywiązaniem do ziemi!

Nie każ mi zwolna stąpać ku trumnie i co krok obzierać się na niwy zielone, błonia przeszłości!

Udaruj mnie statkiem i niebojaźnią śmierci!

Wlej we mnie wiarę, że tam młodość bez końca, że tam życie wiośniane!

Niechaj czuję, że dni mi ubywa, a że mi coraz śpieszniej ku Tobie!

Nie dopuść, bym zwiędłemi wieńcami igrać miała, jakom igrała o świcie wieku mojego!

Daj, daj mi umrzeć młodą!

Daj, bym z wiosny ziemskiej przeszła do niebieskiej, jak akkord, co z niższego w wyższy ton się przewija — jak promień w tęczy, co z słabszej barwy w ognistszą się podnosi — jak myśl natchniona, co w jednej chwili staje się porywającą, wielką, nieśmiertelną!

Błogosławić Ci będę w chwili zgonu mego — ale jeśliś mi przeznaczył długie dni, długie męczeństwo: o Panie, niechaj stanie się wola Twoja, a nie moja — Amen.

MODLITWA W CHWILI ZWĄTPIENIA.

Strach mnie ogarnia, o Panie!

Coraz ciemniej wokoło mnie.

Zmierzch jakiś nieskończony otoczył mnie.

Jako bywają dni na początku zimy, mroczne, słotne, stroskane: takiemi dzisiaj wszystkie myśli moje.

Wspomnę o przeszłości i smutno mi jest.

Pomyślę o jutrze i smutniej mi jeszcze.

Dzieci wbiegną do pokoju, rzucają się w moje objęcia: a ja ich nie czuję.

Ich uściski jakoby nie były dla mnie.

Ich uśmiechy jakoby nie były dla mnie.

Z miejsca ruszyć się nie mogę. — Leżę godziny całe, a w sercu mojem coraz głębsza pustynia.

Ku niebu spojrzę i ciężkie chmury widzę i ból ściśnie mi duszę.

Woddali białość śniegów oczy mi razi.

Zimno mi, czarno, nieznośnie, o Panie!

Żeby choć jedna iskierka otuchy — choć jedno kolnięcie nadziei!

Szum wichru jeden tylko rozmawia ze mną.

Świsty jego rozdzierają mi serce.

Zda mi się, jakoby jęczeli ci, których znałam kiedyś, zda mi się, jakoby na świecie całym był tylko płacz jeden wielki.

Tulę się w zwoje płaszcza mego i nie mogę zasnąć.

Czoło wciskam w wezgłowie, by nic nie widzieć, nic nie słyszeć: a nie mogę zapomnieć.

Kroki ludzi dolegają mi — głosy ludzi dolegają mi — twarze ludzi męczą mnie!

Com kiedy widziała świetnego i pięknego, nie chce wrócić mi na pamięć.

Com zaznała gorzkiego, gromadzi się wokoło mnie.

Wszystko, co lubiłam, obmierza mi, Panie.

Strun ledwo dotknąć się mogę — ich dźwięki rozdzierają mnie.

Pieśni, które kochałam, uciekają z pod palców moich.

Gdzież jestem? gdzież mijają chwile życia mego?

Czy to ziemią nazywa się, Panie?

Czy ja — to stworzenie rąk Twoich, Panie?

Czy ci, którzy mnie prześladują, to także syny Twoje, bracia moi?

Czy przestwór ten, taki szary, taki martwy, to niebo, Panie?

Czy świat ten, taki nieczuły, lekkomyślny, to świat miłości Twojej?

Czy lata, które przeżyłam, były snem, Panie?

Czy boleści, których doznałam, były jawem, Panie?

Czyż ja w tej chwili już umarłam, Panie, i pokutuję za winy moje?

Czyż pokuta długo trwać będzie, Panie?

Czyż światło nie zabłyśnie nad tą, która wyszła ze światłości stoku, z łona Twego?

Ciało moje i dusza moja wołają o litość do Ciebie.

Dusza w ciele tem mojem rozciągnięta, jak na łożu boleści.

Konają oboje, a umrzeć nie mogą!

Z ich powiązania, z ich wspólnych uczuć dawniej, została się tylko Jedność Cierpienia.

Zda mi się czasem, że jako mgła rozpływają się kształty moje.

I że to, co myślało we mnie, zasypia na wieki!

Zda mi się czasem, że w ogniu palą się ręce moje, że gorączka dziwna krąży pod mojemi skroniami.

I że to, co czuło we mnie, dziko hasać zaczyna. — Gdzież Ja się podziewam wtedy, o Panie?

Świat inny od tego, w którym mi żyć kazałeś, objawia się mnie.

Straszne Jego postacie i głosy — nie — nie — Tyś nigdy takich nie stworzył.

Tyś stworzył piękne kształty i szczęśliwe Duchy.

Tyś stworzył męczenników, idących wśród prób ku chwale Twojej.

Aleś potępionych nie pomyślał nigdy.

Ale tam, gdzie Ty panujesz, niema wiekuistej męki.

W obliczu miłości Twojej gdzież na wieki wieków utrzyma się ból ciała lub Ducha?

O Panie, Panie, kiedy szaleństwo rozum mój rozdziera, ja bluźnię Tobie.

Kiedy wśród nocy drżę wszystkiemi członkami przed wrogiem Twoim, ja bluźnię Tobie.

Kiedy marzę o płomieniach piekieł, ja bluźnię Tobie; kiedy od Twego lica, od niebios Twoich, lękam się, bym nie poszła na wygnanie wieczne: ja bluźnię Tobie.

Wtedy ja książęciu świata — ja Duchowi Złego hołd składam — o, daruj mi, Panie!

Daruj, daruj mi, o miłości moja!

Ale, Panie, czyż to wina służebnicy twojej?

Czyż ona zdoła zwyciężyć wszystkie myśli swoje?

Czyż może odegnać obrazy, które niewiedzieć skąd snują się przed jej biednemi oczyma?

Obdarz ją łaską Swoją, Panie!

Miłosierdzie Twoje zawieszone nad duszami naszemi, jak drugie błękity.

Daj mi wiarę nieśmiertelną, Panie!

Ja wiem, żeś ukochał nas wszystkich nad miarę, nad czas, nad wszystkie myśli ludzkie.

Ja wiem, żeś urządził świat ten, by on był tylko ponurem złudzeniem, czarną zasłoną przed wstępem do przybytku Twego.

Ja wiem, że to życie próbą doczesną, za krańcami której wonieją nieśmiertelne róże.

Ale dusza moja rozstraja się często i błąkam się nieszczęśliwa.

Łaski Twojej, łaski mi użycz, tej, która czarne widma pokonywa!

Tej, która cichy spokój w sercu rozlewa, gdyby rosę na spalone liścia.

Tej, która utrzymuje Duch wątpiący na nierównościach życia, jak Syn Twój Piotra na wzburzonych falach.

Tej, której na imię »nadzieja«.

O, żebym w tych miejscach smutnych, w tem zimowym zmierzchu, mogła usłyszeć choćby dźwięk jeden z pieśni Aniołów Twoich!

Żeby choć jeden promień rozdarł te posępne wyziewy i spłynął ku mnie!

Żeby w duszy mojej przeczucie Twojej piękności powstało i nie zagubiło się nigdy!

Wysłuchaj mnie, Boże!

Myśli serdeczna, myśli rozumna, myśli wszystkich myśli moich, myśli matko świata, matko moją, wysłuchaj mnie!

Jak iskra umierająca, zaniesiona przez wichry daleko, wzdycham do Ogniska, w którem wzięłam życie.

Tleję tu w przepaści, tak nizko, tak słabo, a Ty tak wyniośle, tak daleko ode mnie biednej królujesz, stwarzasz, pałasz.

Spojrzyj na mnie!

Światło Twoje jest we mnie.

Urodziłam się u Ciebie.

Byłam w Tobie, nim opadłam tutaj jak ziarneczko ze szczytów drzewa, jak pyłek z wierzchołków góry.

Tyś czuł mnie w Sobie, nim sama zaczęłam czuć siebie i wierzyć Tobie.

Teraz czy Ty mnie opuścisz? czy nie usłyszysz głosu mego?

Czy dopuścisz, bym zgasła?

Czy nie poratujesz mnie w ciężkiej żałości mojej?

Czyż błędy moje, popełnione na tych ciemnych ścieżkach, kędy zaniosły mnie wiatry, staną na zawsze w poprzek między dzieckiem a ojcem?

Dziecię płacze dniem i nocą i prosi się ojca.

Ojcze niebieski, Ojcze mój, mój, umiłuj mnie, jako dawniej bywało, kiedym jeszcze żyła w Tobie!

Rozdzieleni jesteśmy przez wolę Twoją świętą i mądrą.

Ale któż mnie zdoła oderwać od Ciebie? — Kto między nami nicość wydrąży? — Kto uczyni, bym już nie była myślą Twoją, bym nie wróciła do Ciebie?

Kto osieroci córkę od Ojca, który umrzeć nie może?

Kto powie o mnie: »Ona przytułku nie ma«, dopóki Ty żyjesz?

Wróg Twój to szemrze z cicha — ale, Panie, on nie wie, co mówi.

On w ciemnych nocach, on w snach ponurych grozi mi gniewem Twoim wiecznym.

Ale czyż Ty możesz odrzucić, coś począł w Sobie?

Coś począł w miłości?

To, co stworzyłeś, miłością jest i będzie Twoją.

Nienawiść nic nie stwarza — niszczy siebie i inne.

Od chwili, w której wyszłam z Ciebie, nieśmiertelna jestem.

Zbawiona jestem.

Przez to, że mi życie dałeś, wiekuista jestem.

Przez to, że mi cierpienie dałeś, cząstce Twojej, dziecięciu Twojemu, Sobie samemu we mnie cierpienie, zbawiona jestem.

Niosę Duch Twój w sercu mojem, jak Marya nosiła Jezusa.

Duch Twój w sercu mojem wytrzymuje mękę, obraz męki Jezusa.

Duch Twój, co we mnie żyje, zbawi mnie, jako Jezus zbawił ziemię całą.

I zmartwychwstanę, Panie.

Lecz dziś, dziś, o tej posępnej chwili, proszę Ciebie: zeszlij pociechę sercu mojemu!

Strzeż mnie i tych, których kocham!

Nie daj mi upaść pod ciężarem smutku i im nie daj upaść, Panie!

Broń mnie i ich, Panie, od złych myśli!

Od myśli podłości.

Od myśli samobójstwa.

Od myśli gnuśności.

Od myśli szaleństwa.

Daj mnie i im wiarę niezachwianą, że po znikomych obrazach tego życia ujrzemy przestronniejsze błonia.

Że tam połączonem będzie to, co rozerwała ziemia.

Ja i oni, i Ty w nas, i my w Tobie na wieki wieków — Amen!

MODLITWA PODCZAS MSZY.

Na wspomnienie Twoje, życie Twoje w krótkiej godzinie powtórzy sługa Twój, o Panie — wszystko, coś myślał i mówił, i wszystko, co wycierpiałeś.

U stóp ołtarza on się nachyla i duma w milczeniu, nim zacznie ofiarę tak świętą.

Teraz wstąpił na stopnie ołtarza. — Dziecię mu odpowiada. — On obrazem Twoim w tej chwili, o Boże! a to dziecię, to ludzkość, co słowom Twoim odpowiada.

To ludzkość, co przed Tobą była, jest i będzie zawsze dzieckiem. — Dlatego Ty ją zbawisz, o Boże!

Ten puhar, z którego teraz sługa Twój zdjął zasłonę, to puhar goryczy, który świat podał ustom Twoim.

To puhar krwi Twojej, która świat zbawiła.

Ta księga, którą roztworzył, to słowo Twoje, opowiedziane kilku wiernym, podane nam przez nich.

To słowo życia i nieśmiertelności.

Ty sam byłeś słowem Ojca niebieskiego, jako to jest słowem Twoim.

Ojciec Cię posłał, jako Ty ich rozesłałeś.

Ale nim objawiłeś się tym wybranym Twoim, dumałeś długo w samotności Boskiej.

Wiosna wieku Twojego ludzkiego upłynęła na pustyni.

Bo Ty sam byłeś światem.

I jako świat młody, nieśmiertelny, zbliżyłeś się po dłu-

gich czuwaniach i myślach do tego starego, zepsutego, który panował na ziemi.

Zaczęła się walka Twoja z nim.

Nie mieczem walczyłeś, ale potęgą myśli i słowa.

Tym, których przybrałeś Sobie, nie opasałeś skroni złotemi wieńcami, nie włożyłeś w ich dłonie oręża, ale dałeś im wiarę i siłę cudów — kazałeś ich Duchom stąpać i deptać po świecie ciała.

Byłeś królem niewidomych.

Byłeś panem nieskończoności.

Urodzon z niewiasty, kochałeś niewiasty za to, że słabe ciałem i lotne duszą.

Za to, że bliższe świata duchów.

Za to, że cierpliwsze na męki.

Za to, że mniej głośne chwałą.

Za to, że nieśmiertelności nie mają na ziemi.

I słabościom ciała i słabościom, w których tlała iskierka miłości, przebaczałeś, Panie!

Maryi przebaczyłeś, kiedy wonnemi kadzidłami i długim włosem swoim przyszła namaścić Ci stopy — i tej kazałeś odejść w pokoju, tej, którą ukamienować chcieli.

Ale pychom Ducha, ale uciskającym biednych, ale przechwalającym się w dumie i nieużytości serca, ale kłamiącym przed ludźmi, by uwieść ludzi, nie mogłeś przebaczyć.

Tam, gdzie nie było miłości, jedno podłość była i złocone fałsze, sądziłeś i potępiałeś.

Kupców, frymarczących w świątyni, wygnałeś z niej; w obliczu Faryzeuszów iskrzyły się Boskie oczy Twoje i gniew nieśmiertelny wschodził na czoło Twoje!

Przyrównałeś ich do bielonych sarkofagów.

Zewnątrz rzeźby kosztowne i marne, wewnątrz próchno tylko.

Z ludem prostym lubiłeś rozmawiać, usiadłszy na wzgórzach na brzegu morskim.

Z dziećmi igrać lubiłeś — niewinność lub żal za grzechy przełożyłeś nad udaną cnotę.

Przebaczyłeś namiętnym za to, że kochali wiele — przebaczyłeś prostym za to, że wierzyli wiele — przebaczyłeś słabym za to, że cierpieli wiele.

Tym tylko, którzy nic nie kochali, w nic nie wierzyli, nic nie wycierpieli, nie zdołałeś przebaczyć.

Przekląłeś ich jako sługi książęcia świata!

I walka Twoja ciągnęła się z niemi — i coraz czarniejsze były ich podstępy — zgubniejsze cele!

Tyś wiedział, że kto zmaga się z światem, zginąć musi w czasie — by żyć w wieczności.

Przeczuwałeś jako człowiek koniec Swój.

Jako Bóg obiecałeś, że wrócisz kiedyś.

I ze łzami słuchała cię matka Twoja.

I Tobie także raz przyszły łzy do ócz — kiedyś spojrzał na miasto skazane, na miasto przodków matki Twojej, na ojczyznę Twoją.

O Ty, co ze wzgórza płakałeś nad Hierozolimą, dziś zapłacz nad nami!

Nim rozstałeś się z wybranemi Twemi, obróciłeś myśl ku Ojcu i powierzałeś ich Jemu świętą modlitwą.

»Ojcze nadeszła godzina.

»Imię Twoje ogłosiłem przed ludźmi, których mi powierzyłeś.

»Oni byli Twojemi i dałeś mi ich. — I zachowali słowo Twoje.

»A teraz ja już nie należę do świata, ale oni do niego należą jeszcze — Ja idę ku Tobie.

»Ojcze, święty, strzeż ich w Twojem Imieniu, tych, których mi dałeś, aby byli Jedno, jako my jesteśmy Jedno!

»Nie proszę Ciebie, byś ich wziął ze świata, ale tylko, byś ich uchował od złego!

»Oni nie są ze świata, jako Ja nie jestem ze świata.

»Uświęć ich przez prawdę Twoją!

»Słowo twoje prawdą!

»Aby wszyscy stali się Jednością tak, jako ja jestem w Tobie, a Ty we mnie. — Aby oni także byli Jednością w nas i świat uwierzył, żeś Ty mnie zesłał«.

I zasiadłeś do ostatniej wieczerzy.

I ten, który Cię miał zdradzić, stał obok Ciebie — i głowa ukochanego Twego leżała na łonie Twojem.

Czułeś, o Panie, że Twoja walka zbliża się do końca — ciało Twoje ludzkie wzdrygnęło się i, klęcząc w ogrodzie oliwnym, prosiłeś Ojca Twego, by puhar goryczy od ust Twoich odwrócił.

Ale Duch Twój Boski śpieszył się ku śmierci.

Piłat przeląkł się ludzi i przeląkł się jakiegoś Boga — nie chciał ni ludu, ni Boga tego obruszyć — a więc umył ręce nad męką Twoją w rozsądku swoim.

W Kaifaszu nie było takiej słabości — niewinnego ścigał, nienawidził, potępił.

A lud hurmem się cisnął, by widzieć Ciebie, kiedyś stąpał, krzyż dźwigając ku wzgórzu Kalwaryi.

Kiedy pot sączył się z czoła Twego, szydzili.

Kiedyś upadł na zwirze pod ciężarem krzyża, nie mieli litości.

Drobne dzieci natrząsali się z Ciebie. — Ojce ich i matki przeklinali Ciebie.

Szedłeś coraz dalej, w znoju i krwi, milcząc i prosząc Ojca, by im przebaczył.

Świat to, świat ludzki o tej godzinie był naokoło Ciebie — ten sam, co po wszystkie czasy — zgrzybiały w myślach swoich, nieubłagany w sądach swoich, okrutny w władzy swojej.

Im starszy, im bliższy końca, tem okrutniejszy.

Głuchy, martwy, ślepy na wschodzące gwiazdy — czciciel zachodzących, co się wraz z nim urodziły!

Szyderski i zabójczy — by żyć kilka chwil dłużej!

Nie przeczuwający, że przez śmierć Twoją będzie zwycięstwo Twoje.

Nie wiedzący, że kto chce żyć i być duchem na ziemi, wprzódy winien zniknąć z niej ciałem.

I w tryumfie wiedli Cię do krzyża Twego.

I w tryumfie rozbili Cię na krzyżu.

I w tryumfie podawali Ci żółć z octem i piołun gorzki.

Nie wiedzieli, że w tej chwili stajesz się Bogiem na wieki!

O, na Golgocie widzę mękę Twoją, o Panie — i tę noc czarną, która stoczyła się nagle pośród dnia jasnego, i tę burzę, co się zerwała w przestrzeni, i to czoło Twoje, uwieńczone cierniami, i to oko Twoje spokojne, ostatni raz błogosławiące wzrokiem ziemię i synów ziemi.

Spojrzeniem miłości objąłeś ich wszystkich i wnuków ich i naturę całą, konając.

I plemię ludzkie objąłeś myślą Twoją aż do końca wieków.

I rzekłeś, przewidując walki i rozpacze tych, którzy przyjdą po Tobie dobrze czynić i skonać, rzekłeś słowo nieskończonego bolu: »Czego opuściłeś mnie, Ojcze?«

By Ojciec darował w niebiesiech chwile zwątpienia dzieciom Swoim na ziemi.

By dopełnioną została męka ludzka, by w puharze goryczy kropli nie wypitej jednej nie zostało.

By Duchowi nieznośnie było w chwili śmierci, jako jest ciału.

By ta ostatnia próba nieszczęścia, to ostatnie zemdlenie serca, ten ostatni rozdział Syna i Ojca, wycisnął łzy Aniołom i przebłagał Boga.

I odtąd nie było duszy jednej pięknej i wielkiej, w którejby nie powtórzyły się te Twoje słowa ostatnie.

Każda szukała Ojca i ukrzyżowaną została w imieniu Jego i w chwili wyrocznej drzeć zaczęła o siebie, czy też znajdzie Ojca, którego szukała.

I noc pozornie nad nią zstąpiła w tej ostatniej próbie.

Miłość ją przytuliła do łona, kiedy jej rozpacz nieznośną się stała — kiedy od jej żądań i westchnień pękło jej znikome życie.

Bo nie módz już żyć chwili jednej dłużej z bolu, to wniebowstąpić, o Panie!

Ale Ty, by nauczyć nas, co się staje z duchem za zasłoną tej pozornej nocy, kiedy wszystko ucichnie i, zda się, rozwiało się na zawsze, dnia trzeciego podniosłeś się z grobu.

Pierwsza, niewiasta Cię ujrzała i poznała, Panie!

Potem objawiłeś się mężom — obiecałeś im pocieszyciela, Ducha świętości, Ducha, który nieustannie krąży między Tobą a Ojcem, który spaja Ciebie z Nim na zawsze — Życie.

I ten Duch święty w nas jest, o Panie!

Bo my ni ciałem, ni Duchem czystym: my zgodą ciała i Ducha — my żyjącą miłością tych dwóch połów stworzenia, tych dwóch części wiekuistej myśli Twojej.

I kiedyś wrócił do Ojca na skrzydłach aniołów, zesłałeś pocieszyciela wiernym Twoim — podwoiłeś ich *życie* — wypotężniłeś ich dusze. — Związałeś ściślej ich myśl z ich ciałem.

Oni mówili wszystkiemi *słowy* i czynili cuda, świadcząc Imieniowi Twemu — i tak żyli w miłości ducha i ciała, że ciało w nich nie wzdrygało się konać, kiedy Duch rozkazał.

Ty na prawicy Ojca w kształcie Twoim ludzkim zasiadłeś na wieki — przez Ciebie zbawione, unieśmiertelnione ciała.

Tyś słowem żyjącym, widomym, dotykalnym. Z głębin nieskończoności wyszedłeś, opisałeś się w kształt, bo żal Ci było tej nieszczęśliwej, tej cierpiącej materyi — przybrałeś ją, Panie, za córę Swoją i ona nieśmiertelną stała się w obliczu Ojca Twojego!

On nieskończony, On niewidomy — przez Ciebie tylko

dochodzim do Niego — Tyś światem — On myślą świata — a Duch, co wiąże Ciebie i Jego, a Jedność Wasza bez końca, jest miłością miłości — jest wiecznością wieczności — jest Bogiem!

O Boże potrójny i jedyny, zmiłuj się nad nami!

W Imieniu Ojca i Syna i Ducha niechaj zbawioną będę!

W Imieniu Ojca i Syna i Ducha niechaj cierpię na ziemi, by zmartwychwstać kiedyś!

Kapłan teraz wzniósł puhar krwi Twojej i wypił ją i pożył ciało Twoje.

Nigdy męka Twoja, trud Twój nie ustaje na ziemi.

Tajemnica tajemnic, krzyż Twój, to dzieje nasze.

W każdem sercu ludzkim ta tajemnica powtarza się codzień.

W każdej rodzinie — w każdym narodzie.

W Ludzkości całej tylko nie, boś Ty ją zbawił i wiedziesz ku szczęściu wiecznemu.

Ale dla rodzin męczą się syny i córki i ojcowie i matki.

Dla narodów męczą się obywatele i wodzowie i sędzie i kapłani ludu.

Dla ludzkości całej codzień męczą się narody i umierają w bólach, rozpaczając.

Krew Twoja leje się co chwila.

Ciało Twoje przebite co chwila.

Każda myśl, co błąka się i zmaga się ze światem, cierpi w Tobie.

Każde serce, co pęka, rozdziera się w Tobie.

Na milionach krzyżów, od bieguna do bieguna, miliony męczenników konają w Imieniu Twojem na podobieństwo Twoje.

Nim Ty umarłeś, śmierć i ból hańbą były.

Od dnia skonu Twego stały się chwałą i nadzieją.

Boś Ty śmierć przeszlachetnił na Życie.

Boś ty ciału nieśmiertelność obiecał w nadgrodę męki.

I ja krzyż mój noszę, i ja gwoździe czuję w dłoniach moich, w boku moim.

I modlę się do Ciebie męką moją ludzką — jako Ty do Ojca Swoją boskąś się modlił za nas wszystkich i za Siebie.

Jeszcze raz, nim ustąpi z ołtarza, sługa Twój odczytuje słowa Twoje — słowa ulubieńca Twego — słowa tego, któremuś Matkę powierzył w ostatniej godzinie:

»Na początku było słowo — I słowo było w Bogu — i to słowo było Bogiem.

»Ono było na początku z Bogiem.

»Wszystko przez nie uczynionem zostało, a nic bez niego się nie stało.

»W niem było życie, a życie było światłem ludzi.

»I światło zajaśniało wśród ciemności, ale ciemności nie poznały Go«.

Tem słowem, ubranem w kształt, Ty byłeś.

Tyś zstąpił, ale nie przyjęli Ciebie.

I jako ciebie przeklęli, tak i wszystkich Twoich do dziś dnia przeklinają na ziemi.

Ale jakoś przemógł nad światem, tak i Twoi przemogą nad światem.

Twojemi byli po wszystkie czasy i są dotąd ci, którzy kochają i chcą.

Wrogami Twemi byli i są ci, którzy nie kochają i nic nie chcą.

Walce tej błogosławisz, Panie.

Natchnionych miłością Ty obdarzasz męczeństwem. — Inni piją i jedzą w dumie swojej, a nie wiedzą końca.

Skończyła się ofiara święta. — Znów zasłonę kapłan złożył nad puharem Twoim i schodzi z ołtarza.

»Idźcie — mówi do nas — dopełnionem jest!«

I odchodzim, Panie, w nadziei, że kiedyś oglądać Cię będziem w chwale Twojej tam, gdzie bolu ni złudzeń już nie będzie, jedno Ty i Ojciec Twój, i my wszyscy, z Tobą i z Ojcem Twoim połączeni Duchem na wieki wieków — Amen.

MODLITWA

(PRZEBUDZIWSZY SIĘ W NOCY)

O tej godzinie przesuwają się Duchy umarłych i cierpią żyjący — ci, którzy nieszczęśliwi, którzy wspominają przeszłość, a nie mają przyszłości!

O Boże, daj pokój Swój tym wszystkim, którzy się męczą o tej godzinie!

Oni nie mogą zasnąć, jako ja, Panie. — Cicho wokoło nich i pusto, jak wokoło mnie, Panie!

Czarne widma ich duszę rozdzierają. — To, co było, staje nazad w ich oczach i jest przed niemi — a czują jednak — że samotnemi zostali — że siebie i innych goryczą opasali!

Ale w tych sercach skazanych nie to, że sami cierpią, jest męką, ale to, że inni może w tej chwili płaczą niesłyszani, dalecy, bez ratunku, bez nadziei.

Oto męka mąk, oto ich wieczne konanie, o Boże!

Jakkolwiek oni to sprawili niepamiętni, niewstrzymani, ślepi, daruj im, o Panie!

O Ojcze, Ojcze, słuchaj głosu bezsenności mojej! — Teraz wśród tylu sennych ja jedna żyjąca, myśląca, cierpiąca, sam na sam z Tobą, korzę się przed potęgą Twoją i wzywam miłosierdzia Twego!

O Panie, nie mam komu się pożalić, na łonie czyjem oprzeć głowy mojej — wymarli ci, których kochałam.

Ty jeden, Ty jeden tylko znasz mnie i słyszysz mnie!

A więc w Twojej nieskończoności niechaj będzie biedne serce moje — wpuść, Panie, myśl Twoją do królestwa Twego — sierotę przyjm, co płacze u progów Twoich.

A znośniej potem będzie ciału temu!

Jakże cicho i posępnie! Czyż wiele dusz na ziemi w taki sposób cierpi w tej samej chwili?

Słuchajcie mnie, wy, siostry moje, wy, nieznane czy znane, wy, podobne mi przez ból: połączcie się ze mną, by ubłagać Pana!

Razem wśród szczęśliwych i uśpionych wznieśmy nasz Hymn samotny ku Niemu — oby ten dźwięk rozdartych serc przebił cienie nocy — oby ta modlitwa spotkała gdzie w przestrzeniach skrzydło anielskie, coby ją zaniosło do Pana!

Daj mi zasnąć na podobieństwo braci moich! — I innym, co przechadzają się w tej chwili w milczeniu rozpaczy, co stali się żyjącemi grobami, co nie mają przytułku przed własnemi myślami, daj na chwilę wytchnąć, ochłonąć w miłosierdziu Twojem!

Proszę Cię za niemi, Panie, i za sobą!

Ah! są straszne chwile, Panie, za silne na stworzenia Twoje! — Zdaje im się wtedy, że wszystko wymarło w ich duszach — że nadziei niema nigdzie, nigdzie, Panie!

Wtedy wstają wśród nocy i błądzą — szczęśliwi jeszcze, kiedy im łza do ócz przyjdzie, kiedy kamień serca się roztopi. — Ale ci, którzy zestarzeli się boleścią, płakać już nie mogą. — Im wiecznie ciężko.

Wtedy wstają w nocy i błądzą — po czarnych ścieżkach, po gruzach ich długie przechadzki.

Księżyc już ich razi światłem swojem — nie usiądą nigdzie, bo nigdzie nie mogą spocząć.

Przed zamkniętemi kościołmi Twemi przechodząc, znak krzyża kreślą w marnem powietrzu i idą dalej.

Myśli ich wraz z niemi.

WANDA

(FRAGMENT)

Wanda leży w naszej ziemi,
bo nie chciała Niemca.

PIERWSZA CZĘŚĆ.

I.

Sala w zamku Rytygiera — przy pochodniach siedzą rycerze u stołu. Jeden Rytygier tylko leży. Biskup na prawicy Rytygiera. Wokoło koniuszowie, giermki, minstrele.

RYTYGIER. Przynieś mi czaszkę Hakona, oprawną w stal, złoto i miedź, pić z niej będę dzisiaj zdrowie twoje, święty Biskupie, zawdzięczając ci, żeś raczył zamek ten nawiedzić i zasiąść do naszej biesiady! Kto z was tymczasem uderzy w struny? Kto opowie zgon siostry mojej i, jakom wgniótł w piasek, zagrzebał pod kopcem trupów ciało wroga Hakona?... Do harfy! do harfy!

(Wstają rycerze)

PIERWSZY RYCERZ. Ja.

DRUGI RYCERZ. Nie ty, nie ty. Ja, książę!

HAGEN. Ja byłem przy boku twoim tej nocy. Obryzg krwi z piersi Hakona oczy mi zaćmił, kiedyś uderzał!

RYTYGIER. Prawdę mówisz, Hagenie, głos twój mnie miłym będzie; podajcie mu harfę!

(Przynosi giermek czaszkę)

Zdrowie, ojcze Biskupie! Zdrowie Kościoła, Cesarza i Rzymu!

BISKUP. Amen.

HAGEN. Trzej posłowie króla Danów, chytrego jak morze, stanęli w progach wodza mężów — ojca Rytygiera i pięknej Gudruny. »Hakon, pan wysp i morskich wybrzeży, słyszał — rzekli — o czarnobrewej Gudrunie. Ona śliczna nad ślicznemi — on zamożny nad zamożnemi. Oto kosztowne, bursztynowe przynosim jej dary; niech dziewica dom opuści, niechaj pójdzie za nami, swatami!« Król przyjął ich mile, trzy dni jedli i pili razem, a czwartego powierzył im córkę.

Hakon, czekając na oblubienicę, przechadzał się po żwirze morskiego brzegu, a gdy z statku wysiadła, on rzekł do niej wśród syczących wiatrów: »Gudruno, powiedz mi, gdzie leży sławny skarb ojca twego i brata, potem będziesz żoną Hakona!« Lecz dziewica spojrzała nań z pogardą: »Królu wiarołomny, prędzej morze wypowie ci przepaści swoje. Jam córka Sigmunda, wodza bohatyrów!«

Zatoczył się Hakon wściekłym zdjęty gniewem: »Każę cię związać i rzucić pod kopyta klaczy dzikich na dziedzińcu pałacu mojego!« A ona mu rzekła: »Stary!«

Król odszedł i zgromadził srogich wojowników, potem stanął z niemi na krużganku — związana Gudruna u stóp ich leżała.

Przybiegły trzy klacze, jak trzy wichry morskie, i stanęły, zarżały, zdeptać jej nie mogły — ona tak piękną była!

Król trzem posłom wsiąść każe, posłom, co przywiedli Gudrunę — pierwszy skoczył oklep sławny jeździec Eryk, drugi za nim rudobrody Hargaz i trzeci ponury Levenskiold o długim dżyrycie.

Znów od bram dziedzińca puścili się razem i przybiegli, jak trzy wichry morskie, i przeszli, tratując po śnieżnej Gudrunie.

Wszyscy, co tam stali, wrzasnęli, śmiejąc się z Ojca

i brata Gudruny, a u stóp Hakona kałuża krwi była i kosy rozplecione pływały w niej czarne.

CHÓR. O biedna, biedna!

RYTYGIER. Zemszczona. Dalej, Hagenie!

HAGEN. Zorza północna buchała po niebie, kiedyśmy na łodzie siadali w milczeniu. Dwudziestu nas było i koń Rytygiera był z nami, koń Snafner, czarny cały, z nastrzępioną grzywą, z iskrzącym u siodła toporem. Trzy słońca i trzy księżyce chmurami powlekła nam burza, ale wicher nam sprzyjał i wył w stronę Hakona, jak psy dniem przed śmiercią pana. Rankiem dnia czwartego wyspa Danów ukazała się nam!

Przed blizkim brzegiem nie dotrzymał na pokładzie pan wassalów, Rytygier o niechybnem cięciu. Skoczył na konia i konia rzucił z sobą w fale, my wszyscy za nim, stąd, zowąd, wokoło płyniem, wytężając ramiona i podnosząc karki — okręt nasz za nami rozbijają skały!

Hakon w pałacu, otoczon rycerstwem, pił i szydził z zabitej Gudruny. Usłyszał tętent Snafnera, pił dalej i rzekł: »Szczęśliwy-m, szczęśliwy-m. Dziś książę Rytygier przybywa mi w goście; spętam go łuku cięciwą i strącę w podziemne lochy wężom na pokarm«.

W pałacu walą się stoły, palą się kobierce, puhary toczą się we krwi z jękiem bohatyrów odlatują dusze. Rytygier, syn Sigmunda, woła: »Szczęśliwy-m, szczęśliwy-m, Hakonie, bo dłonie ci obie uciąłem i rzucam w ogień twój domowy; szczęśliwy-m, że teraz mieczem długim przebijam ci piersi, a tobie, Eryku, niech służy ta strzała, tobie, Lovenskiold, puginał mój w sercu zostawiam na wieki — Hargaz, deptam po tobie na pamiątkę Gudruny!«

I na stosach ciał, na gruzach i zgliszczach, przy bladem księżycu dzieliliśmy łupy. Rytygier nam wszystkie odstąpił. Wziął tylko sobie głowę króla Hakona i wrócił do domu.

CHÓR Niech żyje Rytygier, pan śmiertelnego cięcia!

RYTYGIER. Dzięki wam, moi. Teraz, Hagenie, odwilż usta w czarze pośmiertnej wroga i ten łańcuch złoty schwyć w powietrzu! *(Rzuca mu łańcuch)*

Co za chrapliwe dźwięki — czy słyszycie?

HAGEN. Na takim rogu dąć musi upior myśliwiec, kiedy nocą przelatuje bory.

(Wchodzi wódz straży)

RYTYGIER. Co słychać?

WÓDZ STRAŻY. Rycerz nieznajomy stoi u bramy zamkowej z nielicznym pocztem, o ile się nam wydało przy świetle latarni, — na hełmie smok obrzydliwy a twarz jego z za przyłbicy pali się węglami dwoma. Czy go wpuścić, książę i panie mój?

RYTYGIER. Niech wjedzie, niech zasiądzie do biesiady mężów.

(Wódz straży wychodzi)

BISKUP. Zważ, synu, noc bardzo czarna, w takowych nocach nieraz warowne zamki widziałem zdobywane zdradą — a wiem, że w tych okolicach teraz błąka się pełno dzikich barbarzyńców, nie ochrzczonych Lachów. Strzeżcie się zdrady!

RYTYGIER. Nie lękam się nikogo.

BISKUP. I ja też prócz Jezusa Chrystusa nie lękam się nikogo. Radę tylko roztropną ci dałem.

CHÓR. Niechaj lis się zjawi, tu jest lwów czterdziestu!

(Każdy rycerz dobywa puginału i kładzie go na stole)

BISKUP *(dobywając puginału z pod szaty i kładąc go na stole)*. Amen.

(Hamder wchodzi)

RYTYGIER. Czyś chrześcijanin, czyś poganin?

HAMDER. Wyznaję Chrystusa.

RYTYGIER. Jakiegoż rodu witam w tobie gościa? Nie wiem, na jakiem posadzić cię miejscu.

HAMDER. Na miejscu bohatyrów, a ród mój książęcy.

RYTYGIER. Imię?

HAMDER. Hamder, od dni już wielu, i nie wiem, na jak długo jeszcze.

RYTYGIER. A twarz twoja?

HAMDER *(podnosząc przyłbicę)*. Masz ją!

CHÓR. Jezus, Marya!

RYTYGIER. Siadaj przy mnie! Wina, miodu, mięsiwa! Przynieść roztruhan ojca mojego — choćbyś był złym duchem, ścisnę ci rękę.

HAMDER. Spróbuj, czyja silniejsza!

RYTYGIER. Bramy zamków, kute żelazem, pękają, kiedy w nie uderzę. Ha! i od twojej dłoni wylecą — spróbujmy raz jeszcze!

HAMDER. A co?

RYTYGIER. Równi jesteśmy. Pierwszy raz śmiertelny człowiek dotrzymał mi w sile. Od tej chwili tyś bratem moim.

HAMDER. Zgoda, bo oddawna tej chwili pragnąłem. Tak! Pragnąłem jej, od kiedy chwała twoich przewalczonych bojów opadła mnie zewsząd. Szczęśliwy Rytygierze! Gdziekolwiek szedłem, mówili o tobie pany, niewiasty, śpiewaki, rycerze, a dziś, gdym stanął u mostu zwodzonego, nim zatrąbiłem, doszły mnie odgłosy wrzawy zamkowej — wszak wy śpiewali o czarnobrewej Gudrunie?

RYTYGIER. Poznałeś pieśń — czyś kiedy pierwej ją słyszał?

HAMDER. O! wiele pieśni słyszałem i rozmów wiele. Włosy od nich mi nie pobielały, ale za to twarz mi wyschła, jak u tych, co nasłuchali się przez życie całe, a teraz nic już nie słyszą!

Wszak prawda, lica moje podobne do czaszki, z której pijesz? Ale ja nie Hakon, ja brat, ja przyjaciel Rytygiera.

RYTYGIER. Owszem, ja twarz twoją lubię; taką mieli niegdyś w Walhalli towarzysze Odyna. Zostań w zamku

moim, Hamderze! Będziemy razem ścigać niedźwiedzie na łowach, razem chrzcić pogan, lub dumne bić chrześcijańskie pany.

HAMDER. Zgoda! O, znam nieprzejrzane morza traw i zbóżów i bory, głucho szumiące, wielkie bory sosien. Tam przechadzają się tury i żubry koło świątyń bogów starych, a na równinach lud czeka objawienia bohatyrów, by się im poddać.

Szlachetne rycerze! Widzę migi, słyszę szepty wasze, ale ja napozór tylko chudy, niezdrowy, umarły; kiedy przyjdzie pora, poznacie mnie lepiej — waszemu panu zwycięstwo i sławę, wam skarby i hoże dziewoje rozdam może kiedyś. I wy też na harfie wtedy zabrząkniecie o mnie.

A Tobie, książe Biskupie, tysiąc karków nagnę do chrzcielnicy. Będziesz musiał stanąć ty i kapłani twoi nad rzeką szeroką, bo w kościele nie zmieszczą się przygnane trzody — dary moje! Ja wiem, książe Biskupie, że i ty będziesz mnie kochał.

RYTYGIER. Nieraz śniło mi się o takiej nietkniętej ziemicy. Ten, który mi ją zwiastuje, ze wszystkich u mnie jest najlepszy ludzi. Hamder, zamieńmy się na oręże! Weź miecz Rytygiera! Tę rękojeść wykuł mi Horwat Niger, najsławniejszy złotnik wśród plemion saksońskich, a sześciu wodzów, z koni zwalonych, kopią do ziemi przybitych, dałem mu na nią od piersi łańcuchy.

HAGEN *(do Biskupa)*. Taką klingę cudzoziemcowi!

HAMDER. Tę szablę sam papież błogosławił w Rzymie — niech ci służy, bracie!

BISKUP. Wracasz z Rzymu?

RYTYGIER. Byłeś w Rzymie?

HAMDER. Gdzież ja nie byłem? Mowy wszystkich ludów drzemią w głowie mojej; kiedy mi potrzeba, budzę jaką z nich Naprzemian lądy i wody schodziły mi z drogi, jak znużone straże. Ja jeden szedłem nieznużony dalej. Ile barw na niebie dzieli jasność południa od ciemności nocy, tyle barw na ciałach ludzkich widziałem i znałem wreszcie takich, którzy jak noc czarni.

RYTYGIER. Wina, wina jeszcze! Bierz, gościu mój, pij, jedz i opowiadaj dzieje dni twoich, bo kiedy mówisz, rozwidnia mi się w oczach!

CHÓR. O, mów, prosimy cię, gościu, i niech noc przeleci na słowach twoich!

HAMDER. Noc — nie, o, nie, połowa nocy do mnie należy, rycerze. Ślubem strasznym związałem się niegdyś i sam jeden być muszę, kiedy gwiazdom na niebie mdło być zaczyna. Ale jeszcze czas, jeszcze mówić mogę — kiedy umilknę, wyjdziecie wszyscy, a ja modlić się zacznę. Czy obiecujecie?

RYTYGIER. Co tylko zażądasz, czynić będą w zamku moim.

HAMDER. Dzięki ci, królewski Rytygierze. Teraz, przyjaciele, powiedzcie mi, skąd zacząć? W pamięci mojej zmartwychwstają widziane strony, oglądane twarze, stoczone walki, i cisną się tłumem, jak w dzień sądu umarli. Kogóż zatrzymam? Któremuż z nich ścisnę skrzepłą rękę? Oni przechodzą, mijają — a wy chcecie powieści. Ah, dajcie mi harfę!

CHÓR. Nie spojrzał, tknął tylko, a rozpłakały się struny.

HAMDER. Na smutną pieśń się zanosi — spróbuję losu raz jeszcze.

CHÓR. Teraz jakgdyby przekleństwo zagrzmiało.

HAMDER. Czy to ty się prosisz, jęcząc pod mojemi palcami, okrutna Marzanno, śmiertelnemi uwieńczona maki, lub ty może, Łado, strojna w róże głogów, ty, co sypiesz na synów Lecha błędne ogniki miłości? Daremno, daremno. Jak gwiazdy nocy letniej, tak wy opadniecie z niebios. I nie kto inny was strąci, jedno syn wasz, jedno smutny wygnaniec.

Słuchajcie, rycerze! Teraz wam ziemię wskażę obiecaną, rumianą jagodę, byście ją zgnietli żelaznemi stopy.

Kraków, gród był wielki nad brzegami wartkiej i czystej Bogini! Polany czczą ją pod Wisły imieniem — niejeden z was dotarł aż tam, gdzie ona ginie w morzu, jak dusza w wieczności.

CHÓR. Polany, pogany! Jest u nas ogień i żelazo dla nich!

HAMDER. Tam Krakus, ojciec ludu, król Polan, dwóch miał synów z żony Świetlany i czarnobrewą jedną, wyrosłą wśród białogłowych rówiennic, jak jodła nad blademi brzozy — urodziwą, hardą, w brzęku cięciw zakochaną Wandę!

Starszym był mu Ziemowit, młodszym Leszko synem, oba w potężnych wyuczeni czarach, jak przystało na synów książęcego rodu: ale każdy z nich inną w gwiazdach przyszłość czytał ludowi swojemu. Ziemowit Boga Chrystusa widział cień już nadchodzący, Leszko kłaniał się bałwanom wraz z siostrą Wandą i z gniewu tupał lekkiemi nogami na wspomnienie Niemców.

Stąd waśń między braćmi się wszczęła. Ziemowit był orłem, co odrazu gromi i zatapia szpony, potem znowu w pokoju kładzie się na błękitach — takim był, nim go długie przerobiły lata. Leszko nie ufał tyle swej śnieżnej prawicy i wlókł się cichym krokiem nakształt lisa, co uchodzi z kniei, gdyby lis zdołał być i żmiją razem.

Wtem lud jął uciekać — tysiące zbladły, jako jeden blednie. Padali wokoło króla, wołając: »Ratuj nas, ojcze!« a skąd biegli, od strony zachodu, ciągnął nad wzgórzami smok, jak burza czarny, w paszczy trzymając ludzkie i bydlęce ciała za włosy i rogi, potem zapadł, grzmiąc łuskami skrzydeł, i legł nad rzeką w jaskini.

Lecz kiedy noc nadeszła, wzbił się na nowo w powietrze, naprzemian wił się z góry na dół i, podbiwszy się, krążył w górze. Księżyc raz znika, to znów błyśnie z poza jego kłębów, a pożartych niedojadłe kości spadają na głowę żyjącym. Tętniące stada koni wlatują do ogrodu. Trzody walą się i ryczą. Król milczał i siedział jeden niewzruszony wśród tłumów. Nad rankiem powstał Ziemowit i rzekł: »Jutro o świcie tak, jak dzisiaj, potwór zaśnie w nadwiślańskiej pieczarze. Ojcze, by lud zbawić, ja tam pójdę sam!« I lud usłyszał i krzyknął: »Za to kiedyś będziesz królem naszym«. I powstał Krakus i Bogom ofiarę w świątyni zapalił — a Ziemowit wierne psy zwołał i drażnił i głodził dzień cały — sześć oszczepów wziął i obosieczny miecz — a matka, drąc włosy, żegnała go z płaczem.

RYTYGIER. Chwała Lechickiemu Ziemowitowi — on był bohatyrem!

CHÓR. On był bohatyrem!

HAMDER. On był młody i nadludzkiej siły — on poszedł — on miał za to zostać królem kiedyś — a rankiem otoczyły go wyziewy i szedł w mgle, lud zostawiwszy na wzgórzach.

I rzuciły się psy do pieczary. On chwilę stał jeszcze u wnijścia, lecz kiedy nie usłyszał ni szczekania ni skomlenia, sam wstąpił, w obu dłoniach trzęsąc śmiertelne żelaza. On był pewnym zwycięstwa — on miał królem zostać!

Przekleństwo! Koło smoka bez życia pokładły się brytany i liżą ręce młodszego brata. On z jasną lampą w dłoni siedzi na grzbiecie potwora i śmieje się zwolna, posępnie, zwycięsko. Lecz krwi nigdzie nie widać i broni żadnej niema w ręku jego.

Ziemowit struchlał pierwszy raz w życiu. Leszko róg do ust przyłożył — mgła w tej chwili pęknie, słońce wschodzące hańbę Bohatyra oświeci. Lud zewsząd zbiega się wołając: »Niech żyje Ziemowit!« a Leszko, stanąwszy na trupie: »Ja — krzyczy — ja zabiłem!« i zabrzękły pod jego stopy martwych skrzydeł łuski.

Potem prawi dalej: »Sztuką, bogom tylko znaną, ognistemi skórę byka wypchałem jadami. Smok połknął drzemiące płomienie — chodźcie, dotknijcie się, on się już nie ruszy!« A motłoch zawołał: »Tyś lud zbawił, ty będziesz

królem naszym!« i porywają go i, hucząc, niosą przed starego ojca, a inni, padłszy na ziemię, czczą go, jak Boga. On śmiał się przedłużonym echem.

Ziemowit sam jeden został wśród psów skowyczących, potem porwał się, jak błyskawica. Gwizdnął oszczep i u stóp Krakusa wwiercił się w Leszkowe serce. Ojciec, rozdzierając szaty, przeklął starszego syna i każe go chwytać. Lecz Ziemowit tłum rozpierał na prawo i lewo, broniąc się, mordował ludzi, aż wszedł w gaje, poświęcone Bogom. Tam go już ścigać nie śmieli Polanie.

CHÓR. Czemu nie kończysz? czemu jedną po drugiej zrywasz struny harfy?

HAMDER. Skończyłem — wam się reszty domyśleć, wam siąść na koń i lecić. Ziemowit, ten, coby was odparł, daleko gdzieś na wygnaniu. Starego Krakusa w popielnicy spoczywają prochy — niewiasta dziś panuje Polanom, siostra Leszka, Wanda! a więc...

HAGEN. Zważaj, księże biskupie, na tego człowieka!

BISKUP. Nie spuszczam go z oka.

RYTYGIER. Bracie, pokrzep siły!

CHÓR. Zrzuć pancerz, nadgardlnik rozerwij żelazny!

HAMDER. Nic mi nie jest, nic — jedno nadchodzi godzina modlitwy. — Dotrzymajcie przyrzeczenia, wstańcie i odejdźcie!

RYTYGIER. Lennicy, skończona biesiada! Do jutra!

CHÓR. Dobrej nocy, gościu!

(wychodzą).

RYTYGIER. Oprzyj się na mnie, ledwo ustać możesz!

HAMDER. Precz — precz! nic mnie nie jest — mnie tak zawsze w tym dniu, o tej porze. Ha! ranek się zbliża i na bladych chmurach ciągnie nieprzyjaciel mój.

BISKUP. Krzyż ten z relikwiami weź w ręce, człowiecze!

HAMDER. I ty także się ociągasz? precz, precz ode mnie!

RYTYGIER. Twoja ręka, przed chwilą żelazna, teraz jak wosk topnieje zimnym potem w mojej!

HAMDER. Daj, coś obiecał — daj mi spokój mój!

BISKUP. Palec Boży na czole twojem pisze słowo zatracenia. Tyś brata zabił! Tyś Ziemowit książę!

HAMDER. Może myślisz, żeś mnie zdruzgotał tym słowem, może myślisz, żeś pierwszy mi je powiedział na ziemi?! — Śmieję się z ciebie, księże! *(pada na siedzenie Rytygiera)* Dniem i nocą to samo powtarzały mi wiatry — milczenie głuchych pustyń wołało na mnie: »Bratobójca!« i człowiek każden wyczytał to na licu mojem, a nic dotąd nie zdołało duszy z pod pancerza mi wyrwać. Ja miałem być i ja będę królem!

GŁOS. Nigdy, nigdy, nigdy!

RYTYGIER. Czyś ty przemówił, ojcze biskupie?

BISKUP. Przez imię Boga wcielonego — to nie ja.

HAMDER. Uciekajcie! *(porywa się)* Gdzie miecz, gdzie włócznia moja, zdrajcy?

RYTYGIER. Co ty widzisz? na kogo się zamierzasz? — Weź go za drugą rękę, ojcze Biskupie!

GŁOS. Czemuś mnie strącił tak młodym do piekła? o bracie! o bracie!

RYTYGIER. Teraz ja ciebie wyzywam, Duchu! — Objaw się i spróbuj się ze mną!

HAMDER. Dajcie mi go przebić!

GŁOS. Dni twoje policzone.

HAMDER. Niecierpiany na ziemi i w grobie, po co mnie trapisz? Kto cię otoczył płomieniem i ranę, którąm ci zadał, tak świeżą po latach tylu zostawił na piersiach?

Ty, coś miecza nie dźwigał nigdy, ręce tylko śnieżne mył w krwi ofiar na ołtarzu Marzanny, tyś chciał królem zostać!? Czyż nie byłem godniejszy od ciebie? Czyżbym ludu mojego nie był wyniósł nad wszystkie postronne plemiona? Wstrząsaj głową, groź rękoma — nie lękam się ciebie! Tyś mnie wypchnął na bezdroża świata, rzu-

ciłeś mnie w objęcia Niemców i krzyż niemiecki zatknę na bałwanach, któreś ty tak kochał niegdyś! Oh! przeklinam ciebie — precz stąd — precz! — mija twoja godzina — precz!

GŁOS. Za rok o tej samej godzinie będę przy tobie!

HAMDER. Rozstąpcie się! *(odpycha Rytygiera i Biskupa)*

RYTYGIER. Znów mi siłą dorównałeś, książę!

HAMDER *(zrzucając pancerz)*. Bo jutrzenka świta, bo jej rumiane promienie spadły na pierś moją. Witaj mi światło, w którem od lat dziesięciu po tej nocnej męczarni znowu piję życie! Jak dobrze oddychać świeżem powietrzem! jak dobrze z piekła się wydzierać i wracać na ziemię!

BISKUP. Zniż czoło i módlmy się razem!

HAMDER. Nie — ku słońcu wschodzącemu wzniesioną trzymać muszę głowę — nie — my tylko Polanów chrzcić będziemy razem. O księże, ja wracam z Rzymu, w Lateranu kościele papież słuchał spowiedzi mojej. — Cóż ty możesz po nim?

BISKUP. Jakąż ci Ojciec święty pokutę naznaczył?

HAMDER. Przybyłem do was, bym jej dopełnił. On mi kazał nie spocząć, aż dziesięciu tobie podobnych osadzę na Lechitów ziemi. Lecz teraz może opuścisz mnie, książę — ściganemu przez nadziemskie potęgi cofniesz dane imię brata?

RYTYGIER. Sam cofnij, coś wyrzekł, lub dobądź miecza, boś pierwszy na ziemi zwątpił o sławie Rytygiera — przez duszę Gudruny! gdybym ci wprzódy nie ślubował przyjaźni, terazbym cię do piersi przycisnął z sił wszystkich.

Przez starego Odyna! widziałem bohatyrów, alem nigdy nie spotkał równego tobie — oni umieli tylko śmiertelnym ludziom kroku dotrzymać! przez wszystkich świętych! sam koronę włożę ci na czoło wśród miasta Krakowa.

HAMDER. Nie skłamały języki ludzi. — Jakim cię słyszałem, takim jesteś, Rytygierze. Każ więc flagi wojny z wież zamku rozpuścić — niech się zbiorą lennicy i poddani twoi!

RYTYGIER. Jutro puścim się w pole.

BISKUP. Książęta, niech pomiędzy waszemi skwapliwemi rady zostanie dość miejsca dla głosu mojego!

HAMDER. Czego żądasz?

BISKUP. Posłuszeństwa kościołowi.

RYTYGIER. Co znaczą te słowa?

BISKUP. Książęta, odebrałem zlecenia papieskie i cesarskie względem bałwochwalców.

RYTYGIER. Cóż dalej?

BISKUP. Dobrze i roztropnie mówił gość twój, kiedy ci radził zgromadzić Lenników. Wybierzemy się z licznym i świetnym rycerstwem, ale przybywszy do pogan, stańmy obozem i zacznijmy od słów łagodnych. Jeśli odrzucą nasze przełożenia, wtedy dopiero miecz twój świecki dokona wyroku Matki Duchownej.

HAMDER. Marna strata czasu, księże Biskupie! Bo któryż lud wam się poddał, waszą rozczulon wymową?

By starych Bogów wydrzeć z serca ludzi, trzeba tych serc tysiące przeorać bojów lemieszem. Czy pamiętasz Saksonów? O Witykindzie czyś zapomniał, ojcze? Ale dwa, trzy dni odstąpić możemy obrzędom kościoła rzymskiego. Po tych dniach kilku, tak pewno, jak, że to słońce świeci, tak pewno, jak, że mnie losy przeklęły, przysięgnę, że nam wojnę wypowiedzą pogany. Znam Lechitów!

RYTYGIER. Ułóż się z Biskupem!

Wojna mnie pali — wojnę czuję w powietrzu — w uszach mi się przemykają chrzęsty — boskie chrzęsty bitew. *(zdejmuje róg z muru i znak daje)*

HAMDER. Przystaję, Ojcze Biskupie — pamiętaj, żeś mi dłużny teraz!

(Wpadają rycerze)

RYTYGIER. Wojna! wojna! — Ten człowiek, to Ziemowit, syn Krakusa — kto mi służy i lęka się mnie, niech mu służy i lęka się jego! Ślubowałem Bogu i sobie: wy-

darte państwo mu przywrócić. Jutro pod noc zamek opuścimy.

Teraz uczcijcie króla Polanów, a potem za mną do wieży północnej po nietknięte zbroje!

CHÓR. Niech wyskoczą z naszych pochew ostrza,
Jak błyskawice lecące do burzy,
Wszystkie, jak piorun, co pada w jezioro,
Niech po rękojeść w morzu krwi utoną!
Szczęścia i chwały życzemy ci, Królu.

HAMDER. Oh! po długich latach przywitali mnie nareście króla imieniem Naprzód, naprzód, rycerze!

II.

Kopiec graniczny — po jednej stronie szopa, w jej głębi ołtarz, przed ołtarzem kapłani i rycerze. Biskup w ornacie na stopniach. Naokoło szopy zbrojni Niemcy, konno i pieszo — po drugiej stronie równina i wzgórza, okryte ludem — z boku las sosnowy.

BISKUP. *Introibo ad altare Dei.*

CHÓR NIEMCÓW. *Ad Deum, qui laetificat iuventutem meam.*

PIERWSZY Z LUDU. Jakże dobra ziemia stęknęła od ich żelaznych, padających kolan!

DRUGI. Druhu, cóż to za człowiek przybity do krzyża w chmurze tak wonnego dymu, że aż tu go słychać?

PIERWSZY. A toć Bóg ich być musi fałszywy, niemiecki.

INNY. Mówcie lepiej, gospodarze, po co nas zwołały, gdyby na żertwę jaką, wojewody nasze!

PIERWSZY. A Strzeżka zapytaj, alboć my wiemy?

GÓRAL. Ja wam powiem — cudzoziemcy rozhowor chcą mieć z niemi — oto właśnie idę z boru, a w gęstwinie, pasując się z gałęziami, w prawo i w lewo machałem toporem. Wtem, gdy ciąłem z sił wszystkich, ujrzałem jedną razą tam daleko, daleko, na karczach spalonych siedzące wojewody, a pośrodku nich stała królowa w białych szatach, Wanda.

KILKA GŁOSÓW. Wanda tak blizko?

GÓRAL. Ona sama, przez ogniany i wiatrany! znamci ją dobrze — przecież już jeden syn mojego wojewody za-

patrzył się na nią i odtąd skacze i śpiewa, jakby mu słonko w sam upał żniw czaszkę przepaliło — a drugi, Hardymir, dzielny wódz nasz, znać tego samego pragnie, bo i teraz jeszcze przechodząc spojrzę, aż tu on siedzi, cały ku niej podany, z wytężonemi oczyma, z wyciągniętą szyją. Nie mówię, gdyby przynajmniej twarz jej mógł był widzieć — ale nie — bo ona pod długą zasłoną się kryła i głos jej tylko z daleka powiewał.

INNY Z LUDU. Mało ludzi twarz jej oglądało.

BISKUP. *Dominus vobiscum!*

CHÓR RYCERZY. *Et cum spiritu tuo!*

(Rytygier i Hamder z spuszczonemi przyłbicami wychodzą z szopy).

RYTYGIER. Niecierpliwość na czarny węgiel spali krew moją — tyś taki spokojny, Hamderze?

HAMDER. Skończyło się długie tułactwo, stoję wobec ludu mego. Kiedy koronę włożę na skronie, jak ptak lekkim się stanę; a gdyby wprzódy śmierć, gdyby... to jeszcze lekszym, bracie. Zatem dobrze mi jest.

RYTYGIER. Jak się ruszają tysiące i ciekawie spoglądają na nas! Jak myślisz? Czyżbym takich kos dwadzieścia odrazu nie skruszył cięciem długiego miecza na odlew?

HAMDER. Wzrostem i rynsztunkiem przenosimy ich, ale zważ na ich gibkie ciała, na ogień, co im pryska z oczu! Oni umieją rozbiedz się i skupić nazad, pod konia się rzucić i rozkrajać mu wnętrzności, kamieniem wybić oko jeźdźca, toporem, którym na wyżynach mordują niedźwiedzi, głowę rycerzowi zdjąć z karku, lub najchyższego rumaka zbić z nóg wszystkich czterech. Rozpędzisz ich pod wieczór, a o świcie nazajutrz, nucąc pieśń zasiewu lub dożynków, oni ci wrócą do boju!

RYTYGIER. Tem lepiej, bo po łatwych zwycięstwach niema czem zbudzić zaspanych strun harfy. Patrz! Oto mi rysy, jakby z nieba wzięte — to jakiś bohatyr być musi, orzeł takiemi w słońce spoziera oczyma. Czemuż żadnej broni

nie nosi? wszyscy się rozstępują i kłaniają — on zwiesił głowę, jakby szyszak mu ciężał, a tylko włosy jasne spływają mu na barki. — Czyż to wódz jaki?

HAMDER. Urodził się na wodza, ale nim nigdy nie będzie.

LUDGARD.

Ja detynka malenkaja,
Moja nóżka bosenkaja,
Wyneste koladnik!

RYTYGIER. Głos smutny z tak ogromnych piersi! Wszyscy odwrócili głowy teraz.

HAMDER. Nie śmią w oczy mu spojrzeć, bo wierzą, że on rozmawia z potężnemi Bogi, a on tylko oszalał, urzeknięty Wandy spojrzeniem.

RYTYGIER. Jakto? — mów prędko! — on tu się zbliża.

HAMDER. Ojciec jego, Żelisław, wojewoda gór, niegdyś Czechy z ludem swoim zrabował i, pyszny z powodzeń, chciał zrzucić Krakusa — mój rodzic zgniótł go u bram Krakowa. Kiedy Wandę obrano, przysłał stary wojewoda starszego syna z hołdem i podarunkami — Ludgard odtąd, jakem słyszał, do gór swoich nie zajrzał ni razu i znikczemniał z rozpaczy, bo Wanda śmieje się z bogini miłości.

RYTYGIER. Chciałbym ujrzeć niewiastę, która tak męskie przechyliła czoło. Ha! spętać ją w łańcuchy z bławatów i kazać jej prząść na kądzieli!

LUDGARD.

Ja detynka malenkaja,
Moja nóżka bosenkaja,
Wyneste koladnik!

HAMDER. Prosi o upominek.

RYTYGIER *(kilka srebrnych pierścieni kolczugi ucina sztyletem).* Masz, nieboże!

LUDGARD. Znam was.

HAMDER. Mnie?

LUDGARD. Obu was widziałem.

RYTYGIER. Gdzie?

LUDGARD. Na kolanach u Boga Pogwizda, nim przyleciał powiew z dolnych jarów i zaniósł was na ziemię, gdyby ziaren dwoje — wtedy i mnie lepiej działo się, niż teraz. Lecz nie troszczcie się! — wkrótce znów będziemy razem.

HAMDER. Gdzie?

LUDGARD. Zrzuć rękawicę, a powiem ci przyszłość twoją!

HAMDER. A co?

LUDGARD. I ten drugi niech da rękę!

RYTYGIER. Nuż, przepowiadaj!

LUDGARD. Ciebie pierwszego i ciebie drugiego śmierć zawczesna, gdyby sama chciała, minąć nie potrafi.

RYTYGIER. Kawko!

LUDGARD. Mój wojewodo, mój kniaziu, jeszcze się tobie coś w naddatku przed zgonem należy.

RYTYGIER. Cóż, puszczyku?

LUDGARD. Dłoń twoja goreje, jako moja niegdyś. — Szaleństwo! *(odchodzi)*

BISKUP. *Ite, missa est!*

CHÓR RYCERZY. *Amen.*

HAMDER. Co tak za nim ciągniesz oczyma? teraz spojrzyj lepiej w tę stronę, bracie! Czy widzisz pomiędzy ostatniemi jałowcami boru tych dwunastu idących powoli — a przed każdym pług i dwa woły białe, jak mleko? To wojewody!

RYTYGIER. A Wanda, gdzie Wanda?

HAMDER. Niema jej dotąd — Boże! nic się nie odmienił potężny Żelisław, do dziś dnia tenże sam chód pyszny i twardy, ta sama czerwona przepaska na białych włosach — ale czemuż wiodą go pod ręce? wszak starzec, który idzie przodem ich wszystkich, sam nie prowadzi pługu?

RYTYGIER. Młodzieniec jakiś, z kołczanem na plecach i toporem u boku, woły starca pogania.

HAMDER. Oślepł, oślepł wojewoda gór, a Hardymirowi

oddał oręż dni dawnych. Ah! dobrze się stało, bo wzrok jego bylby się wwiercił pod przyłbicę i poznał rysy moje. Ot! Brzetysław z szramą na czole, co mnie w nocy żegnał na tej samej granicy i ślubował wiernym mi być, jeśli wrócę kiedy. Kołpak Gnieźnieńskiego Barnima, jak dawniej, strusiemi powiewa pióry, zdartemi gdzieś z Niemców.

Patrz! oto wróg mój, dawny przyjaciel Leszka, z temi bursztynami na piersiach, Sterdza o słodkim głosie, o roztropnych radach. Stań przede mną, bracie!

RYTYGIER. Żaden z nich nie patrzy na nas, wszystkich oczy obróciły się ku Biskupowi i kapłanom jego.

(Wojewodowie nadchodzą i każden siada pod kopcem na pługu swoim, miecz wetknąwszy w ziemię)

CHÓR LUDU. Witajcie, witajcie, Hospodyny miłe, a jeśli się godzi, prosim was poważnych i mężnych, zapytajcie tych ludzi, po co przybyli i czego żądają?

ŻELISŁAW. Na to zesłała nas córa Krakusa, miła Bogom Wanda, bądźcie spokojni!

HARDYMIR. Uciszcie się! Alboż nie widzicie, że starzec, kapiący od złota, wzniósł krzyż oburącz i o posłuchanie prosi?

RYTYGIER. Gdyby człowiek jeden, umilkli na równinie, po widnokrąg umilkli na wzgórzach!

HAMDER. Jak tysiące, ozwą się od widnokręgu, kiedy Biskup skończy!

BISKUP. Męże słowiańskiego plemienia, wybrane wojewody z narodu Polanów, słuchajcie słów moich, jako przystało na was, głośnych między postronnemi z mądrej rady i opatrznej myśli nad ludem waszym.

Przybyliśmy od zachodu, by wam przynieść dobrą nowinę, by wam opowiedzieć słowo miłości i zbawienia.

ŻELISŁAW. Starcowi ja, starzec starców narodu mojego, odpowiem. Twarzy twojej widzieć nie mogę, bo od dni już wielu słońce mi nie weszło i księżyc wiecznym stał

się dla mnie nowiem, ale każde drganie głosu twojego rozważam, siedząc w ciemnościach. Jeśli prawdę wyrzeczesz, ktokolwiek jesteś, obsypiem cię najbujniejszemi kłosami z niw polańskich. Lecz jeśli pod lśniącą pajęczyną słów twoich kryje się jama zdrady, biada ci, cudzoziemcze, bo naprzód kalasz siebie samego, i powtóre biada ci, cudzoziemcze, bo mój lud się zemści!

BISKUP. Na świadka czystych chęci wzywam Boga, który mnie przysłał, bym wam Imię Jego obwieścił. Wszystko, na coś patrzał dawniej, ziemię, gwiazdy, wody, zwierzęta, nikt inny, jedno Bóg ten jeden stworzył dla chwały swojej i człowieka z prochu ziemi stworzył, a natchnął w jego oblicze dech żywota — nasadził też był Pan Bóg sad rozkoszny w Eden, na wschód słońca, i postawił tam człowieka, któremu przydał niewiastę na wspólniczkę szczęścia; oboje mieli być nieśmiertelni, ale Duch kłamstwa i złości, któremu kłaniacie się dotąd pod postacią fałszywych Bogów waszych, wczołgał się, przybrawszy kształt węża, do rozkosznych gajów i podmówił niewiastę, by zerwała jabłko z drzewa wiadomości, które Bóg jeść był zakazał — posłuchała i wraz z mężem jedli oboje, a Bóg ich przeklął i ich i dzieci ich śmiertelnemi uczynił.

ZELISŁAW. Nasze litościwsze!

BISKUP. Nie bluźń, boś zrodzon w niewiadomości prawdy, a my przyszli ci ją objawić!

ŻELISŁAW. Któryż człowiek na szerokiej ziemi może takie słowo wyrzec do drugiego człowieka? Czy ty nieśmiertelny? czy nie łakniesz, jak ja, napoju i jadła? czy lata, przechodząc nad twoją głową, nie przyprószyły jej śniegiem?

Hardy język i czcze myśli twoje — chyba zwiedli mnie towarzysze, kiedy rzekli: »Starzec siwy stoi przed tobą«. Ty młodym być musisz!

BISKUP. Obłąkany! ty mi raczej odpowiedz, czy wiesz, skąd i dokąd idziesz dniem po dniu, jak skrzydłami niesiony do śmierci? kto duszę twoją, której ni płomień stosu spalić, ni skorupa popielnicy zamknąć nie zdoła, sądzi za grobem?

ŻELISŁAW. Pamiętam, nieraz, kiedy siedzimy wespół, ja i towarzysze, porą zimową przy dzbanach, opowiadając sobie łowy i boje, otoczeni miłym sercu smolnych łuczyw trzaskiem, a na dworze za drżącemi ściany czarno i wietrzno — pamiętam, nieraz wleci ptaszek obumarły w koszulce ze szronu i padnie na stoły, lecz go wraz ciepło i światło ożywią, otrząśnie piórka i, ponad głowami wojowników krążąc, zaśpiewa o wiośnie; potem zmylony, myśląc, że to już wiosna na zawsze, znów wylatuje drugą stroną szopy! Takci i człowiek każdy wśród dwóch ciemności kilka dni na ziemi, ocieplonej słońcem, zbożami umajonej, przeżywa, a potem, gdzie znika, tego nikt nie dociekł, tego nikt nie powie.

BISKUP. Mylisz się, wojewodo słowiański! — bo Bóg wszechmocy w miłosierdziu swojem zesłał Syna, Jednorodnego Jezusa Chrystusa, który oblekł się w ciało ludzkie i słowem żywota te ciemności rozgarnął, a potem do Ojca powrócił i króluje w niebiesiech, aż znów zstąpi w dzień ostatni świata, by sądzić nas wszystkich.

ŻELISŁAW. Co ty chcesz wmówić we mnie? Gdyby Jeden był wszystko stworzył i gdyby Syn tego Jednego raz stąpnął na ziemi, czyżby nie była się rozpadła od Wschodu na Zachód? czyżby gwiazdy, jak rój pszczelny, nie były same zleciały zatknąć się w koronie nad Jego czołem? — i dotądbyśmy niebo porysowane widzieli!

BISKUP. Na świecie był i świat jest uczynion przezeń, a świat go nie poznał. I na to przyszedł, by, wszystkie zbrodnie ludzkie wziąwszy na siebie, na tym krzyżu skonał. Nie był on królem ni wodzem, on tylko słowem nauczał o chwale Ojca swego, kazał ufać wiarą, spodziewać się nadzieją i kochać miłością — przebaczył wszystkim, byleby w skrusze żałowali za winy swoje. Jeśli pomiędzy

wami jest zabójca, darowano mu, gdy uwierzy w Chrystusa — niechaj się nie lęka, niechaj przyjdzie do mnie! Jeśli między wami jest taki, coby ojca lub matki dźwigał przekleństwo, darowano mu będzie, jeśli uwierzy w Chrystusa. Jeśli jest niewiasta cudzołożna, darowano jej, niechaj przystąpi! Jeśli jest pogardzony przez braci za podstęp lub zdradę, niech się zbliży i dotknie się ustami tych nóg, gwoździami przebitych, a odpuszczę jemu i on czystym się stanie i żyć będzie na wieki.

ŻELISŁAW. Gdyby znalazł się taki, nimby złożył pocałunek na krzyżu twoim, synby go mój, syn ostatni Hardymir, przeszył starą włócznią ojca!

BISKUP. Nie tobie jednemu przyniosłem dobrą nowinę, ale wszystkim — nie do ciebie przemawiam, ale do ludu całego — w Imieniu namiestnika Chrystusa i w imieniu potężnego cesarza Zachodu nową wiarę wam ogłaszam. Kapłanów, którzy mię otaczają, roześlę po kraju waszym, a łaska Boża was przez nich oświeci.

ŻELISŁAW. Ni ciebie, ni cesarza, ni Boga twego nie wzywaliśmy nigdy. — Obcy jesteście — Niemcy jesteście. Droga, którąście przybyli, niech was odprowadzi nazad!

BISKUP. Ludu się pytam, niech mi lud odpowie!

HARDYMIR *(zrywając się)*. Zaraz lud ci odpowie!

STERDZA. Stój! — prócz królowej, nikt nie może stanąć na tym kopcu świętym i zapytać się całego ludu.

ŻELISŁAW. Zwyczaj ten wzięliśmy od przodków. Synu, prawdę rzekł wojewoda.

HARDYMIR. Królowa czeka na nas w borze — zatem wązkie te smugi przebiegnę i opowiem jej, co się na równinie stało.

CHÓR LUDU. Śpieszaj, Hardymirze, synu gór, lotny orle skał!

BISKUP. Tymczasem klęknijcie koło mnie, kapłani! — proście Ducha św. za temi tysiącami!

HAMDER *(do Rytygiera)*. Teraz blizka już wojny godzina!

LUDGARD *(śpiewa pomiędzy ludem)*. O tym Bogu, co na krzyżu, krótkie słowo powiem wam.

Czy widzicie, jak się męczy?
Czy słyszycie, jak on jęczy?
A za co tak krwawy?
A za co tak łzawy?
Za to, że Niemców Bóg!
Za to, że Lachów wróg!

KILKA GŁOSÓW. Wie, co mówi — on z Duchami rozmawiał dziś nocą.

LUDGARD. Kto z nas tu wszystkich Ładę kiedy widział na modrym obłoczku?

GŁOSÓW KILKA. Nikt — nikt!

LUDGARD. Kłamstwo — bo ja!

GŁOS JEDEN. Jakże to było, wojewódzki synu?

LUDGARD. Tęczą miała obwiązane skronie, a końce puściła z tyłu w powietrze i one ku mnie spadały, igrając z wiatrami — podmuchy wieczoru gnały ją ku wschodzącym gwiazdom. Krzyknął Ludgard: ona się zatrzyma — ona się odwróci i ukaże lica!

KILKA GŁOSÓW. I cóż? — i cóż?

LUDGARD. Ot, niech piorun rozbije na miazgę Ludgarda! Przysięgam, że Wanda piękniejsza. Lecz nie dajcie jej Niemcom, bo zbrzydnieje wtedy!

GŁOSÓW KILKA. Dobrze mówi, dobrze!

LUDGARD. Holla! Hurra! Cztery konie czarne buchnęły z boru na zieloną łąkę. To ona! jak słup mgły srebrnej stoi na wozie! To ona!

RYTYGIER. Hamderze, czy to królowa?

HAMDER. Królowa? Nie — to tylko siostra moja, Wanda.

RYTYGIER. Gibka i śmiała jej ręka! Jakżeż lejce puszcza na karki rumakom! Ominęła teraz głaz ten na polu, znów chyżej pchnęła się ku nam — to potok, to wicher, to piorun! to nie kobieta!

HAMDER. Ha! pod tą śnieżną zasłoną wrą śmiertelne

gniewy. Hardymir jej doniósł słowa Biskupa — patrz, jak dumnie skinęła głową na okrzyki ludu, jak teraz wyciągnęła ramię i dłonią rozprowadza milczenie nad niemi! Ani słucha wojewodów, ani odpowiada im, prosto na kopiec wstępuje — widzisz? zatrzymała się, patrzy na nas. Zgaduję jej pyszny uśmiech, jeśli oczyma krzyż wasz spotkała. To krew ojca mego, książe!

RYTYGIER. O wietrze, stu zamków zdobytych na igraszkę rzucę ci popioły, bylebyś teraz z jej głowy zasłonę tę zerwał! Stanęła już na szczycie, wzniosła ręce ku niebu, przynajmniej głos jej usłyszemy.

WANDA. Dobre i nieśmiertelne Bogi! Wy, coście nigdy nic nie odmawiały córze Krakusa, wysłuchajcie i dzisiaj jeszcze! Wszak nie skąpiłam wam najpełniejszych kłosów i najwonniejszego kwiecia, wszak postawiłam wam świątynie w głębi głuchych lasów i na wyspach jezior, wszak tobie, matko Wisło, święty zapaliłam ogień w jaskini smoka, przy brata mogile!

Rzućcie, o rzućcie postrach na cudzych ludzi, którzy stanęli na naszej granicy w jasnych zbroicach, a od ich namowy zachowajcie tych, których kocham, tych, którym panuję, tych moich wszystkich! Słońce zachodzące, niech twój ostatni promień roztoczy się nade mną, jak opieka Bogów! — nim zejdziesz w złotą przepaść, niech wyrok Ludu zagrzmi w powietrzu! *(Obraca się ku ludowi)* Syny Sławian, czy chcecie być chrześcijanami?

CHÓR LUDU. Nie! nie!

WANDA. Syny Sławian, czy chcecie być Niemcami?

RYTYGIER. Lud cały jednem gardłem się rozśmiał. Przez św. Huberta! Samo powietrze się śmieje i bór i wzgórza. Będę ja deptał wasze śmiechy moją kutą stopą! Czyś osłabł pod temi rykami, że się na mnie opierasz? Hamder! Ty drżysz cały!

HAMDER. I ja byłem Lachem kiedyś!

RYTYGIER. Przez Gudrunę! Tegom się nie spodziewał, że będę musiał stać niewzruszony, obwiany pogardą motłochu. Hamder! Hamder! czy słyszysz?

HAMDER. Mścij się więc za siebie i za mnie!

RYTYGIER. Książe Biskupie, ojcze Biskupie, proszę cię, ustąp się! Królestwo słów przeminęło, na nic się nie zdało. *(Wyskakuje naprzód)* Królowo, dopiero jednej połowy poselstwa dopełnił ten starzec, druga zabrzmi inaczej. *(Dobywa miecza)* Oto jej pierwszy dźwięk! Cha, cha, cha! Czy ja na księdza lub dziewczę wyglądam, że mnie zastraszyć myślicie? Odwołajcie, Lachy, krzyki do piersi waszych, bo nawet słów moich zagłuszyć nie zdołacie! Kiedy grzmi na niebie, jeszcze mnie słychać.

ŻELISŁAW. Synu, co to za człowiek, którego głos huczy ponad wrzaskami tysiąców?

HARDYMIR. Przyłbica twarz mi jego wydziera, ale pierś jego pod ciężkiemi ogromami żelaza, jak żart wolna się zdaje, miecz olbrzymi, na którym dłonią się oparł, ugina się i drży cały. Inni wydają się przy nim, jak giermki chłopięta, prócz jednego tylko, co stoi z boku, z pochyloną głową — gdyby ją podniósł, mógłby mu dorównać. Lecz słuchaj, ojcze, słuchaj teraz!

RYTYGIER. Wando! Czy znasz brata? Lachy, znacie wy króla Ziemowita?

WANDA. Jak ono słońce, co zaszło, znikł bratobójca. Jak te połyski, co bledną, ślady jego się rozwiały. Jak ta noc, co się zbliża, tak nad nim weszły ciemności Hańby.

CHÓR LUDU. Królobójca, bratobójca, zapomnian na zawsze!

RYTYGIER. A jednak on prędzej wróci, niż to słońce, córo Krakusa! Przysięgam, że prawdę mówię, i ty mu ustąpisz, a wy go słuchać będziecie. Inaczej, Lachy, biada wam! bo wasz śmiech przerobię na jęk konających, bo z was jednego nie zostawię z wolnemi rękoma i wypuszczę spętanych na pole, jako bydło, i każę wołom, by was pasły, dawnych panów swoich!

WANDA. Nie porywaj toporu, Hardymirze! Nie wstawaj,

Barnimie! Zostańcie wszyscy przy pługach waszych! — przez pięć dni i pięć nocy obiecaliśmy zgodę i pokój cudzoziemcom zachować. Dwie doby dopiero, jak słowo nasze słyszały nieśmiertelne Bogi! *(Do Rytygiera)* A ty, choć ryczysz, jak Lew zmartwychwstania na Flinsa ramieniu, nie straszny mi jesteś, bo kto zdrajcom pomaga, ten niedługo stąpa po miękkiej życia murawie. Cokolwiek knujesz, bezpiecznyś na tej ziemi naszej, póki chwile miru nie upłyną — wtedy wolno ci wrócić nazad, wolno ci bój z ludem moim rozpocząć. Zacnieś uczynił, żeś twarz od oczów dobrych ludzi oddzielił żelazem. Ja nie mam się czego ni lękać, ni wstydzić, a zatem weź na drogę pamiątkę po królowej Polanów! *(Odrzuca zasłonę)* Weź to spojrzenie pogardy!

CHÓR LUDU. Niech żyje krasopani nasza!

RYTYGIER. Księża, czy to święta z niebios? Hagenie, czy to jedna z Walkyrich, o których mówią stare pieśni ojców?

HAMDER. Odpowiedzże dumnej! czy nie widzisz, jak wojewody i lud i ona z nas się urągają? Czyś nie słyszał jej słowa ostatniego?

RYTYGIER. Hagenie, podnieś mi przyłbicę, niech odetchnę wolno, niechaj spojrzę pełno — zerwij mi szyszak, Hagenie!

HAGEN. Tę klamrę muszę rozerżnąć sztyletem. Strzeż się tej czarownicy, panie!

CHÓR LUDU. Czy to Lel młodzian, czy to Znicz, pan światła, błysnął wśród Niemców i spogląda na Wandę naszą?

RYTYGIER. Nie odwracaj się, dziewico, tej zasłony nie zarzucaj nazad! Powiedz mi, jak się zowiesz, bo oni wszyscy kłamią, mówiąc, żeś córka śmiertelnego człowieka!

HAMDER. Przez czarta! Milcz, jak umarły, jeśliś poległ od jednego jej spojrzenia! - patrz i milcz, by dzieci Polan w piosnkach swoich nie osławiły ciebie! — milcz! raz jeszcze mówię. *(Obejmuje go ramieniem i staje przed nim)* Wando, zatrzymaj się!

WANDA. Kto przemówił teraz? Sterdzo, czyś tego głosu nie poznał? Wojewody, otoczcie mnie! Czy widzicie tę postać wysoką, jak Czarnyboh, co przesłoniła boskie czoło tamtego wojownika, czy słyszycie, jak ona woła na mnie? Wiecie wy, kto to jest, wojewody? Patrzcie! Zbrojną podniosła rękę i grozi mnie. Tu, na lewo, tu, na prawo, bliżej jeszcze, bliżej stańcie przy mnie!

HAMDER. Kryj się pośród służalców, Wando, i przepadnij wraz z niemi w łonie wiecznej nocy! — Ranek mój już świtać zaczyna. Długoś prządła spokojnie królewską kądziel przy umarłego mogile; kiedym wędrował w nędzy, przy gromnicach błyskawic, tyś chleb jadła miękki, tysiącem szczęśliwych otoczona bogów. Teraz ja wracam z jednym tylko Bogiem, skrwawionym i ponurym, jako serce moje. Teraz brat mój, książę Rytygier, wypowiada ci wojnę, a z głębi Niemiec tłumy rycerzów śpieszą mu na pomoc. Za trzy dni, siostro, spotkamy się na polu bitwy!

WANDA *(do ludu)*. Rozejdźcie się do domów po oręże i konie, a za drugim świtem czekam was u ojca Krakusa mogiły! Idźcie i złóżcie przed bojem należne ofiary Marzannie! *(Do Hamdera)* W imieniu ludu mego wojnę przyjmuję, straszną wojnę dobrych przeciwko tobie, coś Bogów rodzinnych odstąpił i duszę zaprzedał wrogom ziemi twojej.

STERDZA. Wojna, wojna! Bo dotąd zwłoki Leszka niezemszczone leżą.

HARDYMIR. Wojna, wojna! Dzieckiem byłem, gdyś uciekał nocą. Teraz wypróbujesz, czym wyrósł na męża!

ŻELISŁAW. Jak przez mgłę zapamiętam jeszcze białą brodę pradziada twego, z dziadem twoim w głuchych borach nad ciałami pobitych turów spijałem gęste roztruhany miodu. Ojcu twemu przysiągłem na przyjaźń pod murami Krakowa i żyłem z nim odtąd, jak potężny starosta z kochanym od Peruna żupanem. Ciebiem piasto-

wał na ręku, kiedyś się urodził, potem topór ci kładłem w maleńkie dłonie i błogosławiłem twej główce dziecinnej — a dziś, stary i ślepy, przeklinam ciebie!

CHÓR LUDU. Wraz z wojewodą gór i my wszyscy ciebie!

HAMDER. Biorę wasze przekleństwa na głowę moją — tyleż ich w moich własnych piersiach leży! *(Do Biskupa)* Teraz z krzyżem, wzniesionym wśród jarzących gromnic, dotrzymaj mi obietnicy, ojcze! — jam ci się z mojej wywiązał. Wszak lud ten za to, że odrzucił świętą wiarę chrześcijan, oddajesz w ręce moje?

BISKUP. Amen.

HAMDER. I ta ziemia moją w imieniu Cesarza i Rzymu?

BISKUP. Amen.

HAMDER. Słyszeliście, towarzysze, dzielni Rytygiera wojownicy?

CHÓR RYCERZY. Długiego życia królowi Polanów!

RYTYGIER. Hagenie, czy to jej biała szata tam, wśród ciżby, blizka już lasu? Nie, nie, wszak to jej wóz i konie dotąd przy tym kopcu stoją? Hagen, Hamder, pomóżcie mnie! Te zawistne cienie tak chyżo spadły, te tłumy tak błędnie się gmatwają, rozchodzą, nikną — gdzie ona? Gdzie ona? Wyrwijcie mnichom gromnice! dobądźcie szabel, by się w każdej jeden płomień odbił — światła, światła, światła!

HAMDER. Jużbyś jej nie ujrzał, gdyby samo słońce wróciło — patrz! pługów ni wozu już niema — tylko snują się Polanie, jak burza, co się oddala — coraz pustszy widnokrąg — wojewodów kilku jeszcze radzi pod temi sosnami, lecz i oni zabierają się w drogę — wracaj, Rytygierze, do zmysłów!

RYTYGIER. Hagen! ty wiesz, żem dotąd na żadną nie spojrzał niewiastę. — Urągałem się z rycerzy cesarskich, kiedy szli dobywać zamków, w których hoże panowały dziewice — mnie jedna tylko twarz niewieścia tkwiła w pamięci, twarz biednej Gudruny! a teraz drżę cały — te lasy i niebo kręcą się wokoło, niedługo zwalą się razem i uduszą mnie! przeklęte słowo rycerskie! przeklęty mir, który mnie wiąże. Dziśbym jeszcze za niemi poskoczył, a rankiem wrócił i przyniósł Wandę na świtu promieniach... Hamder! chodź ze mną — mów do mnie — głos twój czasami do jej głosu podobny!

HAMDER Bracie, niedługo przybędę, ale teraz muszę tu na chwilę zostać. *(do giermka)* Goń za tym człowiekiem, co się oddzielił od innych i sam stoi na moście — goń, ile sił ci stanie, oddaj mu ten pierścień, a kiedy go pozna, wskaż mu ręką szopę — nic więcej, tylko pierścień oddaj i wskaż ręką szopę!

(giermek odbiega)

RYTYGIER *(odchodząc z rycerzami i Biskupem).* Hamderze, nie zwlekaj! Hamderze, czy słyszysz!?

HAMDER. Przysięgam o północy być w namiocie twoim — *(do straży)* oddalcie się, wróćcie do obozu, zostawcie mnie samym! *(wchodzi do szopy i siada na stopniach ołtarza)*

Przyświecaj mi, chrześcijańska lampo, ty, coś dostała mi się wzamian za stracone niw słowiańskich słońce! Ileż już nocy przemarzyłem w twych gorzkich promieniach! Dziś na zawsze połączyłem się z tobą i ty na królewskim grobie moim tleć będziesz, przeklęta od Polanów! —

Ah! gdybym był odzierżał po ojcu puściznę, tybyś daleko gdzieś w Rzymie lub nad brzegami Renu jaśniała teraz, ale nie tu — nie tu, na tej ziemi mojej! *(schyla się i bierze trochę ziemi)* W tobie naddziadów moich prochy — ty mi nic nie winna, jedno oni, którzy zamieszkali łany twoje, zmusili mnie do boju bez odpoczynku, a może bez końca. Im zemsta! lecz tobie, droga, pocałunek syna! — Czyjeś kroki slę zbliżają — gracko się sprawił giermek Rytygiera — to Brzetysław!

(wchodzi Brzetysław)

Witaj mi, druhu! kiedym przebrany odwiedzał wczoraj dąbrowę Pelwita, u wejścia siedział stary twój gęślarz, Siemian, i poznał mnie i mówił, że dni kilka temu ci się śniło, że wracam na rodzinne pola. Sen twój jawem stał się, wojewodo!

BRZETYSŁAW. A dotąd jaw ten snem mi się wydaje! Jakżeś odmienny w tej niemieckiej zbroicy! Inaczej wyglądał wódz dni dawnych, co tak lekko i urodziwie Lechickie przebiegał równiny w białej czapce, z burką błękitną, szumiącą wichrami! Wtedy skrzydła orłów pobitych igrały ci zatknięte u ramion i kosa, tęcza bojów, jaśniała w ręku twojem! Lud patrząc wołał: »Chyba to jeden z Bogów naszych«. Ah, Ziemowicie! wtedy zacniej, wtedy lepiej było! Co za chrzęst się odezwał? Czy kto trzeci tu nas nie podsłuchuje, książę?

HAMDER. Z przyjacielem nie lękaj się zdrady! to tylko wyschłe piersi mojej kości wzdrygnęły się w próżni pancerza — precz z tą słabością, starych wspomnień sługą! Na co wywoływać czas obalony, co już nie powstanie nigdy, kiedy żyjąca teraźniejszość stoi przed nami — o niej pomówmy! Tu, przy mnie siadaj, wojewodo!

BRZETYSŁAW. Na tych czarnych stopniach? — pod tym cudzym Bogiem?

HAMDER. Nic cudzego niema człowiekowi, który wzbić się umie ponad złudzeń codziennych pospolite szranki. Od lat dziesięciu nie spocząłem nigdzie: sto miast widziałem! pokotem spałem z niewolnikami, a nazajutrzem siadał do biesiady królów. Wszędziem jedną tylko prawdę znalazł! Imię jej: potęga. O nią walczą ludzie, gdziekolwiek im się dostało przemijać na szerokiej ziemi, a kto jej nie dostąpił, żyje w nędzy i umiera w zapomnieniu; bo dni jego przeszły marnie, w niczem nie podobne do siły odwiecznej, co nas z góry tłoczy, Białymbohem-li ją nazwiesz, czy Bogiem Chrystusem! Siadaj przy mnie, wojewodo!

BRZETYSŁAW. Po tych słowach lepiej, niż po twojem pierścieniu, niż po twojej twarzy, poznaję ciebie! Wspólna nam obu ta żądza sławy! przysięgliśmy niegdyś na zgliszczach Peruna drzeć się oba do wielkości razem, ty jako król — ja jako wierny ci starosta! ale w tej przysiędze lat naszych młodych o cudzoziemcach mowy nie było — nie wahałbym się wsród wojny domowej wraz z tobą jednych braci stopy pędzić na drugich obalone karki. Lecz kiedyś obcym się powierzył, kiedy krzyż niemiecki przylgnął ci do serca, a miecz niemiecki zrósł z dłonią twoją, ni im, ni tobie, książe, nie mogę ja służyć!

HAMDER. Czyż nie każda wojna domową, Brzetysławie? Czy nie wszyscy ludzie braćmi i wiecznemi wrogi zarazem? braćmi w kolebce i trumnie, wrogami przez ciąg cały życia? Niemiec, ażaż nie człowiek jako ty, skory do niewiasty, skarbów i rozboju, cichy, kiedy go zgnieciesz, hardy, kiedy mu się poddasz? A krzyż co? Godło wiary tajemniczej, która nad ziemią przelatuje tak samo, jak Bogi nasze, wędrowna od wschodu, tak samo niewidziana nigdy, a czczona jednak — tylko w tem od nich różna, że młoda — a one zgrzybiałe!

BRZETYSŁAW. Wierzy jednak w te stare Bogi siostra twoja i lud im codzień na wzgórzach składa objaty. Lud ich bronić będzie i na potokach krwi własnej poczyni im wyspy schronienia!

HAMDER. Słuchaj mnie! — bom jedne po drugich rzucił na targ życia wszystkie zdrowia siły, bom rozbratał się z snem, z urodą, z sumieniem, by kupić jedyną mądrość tej ziemi — kilka kropel jadu w czarce doświadczenia! I od goryczy tego piołunu wzrok mój dostał sił tyle, że spokojnie zdoła, świecąc próchnem, rozgarniać cienie przyszłości! Wierz mi! przeznaczenie na czas długi krzyż wyniosło, by panował światu.

Widziałem, jak on naprzemian kruszył serca narodów żelazem, to namową i łzami — spotkałem tysiące nawró-

conych Sławian, pędzonych jak cicha trzoda przez starców kilku. Stałem na pobojowisku, kędy leżały dzikich bałwochwalców trupy, a ich dzieci klęczące, po chrześcijańsku już się modliły za dusze ojców pobitych. Gdziem tylko szedł lub zatrzymał się, krzyż migał przede mną, na prawo, na lewo, w górze na wieżach i w dole na grobach. Wcześniej czy później on owładnie wami. Dzieckiem, kto odkłada do jutra i znów na drugie i na trzecie jutro to, co stać się musi. Mąż, konieczność gdy uzna, brata się z nią dzisiaj — wtedy jej żelazne ramiona stają się ramionami męża! Wojewodo! kiedyś sami Niemcy przybędą, a mnie już nie będzie z niemi. Wtedy dola Polanów nie odwrócona, odwleczona tylko, ażaż tysiąc razy sroższą się nie stanie? Przecież ja wzrosłem u was, przecież mnie matka lechickiemi karmiła piersiami! Ja waszej mowy nie wytępię, waszych zwyczajów nie zdeptam, bo one młodości mojej pamiątką! Sąsiadów, przybyłych ze mną, zdołam odprawić do domu. Cień tylko krzyża, nie on sam, wzorem dębu twardego, jak w innych krainach świata, spadnie z mojej ręki na was. Pomyśl, synu Mścisława! Lepiej nam obu zyskać na zmianie, niż żeby na mogiłach naszych ktoś inny, ktoś cudzy zasiadł w pysze i urągał się z nas pomarłych w milczeniu, kiedyśmy żyć mogli potężnie i głośno! Czas krótki do namysłu... Kiedy ta noc upłynie, ze mnie jeszcze król być może, z ciebie już nic, Brzetysławie!

BRZETYSŁAW. Czemuś, czemuś sam jeden nie wrócił, książe? Za kilka dni Lechia rozdwoić się miała. Hardymir lada chwila chciał słać wróżbiarzy, swatów do siostry twojej, tusząc sobie w szale, że jemu Bogi przeznaczyły rozpleść jej warkocz nietknięty. Czemuś, czemuś sam jeden nie wrócił, Ziemowicie? Łukonośna Wanda byłaby dziewosłębów zimnym zbyła słowem. Stąd bunt Hardymira, bo czego raz zapragnie, tego dopiąć musi lub zginąć. Tymczasem ty ukryty czekasz, aż ich oręże się

stępią, aż lud znękany zacznie sarkać na obojgu — krewni i służebni moi zbierają się koło ciebie... Na ich czele występujesz w porę, bo zapomniany już, a zatem świeży i miły ciekawości ludzkiej... Ktoby się nam oparł? Ah! czemuś nie zaufał wierze mojej? Czemuś samotny nie przyszedł zakołatać nocą do wrót moich? Byłbyś zasiadł w cieniu zielonych kłosów mojego domowego Potrympa!

HAMDER. Czyż to, co być mogło, godne słów tylu wobec tego, co jest i będzie? Księżyca nie nagniesz do matni w jeziorze! co się stało, stało się, człowiecze!

BRZETYSŁAW. Wiem ci ja, wiem i dlatego narzekam. Bo muszę, jeśli teraz zwiążę się z tobą, wyzuć się z czci Bogów i wstydu ludzkiego — patrz! włosy te ciemne muszę okryć hańbą, a jeśli kiedy siwych się doczekam, powiedzą Sławianie: »Nie ze starości, ale od śliny plwań naszych zbielały mu włosy«. I córa Lubhosta, którąm pojął za żonę, płakać będzie po wszystkie dni swoje; aż nici kądzieli od łez zgniją jej w dłoniach i dzieciom dzieci moich, kiedy zapytają się: »Kto był dziad nasz? przecz nigdy jego imienia nie słyszym?« odpowiedzą ludzie: »Na imię było mu: Zdrajca!« O, biada, biada mi, książe!

HAMDER. Mylisz się — bo jeśli przegramy, zginiem oba razem gdzie na polu bitwy. Wtedy wszystko ci jedno, jakie gwary żyjących zostawisz po sobie. Lecz jeśli zwyciężym... Czy ty rozumiesz, co zawiera w swoich przepaściach to słowo: *Zwycięstwo?* Patrz na te łany milczące i ciemne — na wzór nich leżą zwyciężeni pod nogami bohatyra. Teraz spojrzyj w górę na gwiazd tych krocie! Kiedy miną zapasy walki, on tyle dobrodziejstw rozda tym, co mu wierni byli — i tym, którzy mu się poddadzą, przebaczy i lud, który mu się powierzy, wyniesie ponad wszystkie inne, aż imię jego, zrazu niecierpiane, wreście w chwałośpiewach przebrzmi do przyszłości...

Druhu! ty możesz takim zostać, a wahasz się. Nie zmuszam ciebie... Los nie prosi się u nikogo, jedno ludzie

proszą się u Losu. To jedno wiem, że mi dwunastu wojewodów nie potrzeba wcale. Jako król jeden, tak i jeden na tych niwach będzie wojewoda: namiestnik mój, szafarz życia i śmierci. I to drugie jeszcze wiem, iż z Niemcami wiecznego nie szukałem miru i że kiedyś ich ziemię, jeśli tchu mi stanie, polskich rumaków stratuję, nawiedzę kopyty.

Teraz wolno ci odejść i raz ostatni pożegnać Ziemowita!

BRZETYSŁAW. Przeklęty niechaj będzie wabny twój głos, królu! przeklęta godzina, o której tu stanąłem! Jak otchłań, w dół i wszerz roztwierasz się przede mną i porywasz mnie! Tak Czarnobogi, w nocy po żalnikach pląząc się kołem, odbierają rozum młodzieńcom, a kiedy zorza wschodzi, zostawują ich nędznych i ślepych na wieki! Ciesz się — dziękuj Bogom, ty, co zgnębić chcesz Polan, żeś znalazł jednego Polana — ty, coś brata zabił, żeś znalazł jednego człowieka, który dłoń swoją z twoją wiąże, kusicielu! Oto ręka Brzetysława, jedno przysięgnij na to, coś wyrzekł!

HAMDER. Że kiedyś Niemcom damy się we znaki?

BRZETYSŁAW. I że w Polszcze całej będzie tylko jeden wojewoda!

HAMDER. Przez co mam przysiądz? zbiegłem ziemię od zachodu na wschód, a żadnych imion świętych ni kochanych niema dla mnie na niej! — Oddaj mi mój pierścień z głową potrójną Peruna!

BRZETYSŁAW. Masz go.

HAMDER. I krzyż ten mi podaj! — przecz się lękasz? — to drewno i toczne kamienie — nic więcej!

BRZETYSŁAW. Masz!

HAMDER. Przez starego Okkopirna i przez nowego Chrystusa przysięgam dotrzymać ci obietnicy mojej! Teraz leżcie pospołu! *(Rzuca krzyż i pierścień)*

BRZETYSŁAW. O czem się zamyślasz? co tak patrzysz ponuro? wychodźmy stąd!

HAMDER. Cha, cha, cha! Oni leżą obok siebie w zgodzie i milczeniu, a za trzy dni o nich bić się będziem. Chodź, wojewodo, przechowam cię w namiocie do jutrzejszej nocy; będziemy mieli czas rozmówić się wolno, cierpliwie, ostatecznie! Tędy droga, tędy, wojewodo!

DRUGA CZĘŚĆ.

Szczyt wzgórza, skąd widac podhalańską okolicę o wschodzie słońca. Żelisław na ogromnym głazie siedzi — u stóp jego leży Ludgard — z drugiej strony, nieco opodal, stoi Hardymir — w bliżkiej dąbrowie widać orszak kapłanów, schylających się pod drzewami i zatrudnionych objatą. Zbrojni górale.

ŻELISŁAW. Wzywajcie Jessena pieniem świątecznym, wróżbiarze i czarnoksiężnicy! — a wy, ludzie plemienia mojego, Chrobaty o niezłomnych toporach, stuletniemu starcowi, który widzieć was nie może, odezwijcie się krzykiem! On waszych ojców i dziadów niegdyś prowadził do boju!

CHÓR GÓRALI. Haleśmy opuścili — z drap stromych na twój rozkaz spłynęliśmy, jak potoki wiosny, i teraz czekamy błogosławieństwa twego, by odejść na boje, zstąpić na krakowską równinę.

ŻELISŁAW. Dzięki wam, dzieci! Dopóki niebo błękitniało nade mną, dopótym sam stąpał na czele pokolenia mojego — dziś nieskończona ciemność północ i południe, wschód i zachód mi zaległa. Dziś ja się powlokę za wami, oparty na ręku syna, Ludgarda, a przodem iść będzie syn mój, Hardymir! Bądźcie mu posłuszni i za Wandę panią i za Polanów braci bijcie Niemców do tchu ostatniego!

CHÓR GÓRALI. Niech żyje Hardymir, niech przepadną Niemcy!

ŻELISŁAW. Dzięki wam, dzieci! Na tym samym wzgórzu, na tym samym głazie wszyscy ojcowie moi składali Bogom ofiary i sądzili sprawy ludu — a kiedy wojna zawrzała na równinach, oni stąd waszym naddziadom obiecywali zwycięstwo i kazali bez trwogi umierać. Na tym samym wzgórzu, na tym samym głazie i ja was błogosławić będę. *(Wstaje)* Słyszę, słyszę, dzieci moje, żeście zniżyli głowy, żeście przypadli do ziemi.. Niech siła piorunu, co tam drzemie w górze, spłynie mi do rąk, a z nich zleje się w piersi wasze! Hardymirze, synu, przystąp, niech moje dłonie, jak dwa gromy, spoczną na głowie twojej!

LUDGARD. Hardymirze!

ŻELISŁAW. Hardymirze! Gdzież twój brat, Ludgardzie?

LUDGARD. Zadumany patrzy na dąbrowę, na kapłanów, a mówią, że nic nie widzi i że nic nie słyszy, prócz myśli swych. Dzisiajem z nim w jednej spał szopie, on w nocy jak się porwie i stękać zacznie i chodzić... Ojcze, ojcze! jemu się chce tego, na czem ja się rozbiłem. I chodził posępniejszy od nocy, a gdym się spytał: »Czego jęczysz, młodszy mój?« on skoczył zgrzytając i uciekł — Halele, Lele! Hardymirze, czy słyszysz? Hardymirze, chodź do ojca twego!

HARDYMIR. Ojcze, wszak ród nasz od bogów pochodzi?

ŻELISŁAW. Czemu się pytasz? Ażalim cię nie uczył od kolebki, że krew niebieska w twoich żyłach płynie?

HARDYMIR. A zatem czoło moje godne Lechickiej korony?

ŻELISŁAW. Skąd w takiej chwili przyszło ci na myśl budzić we mnie dawne wspomnienia i starą pokusę? Marzyć nie przystało, kiedy działać trzeba. Obcy najezdnik grozi Lechii, a góry te mnie przyrzekły, że się schylać będą, ile razy krakowska równina krzyknie im: »Na pomoc!« Jej głos słyszałeś zawczoraj — z doborem więc synów skał śpieszaj do Wandy, pani twojej!

HARDYMIR. Zaprawdę, ona panią Hardymira, bo gdzie-

kolwiek spojrzę, postać jej widzę, a kiedy oczy zamknę, ona mi się przyśnić musi. Tysiąc córek Krakusa chadza przede mną i za mną, na prawo i w lewo. Wiatr zaszumi po borze, a ja wołam: »Wando, co każesz?« gdzieś potop z daleka huczy, a ja biegnę krzycząc: »Tu jestem, tu, o Wando!« W ryku wilków, w krzyku orłów jeszcze głos jej słyszę. I wszędzie jej pełno i nigdzie jej niema. Dopókim mógł, znosiłem męczarnię, teraz nie służę już dalej! Dziś niechaj się losy Hardymira rozstrzygną!

LUDGARD. Halele, Lele!

HARDYMIR. Precz mi z tym krzykiem pogrzebów!

LUDGARD. Twój dziś się zaczyna, jako mój począł się już oddawna, o podobnej godzinie!

Halele! Lele!

HARDYMIR. Ojcze, błagam ciebie, poszlij kapłanów do Krakowa z świętym śnieżnobursztynowym naszego rodu puharem, niech go podadzą królowej Polanów, niech ją proszą, by nietknięte na jego brzegach odwilżyła usta! Ojcze, patrz, jeszcze trzy dni spokojnych nam pozostało przed miru upłynieniem, teraz dopiero co weszło słońce, a nim ono zajdzie, dziewosłęby tu z powrotem być mogą! Ojcze, proszę cię, poszlij ich!

ŻELISŁAW. A jeśli nie zechce królowa dotknąć się puharu Chrobatów, jeśli wzgardzi młodszym, jako starszym wzgardziła już bratem, co ty poczniesz wtedy?

HARDYMIR. Nie, nie, przez Boga piorunu, tego nie będzie! Ilem razy na łowach cisnął pod jej stopy obalonego niedźwiedzia lub przebił włócznią tura, odrzucając na chwilę zasłonę z nad czoła, chwaliła mnie wobec radnych panów i zdarte z dzikich zwierząt skóry nieść kazała do jaskini smoka. Tam one leżą miękkie przy Leszka mogile. Jeszcze zawczoraj, gdy przed straszną twarzą bratobójcy schodziła z świętego kopca, rzekła do mnie: »Podaj mi lejce, wojewódzki synu!« i znikła wśród sosien, z wozu żegnając mnie ręką. Kto drugi w Lechii całej

pochwalić się może, że go kiedy Wanda białą witała lub żegnała dłonią?

ŻELISŁAW. Marne twoje słowa!

HARDYMIR. Niedość na tem, ojcze! Zważ, że teraz właśnie pora uderzyć w jej dziewicze serce i zmiękczyć je na wieki. Kto jej będzie śmiał radzić w takim niebezpieczeństwie, by prośby mojej nie wysłuchała? Któż jej sierdzistszych mężów przywiedzie ode mnie? Czy Mestwin z nad bagien gnieźnieńskich? Czy Brzetysław, dawny Ziemowita służebnik, z nad piasków, porosłych sosnami? Ona wie dobrze, kto ja i chłopy moje! Nim innych wojewodów nadciągną poddani, posiłki, Niemcy Kraków zdobyć mogą. Dopóty Kraków stoi, dopóki góry z nim. Rytygier i Ziemowit wyglądają na bohatyrów. Ta wojna spadła nagle, jak obryw skały, i Wanda nad przepaścią stoi! Ojcze, szlij swatów do niej! Zawczoraj możeby ich była wywołała z kraju, lecz dziś ich przyjmie łaskawie, a jutro, jutro Hardymir twój będzie również królem!

LUDGARD. Halele, Lele!

ŻELISŁAW. Teraz dopiero coś nakształt prawdy wyrzekleś. Jednak w córze Krakusa nie spodziewaj się nigdy strachu, ni zwątpienia! Duch ojca zawrócił z mogiły i wstąpił w jej ciało. Jeszcze widzę pole, na którem mnie wielki król Polanów pokonał u bram Krakowa, kiedym chciał panem całej Lechii zostać, jako godziło się mnie, potomkowi nieśmiertelnych bogów. Może ci się dzisiaj szczęśliwie powiedzie. Lecz raz jeszcze pytam się ciebie: co poczniesz, jeśli odrzuci miłość twoją łukonośna Wanda?

HARDYMIR. Co pocznę, ojcze i panie mój? Ja? Pytasz mi się? Jeśli ona... Ojcze, ja nie wiem! Ojcze!

ZELISŁAW. Ale ja wiem. Natychmiast ruszysz do królowej na czele ludzi naszych i, jeśli tak losy opatrzą, zginiesz za nią wraz z niemi wszystkiemi, bo jej ojcu ja, ojciec twój, przysiągłem na wieczny hołd i stateczną wierność. Teraz podaj mi rękę i zaprowadź do świętego

gaju! Tam zbiorę kapłanów i wyprawię ich do krakowskiego grodu. *(Odchodzi).*

LUDGARD. Hej! Bracia górale, czego klęczycie? wstańcie! nie widzicież, że wódz wasz o zapoinach, nie o bitwie duma? Zejdźcie na łąkę, połóżcie się przy ruczaju! Dobra woda, chłodny wietrzyk, owsiane placki macie, jedzcie, pijcie od południa do wieczora, chyba w nocy zacznie się pochód wasz! Halele, Lele! Słuchaj, młodszy mój, tymczasem ja także się wybiorę i pójdę dziewosłębić ci do jaskini smoka. Patrz! z ruty już wianeczek plotę, rosą kwiatów namaszczę włosy, zwabię dwa krogulce z wyżyn powietrza i na barkach mi siądą. Halele, Lele! Gwiazd osiem uszczknę na niebie i zaniosę Wandzie i powiem: »Bierz, Hardymir ci je przysyła!« gwiazd osiem — czy słyszysz? Wtedy ona będzie twoją — raz, dwa, trzy, cztery... cha, cha, cha! nie prowadź ojca tak szparko! — pięć, sześć, siedem — a gdzie ósma? — Nie zdążę za wami — ósmej potrzeba. Dostać jeszcze jednej z błękitów? Halele, Lele! Halele! Wtedy będziesz królem moim, będziesz mężem Wandy! Wszak i ojciec mnie błogosławił, wszak i za mnie słał druhów do Krakowa. Albož ja Wandy mężem? A kochałem ją, kochałem. Boże piorunu, zniszcz te góry! Przekleństwo wam, wam, wam, wszystkim wam i jeszcze wam, a wam! *(Znika w dąbrowie).*

* * *

Jaskinia smoka. Leszka mogiła i żyrowiec, palący się na niej; z obu stron przed mogiłą kamienne katedry dla wojewodów, pośrodku ich siedzenie Wandy — po ścianach jaskini rozwieszone skóry, łuki, strzały, miecze — kilka wydrążeń na lewo i w prawo, za któremi widać ciągnące się przejście, w skale wykute. Wanda, siedząca przed mogiłą — Starzec — Giermek, trzymający harfę. Straż zbrojnych.

PLAN DALSZEGO CIĄGU CZĘSCI DRUGIEJ.

Druga część. 1. Hardymir o wschodzie słońca w dąbrowie radzi się ojca Żelisława i kapłanów — kapłani objatę Bogom czynią — niczego się z lotu ptaka ni ofiar dowiedzieć nie mogą — Hardymir szle wróżbitów, dziewosłębów do Wandy.

2. Rytygier, przebrany za starca, przybywa do Jaskini Smoka, kędy Wanda wśród niewiast gotuje się do wojny. — Mogiła Leszka w głębi i przy niej granitowe kute stolice, wojewodów radne siedzenia. — Starzec mądrością i pieśniami ją zajmuje — o Rytygiera ona się pyta cudzoziemca. — Wtem wchodzą wojewody — za niemi posły Hardymira z puharem ślubnym. — Wanda ich wysłuchiwa — każe im się oddalić, wojewodom, by zdanie swe ogłosili. — Sterdza, Barmin, Światopełk radzą, by wzięła Hardymira za męża, lękając się buntu jego w takiej chwili — Starzec, przyzwany do rady, jeden się sprzeciwia — Wanda ich odprawia — sama się zostaje. Jej niepewność — monolog — wtem wraca starzec — zdziera brodę, kołpak — to Rytygier. — Ona uderza o tarcz młotem — wpadają wojewody — każe im zasiąść i radzić. — Tymczasem, podczas ich sądu, Rytygier siada na przodzie jaskini i gra na harfie pieśń dumną, bohatyrską Skandynawów. — Wstają wojewody — wyrok ich: by go strącić do ciemnic. — On dobywa miecza — Wanda mu grozi, że każe jaskinię płomieniem oto-

czyć — on się śmieje z groźby. — Wtedy ona nagle wspomina, że godzina miru nie upłynęła i puszcza go wolno — Sama idzie do świątyni Wisły i na dziewicę Bogini się poświęca — powrót posłów do Hardymira z tem doniesieniem; on rozpacza, ale się nie buntuje, postanawia nie opuszczać królowej i z swojemi wyrusza na walkę.

Koniec drugiej części.

PLAN CZĘSCI TRZECIEJ.

Trzecia część. Chór starców od trzech dni już na wzgórzu, skąd widać bitwę — Żelisław ślepy pośrodku objatą zawiaduje. — Zrazu zioła rzuca Bogom — potem, gdy się Polanom nieszczęścić zaczyna, bić każe kozły i czerwone jałówki — podczas ofiar chór wciąż opowiada ślepemu bitwę; — kiedy Polanie przed Niemcami zaczynają ku wieczorowi ustępować — niewolnika, rycerza niemieckiego, przyprowadzonego do wzgórza, Żelisław Bogom piekła i wojny zabijać każe. Pod noc Wanda i Hardymir znikają z pola bitwy — Niemcy i Hamder zwyciężyli.

— Dom Żelisława — siedzi Rytygier na jego stolicy, nad ogniem domowym i sądzi go. — Osądziwszy, zstępuje z stolicy — Hamder na niej siada i jako król wyrok śmierci daje — Żelisława na śmierć prowadzą. — Wpada Światopełk wojewoda, prosząc za synem — Hamder mu przebacza i daruje — zatrzymuje go przy sobie.

Koniec trzeciej części.

PRZYPISKI AUTORA DO

»WANDY«.

Strona 346, wiersz 11; *Drapa.*
Po góralsku: bok góry.

Strona 347, wiersz 21: *Halele, Lele!*
Wykrzyknik, przy pogrzebach w Polsce pogańskiej używany.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO

»WANDY«.

Str. 311. Minstrel — śpiewak średniowieczny.

Str. 312. Gudruna — postać, wzięta z poematu średniowiecznego niemieckiego.

Str. 313. Wyspa Danów — Dania, która jest, właściwie, półwyspem.

Str. 314. Upiór myśliwiec — znana w podaniach germańskich postać; na niej osnuł Bürger balladę: *Der wilde Jäger* (Dziki strzelec).

Str. 314. Puginał — krótki mieczyk, sztylet.

Str. 317. Marzanna — bogini śmierci u Słowian.

Str. 317. Łada — bogini miłości u Słowian.

Str. 317. Synowie Lecha — Polanie.

Str. 322. Lateran — pałac w Rzymie z kościołem.

Str. 323. Matka Duchowna — kościół w osobie papieża.

Str. 323. Witykind — słynny wódz Sasów, długo walczył z Karolem Wielkim.

Str. 325. Żertwa (staropol.) — ofiara.

Str. 325. Ogniany i wiatrany — bożyszcza ognia i wiatru.

Str. 327. Ja detynka i t. d. — ja dziecina maleńka, moja nóżka bosa, wynieście kolendę (t. j. upominek).

Str. 328. Pogwizd — bóg wiatru u Słowian.

Str. 334. Św. Hubert — patron myślistwa.

Str. 336. Flins — bożyszcze u Słowian, czczone nad Elbą i Sprewą.

Str. 336. Lel — bożek słowiański.

Str. 336. Znicz — bożek światła i ognia.

Str. 337. Czarnyboh — bóg zła i ciemności, w przeciwstawieniu do Białegoboha, bóstwa światła i dobra.

Str. 337. P e r u n, Perkun — bóg gromu.
Str. 337. Ż u p a n — władca, naczelnik plemienia.
Str. 340. P e l w i t — bóg bogactw u Litwinów.
Str. 341. O b j a t a — ofiara.
Str. 343. P o t r y m p — bożek litewski.
Str. 344. Ż a l n i k — miejsce, gdzie palono zwłoki.
Str. 344. O k k o p i r n — Perkun.
Str. 346. J e s s e n, Jesse — najwyższy bóg słowiański.
Str. 346. C h r o b a t y — plemię słowiańskie, zamieszkujące późniejszą Małopolskę.
Str. 347. H a l e l e L e l e! — okrzyk, którym, według kronikarzy, przywoływano boga Lela
Str. 349. K a t e d r a — siedzenie.
Str. 350. Z a p o i n y — uczta zaręczynowa.
Str. 351. S t o l i c a — siedzenie.

NOC LETNIA

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

Malczewski — Marya.

O, patrzcie na mnie, współziemianie, obywatele jednej ojczyzny, na mnie, idącą po ostatniej drodze — na mnie, ostatni raz patrzącą na światło Heliosa! — Drugi raz nigdy go już nie obaczę. — Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia, wiedzie mnie żywą ku brzegom Acherontu — mnie żywą, mnie niepoślubioną, mnie, o której uszy nie odbiło się nigdy weselne pienie zaręczyn. — Acheron jeden tylko woła mnie do ślubu!

Sofokles — Antygona.

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte, wieszcze,
Za to potwarzą ścigane dokoła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość anioła;
Jeśli to serce, co wiele kochało,
Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
Dziś na kształt głazu ścierpło i zlodniało,
Lecz wrzkomo tylko, na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry, spadłej z niebios, co wre w jego głębi —
Jeśli to serce w samotnej żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą —
— Gdziekolwiek jesteś, o serce mi znane,
Serce niewieście i prześladowane,
Gdziekolwiek jesteś — z blizka czy z daleka,
O serce dumne, o serce stroskane,
Weź to, co przyjąć możesz od człowieka:
Weź pieśń, po pieśni poznasz we mnie brata;
Ta pieśń z innego — tak jak i ty — świata!

Za to, żeś, Siostro, w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności,
Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości,
Za to, żeś z światem w ten grób nie zstąpiła
O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
W świętem współczuciu i w świętej miłości
Tę pieśń mej duszy ja poświęcam Tobie!...

VARENNA, 1840, 15 sierpnia.

I

Widziałem, kiedy ją wiedli; — w białych szatach, z wieńcem na głowie szła w przerażeniu. — Kościół stał, jako ciemny cmentarz, przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci, za aniołków przebrane, potrząsały kwiatami. — Sam biskup i powierne kapłany wesołym patrzyli wzrokiem, w sutych dalmatykach. — Lud się cisnął zazdroszcząc i chwaląc i życząc. — Ona jedna tylko milczała, z spuszczonemi oczyma, oparta na ręku służebnic.

* * *

I w jej kibici coś znękanego, bezsilnego było. — I w jej zrzenicach niejasno przebijał promień duszy. — I z jej ust, nieco rozchylonych, trudno się domyśleć, wyjdzie-li modlitwa czy skarga? — Idąc wzdłuż kaplic, podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół-krzyże tylko kryśliła w powietrzu; — przed obrazem Bogarodzicy skłoniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi, podobny do grobu.

* * *

Tam ojciec czekał na nią w kole krewnych i powinnych, z dumą w oku starem. — I słuszne miał prawo do pychy,

bo cudniejszem dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia. — Ona dotąd była jak najmilsza gwiazda nad jego zstępującą drogą; dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona — lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej dobijającej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały. — Rzekł więc do otaczających: »Patrzcie, jak niewinna drży w niewiadomości szczęścia swego!« — i sięgnął wzrokiem tak, jak kościół długi, by ujrzeć, ażali nie przybywa pan młody — siwe brwi zmarszczył, nie dostrzegłszy go nigdzie.

* * *

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło. — O! złudzenia starców, jak posągi ryte z głazu, pośród ich dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie, lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. — Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara na przemiany precz idzie w zwątpienie. — U bliższych grobu twardsza nadzieja i żądze przezwane rzeczywistości imieniem. — Między prawdą a niemi stanęła opoka doświadczenia — siedzą na niewzruszonej, a strumienie życia, morza fal grających, pędzą tymczasem i mijają w dole!

* * *

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustanne z głuchym gasną szumem, a wszędzie modre szydzą piany i w nieskończoność garnie się rozbicie. — Lecz im nic do tego — sami wrośli w skałę i domy budują nad huczącą głębią — każda fala, co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i pokoju — potem córom i synom ludzkim

każą ślubować na wierność przed niemi. — Ha! nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokręgiem płynie!

* * *

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rzeźki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozgina się na prawo i lewo, nizkiem witając go czołem; — ledwo raczył niektórym się odkłonić i, dzwoniąc o marmury posuwistemi kroki, stanął przy narzeczonej, klęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać. — Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył, potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem biskup i zwolna zapalono gromnice na ołtarzu. — Wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje, połączyć się mają. — Dreszcz uroczysty rozbiegł się po widzach.

* * *

O szyby różnobarwnych okien rozpłonił się promień zachodzącego słońca. — Zdało się przez chwilę, że tam krwi potok płynie i pluska, aż zniżył się i skonał wśród zmierzchu, lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka, stojącego samotnie w przybocznej kaplicy — przy nim leży na pomniku posąg rycerza. — On, jak drugi posąg, niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza, kędy biskup przemawia do oblubienicy. — Co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zaczaił — jednak, kiedy chwilowa łuna, co zgasła już teraz, przepływała po niej, każdy, co k'niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ini modlitwy ni westchnienia nie usłyszał, ni jęku. — Wargi

ściśnione i boleść, kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich — to jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

* * *

Lecz kiedy świętym obrzędom stało się zadość, kiedy pan młody podniósł żonę a ona padła w ojca objęcia i ojciec ją niósł ku bramom kościoła i tysiąc gromnic szło za niemi i stopniami upływała ciżba i kroków odgłosy wolniały, oddalając się, i wreszcie pustkami stanął przybytek — śpiący tylko umarli w nim zostali i kilku żywych umarłych krzątało się po jego głębiach, zakonników kilku — wyszedł ów człowiek z kaplicy i, rozkiełznany, szybki, uderzył piersią o stopnie ołtarza, zerwał się i padł na nowo, aż wreszcie siadł, lampą, pozostałą nad krzyżem srebrnym, blado oświecony; — nie ku obrazom świętych zwrócone jego oblicza, ale ku bramie, którędy wyszli oni wszyscy. — Tam błękitu nocnego kawał i jedna gwiazda miga — On w nią patrzy i sztylet z pod płaszcza wyciąga — i, patrząc w gwiazdę, z pochwy klingę bierze — i, patrząc w gwiazdę, ostrzy ją na zgrzytającem kamieniu.

* * *

Tak w śnie magnetycznym, z odkrytą zrzenicą, nic nie widząc, nic nie słysząc, chorzy stąpają śmiało w księżyca promieniach — potęga, której nie czują, stała się niemi — ona im ręce zbroczy krwią nieprzyjaciół, ona ich odejmie brzegom przepaści. — Namiętność w słońca promieniach czerpa żary swoje, lecz równie pewno niesie, równie dziko pędzi!

* * *

I do owego człowieka zbliżył się mnich, przyklękając przed wielkim ołtarzem, potem rzekł: »Ktokolwiek jesteś,

bracie, idź na spoczynek i nie mieszaj pokoju pańskiego!« Ale on mu nic nie odpowiedział. — Zatem szedł drugi i rzekł: »Precz z kościoła, bo świętokradcą jesteś!« Ale on mu nic nie odpowiedział — aż trzeci przed nim stanął i zawołał: »Wyklinam ciebie i to żelazo, któregoś u stóp krzyża śmiał dobyć«. — A wtedy wstał winowajca i odparł: »Na te słowa czekałem, by cios stał się niechybny a rana śmiertelną« — i wyszedł powoli, powoli, jakby liczył kroki własne, wiedząc, że ostatnie na ziemi.

* * *

Tymczasem rozwiodła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy, co ją widział, uczuł w piersiach dreszcz rozkoszy, w duszy szczęścia przeczucie. — Jej cienia owionęły pola i gaje — jej gwiazdy weszły nad górami, jak duchów, w błękicie ukrytych, płonące zrzenice. — Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwdzięcza się im wstydliwie za złote spojrzenia. — Właśnie takiej nocy trzeba dla tak świetnych ślubów — od niej pocznie się długa wiosna obojgu szczęśliwym. — Czegoż im więcej można życzyć na ziemi? — On wzięty u króla, pan wielu służebnych — ona, śliczniejsza od aniołów, wniosła w dom męża ziemie obszerne posagiem. — Matki nie znaleźć, któraby jej nie zazdrościła, młodzieńca, któryby mu nie złorzeczył; a ojciec stary dopiął myśli swojej — odtąd mu dni płynąć będą wśród uśmiechów córki i potęgi zięcia — a drobne wnuczęta, jak kwiaty, wyrosną mu na ścieżce przed grobem.

* * *

Sute też na zamku wyprawił wesele — niewielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. — Wysoko nad całą krainą beczki smolne i kagańce świecą z murów — na podwórcach

tak jasno, jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatach sto harf gdy zabrzmi, trąby gdy zagrzmią, stóp tańcujących szum wzbija się i leci, porwane koła kręcą się, plątają, szaleją. — On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. — Łza w jego oku nabrzmiewa, łza, co z trudów życia wydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni, co szły w krwi i pocie, kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć. — Wyszedł na przysionki i z ganku sypnął ludowi pełne misy srebra — wrócił i dyamenty przyszpila napotkanym dziewojom do łona. — Giermki, co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu naprzemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handżary — on na pamiątkę tego dnia niemi gości darzy. — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazyą odwilży — potem idzie dalej, łaskawym ukłonem witając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim.

* * *

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przyniesionych krzewów ściany oplatał w dole, w górze zaś stropami złotemi, gzymspsami z marmuru wiły się sklepienia i na nich herby ojców jaśniały nieskażone, święte. — Stanął u wejścia i pojrzał, szukając dziecka swego — ale jej nie ujrzał wśród krążących par ani odkrył w tłumie patrzących. — Pan młody tylko pląsał od jednych pań ku drugim, naprzemian znikomym z tą i ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinął na zgraję — rozstąpili się wszyscy — on przeszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom, kędy pustkami stały w framugach siedzenia, lamowemi zasłane makaty. — Tam szukał córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się odrazu, jakby nagłym uderzony bolem. — Siedziała ona z oczyma spuszczonemi

ku wiązce róż, leżącej na kolanie, i odrywała ich listki, marząc o czem innem — wreszcie same ciernie w ręku się jej zostały.

* * *

Starzec cicho przystąpił i przewiódł na sobie, że łagodnym rzekł głosem: »Biedna matka twoja jakżeby dziś szczęśliwą była! — Za co Bóg nie dozwolił jej tego dnia doczekać?« — Drżąc, podniosła głowę, drżąc, ścisnęła mimowolnie ostatki róż w dłoni — potem nazad w pomieszaniu przypiąć je chciała do sukni; przyczepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadraśniętych świeże. — »Czemu płaczesz, zapytał starzec, jedynaczko moja? — Wspomnienie matki nie mogło do tyla cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy; w dniu twego na świat przyjścia ona odeszła do ojców. — Ah! tyś się skaleczyła, córko!« — I wziął jej dłonie i wyjmował z nich drobne ostrza kolców. — Ona mu odparła: »O! nie to mnie boli, ojcze« — potem zaraz dodała: »Owszem to, nie co innego, ojcze!« — i zamilkła — łzy jedne po drugich spadały z jej lica. — On oparł się na jej ramieniu: »Widzisz, jaki stary jestem, drżą pode mną kolana — prowadź mnie!« — i szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Naokoło nich wszędzie woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

* * *

W tej chwili odezwał się zegar, przybity do górnego gzympsu — nad nim kuty ze spiżu siedział jedynowładca wielu królestw dawnych; za każdem uderzeniem wychodził ze ściany posąg jednego wojewody i szedł kłaniać się umarłemu panu, potem znikał, roztwierającym się pochłonięty murem. — Przeszło ich dwunastu. — Wtedy z odległych komnat zamku wzniósł się chór niewieścich głosów, zrazu jak szum błędny i nierozgarniony, ale coraz wyraźniejszy,

z dalszych sklepień przesuwający się pod bliższe, wołający na oblubienicę. — Ojciec sam wzdrygnął się w tej chwili, blednącą córkę porwał w objęcia i uchodził z przejścia w przejście, z izby do izby, z ganku na ganek, wszędzie swatek ścigany chórem, wszędzie chcąc przemówić, a nie mogąc słowa wypowiedzieć — i wszędzie naokoło woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

* * *

Wreszcie stanął w kaplicy zamkowej, kędy jego naddziady w kamiennych spoczywają trumnach. — Gromnic kilka nad niemi się pali i zewsząd czarne spływają obicia, bramowane srebrem. — Ona z rąk starca przypadkiem na grób ostatni, najmłodszy, na grób własnej matki się stoczyła i siedzi, milczy, truchleje. — On rzekł do niej: »Bóg nie raczył po mieczu przeciągnąć mi rodu, kądziel tylko pobłogosławił w domu moim — lecz ten, który cię pojął, przysiągł imie nasze przybrać i dzieci twoje zwać się będą, jak ojcowie moi. — Szanuj szczęście, którem Opatrzność cię uwieńczyła — pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów, niema w całej ziemi naszej — pamiętaj więc być mężowi do śmierci posłuszną i wierną!«

* * *

Te słowa mówił głuchym głosem. — Zdawało się, że każdem z nich probuje serce milczącej — lecz kiedy nic nie odpowiadała, kiedy tylko coraz niżej spuszczała skronie i w końcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny zśliznął się z włosów, on z jękiem zawołał: »Czy słyszysz? nadchodzą cię oderwać od łona, na którem wzrosłaś. — Pożegnaj mnie, mówiąc, żeś szczęśliwa!« — Lecz ona, cisnąc jeszcze mocniej ręce i kryjąc oczy, milczała. — »Dziecię, ty chcesz, bym się położył obok tych umarłych i nie wstał więcej. — Dotąd w spojrzeniu ócz twoich błękitnych był mój spoczynek po burzach tylu — jedyną perłę moją oddałem w cudze ręce, bom chciał, by nieznanym zajaśniała blaskiem. — Co się dzieje tobie, dziecię? przemów do mnie słowo jedno — raz jeden się odezwij, choćbyś miała się skarżyć lub wyrzec, żeś nieszczęśliwa!«

* * *

I z przerwanym oddechem oburącz wsparł się na grobowym marmurze, czekając odpowiedzi. — Do połowy nóż tkwi mu już w sercu — jeden jęk, jedna łza, jedno jej wzdrygnienie może teraz to serce rozerwać. – Ona, wzniósłszy oczy, zdała się śledzić wyrazu litości na ojcowskiem licu i zdała się przez chwilę wierzyć, iż jeszcze nie wszelka zniknęła otucha. — Zsunąwszy się, klęka na głazach, modli się słówmi i całą postawą do niego. — Dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony. — »Co za imie wyrzekłaś? — Nie powtarzaj go! — Możem nie słyszał dobrze — milcz — milcz! — Nie — ty nie mogłaś myśleć o wygnanym niewdzięczniku, co teraz z wrogami na mnie spiski knuje za to, żem mu świetne losy gotował w przyszłości, za to, że był synem brata mojego! — a jeśli go żałujesz, jeśli kiedy miałaś nędzną nadzieję, że ci pozwolę buntownika widzieć lub rękę mu twoją oddać, ah! wraz z nim i ty bądź przeklęta!«

* * *

Podniosła się dziewica. — Ona dotąd cierpiała w milczeniu, jak smętna ofiara, niesiona na mściwych bogów ołtarze — teraz odparła zimno i stanowczo: »Kochałam go, ojcze«. — Starzec nie dotrzymał tym cichym, śmiertelnym wyrazom. — Zakręciło mu się w głowie i zniszczony, jak wszystkie nadzieje, którym ufał, padł u stóp grobowca; —

przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości, a kiedy się przebudził, ujrzał nad sobą twarz bladą córki i uczuł jej uściski, wołające go nazad do życia, i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzmiące ślubnej pieśni zwrotki; — próg kaplicy przechodziły szukające niewiasty i szły, śpiewając, i zwolna, śpiewając, otaczały oblubienicę śnieżnem kołem — Za każdem słowem zbliżają się bardziej — ona chowa się pod ramionami jego.

* * *

Wreszcie objęły ją, porwały i wloką, sypiąc kwiaty na podłogę, paląc kadzidła i nowym hymnem głosząc wschód jej nowego życia. — Starzec stąpa za chórem z daleka, leniwo — i gdzie rozmijały się drogi, gdzie ją swatki unieść miały do ślubnej komnaty, stanął i nad zemdlałą znak błogosławieństwa ostatni raz kryśli — potem został sam jeden i ku salom godowym zmierzać zaczyna; — stopniami odzyskuje przytomność, wolą duszy prawdę, jakby sen zwodliwy, rozgania, a rozkazując jej nie być, uwierzył może, iż nie było jej nigdy. — Kiedy wchodził między biesiadujących, znów władał sobą i spokojna powaga leżała mu na twarzy.

* * *

Pan młody przemawiał do przyjaciół: »Wy, z którymi dni tyle przebyłem w obozach i na łowach, słuchajcie, drodzy, wam jeszcze i tę noc poświęcę! — Ślubuję nie spojrzeć na żonę moją, aż wejdzie pierwszy promień świtu. — Jak tam na niebie?« Do okna skoczył jeden z towarzyszy i krzyknął: »Księżyc dopiero w samym środku nieba«. — »A więc do was jeszcze i z wami« zawołał młodzieniec i wychylił czarę i rzucił, oprawną złotem, sadzoną dyamentami, przez stół najbliższemu. — Ciężka dłoń starca w tej chwili na jego spoczęła ramieniu; — obejrzał się i, chwytając za drugi puhar: »Zdrowie twoje, ojcze — rzekł — i wy wszyscy spełnijcie je ze mną!« Ale pan zamku nie podziękował, jedno wskazał zięciowi otwarte podwoje i dalekie zakręty, któremi szły niewieście postaci, wracające w milczeniu i ginące w cieniach. — Młodzieniec odparł, potrząsając płowych pukle włosów: »Patrz na tych wesołych i mężnych, co mi po dziś dzień służyli tak wiernie — przysięgą związałem się z niemi — do jutrzenki razem pić będziem i śpiewać! — Tę noc najpierwszą, najmilszą poświęciłem im«. — To mówiąc, porwał za dłonie obok stojących i krzyknął: »Za to podły buntowników motłoch ścigać będziecie w tych górach, póki mi rozkazów a wam ducha stanie«. — Wszyscy odkrzyknęli chórem: »Niech żyje książe nasz!« — Zrazu twarz starca pokryła się gniewu rumieńcem — ale te wyciągnięte ramiona, te dobyte do połowy miecze, ten zapał ich wszystkich myśli jego rozerwał — wspólna sprawa lepszą ich połowę zabrała. — Przyszłość i potęga, duma i nienawiść przesłoniły mu postać samotnej, płaczącej, opuszczonej — i sam dodał głosem, który niegdyś grzmiał pośród szczęku bitew: »Biada buntownikom!«

* * *

Dłużej jednak z gośćmi pozostać nie raczy — ponuro skinął na giermków. — Oni przed nim z pochodniami stają. — Młodzieniec na chwilę odbiegł swoich i teścia odprowadza aż do progów sali — teść go pożegnał zimnym wzrokiem wstrętu. — On wraca i woła: »Przez dobry kindżał mój, nie cierpię przymusu! — Świeżom pojął dziewoję, nie żadne kajdany. — Smutny księżyc niechaj starym pannom zmarszczki srebrem krasi, mnie rumiane słońce wyda piękną żonę moją!« — I nożem greckim rzucił w złoty gwóźdź przeciwległej ściany — trzydzieści nożów dobyli z pochew towarzysze — żaden celu nie utkwił tak blizko — zatem, nalawszy pełne czary, piją chwałę wodza. — On

stał się piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiewa i głaszcze sobie włosy — żartami ściga towarzyszy, dowcipnie, ostro, brzęcząc i kłując, jak osa. — Oni mu odpowiadają szumem poklasków. — W takowych chwilach, duszą na zewnątrz podany, zwykł on wdzięcznie się ślizgać po samej życia powierzchni — krew mu się z serca przenosi do twarzy — tam ona łudzi rumieńcem — rysy grają — oko płonie; lecz w sercu pusto, jak u zalotnicy.

II.

W pieśniach waszych, ludzie prości, zapamiętana dolina, w której raz ostatni wódz przemawiał do braci. — Ojcowie ją wasi odtąd nazywali »jarem pożegnania« i dzieci wasze ją tak zwać będą, jeśli pieśń przetrwa jeszcze jedno pokolenie, jeśli mowa wasza nie zgaśnie wraz z wami.

Wśród trzech wzgórzów łagodnej pochyłości, których stopy kąpają się w tym samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie, powiewając gęstemi krzewy, stanął w miesięcznych promieniach człowiek, co przed godziną wyniósł klątwę z domu bożego. — Wokoło na piętrach zieloności leżały rozciągnione lub jeżyły się w dół nachylone postaci, czarne od stóp do gardła, blade na twarzach, migającą tu i ówdzie uiskrzone bronią. — Znać czekali nań ci wszyscy, bo, jak się tylko ukazał, leżący powstaną, stojący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu. — Lecz żaden okrzyk się nie rozległ. — On sam dopiero, kiedy usiadł na głazie, obalonym w poprzek strumienia, i głowę schylił i dłoń opuścił między cieknące fale, on pierwszy przerwał milczenie. — Głos jego szedł za szmerem wody, jak śpiew za wtórującą struną, a każde słowo, choć ciche, padało wyraźne na serca przytomnych.

* * *

»Na czas tylko byłem wodzem waszym. — Zapomnijcie o mnie, ale strzeżcie słów ostatnich, które powiem do was — w nich prawda, stara, jak te skały, jak te gwiazdy święta!«

»Od tysiąców lat ojcowie nasi posiedli tę ziemię — nie słychać, by kogo z niej wygnali lub ujarzmili na niej. — Jak kłosy niw, jak sosny borów, tak oni byli jej synami — a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy, bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha, Wolność — była ich udziałem.

»Nadciągnął król południowy z służalców tłumami. — Zrazu zdradne sypnął uszom słowa, bardziej zdradzieckie sypiąc oczom skarby. — Różny od nas wiarą i mową, co Bóg rozdzielił, on to zespolić chciał, a gdy nie poszło mu po myśli, teraz nituje nas z sobą ogniem i żelazem. — Hańba miastom i panom dolin — w jaskinie gór, w jamy puszcz schronić się nie śmieli, poddali się najezdnikowi — lecz wyście do nich zeszli, jak do grobu. — Za to przyjdzie zmartwychwstanie na was!

»I już sam wróżbę lepszej przyszłości widziałem. — Jedenże od dwóch lat gród królewski spłonął? — Gdzie ciężkozbrojne najemniki, co nas zdeptać mieli? Wszak nad ich trupami słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienia sępów i wilki noc całą skowyczały z radości! — Lecz, by odzyskać ojców spuściznę, długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować!

»Teraz właśnie, gdyście z pokątnych tułaczy na groźne męże wyrośli, łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry — ich dary, marne garści błota! — Wznieście oczy — dość miejsca dla dusz waszych po tych błękitach zostało — nie żałujcie więc szarej ziemi, gdy przyjdzie w boju umierać! — Lecz kto broń złoży, temu niechaj na zawsze twarz Boga czarną będzie z tamtej strony grobu!

»Nie rozsypujcie się po równinie, by gonić za plonem! — Anioł stróż wasz mieszka w tych górach. — Dopiero później przyjdzie pora łupów. Słuchajcie owych siedmiu, którzy mnie wodzem postawili nad waszemi młodzieńcy! — Znękane siwym trudem ich prawice, ale rozum w nich króluje nad ciała gruzami. — Kiedy was zwołają, zbierzcie się co do jednego — kogo wam obiorą hetmanem, za tym idźcie w nieustraszonem milczeniu — i zwyciężajcie, jakoście zwyciężal ze mną! — Mnie inna dola porywa. — Jutro moje już nie na tej ziemi. — Bracia, ja żegnam was na wieki!«

* * *

Umilkł i zerwał się, widząc, że księżyc już wysoko stoi. — Oni schodzą ku niemu, a wiją się chyżo, a ślizgają się cicho i zewsząd go czarnem obwiązują kołem — potem, podszedłszy, bliżej staną i wołają: »Gdzie idziesz, wodzu nasz?« — On rękę wyciągnął ku łunie, co za wzgórzami blado płonęła. — »Stój... to ogień wesela z zamku przodków twoich odbity na niebie! — My cię nie puścim do tych, którzy cię nie cierpią, do tej, która cię zdradziła!« — Na te słowa on skoczył z głazu, krzyk jego przebił piersi wszystkich przytomnych: »Kłamcy, ona mnie nie zdradziła, bo dziś jeszcze spać przy mnie będzie, spać będzie na wieki! — Poświęciłem wam dom i dostatki ojców, życie i szczęście z nią — ale śmierć z nią sobiem zachował. — Nadeszła ta chwila moja — puszczajcie mnie!« — I przechodził wśród nich, pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią, tam stawało się pusto. — Pomieszane wrzaski się wzniosły — jedni uklękli, drudzy pobiegli i znów w oddali murem przed nim stają — a wszyscy proszą, by się zatrzymał, obiecują porwać oblubienicę, świadcząc się Bogiem, że, choć w zamku dobór rycerskiego ludu, oni go zdobędą przed świtem. — On się zatrzymał — ucichli — głos jego się rozległ, wdzięczny, jak za dni dobrych, lecz stanowczy, jak na polu bitwy: »Dzięki wam, bracia, ale

starca, śpiącego w komnatach przodków moich, nie przebudzi szczęk szabel waszych. — Wzrosłem pod cieniem jego ręki. — On pierwszy usta moje nauczył imienia ojczyzny — on piewszy serce moje zapoznał z chucią bitew. — Nim zatkniecie na jego zamku sztandary te czarne, święte, moje własne, wprzód mi umrzeć trzeba! — Taki los mój — raz jeszcze: bądźcie mi zdrowi!« — I odszedł kilka kroków i dodał, jakby już nie do drugich się odzywał, ale sam do siebie: »Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie rozwiąże — chyba przeciąć musi!« — I mimowolnie wzniósł sztylet w górę — klinga kąpała się w miesięcznych promieniach, jak nowonarodzony meteor, świetlana i czysta.

* * *

Oni patrzyli za nim, potem szli za nim w milczeniu, opodal, z spuszczonemi głowy, bo wiedzieli, że co on raz wyrzekł, to bez chyby się stanie. — Oddawna krążyły przepowiednie, rokujące mu zgubę. — On sam nieraz, ściskając dłonie towarzyszy, mówił, że niedaleki dzień rozstania. — A nie od miecza wrogów w pobliżu, ni od ich pocisku w oddali poledz miał, ani też zgasnąć z niemocy na chorobnej pościeli. — Inną mu śmierć sny własne i cudze czary zwiastowały! — Pogrzebnie więc stąpali za nim spiskowi. — On już im wydawał się duchem! — Lecz kiedy zaczął wstępować na wzgórze, kiedy pióra jego czapki, z nad krzewów i skał powiewając, sunęły tu i ówdzie, przepadały i, znów bielejąc, wznosiły się wyżej, rzucili się w pogoń. — Tak on i oni, piętrami murawy przegrodzeni, ku temu samemu wierzchołkowi się darli. — On pierwszy go dopadł. — Stąd widna jeszcze lepiej łuna i zamku wieżyce, a tuż pod nogami przepaść, grzmiąca hukiem wód śniadych, i pień sosnowy, rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze. — Nim zdołał nań wstąpić, znów go otoczyli. — Rzucił się, odepchnął najbliższych i dwoma skokami po chwiejącem się

drzewie dorwał się przeciwnego wzgórza. — Spadł lekko, pochylił się gibko i z olbrzymią siłą wyrywa pień z pod głazów, które go trzymają — wstrząsł go i puścił — pień, jak wahadło zniża się, przebiega przestrzeń i zawisa, ciężko tłukąc w skały, u tamtego brzegu. — Zdało się im, że błyskawica oczy im zaćmiła — przeszła teraz, lecz zapóźno — darmo krzyczą i wyciągają ręce — już on się od nich tym jarem przedzielił na zawsze. — Raz ostatni czoło jego, oświecone miesiącem, widne w całej życia piękności. — Zdało się, że chce pobłogosławić ludowi swojemu, bo, trzymając zawieszone nad przepaścią dłonie: »W imię Boga, krzyknął, wieczny bój między wami a południowym królem!« Naokół dziesięć opok ten głos powtórzyło i głąb jaru powtórzył go także — w tej chwili sam wódz zniknął wśród krzewów. — Spiskowi przysłuchują się jeszcze, ale prócz szumu fal już nikt nie mówi do nich.

* * *

Nieszczęśliwy, teraz dopiero w oczach twoich błysła iskra szału! — Walczyłeś z nią, dopókiś był pod jarzmem spojrzeń bratnich, nie chcąc im po sobie zostawić słabości wspomnienia — lecz jak tylko stało ci się wolno i samotnie, zrzuciłeś powagę, jak płaszcz na ciernie drogi. Lecisz, gnany zemstą — zawieszasz się na urwiskach — sadzisz przez rozłomy. — Przelękła sowa z krzaków się podnosi, plaśnie skrzydłami i dalej zapada — lis, czatujący w świetle księżyca, milczkiem sunie w ciemniejsze gęstwiny — wilki stanęły z obu stron wąwozu. — Jak strzała przeleciałeś, nie słysząc ich skowyczeń — one przed blaskiem ócz twoich przypadły do ziemi. — Ty już stajesz na równinie. — Ognik przyleciał z przyległych trzęsawisk — zaśmiałeś się dziko: »Na wyścigi ze mną, przyjacielu!« — on obwinął się naokoło czapki twojej i strugą sinego światła oblał ci piersi. — Oba równej lekkości i równie znikomi, w uścisku bratnim

chwilę pędziliście razem. — Lecz on pierwszy zgasł — ty znów, cały czarny, przez łąki gonisz i zbliżasz się do zamku naddziadów.

* * *

A zamek na wzgórzu jaśnieje setnemi ogniami. — Ogrody, schodzące ku równinie, leżą tak przejrzysto, tak cicho, tak sennie, że zdają się marzyć o szczęściu oblubienicy — nad niemi płynie odgłos weselnej muzyki. — Lotna stopa wodza przylgnęła do murawy. — Zdało mu się, że usłyszał śpiewu początek — jego oddalone zwrótki były raczej snem niż jawem — ale w tej mgle dźwięków uchwycił wyraz głosów niewieścich, przypomniał sobie zwyczaj dnia ślubnego, podany od przodków — i lekszy jeszcze, niż przedtem, rzucił się ku ogrodom — oburącz wgryzł się paznogciami w szczeliny murów — oderwał się — zawisł — stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów — i podbił się znów w górę i mur przesadził. Głucho zaszeleściały przyduszone trawy. — On z potrójną siłą powstał, dotknąwszy się ziemi, i na znajome puszcza się manowce.

* * *

Dęby, klony, modrzewie, wielkiego boru ostatki, suną czarnemi rzędami. — Tu i ówdzie poziome gąszcze, winnice, łąki i pieśń słowika i ruczajów szmery, dalej wierzby płaczące i w dole cisza wód błękitnych, podbita gwiazdami. — On wiek młodociany przeigrał pod temi drzewami, przepływał na tych wodach. — Lecz go nie zatrzymają teraz przeszłości wspomnienia — tylko w gaju rozkwitłych jaśminów, u stóp góry zamkowej, jęknął, przelatując koło głazu starożytnego. — Tu, wśród nocy, podobnych dzisiejszej, wymykając się strażom, objawiała się wygnanemu bratu dziewica — tu w jej oczach płonęła obietnica święta i pokój

dotrzymań leżał na jej czole. — On goni dalej, a twarz odwraca za siwem kamieniem.

* * *

Wśród fontann i pomarańczowych drzew kryte sklepieniem wschody prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków padają na nie wzorem krat srebrnych promienie księżyca. — On, równie pewny swego czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wyłomach, pędzi, wspina się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krużgankiem. Tu pióra z czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. — Pusto wszędzie — z lewej strony słychać pieśni i wrzaski — poznał, że od nich grzmią ściany sali godowej — na prawo milczenie, na prawo długi rząd okien, od księżyca tylko roziskrzonych, lecz w końcu krużganka, tam, gdzie się zaczyna baszta zachodnia, przez drzwi szklanne, rozwarte promień lampy się wymyka — i niby jęk czasem stamtąd się odzywa, ale taki nieujęty, gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można, niż słuchem. — On go schwycił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwychwstającym — i szedł, prosząc się kroków własnych, by milczały, szedł, opierając się o filary i poręcze, wszystkiem ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemknionych podwoi, kiedy już widział zasłonę, co, z nad nich się wyrywając, śnieżnie w powietrzu igrała, kiedy uczuł, że za taką cienką oponą śmierć i życie, powiązawszy dłonie, na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu — bo mu się zdało, że serce z piersi wypada — palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je, ścisnął i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyb drzwi gotyckich. — Dziwna, że nie pękło czoło!

* * *

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i iskry ogniste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami. — To obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błyśnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego wzrokiem — naszyjniki, łańcuchy, manele rozrzucone mignęły — przejrzał teraz — nic już nie drży, nic się nie krzyżuje. — Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi oblubienica, sama jedna. — Znać chór swatek, odchodząc, poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi, na kobiercu złożone, pod liściami róż toną. — Czasem westchnie, jak owi nieprzytomni sobie, co już nie myślą o doznanych bolach — czują je tylko — sami stali się bolem. Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fijałki, mirty i lilie spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdem westchnieniem łzy płyną zwolna po jej białem licu.

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolnie odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję, jak łania obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka, płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekła w głąb komnaty, czepia się zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, bieży dalej, wreszcie padła na kolana, krzycząc: »Ty!« — Na więcej sił jej nie stało, w tem jednem słowie ostatnią nadzieję zamknęła i niewzruszoną na tem samem miejscu, w tej samej postawie została. — Nic już nie słychać — przepadły gdzieś kroki i głosy, co przed chwilą brzmiały. — Wtem nagle pękło milczenie. — Ten, którego wezwała, stanął przed nią i poderwał ją z ziemi lecz nie przycisnął do serca, rzekł tylko: »Jestem!«

* * *

Ożyła i dziwnym uśmiechem zakwitła: »Wiedziałam, wiedziałam, że mi się w wyrocznej godzinie ukażesz! Lecz

ty może mnie przeklął w sercu? — Wiem — ah, słuchaj, bo oni się nie śpieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiedli do kościoła, szukałam cię wszędzie oczyma; kiedym klękła przed ołtarzem, szukałam cię myślą naokoło, bo oczy nie służyły, łzami na dół ciągnione — na zamku podczas tańców, kiedy mi wszyscy winszowali, słuchałam, czy twój głos ponad inne nie zagrzmi — i teraz jeszcze, kiedy każda chwila niosła mi konanie, a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara. — W odrętwieniu siedziałam, a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu, że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się. Daj rękę, zbawiona jestem!« I uginając się, jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu.

* * *

Kto widział we śnie duszę, wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto czuł, co być Bogiem na chwilę, gdy piorun szczęścia w serce uderzy? Wódz dotąd szedł myśląc, że spotka się z niewierną — teraz, gdy ujrzał, gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i śmierci, potężnym i nieśmiertelnym się staje. — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednem jej skrzydłem miłość, drugiem będzie chwała. — Przez prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta, co, pewna ratunku, co, zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce! — Snujcie się, malowne chmury wyobraźni! — Piękne jesteście, bo was słońce życia ozłaca zachodem.

W gorączce, w omamieniu zawołał głosem dźwięcznym, głosem uwodzeń: »Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór przed ślubem? — Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem!«

* * * *

»— Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? Czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgłam, że lud twój będzie ludem moim, a Bóg twój Bogiem moim — dotrzymam! Lecz wprzódy trzeba mi było pożegnać się z ojcem — nie przerywaj — kiedy nie ufasz, słuchaj do końca — dobądź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia! — Ah, ojciec przyszedł i prosił i błagał! — Ty wiesz, jak twardym głosem rozkazować umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przeklęstwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecię, że go strąca do grobu. — Książe, zięć przyszły, obiecywał przybrać imie nasze, prowadził służebnych pod zamek i wołał na ojca: »Oto będą twoi!« — Ojciec ukląkł przede mną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania, wyciągająca ręce do mnie. Wtedy zdjęła mnie nieskończona siła: wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę nieznanemu, obojętnemu, ah, niecierpianemu, bo u mnie niecierpiany każdy, kto twoich oczu nie ma, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha! — Miasto córki, pan tego zamku dostał syna. — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodu naszego budowę. — Teraz odejść mogę — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wiesz-li, jak się dzisiaj zowie?« — Młodzieniec, zaokrąglając ramiona koło jej kibici i patrząc w stronę krużganku: »Jak? Mów, jak?« zawołał. — Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: »Nie wątp, że śmiercią! — Dopókim na ziemi, dopótym żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów. — Lecz ścieżka doń niedługa, patrz, takiej samej dłuży, co żelazo twoje!«

* * * *

To słowo »żona«, spadło z jej ust, jak kamień, na serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od klątwy Kościoła, bo, co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże. — Ah, zimno i słabo stało się w duszy wodza. — Ta jedna chwila szczęścia, co już przeszła teraz, siłę mu wszystką odjęła. — Drży z bojaźni, jakby teraz dopiero ujrzał długą rękę śmierci, przytkniętą do serca kochanej. — Nie — on sztyletu na nią podnieść nie zdoła — jutro — pojutrze on legnie w pierwszym lepszym boju — a ona niech żyje — najpiękniejsza postać wśród ziemskich niechaj zostanie na ziemi! — Jęknął i porywa się z miejsca — ściany łamią się przed jego wzrokiem i plączą — on ucieka, lecz siostra doleci go u progu: »Co zamyślasz? Gdzie gonisz, niewierny? Albożeś nie przyszedł mnie wyzwolić, jedno wykraść i zhańbić mnie chciałeś?«

* * *

»O, nie zdradzaj — o, nie opuszczaj! — Za chwilę cudzoziemiec tu przyjdzie i skazi tchnieniem nieskażoną twoją — a jeśli objęciom wroga tu mnie sam wydasz, wiesz-li, jaka przyszłość? — On mnie zapędzi na dwór królewski, pomiędzy obce twarze i ułudy i pychy, by chlubić się z mojej urody, by pokazać panu swemu, że zerwał kwiat starożytnego szczepu! — A pan młody co pocznie? a sługa jego, mąż mój, co uczyni? — Patrz na starych! — Oni złorzeczą temu, co ubóstwiali za młodu, drogo cenią, czem gardzili niegdyś — kto ich przetworzył? — Czas, uczuć morderca, czas, róż świeżych na dawnych gruzach przemierzły ogrodnik. — Może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja. — Będę sama, sama jedna. — Ty daleko, po skałach, w jaskiniach — zewnątrz wszędzie ponęta, nuda tylko w sercu mojem — i gdy ty się tułasz, rycerze królewscy może będą powtarzać imie

moje przy puharach wina — może ich śmiechy kiedy dolecą twojego ucha i przeklniesz siebie, żeś mnie nie zabił. — Pchnij mnie w serce — wyrwij mnie potworowi!« — I w obłąkaniu wyciągnęła ręce, jakby straszne widmo odepchnąć chciała. »Patrz, na jego czole słowo »hańba« sadzone dyamenty — w oczach piekło błyszczy, a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze — dotknęły mnie — opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach i z serca mego, jak z czary, krew moją czystą, krew moją świętą piją!« — Tu padła na kobierce, stopy mu oblewając łzami i długiemi warkoczy.

* * *

Jak piórko ją podniósł: »Przez imie Bogarodzicy, nie dopełni się ziemskie przeznaczenie twoje. — Czysta wśród najczystszych, ty przeminiesz, jak płomień kadzideł!« — Tu znać pękło mu serce, bo rysy męskiego oblicza poszły w rozsypkę i skłonił głowę i do każdej łzy jej równie gorżką, równie niewstrzymaną przylał. — Lecz to był ostatni znak słabości czy wahania, walki czy żalu w nim. — Blada spokojność osiadła na jego twarzy — i przycisnął dziewicę do piersi: »Tym pocałunkiem skazuję cię na śmierć — kto pierwszy dotknął liców twoich, a imienia nie zdołał ci wraz z tchnieniem ust przelać, z tego ręki zginiesz! — Nie w innej myśli szedłem, siostro, do ciebie — ale, kiedym cię ujrzał, pokusa szczęścia mnie uwiodła. — Daruj! Potem, gdym osłabł wśród marzeń, strach słabego ogarnął — przebacz mi! Teraz pokusa i strach odeszły na zawsze — teraz módlmy się — bo razem stąd odlecieć musiemy!«

* * *

»Nie!... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu! — Ja w czyścu czekać będę na ciebie cierpliwa i tęskna. —

Rzucaj tylko czasem tam, kędy mnie pochowają, pióro z hełmu lub pierścień z kolczugi! — Grabarz spostrzeże się z rana i powie: Ktoś był tu w nocy, jeszcze ktoś pamięta o niej!« — I natężonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przerwał żelaznym dłoni uściskiem: »Duszą własną duszę twoją przed sąd Boga zawiodę!« — i dodał żałobniej: »Czem mogłem, póki mogłem służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. — Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li, czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy? — na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyciel? — O, idźmy stąd razem, siostro — tam, kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodziency, tam niemasz zdrady i ucisku — tam i zemsty niemasz!«

* * *

Boskie uniesienie twarz jej owiało i rzuciła się w wodza objęcia — ni słówmi, ni łzami już dziękować nie zdoła, ale zdziera z palca złotą obrączkę wroga, idzie ku ślubnym wezgłowiom, na jednem z nich ją składa, potem odwróci się ku wodzowi: »Teraz tyś pan i mąż mój na wieki!« — i, spuszczając oczy, wnet uklękła i modlić się zaczyna modłami umierających. — On ukląkł także — czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w ponurej powadze. — Wtem obejrzy się ku otwartym na ganek podwojom i rzekł: »Już świtać zaczyna«. — W tej chwili obudzonych ptasząt głosy odezwały się z okolicznych gajów. — Ona zbladła. — »Oprzyj się na mojem ramieniu — spojrzeć na świat chodź raz jeszcze ze mną!« — Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużganku.

* * *

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowem kona — śniado błądzą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach —

w powietrzu snują się wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewic zasłony, przetkane jutrzenki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fontann, wdzięczne kształty filarów, kwieciem umajone krzewy. — Dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki i las gęsty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze w odbłyskach zorzy wolnych wierzchołki gór. Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatyra kiedyś gwiazda chwały, a teraz cały ten widnokrąg będzie mu tylko zapomnienia grobem! On wlepił wzrok w góry, a śmiało żegna się z niemi — ona z schyloną głową ciśnie się k'niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spójrzenia miłości. — Darmo świat, budząc się coraz żywiej, coraz im głośniej radził, by czasu nie porzucali dla wieczności — nikt nie wie, co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami jej ranny powiew igrał.

* * *

Wtem głosy rozhuzdane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalonej sali. — On się wzdrygnął — ona może już nie słyszy — potem sypnęły się na krużganek gęstych stóp hałasy i z ukosa błysnęły pochodnie. — »Boże, zawołał, wszak dasz braciom moim zwycięstwo!« — i uniósł zdrętwiałą w wnętrza ślubnej komnaty. — Po murach zamku odbite, wzorem piłek skaczą wiwaty podchmielonej zgrai. — Znać pan młody śpieszy do żony z pierwszym dnia promieniem. — »Czy widzisz, krzyknęła, wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie poznając już siebie samej, jaki piękny anioł mój!« — »Ah, piękny!« powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wzniósł śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużganku.

III.

W komnacie, w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnem ich łożu. — Ani raczył przysporzyć wygody sędziwemu ciału, szat nie zwlókł, sługi gniewnem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpasał i oparł o stół dębowy. — Za łożem kaplica, wydrążona w ścianie, z ołtarzem i szczerozłotą lampą. — On nie odwraca się ku niej, by zmówić, jak co dnia, pacierz przed zaśnięciem. — On wie, że nie zaśnie dzisiaj. Czasem tylko, oczy wzniósłszy, patrzy na przodków obrazy, niewzruszonemi źrzenicami patrzące na niego, a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

* * *

Wiecie-li, młodzieńcy, wy syny światła, kusiciele burzy, co się dzieje z duszą starców, gdy prysną ich rachuby, ostatnie ich miłości na ziemi? — O, nie, nigdy wam los tak gorzkiej nie podał trucizny. — Czas, jak niewolnik, niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna — choć sto gwiazd zagaśnie z tyłu, sto innych przed nim zapala się dalej. — »Naprzód w nieskończoność!« oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra — już im trumna w poprzek progów leży, a jedna tylko gwiazda tleje nad źrze-

nicą. — Oni modlą się do niej: — »Tyś słodka i poczciwa — nie uciekasz, jak księżyc w jeziorach młodości, ni pękasz, jak meteor ciepłych nocy letnich — po długiej drodze dopierośmy twoje dobre światło ujrzeli — o, bądź nam wierną, o, świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi!« — Wtem prawda zstąpi w ich dziedzińce, przesunie się jak wąż ślizka, naga wśród zamkowych murów i dójdzie progu i siądzie na trumnie, wyrok zawodu śpiewając — na głos jej ostatni promień odrywa się z niebios i »noc wieczna« staje się na imie światu.

* * *

Patrzcie! Z babiego lata jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca. — Czy słyszycie, jak łzy córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? jak śmiech księcia, jej męża, brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownemi kroki. — Darmo siedemdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową; on dumny dotąd, on nie odgadł tajemnicy życia! — Odmęt zgrozy, zemsty, wahań, postanowień wplótł mu serce na koło męki. — Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pęknie serce, zanim wejdzie pierwszy promień słońca!

* * *

Wreszcie styrane ciało padło na krzesło o złoconych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi — oko odsłonione, martwe wlepiło się w przeciwległą ścianę. — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje, że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu, wciąż mu się zdaje, że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca, siedzącego wśród zgrai. — »Precz mi stąd, książe, przybyłe z obcej ziemicy! — Przodki moje, powstań-

cie z grobów, otoczcie go rzędem! Czarny hetmanie, wytrąć mu puhar z dłoni, ty, kardynale rzymski, wymów nad nim klątwę rozwodu!« — I słychać szelesty stóp umarłych, ciągnące od zamkowej kaplicy. — Rozwarły się naoścież ogromne podwoje — wchodzą wywołani. — Pan młody porywa się do szabli, a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga, by prędzej do miecza się dostać — na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze, zblakłej od wilgoci podziemiów. — Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze: »Co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi«. — I zniknęły cienie — i rozwiała się sala biesiad — i znów on się widzi w własnej sypialni, na tem samem krześle. — Głucho, pusto, straszno. — W tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów.

* * *

Straszno, coraz straszniej! Z kaplicy za łożem zielonawy odbłysk rzuciła lampa. — Przebóg! postać biała klęczy i jęczy na stopniach ołtarza — potem się odwróci i sunie ku starcowi; ręce jej w krzyż złożone na piersiach, suknia, jak szaty posągów, w tysiąc fałdów się łamie, ale się nie rusza. — Twarz znana, kochana kiedyś, twarz to żony nieboszczki. — Usta rozemknęły się nanowo, lecz głos nie, jak dawniej, rzewny i potulny, owszem rozkazujący i pełen wyrzutów. — On chciał jej odpowiedzieć, a nie mógł ręki wyciągnąć, jedno musiał iść po ciemnych zamku przejściach, tam, dokąd go wiodła — koło kaplicy, koło grobu własnego nie zatrzymała się, szła przez zbrojownię wśród pancerzy i hełmów, szła coraz dalej, aż do baszty zachodniej — wstąpiła na wschody; drzwi zaryglowane się przed nią, jak dwoje cichych ust, rozwarły — pociągnęła starca skinie-

niem. — On poznał skarbiec i w ścianie strzelnicę, wydrążoną nad ślubną pań zamku komnatą. — Tam mu umarła wskazuje, by stanął i patrzał.

* * *

Przebóg! przed łożem ślubnem, naprzeciwko zwierciadła, ujrzał córkę w objęciach zbrojnego męża — poznał płomienne oczy i wyniosłe czoło wygnańca — dostrzegł nagi sztylet w jego ręku — usłyszał głos, brzmiący, jak dźwięk szklannej harmoniki: »Uderzaj śmiało, bo nie ty mnie zabijesz, ojciec już mnie wprzódy zabił!« — I postać niewieścia, to mówiąc, garnęła się pod żelazo rycerza. — Starzec wszystkie siły do krzyku natężył, lecz nie przerwał milczenia. — Dłoniami strzelnicę rozerwać usiłuje — zimny granit się nie ruszył — więc zdało mu się, że padł na kolana, że wołał do synowca: »Dam ci ją za żonę, będę walczył z tobą przeciw królowi, tylko mi jedynego dziecka nie zabijaj!« — to znowu, że prosi się córki: »Dziecię, dziecię, zlituj się, on będzie mężem twoim, tylko nie chciej umierać!« — Lecz oni go nie usłyszeli. — Sinem światłem oblały się ściany, lampy gasnąć zaczynają — wtem gwar słychać na krużganku. — Pan młody, podchmielony i skoczny, wpada do komnaty — przyrósł do kobierca — sięgnął ręką do boku — nie znalazł miecza, ogląda się, woła, lecz nikt nie poszedł za nim. — Strach nakształt żywej śmierci starca ogarnął. — Pan młody rzuca się na wygnańca. — Ten go odepchnął daleko, gdzieś aż pod same okno, pytając: »Czego mieszasz spokój umarłych?« — I coś błysnęło w powietrzu raz i drugi i trzeci. — Słaby krzyk wzleciał i uleciał — gasną lampy jedne po drugich — ostatnia nad zwierciadłem jeszcze się pali — w jej płomieniach postać zbrojnego męża i postać dziewicy, krwią zbroczone, gmatwają się, rosną, wreszcie upadły. — W tej samej chwili

trzecia uderzyła na zegarze wojewodów i znowu ocknął się starzec w własnej sypialni, u stóp własnego krzesła.

* * *

Dokoła cisną się sługi i giermki z świecznikami — łoskot słyszeli, przybiegli, zastali go leżącym na kamiennej posadzce, z skaleczonemi rękoma. — On się zrywa i znowu pada, wołając: »Ratujcie dziewkę moją — zamordujcie syna brata mego!« — Oni go w pół biorą, dźwigają. — »Czy noc jeszcze, czy to dzień już? Gdzie jestem?« — i zatoczył się ku szabli, opartej na stole dębowym; dobył ją, rękojeść przewinęła mu się w ręku, ostrze spadło na ziemię i wlecze się za nim. — Grube łzy z powiek mu pociekły. — Oni klękają przed nim, proszą o jaśniejsze rozkazy. — »Za mną, tylko za mną!« odpowiedział przerwanym głosem i, wpół niesiony przez nich, kwapi się ku drzwiom, wychodzi na korytarze, śpieszy się, pasując się z niemocą, jak pływacz z falami. — Sługi, spoglądając jeden na drugiego, żegnają się świętym znakiem krzyża.

* * *

Tak za jęczącym, za mdlejącym, za obłąkanym ciągnęła drużyna w stronę ślubnej komnaty. — Sen, zdaje się, głęboki spoczywa na tej części zamku — przez rząd bocznych podwoi widać z daleka w sali biesiad porzucone stoły i dogasające światła. — Już też przez okna przejściów wkradają się przedsłoneczne świty. — Wtem nagle zatrzymały się pacholęta, niosący przed panem pochodnie. — Z zakrętu ciemnej galeryi człowiek pędzi im naprzełaj — włosy jego rozczochrane, szata rozdarta, ni sztyletu w pasie, ni miecza u boku, i sine usta i śniade czoło, jakby śmierć nań wionęła, przechodząc, a on przed nią dotąd uciekał. — »Nie puszczajcie ojca na krok jeden dalej!« i dopadł starca

i uchwycił go za ręce. — »Gdzie żona twoja?« — Pan młody padł na kolana: »Poczekaj, ojcze, wróć do twojej komnaty, tak rano śpiącej córki nie budź!« — »A więc mówisz: nie budź jej, a więc ona się przebudzi jeszcze? — Mów prawdę, człowiecze, bo zły duch mnie nawiedził snem strasznym. — Widziałem ją wołającą śmierci — a ty bezbronny, tak jak teraz, byłeś — i trzeci tam stał, który dziecię moje zamordował. — Powiedz, wszak to wszystko marnym żartem nocy, naigrawającej się z biednego ojca?« — Schylił głowę pan młody pod nieznośnym ciężarem tego pytania, drży całem ciałem, a wzniesionemi rękoma opiera się starcowi. — »Milczysz? ha! Bóg mnie skarał, żem się pokłonił królowi twojemu i szukał związków z obmierzłą krwią twoją, cudzoziemcze! — Teraz ja sam jeden zostałem na ziemi!« Zadrżały na ten krzyk starca wszystkie serca przytomnych. — On chwycił miecz oburącz: »Milczysz? Ojcowie moi byli wrogami twoich — gdybym miał syna, byłby twoim wrogiem — córkęm jedynaczkę miał tylko — bierz ten spadek po niej!« — I spuścił miecz, ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąca się o przyległe filary — na ten szczęk zerwał się pan młody i jeszcze starca wstrzymać usiłuje. — Pasują się oba, z podziwu i przerażenia niepodobni sobie samym, dzikich zwierząt wzorem. — Ale rozpacz sędziwe ramiona w żelazne kleszcze na chwilę przekuła. — Pan młody, choć tancersko gibki, już dźwiga na barkach dłonie przeciwnika, już gnie się we dwoje. — Starzec mdlejącego do reszty obalił i przekroczył przez rozciągnione ciało. — Teraz on już cudzej nie zażąda pomocy. Sam stąpa dalej, paląc się wzrokiem, olbrzymim cieniem łamiąc się na ścianach, w rozwianych szatach, z okropną śmiałością. — Słudzy garną się za nim, sklepienie odjękuje odgłosowi ich kroków. — Już ich tylko jedna świetlica dzieli od komory pań zamku — na drugim jej końcu widać na wścież rozwarte podwoje, za niemi część kobierców i ścian ślubnej sypialni i okno od krużganku, rozognione promieniami

wschodu. — Zresztą pusto, głucho; słychać tylko szmer blizkich wodotrysków. — Starzec prosto śpieszy ku drzwiom onym i ku wschodzącemu słońcu.

* * *

A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Zdało mu się, że widzi krwawe serce Boga w przestrzeniach. — Olsnął na chwilę, idzie dalej omackiem, aż tu znów ujrzał krew czerwoną na ziemi. — Wszystkie mary snu strasznego otoczyły go napowrót w jawu promieniach. — Tak, jak widział, że upadli, tuż przed nim rozciągnione leżą ciała córki i synowca. — Wzniósł ręce w górę wzorem tonących i bił niemi marne powietrze, jakby usiłował się wydobyć z tego piekła widziadeł — potem niewzruszony pozostał na miejscu. — Tymczasem tłoczą się zewsząd do komnaty przebudzeni goście, służebni, lennicy, a każdy u wnijścia struchleje i w słup się obróci. — Wszystkich oczy skierowane na odwróconego pana i na zwłoki przebitych. — Oboje leżą u stóp ślubnej łożnicy. — Ramie wygnańca dotąd szyję siostry otula, jej głowa spoczywa na jego kolczudze, powyżej sztyletu, co tkwi mu w piersiach — nikt nie przywarł im powiek — w świetle coraz bielszem słońca szklnią się ich źrzenice, a krew wszędzie naokoło, i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy ścina się już w czarniawe korale — nad tą krwią stygnącą twarze ich, oblane śniadym pokojem. — Jakby wspomnienie uśmiechu przystygło do ust dziewicy, niby cień dumy ociąga się jeszcze na czole rycerza. — Znać męka śmierci lekką im była wśród zachwytu ducha.

* * *

Starzec jak stanął, tak stoi dotąd — nie jęknął, nie drgnął, nie pochylił się. — Przytomni, parci świeżemi przy-

chodniami, zwolna muszą posuwać się naprzód półkolem — wstrzymują oddechy, oburącz trzymają szable, by nie zabrzękły, lękają się chwili, w której pan ku nim twarz obróci. — Wielki Boże! przed tą twarzą nie stanie im serca!

Jezus Marya! jakież to dziwo? — On przywitał ręką przytomnych ludzko i wspaniale, tak, jak zawżdy zwykł czynić — niby zadumany, niby nieświadom rzeczywistości, wpatrywał się w ich postaci i przecierał powieki, a ognista gorączka płonęła mu na licach. — »Wina węgrzyna — niech wypiję zdrowie obywatelskie!« — Nikt się nie ruszył — wszyscy skamienieli dokoła. — »Krew tę obmyć, nim moja dziewoja powróci!« — Nikt się nie ruszył — każdy głowę spuścił, nie mogąc znieść wzroku jego. — »Ha, wy nie wiecie, że to wszystko śni się nam. — Sen uparty, długi, przeklęty — ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się«. — To mówiąc, szedł na krużganek. — Tu nagle zdał się inną zaprzątniony myślą; przechylił się przez marmurowe poręcze, patrzał w lewo i w prawo, potem woła: »Mości Panowie bracia, chodźmy szukać państwa młodych! Dziwno, że na przechadzkę wyszli sobie tak rano«.

* * *

I zaraz zstępuje sklepionemi wschody, tą samą drogą, którą wczoraj synowiec wdzierał się na zamek. — U stóp wzgórza zerwał róż kilka: »To dla mojej dziewczyny — ciszej, wiara — ciszej — zejdziem ją niespodzianie w tym lasku i przywitamy dnia dobrego życzeniem«. Z pochylonemi głowy wszedł za nim orszak pod cienie jodeł i smutnych modrzewi. — Węzły ścieżek ściskały się i rozpuszczały naprzemian, wiodąc w głąb ciemną, to na czyste smugi, to wbiegając na pagórki, zasute agrestem. — Starzec zaczął wołać córki po imieniu. — Echa naokoło naśmiewały się z niego, ludzie szlochali, idąc z tyłu za nim. —

Nagle uderzył się ręką w czoło: »Zmora, zmora, a ja wierzę jej, jakby czemu dobremu — kiedyż wnijdzie mi prawdziwe słońce?« — I rzucił się ku blizkiej sośnie, objął pień rękoma: »Obudź mnie, obudź, twarda koro!« — Potem się odwróci i porwie najbliższego z orszaku za piersi i krzyczy: »Maro sługi, mocuj się z panem twoim — obudź mnie — obudź!« Przerażony sługa wymknął mu się i ucieka. — Westchnął starzec, wzniósł oczy ku niebu — wyraz przystania na męczarnią twarz jego pokornie oświecił, jakby za grzechy ten sen okrutny ofiarował Bogu. — Potem szedł spokojniej, a gdy uszło czasu trochę, znów rzecze: »Panna młoda pewno tam, nad jeziorem. — Za mną, wiara, dalej!«

* * *

Owoż i słońce podbiło się w górę, owoż i rosa wysycha już na liściach a wód powierzchnia płonie wrzącemi blaski. — U brzegu zaczepione kołyszą się łodzie o herbownych flagach. — On przypiął sobie do pętlicy róże i chodzi po wybrzeżach z coraz żywszą na licu gorączką. — Nikt nie śmie przemówić, nikt radzić, by wrócił do zamku. Przywykli słuchać woli nieugiętej pana i teraz jej hołdują, choć ona już nie z tego świata. — Im samym ten dzień wygląda nakształt ciemnej nocy — im samym do mózgu wdziera się obłąkanie! — »Może wsiadła na łódkę, popłynęła z mężem pomiędzy te kępy, za te wysepki? — Hej, sześciu z was bierzcie się do wioseł — i my też popłyniemy za nią!« — Usłuchali, on siadł na statek, odbili od brzegu. — »Czego jęczycie tak dzisiaj? — czy woda wam twardsza?« — Oni nic nie odpowiadają, tylko jadą prędzej. — Za niemi reszta dworzan, jak kto mógł, skacze w inne łodzie. — Dużo ich pojechało za starym panem. — Dużo zostało na brzegu, bo zabrakło czółen.

* * *

Wysepki kryły się jedne za drugiemi — każda wieńcem sitowiu opierścieniona. — Tu i ówdzie na nich olbrzymie głazy, dawne okrutnych bogów ołtarze, dziś obwisłe powojem. — Kiedy dopływała łódź, u steru której siedział starzec, zewsząd zerwały się z pluskiem i szumem dzikich ptaków stada. — Czarna z nich tęcza zawisła nad płynącemi — na każdym skręcie wodnego manowcu starzec klaszcze w ręce: »Tu, tu ją znajdziemy«, a gdy nikogo nie widać, pyta się powietrza: »Gdzie dziecię, dobre dziecię moje?« — Tak opłynął całą wysp drużynę i czystem jeziorem kazał jechać ku drugiemu brzegowi. — Lecz już teraz zamilkł, ster puścił, czasem rzuci się nagle w bok, a wielka bladość rozpościera się po jego twarzy. — Zanurzył ramie w wodę po łokieć i, słuchając szmeru fali, głośno się rozśmiał. — Stanęli wioślarze, czekają, ażali im nie każe wrócić. — On i słowa nie rzekł, jedno wstał i, odwróciwszy się, spoziera na zostawione z tyłu czółna, na ogrody i zamek, a ciągle ręką głowę przeciera lub drugiej dotyka się dłoni — wtem krzyknął: »Chcę się przebudzić — ja chcę się przebudzić!« — Oni zadrżeli. — On skoczył z sił wszystkich, ostatnich w głębinę. — Trzech natychmiast rzuciło się za nim, tymczasem nadpływają tamci. — Wszyscy widzieli, co się stało, i patrzą na wodę, wirującą w miejscu, kędy zapadł stary pan z wiernemi sługi. — Wrócili po kilku chwilach pływacze, niosąc między sobą starca. — Na pokładzie pod flagą herbowną złożyli pana. — Lecz w nim już nie patrzeć życia, życie pod błękitami jeziora zostało!

* * *

Tak obce książe zagrabiło zamek starożytny cnego imienia. — Zwłoki teścia i żony uczciło pogrzebem — ciało wygnańca rzuciło gdzieś w nieświęconą ziemię. Potem wyprawiło towarzyszom stypę w onej samej sali, kędy noc pierwszą ślubu przemarnowano z kielichem w ręku, z żartami

na ustach. — A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był książęciu, że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem. — Król dziękował losom, że ród odwieczny i potężny wygasł. — Lecz w górach pamiętają wodza, który spoczywa w nieświęconej ziemi. — Jego mogiła leży z tamtej strony zamku. — By nad nią krzyż pamięci zatknąć, wprzódy zamek szturmem zdobyć trzeba. — Od gór, na zwiady wysłane, latają ku wieżom orły i krogulce. — Lada dzień za niemi sypną się zbrojne męże, a inny pieśń zwycięstwa ułoży. — Ja wam podałem pieśń zgonu!

* * *

A ty, młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl, co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi — skrzydła jej zawadzały — pozbyć się nie mogła skrzydeł! I poniosły cię one, dokąd wichry lecą, dokąd mgły żeglują, dokąd rwą się liście jesienne i wiją się szumy harfy i piersi westchnienia! — Na grobie marmurowym prochy twoje noszą imie cudzoziemskie, nienawistne męża. — Wokół, na zielonym świecie znikomych, nikt już nie wspomina ciebie. — A nazajutrz po zgonie siedmiu starców cię przeklęło za to, żeś pociągnęła za sobą bohatyra duszę. — Nazwali cię oni szyderczem imieniem: »Kobieta«, kiedy mówili do zgromadzonego ludu — ale lud płakał i, rozchodząc się, wołał: »Wieczny odpoczynek daj jej Chryste Panie!«.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO

»NOCY LETNIEJ«.

Str. 360. Kobietą, którą tu poeta nazywa Siostrą, była pani Joanna z Morzkowskich Bóbr-Piotrowicka.

Str. 361. Dalmatyka — długa, uroczysta szata kościelna.

Str. 361. Powinni — powinowaci.

Str. 366. Handżar — kindżał, sztylet.

Str. 366. Małmazya — słodkie wino południowe.

Str. 380. Manele — naramienniki, bransolety.

Str. 382. Dłuża — długość.

POKUSA

Ach, mętne krwią i łzami pędzą życia fale
I na nurtach potoku słychać wieczne żale.
Z tyłu leżą, przeszłości mgłą obwiane, tonie,
Z przodu niebo dalekie krwawą łuną płonie,
A wokoło pływaczy tak zimno i ciemno,
Że każdy woła, płynąc: »Przekleństwo nade mną!«

Matko, po sześćkroć zabita, matko nieszczęśliwa, jednym smugiem zielonym, łanem jednym kłosów ty pamięć obwiążesz i odtąd cierpieć, błądzić, kochać cię muszą syny twoje. — Za niemi grób od morza do morza, przed niemi, gdziekolwiek idą, zachodzące słońce, a idących przeklinają mocarze i kupcy!

Wzrosłych na łonie śmierci nie zrozumieją żyjący — pobledną twarze ludzkie przed wzrokiem upiorów — na odgłos ich stąpań płomień ognisk domowych pochyli się i głazy ogniska zamiecie — matka ukryje dziecko, żona uprowadzi męża, by nie podał dłoni przechodniowi — gwiazda im tylko wieczorna, gwiazda grobów uśmiecha się w górze!

Wszak święte było milczenie borów sosnowych? — a kiedy wiatr się podniósł, wszak wołał nad waszemi głowy szmerem tajemniczym, jak modły arcykapłana! — Boga waszego niema tu już nigdzie. — Tu szkielety z drewna, okute żelazem, podsycane parą, zaległy przestrzenie; — w powietrzu nie unoszą się orły, w zaroślach nie świegocą ptaki, rączego konia tu żaden z was nie osadzi na stepie i nie pojrzy z dumą, sam jeden śród świata!

Przechodząc więc, i wy im odwdzięczajcie się wzgardą; — kiedy was zawiodą do miast bez świątyń i zamków, pod domy białe tynkiem, którym wygoda prócz zielonych okiennic skąpiła ozdoby, powiedzcie: »Umarli!«

Kiedy na brzegach morza staniecie śród Żydów, Ormia-

nów i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot, co huczy nad falą, niesłyszan przemija — »Umarli!«

Kiedy naokoło snuć się będą niewiasty, ciała, ubrane w suknie, a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy, niż dusza ich — »Umarli!«

Idźcie, płyńcie, jak szum nietkniętych borów! — Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i, zmartwychwstając, po drodze rzucacie szmaty całunów, a on na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny!

I ujrzałem jakoby w cudownem widzeniu obraz, zmieniający się, jak długie życie, a znikomy, jako dzień jeden, co się pocznie rankiem, a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwnie przejrzysty, wolen chmury wszelakiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzenią zieloności — przed domem na wzgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rżał, chwytając w nozdrza powiew z doliny. — Obok stał młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku, równą dziennej jasności, z jedną nogą na strzemieniu, z drugą jeszcze na miękkiej domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka, z którym się żegnał, nie wiedzieć, na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły naprzemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten, co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności. Tamten wzniesione miał oczy, całą pił błękit źrenicą i głos jego brzmiał, jak najpierwsze świeżej struny dźwięki. — Starszy przemawiał wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco — a młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję przyjaciela, wnet potem na siodło — i poleciał, poleciał, jak potok, z góry na dół, potem, jak strzała, po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za panem.

Wtedy pozostały ukląkł i słyszałem to, co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: »Ojcze niebieski, dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi! — Nie wódź jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię — niechaj Tobie służy tylko — Matce, po sześćkroć zabitej, niechaj służy tylko!« —

Tu umilkł klęczący i zdał się głęboko rozpamiętywać, czy przeczuwać, czy też modlić się wciąż jeszcze — aż ścisnął dłonie z sił wszystkich; i znów wiatr przyniósł mi słowa jego: »Ojcze niebieski, nie proszę cię za przyjacielem, byś mu osłodził mękę życia — on cierpieć musi, jako wszyscy na świecie. — Jedno uskąp mu, Panie, rumieńca wstydu i hańby słabości!« —

Po tych słowach ze wzgórza puścił się wędrowiec i szedł pieszo ku dalekim skałom, ku lasom czarniawym. —

Znów razem zeszli się oba, konny i pieszy, o południu dnia tego samego, przed wielką bramą miasta. — Już skwar słońca wypalił ciemnawe ślady na młodszego czole, już rosa muraw wyschła na jego strzemionach i rdza połysk ich stali szpeciła, a koń, przylatując zdaleka, stanął, jakby znużony, choć żarem jeszcze pryskały mu oczy. — Pieszy siedział na głazie, od stóp do głów siwy kurzawą. — Młodzieniec skoczył lekko na ziemię, rzucił mu się w objęcia i konia sługom oddał i wszedł bramą wielkiego miasta, wiodąc towarzysza ku pałacowi. —

Spoczęli oba w jednej z wnętrznych komnat pałacu. — Tam rozmawiali przyciszonym głosem, jakoby się lękali z za ścian ucha nieprzyjaciół. — Młodzieniec, na perskim kobiercu rozciągnięty, odwilżał usta w srebrnej czarze. — Starszy nie dotknął się puharu, kiedy mu go podawał przyjaciel, nie ścigał wzrokiem po stołach i ścianach, kiedy mu ich kosztowności wskazywał przyjaciel. — Wstał nareście i, wziąwszy młodzieńca za rękę, zawiódł go do okna. — Stamtąd całe miasto widne i tłumy snującego się narodu. — Miasto ogromne, dziwnie jednostajne i wybielone; — naród

dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży. — Młodzieniec patrzał ciekawie, starszy wędrowiec westchnął i rzekł: »Kiedy was zaprowadzę do miast bez świątyń i zamków, powiedzcie: Umarli!« —

Ale młodszy patrzał jeszcze ciekawiej: przejeżdżały niewiasty; jaskrawe były barwy ich sukien; każdą dwa rumaki ciągnęły, a jeden z nich odrywał się w bok i pędził, śnieżną zasłoną, gdyby żaglem rozpiętym, otoczon. — Starszy wędrowiec westchnął i rzekł: »Kiedy naokoło snuć się będą ciała, ubrane w suknie, a polot ich sukien duchowniejszy, niż dusza ich, powiedzcie: Umarli!« —

Ale młodszy nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Tymczasem na niebie zbierały się zewsząd ciężkie, spiekłe chmury. — Jakżeż ta godzina południa różną już od porannej była! —

A śród narodu czarnego zaczęli snuć się ludzie, przed którymi naród głębokiemi chwiał się ukłony. — Kuse ich stroje, migocące złotem, przetkane barwistemi wstęgi — długi, chudy oręż przy ich boku — grube piór czuby na ich głowach; — głosem twardym wołając, szli w potędze swojej i uderzali dzieci, pozostałe na drodze. — Jęły płakać dzieci, jął tłum się cofać i uciekać; oni jedni zostali na rynku, a coraz więcej ich przybywało — i kłaniali sobie samym coraz grzeczniej, coraz niżej, aż Jeden konno nadjechał i wszyscy upadli twarzą na ziemię. — Snać ten Jeden był panem życia i śmierci! —

Wtedy rzekł pierwszy wędrowiec: »On już na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny«. — Lecz młodzieniec, wlepiwszy wzrok w jasne szaty jezdca, ich błyski pił całą źrenicą, tak, jak niegdyś błękit niebios, i nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Dopiero, kiedy ten drugi raz je powtórzył, zakrył on oczy dłonią i wyrzekł imię matki zabitej, jakby wspomnienie dzieciństwa. — Starszy, przyciskając go do piersi: »Nie patrz, nie patrz na nich!« — zawołał. — »Nigdy! nigdy!« — odparł młodzieniec

i, zalany łzami, rzucił się znowu na wschodnie kobierce. — I usłyszałem modlitwę, odmówioną w duchu nad leżącym przez odchodzącego wędrowca: — »Ojcze niebieski, o południu tej strasznej próby, błagam cię za tym, którego ukochałem. — Ojcze niebieski, teraz już o cud proszę Ciebie. — Osłódź tej duszy walkę życia — uwolnij ją od pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła, jak owi dawni, najpiękniejsi w Twoich niebiesiech, strąceni za to, że zapragnęli potęgi!« —

Sam teraz, sam jeden śród miasta wielkiego został młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. — Na niebie już w ołowianą blachę zlepiły się chmury. — Co chwila zmieniają się kształty ulic i komnat i osób, a on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą. — Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym licówpozorem. — Ciągle za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — a po drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawe iskry. — Pierwsze osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalą z serca i rany zabliźnią — lecz nowe, coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa, jak arcydzieła sztuki, i posiadł je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich, aż jasność, równa dziennym promieniom, znikła z jego źrenicy. — Boże! i same szaty jego stały się kłamstwem; zrzucił dawne, w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał do boku; tłum jął przed nim się cofać i koń go własny nie poznał, gdy wchodził na podwórce pałacu swojego — pogłaskał mu grzywę, a on nie zarżał — chciał skoczyć nań, jak dawniej, a on dęba stanął. — Gniewem zdjęty, pchnął więc konia szpadą; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł, grzmiąc podków łoskotem. — Ślad długi iskier bruk osypał za nim i zagasł w zmierzchu. — Ach, już była nadeszła zmierzchu godzina! —

Wtedy po trzeci raz w dniu owym z przyjacielem spotkał się młodzieniec; — ujrzałem ich obu w kościele. — Ten kościół stał na ustroniu i krzyż na nim różny był od wszystkich innych, zatkniętych na świątyniach miasta. — Ubogie ółtarze i stropy grubą powleczone żałobą, a trzy gromnice tylko paliły się śród szerokiej ciemności. — Jedną z nich wziął do ręki pieszy wędrowiec i patrzał na przyjaciela pełnym żalu wzrokiem. — Tamten zrazu nie mógł słowa wyrzec, bo zapomniał był słówmi głąb duszy objawiać; raz tylko krzyknął. — W tym krzyku cała ozwała się prawda — ducha, nie chcącego upaść, powolne niszczenie. — I złożył głowę na ramię towarzyszowi i spuścił powieki, jakby marząc, iż może uda mu się zasnąć na wieki w tej chwili. — Lecz towarzysz ocucił go i rzekł: »Za mną, za mną, byś sobie postać matki przypomniał!« — I poszedł przodem ku roztwartym drzwiom za wielkim ołtarzem. — Mroźny wicher buchał z podziemiów — gromnica przewodnika biła się z powiewem, w długie iskry rozczochrana. — I szli oba długo bardzo, coraz niżej zstępując do łona nocy, aż z ciasnego przejścia wydobyli się na głuche i niezmierzone obszary.

Ogniki nocne spadały czasem nakształt zlatujących gwiazd — czasem podnosiły się z dołu, jak wschodzące księżyce. — W ich świetle snuły się długie cmentarze jeden po drugim, a na każdego bramie tlało srebrne imie Ludu, który na nim leżał zamordowany. — Po kościach i czaszkach przechodził młodzieniec i czytał napisy. — Zdawało mu się, że cienie umarłych pomykają się przed nim spłoszone i, jęcząc, uciekają dalej — aż zrósł się z nich tuman, podobny do burzy, co chwila ogromniejszy, szumiący tysiącem smętnych pieśni rodzinnych. — Znać było jakoby migotanie szabel i przewiew sztandarów w powietrzu. — Łuny pożarów jak błyskawice rozlewały się w przestrzeniach i gasły naprzemian, a coraz hyżej i coraz dalej toczył się wir Duchów, aż nagle spuścił się na dół, rozsypał

się, jak zeschłe liście, przylegl do ziemi, jak letnia kurzawa, wołając: »Ojcze niebieski, zmiłuj się nad nami!« — Wtedy zatrzymał się przewodnik i kląkł przed wniściem do otwartego grobu, na którym imie po sześćkroć zabitej paliło się białym płomieniem; — a kiedy powstał, drżał od stóp do głów, świętem przerażeniem zdjęty; a kiedy próg przestępował, zaczął płakać rzewnie. —

Smętne światło jesiennych pogód oświecało tamtejsze przestwory; — niby to wieczór już nadchodzi, a na wzgórzu, łagodnie pochyłem, leży trumna pod wysmukłą sosną; na jej szczycie orzeł przeszyty, w własnej krwi uśpiony — a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy, z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórzów takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugi, kędy krew płynie na wzór szemrzących ruczajów, kędy oręż połamany zielskiem zarasta; a na każdem wzgórzu taż sama trumna i postać taż sama, jedno coraz więcej krwi, coraz na dłoniach leżącej cięższe łańcuchy i światło jesienne co chwila bledsze; wreszcie u stóp ostatniej wyżyny zmarzłe sterczą krwi potoki, na sosny konarach wiszą sople lodu i miasto zasłony śniegiem twarz umarłej przykryta. — Tam gdy doszedł młodzieniec, padł czołem na grudzę zimową i przeklął życie! —

Dalekie pozostałych cieniów u bram grobu słychać westchnienia, płacze; wreszcie zapytały: »Czy skonała już po sześćkroć przebita, czy nie powstanie już nigdy i nas biednych nie wywiedzie?« — Starszy wędrowiec nic nie odpowiedział, bo okiem miłości patrzał na towarzysza w tej chwili i dźwigał go z ziemi ramieniem. — Wtedy powstało narzekanie wszystkich dalekich pomarłych ludów i jednym krzykiem ogromnym ciszę śmierci zrzucili: »Ojcze niebieski, Tyś zdradził nas, Tyś wydał nas piekłu, bo Święta nasza skonała!« — Ale przewodnik odegrzmiał im z oddali: »Nie bluźnicie, bo Święta wasza oddycha jeszcze! — Widzę ją: śpi w trumnie ostatniej na zamarzłem wzgórzu — za niem

już niemasz siódmego, tylke jedno jest: zmartwychwstanie«. — A ryk Duchów wołających opadł i przerzucił się w szmer cichy i słodki, jak początek nadziei. —

Wtedy spostrzegł młodzieniec niedojrzane dotąd za trumną obszary. — Tam pałał blask jutrzenki na błękicie bez końca, stamtąd było słychać szczęk jeszcze nienarodzonych bitew i pieśń zwycięstwa. — Lecz zorza przez chwilę tylko jaśniała, chrzęst przez chwilę tylko dzwonił, milczenie i zmierzch i zimno wróciły. — Czas już odejść. — Oba wstąpili na wzgórze, pochylili czoła i usta na stopach postaci złożyli i z pod śniegu słabiuchny oddech ust jej zasłyszeli. — Potem tąż samą, widziałem, jak wracali drogą, strasznemi wiążąc się przysięgi. —

A starszy, żegnając młodszego u wnijścia do kościoła, rzekł dziwnie zaklinającym głosem: »Nie daj się uwieść tym, którzy chcą zgubić duszę twoją i wymazać imie twoje z rzędu słów zacnych na ziemi! — Pamiętaj, że, cokolwiek ujrzysz tej nocy, jest piekieł złudzeniem!« — I, położywszy dłonie na sercu młodzieńca: »Ojcze niebieski — zawołał — zlituj się nad nim i nade mną, bo jeśli on tej okropnej próby nie wytrzyma, Ty wiesz, że ja sam jeden zostanę na świecie!« — Po tych słowach każden z nich różną poszedł drogą. —

Teraz już ciemna noc była w onem wielkiem mieście. — Mnogie po ulicach ruszały się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kędy światło tysiącznych lamp wołało do zamku, brzmiącego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych, wiodących w górne komnaty, wspinają się młodzi i starzy, męże i niewiasty, wszyscy śpiesznie, chciwie, jakby szli do nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe, niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzałem młodzieńca na owych wschodach, z daleko starszą już twarzą, na której ślady przysiąg zręcznie się ukryły. — Cisnął się za nim orszak sług — rzucił im płaszcz swój darł się wyżej strojny i wspaniały, gość, równy pysznym godom! — Lecz zaledwo wszedł i pojrzał na tysiące, plą-

sające w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręże, pryśnięte i wprawione w sklepienia wzorem mozaiki, zbladł od gniewu i zgryzł wargi do krwi — ale tłumy lecące porwały go między siebie — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzideł wkradła mu się do mózgu, jedwabne kobierce lubieżnie łaskotały go w stopy, co chwila innej barwy światło grało mu w oczach — aż znękany, upojony siadł na uboczu i, pochyliwszy skronie, zamarzył się o licach niewieścich, o śnieżnej dłoni jakiejś. — Wtedy usłyszałem, jak biła jedna, długa nocy godzina. —

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rzęd roztwartych podwoi w dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący ponad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładca życią i śmierci pod wiązaniem z chorągwi. — Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca. — Na ten widok wszystką siłą duszy odegnał wabiące mamidła i spojrzał wzrokiem czystym od pokus tak, jak w godzinie poranku. —

Wtem tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo — od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieżka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił pan zamku i szedł zwolna, jakby Bóg jaki, śród padających na ziemię; — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny. — Tamten wstał i śmiało spojrzał mu w oczy — pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł łudzącym głosem: »Chodź, przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę!« — a kiedy młodzieniec stał, jak przykuty, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą. —

Z trumną matki, wijącą się przed oczyma, szedł młodzieniec, a ramie jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który, srogim głosem grzmiąc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż prze-

mawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imie matki zabitej bez wzdrygnienia, jakby jej śmierć nie ciężyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać, że znikła już z ziemi na zawsze, i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość, ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie, gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej, jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny młodzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylęgał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat śród ludzi, czołem bijących o malakity posadzek. —

Na drugim końcu zamku nagle na rozkaz pana spiżowe bramy się rozwarły i tysiące, podźwignąwszy głowę, chciwie poza ich progi spojrzały. »Oto skarbiec mój — rzekł mocarz — patrz i uwierz we mnie!« — A młodzieńcowi się wydało, że stoi na brzegu kopalni, ciągnących się bez końca. — Blask, bijący z ich jarów i urwisk, pożerał źrenicę; — toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra, tęczą przeskakiwały nad nimi łuki z ametystu. — Słychać było gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórza, rwały się jaskinie, a świeże dyamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności, jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosiły ręce i, tłukąc łańcuchami, przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia. — On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wnętrzny kopalni, a drugie, równie okute i umierające, na ich miejsce wschodziły. — Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych widział gdzieś dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przesłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył ich jęki — blask, równy pogodzie pustyni, wszystko zalał i pokrył. —

Wtedy bramy spiżowe zawarto, a pan życia i śmierci, odchodząc, rzekł: »O dwunastej bądź w sali tronowej — tam zasiądziesz do biesiady przy mnie!« —

Teraz, gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się, jakie pieśni lubi, i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spojrzał dumnie i rozkazywać zaczął. —

W prześlicznej ustroni, śród pachnących krzewów, na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą; każda go wita różanym uśmiechem, każda mu szepcze do ucha w przelocie i rzuca kwiatami na niego. — Gorączką nabiegły mu lica, uczuł, że zdołałby w zamku wroga być szczęśliwym, i to uczucie, jak piorun, strzaskało mu serce. — Ucieka — one gonią za nim, szumiąc powiewnemi szaty. — Przez dwie długie tej nocy godziny widziałem, jak splątany, pomięszany, walczący, prosił się czasami Ojca niebieskiego o siłę i cnotę, to znów w rozpaczy przebiegał sale godowe i szukał broni, by pchnąć się w piersi — ale nie znalazł jej nigdzie! — Były inne, w których, odwróciwszy się do czarownych postaci, przeklinał je i lżył, rozdzierał ich muślinowe przesłony i deptał nogami. — One, płacząc i korząc się, wołały: — »O, raz, raz tylko powiedz, że jedną z nas kochasz!« — Wreszcie krzyknął w obłąkaniu: — »Kocham!« — Porwał w objęcia cudzego rodu dziewicę, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlekła do sali tronowej. —

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytemi sztandary. — Uderzyła jakaś nocy godzina — dworzany stanęli wokoło. — Zwinęła się w górę makata, kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawołał na czekających za progiem, a weszli posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał

u stóp tronu urnę szczerozłotą, napełnioną popiołami tych, którzy, walcząc w świętej sprawie, po różnych stronach świata polegli; — a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny w książęcych gronostajach i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości — stało mu się ciemno przed oczyma — nic nie widział przez chwilę, nawet kraśnej towarzyszki — słyszał tylko zapytanie pana: — »Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?« — i odpowiedź posłów wszystkich: — »Zaprawdę nie powstaną nigdy«. — A wtedy przystąpili dworzanie i, po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapaliły się prochy sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły woń śmierci. —

I zdało się młodzieńcowi, że wszystko, co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się, że te tłumy są świata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął śród urn płonących. — Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan, schodząc z tronu, sam skinął na niego i miejsce mu wskazał — i wszyscy, którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiedli do onego stołu. —

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup, dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spojrzał, puhar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak coraz groźniej i straszniej pasował się duch jego obłąkany, usiłując powrócić do dawnych wiar i nadziei; ale wszystko, co go otaczało, grubą zasłoną ćmiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylać je musiał — osłabły piersi, dreszcz rozwiązał członki; skronie, zimnym potem zlane, pochyliły się; ludzie, urny, sklepienia pogmatwały się przed jego wzrokiem. — Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy pomieszały się w okropny hałas, nieznośny mdlejącemu; — i tak minęły przedostatnie godziny.

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła, jak grzmot, ponad jego głową. — Rozemknął powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: — »Gościu biesiady mojej — rzekł — czas, byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia!« — i rzucił mu przez stół garść dyamentowych krzyżów, dodając: — »Noś to na pamiątkę moją!...« — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. — Głowa jego opadała na łono oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem zachodziły oczy — i wymówił tak wszystkie wyrazy aż do ostatniego. — Lecz zaledwo skończył, wstał pan życia i śmierci: »Sługo sług moich — zawołał — śmierć od powrozu kata cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę..« — potem rozśmiał się gardłem całem. — Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszem spojrzeniem spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: »Hańba!« wyczytał młodzieniec. — »Hańba!« krzyknął, zrywając się z miejsca ostatkiem sił — »Hańba!« odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodów, z boków — »Hańba« powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcu kopalnie; — a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wołać jego nowem, cudzoziemskiem imieniem; — drudzy, skacząc naokoło, przypinali mu krzyże. — Inni kazali mu, by się im kłaniał; inni, by deptał po niedopalonych matki popiołach!

Tu mu krew napowrót pchnęło do serca i rzucił się naprzód, rozbił otaczających, wyleciał z komnaty, szuka wzrokiem narzeczonej — ona gdzieś w oddali stoi, już oparta na ręce drugiego, i szydzi także. Jak może więc, sunie poza posągami, przepada w framugach; lecz zaraz go wykryją i znów uciekać musi — w sto manowców zamek plącze się przed nim, a nigdzie schronienia: wszędzie naokoło obelgi i groźby, a w nim samym przekleństwo! — Obrócił się ku wrogom, pasował się długo, aż zrzucili go pod stopy i prze-

szli po nim, śpiewając mu pieśń jakąś z stron jego ojczystych. — Gdy powstał, inni nadbiegli, a on wyzywał ich jeszcze, aż spieniony, krwawy, znów zacznie się cofać i szukać wyjścia z zamku. — I bił się i tarzał i biegł i padał aż do pierwszych świtu brzasków — wtedy runął ze schodów miedzianych i stoczył się na podwórzec zamkowy.

Tu go uchwyciły silne ramiona i uniosły daleko, aż na stopnie kościoła, widzianego o godzinie zmierzchu. — Teraz już blizki wschód słońca — lecz dla młodzieńca nie będzie drugiego poranku na ziemi!

On odzyskał przytomność i w niemej rozpaczy stał na
wschodach przed starszym wędrowcem, który rzekł po-
nuro: — »Wiem, że w innym czasie i na innem miejscu
mógłbyś był zajaśnieć bohatyrem — ale śród ciężkiej próby,
naznaczonej ci od losów, nie umiałeś być cnotliwym. —
Widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą,
świętą, wiekuistą prawdą; — zgubionyś!« — »Wróć mi ko-
nia« — krzyknął młodzieniec — wróć mi szaty stepów
i dawną broń moją, a ujrzysz, jak mścić się będę krzywd
bratnich i własnego zhańbienia!« — I czepiał się rąk przy-
jaciela i zawieszał mu się na szyi, gorejąc wściekłością; —
a tamten smutniej jeszcze odpowiedział jemu: — »Czas gło-
śnej walki nie nadszedł. — Długo jeszcze dni milczących
poświęceń trwać muszą, a choćbyś się doczekał sądu i zmar-
twychwstania, policzą cię właśni bracia w poczet odrzuco-
nych. — Stamtąd, czy słyszysz? już wrogi gonią za tobą! —
Jeśli cię schwytają, przez resztę życia ty będziesz ich woli
służalcem, ich zbrodni spólnikiem, ich żartu igraszką. —
Jeden tylko, jeden ratunek pozostał dla ciebie« — i dobył
sztyletu. — Młodzieniec zrozumiał i z dziką odwagą rozdarł
szaty nad piersiami. — »Uderzaj! — zawołał. — Umieram
synem matki, po sześćkroć zabitej — cześć jej na wieki!« —
Jęknął wędrowiec i w tych nagich piersiach żelazo utopił; —
padł bez krzyku nieszczęśliwy w pierwszych promieniach
wschodzącego słońca, o tej samej porze, o której wczora,

pełen nadziei i siły, pchnął był konia z góry na dół, w poprzek stepów życia. — Upadł, a oko jego, gasnąc, błysnęło dawną iskrą światła. Kląkł przy ciele towarzysz i wzniósł w górę załamane ręce. — »Ojcze niebieski, Ty wiesz, że go śród wszystkich najmocniej kochałem na ziemi. — Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła; a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku duszę jego wydarłem wrogom i posłałem Tobie. — Ojcze niebieski, zbaw ją w wieczności, a niech ta krew, przeze mnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusicieli!« — Po tych słowach widziałem, jak sam drasnął się pod serce żelazem i na kamieniu ponad głową umarłego czerwonem ostrzem napisał: »Z ręki przyjaciela«. — Wtem wrzaski walącej zgrai huknęły w pobliżu — porwał się wędrowiec i, uchodząc, znikł z przed oczów moich w przybytku kościoła. —

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego widzenia!

O matko, po sześćkroć zabita, kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad łanami zbóż, śród zielonych borów od morza do morza, a w chwili odmłodnienia przypomnisz sobie długą zmorę śmierci, straszne widziadła męczeństwa — nie płacz, matko moja, nie płacz nad onymi, którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach! — Choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi. — Ani płacz nad tymi, którzy śród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi. — Ale uroń łzę litości, o, uroń łzę, matko moja, nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudzili morderce twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem! — Oni, matko, oni więcej wycierpieli, niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje jak noże przeszyły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmią w obliczu słońca chrzęstem stali i łoskotem dział. — Widmo twoje służyło im za cień własny; lśniące oczy wrogów sprowadzały ich pochyłością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdem urwisku, zatrzymując się, płakali za tobą — aż serce wyschło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bez-

widomych kajdan; — i stali się jako trupy żyjące, sami śród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi. — Matko moja, ty nad dolą ich, ty nad męką mąk wyrzeknij ciche słowo przepomnienia! —

DZIENNIK

Z PODRÓŻY DO SYCYLII

1839. Albano, 18 kwietnia w nocy.

Chciałbym ci zostawić wszystkie myśli moje; chciałbym ci napisać słowo, w któremby cała dusza moja się zawarła, słowo, któreby ci wypowiedziało wszystko, com czuł i marzył blizki, wszystko, co przecierpię daleki od ciebie, byś, kiedy mnie już nie będzie, spojrzeć mogła na nie, jakby na drugie serce, podobne do owego, które ciebie kocha. Ale takiego słowa niema — trzeba jedność uczucia na wiele słów rozdrobić, by pojętną się stała. Zamiast więc jednego słowa potężnego, wszechwładnego, zostawię ci zapisanych kart kilka i jeszcze w nich nie znajdziesz tego, co chciałem, byś miała po mnie; słabo i blado w nich się odbije to, czem byłem tobie, czem będę i jestem!

Otóż zacząłem pisać do ciebie w Albano. Patrzę na Kampanię rzymską, dawną znajomą, dawną przyjaciółkę, pobratałem się z nią w smutnych chwilach; ona mi zawsze wierną była i wszystkie natchnienia mojej młodości urodziły się w niej i jej ponurą barwę noszą. Dziś ona mi się pogodną wydała, wiosna wszędzie się zieleni na jej ogromach. Chodziłem długo po Villa Barberini, niegdyś pysznej, dziś zarosłej zielskiem, sadzonej ogromnemi sosnami, wielkiemi i smutnemi, jak Polska. Ku Rzymowi, gdzie dotąd jesteś, wytężałem wzrok, ale Rzymu niepodobna ujrzeć, mgła w oddali go zakryła; widziałem tylko Kampanią, podobną do szarego morza i z drugiej strony morze podobne do białej Kampanii. Te dwie nieskończoności przypomniały

mi, że ty nie lubisz myśleć o nieskończoności. I w rzeczy samej jest coś strasznego w każdym ogromie — w każdem pojęciu wiecznego życia lub wiecznej przestrzeni. Ale ten strach mija, gdy porwie nas wstręt do skończonych rzeczy, gdy zwrócimy uwagę na wszystkie nasze bole, pochodzące właśnie z tego, że żyjem ciągle wśród skończoności. Wtedy nieskończoność, jak świeży napój, jak ocean, przeznaczony nam do wypicia, zstępuje w duszę naszą i odświeża nas. Chciałbym objąć cię ramieniem i z tej Kampanii rzymskiej porwać cię do niebios.

* * *

Neapol, 23 kwietnia po południu.

Przeklęte miasto, nagie, jak pustynia, bez cienia, bez przytułku, bez domu, krzykliwe jak przedpokój szkolny, gdzie smagają uczniów, niespokojne, a jednak nie ożywione i głupie! W tem powietrzu roztopiona siarka i węgiel, jak trucizny padają na nerwy; w blasku tego słońca jest coś wściekłego, w zieloności tych drzew coś niedoszłego, zatrzymanego przed czasem, w kształcie ich gałęzi coś garbatego. W wejrzeniu tego ludu jest coś niemęskiego, słabego jak dzieciństwo, a ohydnego jak zepsucie i zgnilizna; ich wesołość jest błazeństwem, ich namiętności błahościami; z rzędu zwierząt nie podnieśli się jeszcze do godności człowieka, a rząd zwierząt, do którego się liczą, nie zachował nawet ozdób i sił, któremi natura dzikie płody swe obdarza; są to swojskie psy, osły, barany, a czasem między niemi tu i ówdzie zdarzy się ostryga dla urozmaicenia widoku. Gdyby jeszcze te psy, osły i ostrygi chciały spokojnie leżeć i milczeć, ale broń Boże: co chwila ryczą, biegną, skaczą, piszczą, zazierają, puszczają fajerwerki, kłócą się o funt makaronów lub klaszczą w dłonie, kiedy się poliszynel albo król na ulicy ukaże.

Wśród nich żyć niepodobna, wśród nich kochać jest męczarnią, bo miłości potrzeba pewnej powagi, pewnej ciszy; miłość albowiem obraźliwą jest; łacno ją skaleczy, łacno w ból ją wprowadzi i w tęsknotę każdy widok niezgodny z tem, czego ona pragnie, z tem, co ona czuje. Na rzymskich cmentarzach lepiej nam było: tam ludzie milczą i nie słychać odgłosu ich kroków, kiedy przechodzą; tam nocy czarne i pełne pokoju; tam wszystko nosi cechę wieczności, tu wszystko jak czas rusza się i hałasuje. Kampania dobrą dla nas była: ruiny kochały nas, grób Augusta strzegł nas, księżyc, co zazierał przez okna i siatką srebrną oplatał błękitną kurtynę, był nam przyjacielem. Marzyłem w jego promieniach, żem już nie na ziemi i nic marzenia tego mi nie przerywało. Jakbym się był dostał do świata Duchów, do snów wiecznych świata, tak sennie, złoto, milcząco wszystko tam płynęło i wiązało się. Jest coś nieśmiertelnego w tych wspomnieniach moich!

A tu wszędzie i w każdej chwili ciśnie mi się do serca omdlenie, zwątpienie, smutek, śmierci przeczucie, nieszczęścia przewidywanie, rozdziału rozpacz. Każden ich krzyk straszy ciebie i w mojej duszy się odbija. Nienawidzę tego światła zuchwałego, tych nocy jasnych i głosami ludzi zapełnionych, tych przechadzających się żołnierzy, tych ulic budowanych z jednej strony domami a z drugiej morzem; nie cierpię ich, bo ciebie straszą, bo czuję dreszcz ręki twojej i włosów twoich, kiedy ci rękę ściskam. O, uspokój się i zapomnij, żeś tu!

* * *

28 kwietnia, na statku parowym
o kwadrans na 10.

Z najwyższego pomostu patrzę raz jeszcze ku tobie, wytężam wzrok mój, wyciągam wszystkie myśli moje ku tej

dalekiej, czarnej wstędze, co wije się na brzegu — to Villa Reale. Zdaje mi się, że dostrzegam jeszcze Bellevue, ale pewno raczej sercem, niż źrenicą. Statek porze szybko wody, otchłań z lapis-lazuli pode mną. Rozwieszają żagiel w tej chwili — tęskno mi, że jeszcze prędzej popłyniem. Sam jestem wśród tej nieskończoności i modlę się z westchnieniem do Boga o ciebie. Bądź zdrowa, bądź spokojna i nie czarnej myśli; niech błogosławieństwo moje, niech cała dusza moja oderwie się od tych piersi i zostanie z tobą — kiedy wrócę, oddasz mi ją!

* * *

29 z rana.

W tej chwili w czarnej oddali, gdzieś wśród wyziewów pokazała mi się Sycylia. Jeszcze pięć godzin drogi nam zostało. Noc była południowo-łagodna, księżycowo-złota; przeleżałem ją na pokładzie, marząc o tobie i wywołując postać twoją ze srebra fal. Dziwnie promienie miesiąca krążyły wraz z cieniami po tym kołyszącym się statku; chmury i gwiazdy zdawały się podnosić i zniżać naprzemian, kłaniały mi się z nieba. Wśród nocy zajaśniał wulkan Stromboli z daleka, jak krwawa pochodnia, przez chwilę wybuchnął nad tym ogromem wód i zgasł — i już płomienia ni razu nie widziałem. Snuły się pod statkiem delfiny, dorady także czasami z głębi morza wyzierały. Powiadają, że w chwili konania one zwykły się stroić w najśliczniejsze farby, że stają się tęczami na falach. Lubię je za to — piękność i śmierć rzadko zlewają się razem.

Z tyłu i po bokach morze było szare, z przodu tylko szedł przed statkiem trójkąt łusk złotych, odbicie księżyca na falach, przeciągnione w nieskończoną oddal, podobne do tych ócz boskich, co po katedrach jaśnieją nad wielkim ołtarzem. W powietrzu było coś wiośnianego. Tęsknota moja za tobą z gorzkiej przeszła w tkliwą, prawie w szczęśliwą:

zdało mi się, że widzę cię uśpioną i że błogosławię snu twojemu. I każda fala niosła mi obraz twój, póki się nie rozbiła o boki statku; wtedy następna porywała ciebie i znowuś płynęła ku mnie pomieszana z światłem księżycowem, ze zmierzchem nocy, z pół-cieniami chmur, z iskrami gwiazd, bo wszędzie, gdziem spojrzał, tam ty być musiałaś, tam ty byłaś, jakoby drugie morze, drugie niebo naokoło duszy mojej, także zagięte sklepieniem!

Ale gdy ranek wrócił, gdy weszło słońce, gdy oni wszyscy zaczęli się ruszać i rozmawiać, gdy statek przemienił się z łódki fantastycznej, niesionej ku szczęśliwszym brzegom, w bat pełny ludzi z kapitanem i restauratorem, stało mi się, jakobym już ciebie nigdy nie miał obaczyć. Ci ludzie mi twój obraz przesłonili, zabrali mi ciebie!

Zeszedłem do kabiny, słyszę ich nad moją głową, śmieją się i krzyczą, przeszkadzają mi pisać; nie mogę przy odgłosie ich rozmów wylać całej duszy ku tobie. By modlić się Bogu, trzeba mi pustych kościołów, a jako przed Bogiem, tak i przed tobą sam jeden być muszę.

* * *

12-sta z południa.

Przybliżyła się Sycylia, prawie schodzi się z Kalabryą. Drzewa jednego nie znać na brzegach, same wzgórki piaszczyste, ale odwrócić się trzeba, tam z tyłu widok jedyny. Na granicy, gdzie morze styka się z niebem, Stromboli się wznosi i dymi ku niebu. Nic więcej nie widać na tej ogromnej błękitu przestrzeni. Zdaje mi się w tej chwili, że świat ten cały z wody błękitnej, a na nim tylko wyspa jedna, tylko wulkan jeden; zdaje mi się, że potop zalał ziemię, nic nie zostało po ludziach, tylko ołtarz ten ogromny, stawiony przez olbrzymów, stoi dotąd, a na nim dopala się ich ostatnia ofiara. Gdy ten płomień zgaśnie, gdy ten dym

się rozwieje, będzie cisza na świecie, będzie tylko ołtarz jeden martwy i morze jedno i nad niemi Bóg jeden.

* * *

30 kwietnia z rana — Messyna.

Messynę dzieli od Kalabryi odnoga morska, do rozlanej wielkiej rzeki podobna. Na wzgórzach kalabryjskich rząd chmur zasiadł wczoraj i przymilał się Messynie ślicznemi farbami. Miasto to różne od wszystkich innych. Zwykle każde miasto, choćby w najgórzystszym położeniu, choćby na szczycie skał lub na przesmyku morskim, oddziela się od natury, wycofuje się z jej łona, stawia między nią a sobą widome, dotykalne granice; Messyna wszędzie zlewa się z naturą, wrasta w naturę, jak Centaur w grzbiet konia: każda z tych ulic długich i pięknych nie kończy się, nie kona u stóp zielonej góry, ale zdaje się z nią spływać, zdaje się w tę górę nieznacznie przechodzić. Chmury lekkie, muszlinowe, ze szczytu wzgórzów się podnoszą i nad domami się nachylają, jakby nad pokrewnemi swemi.

Z jednej strony ulicy San Ferdinando stoi rząd bram wielkich, wyglądających na port, w równych odległościach od siebie; przez każdą widać morze i okręt ten lub ów i dalej wzgórze to lub owo na brzegu kalabryjskim. Każda z tych bram, jak ramy obrazu, chwyta i przytrzymuje część okolicy. Wszędzie w ogrodach pomarańczowe, cytrynowe drzewa, na murach aloesy, kaktusy, powietrze takie lube, jakby z innego świata. Lud blady, smagławy, w łachmanach, z płomienistemi oczyma. Żebraków mnóstwo; widok ich nędzy dzikiej znośniejszy jeszcze od wrażenia, jakie wywiera nędza wśród cywilizacyi, doszłej najwyższego szczebla porządku i samolubstwa Tu żebracy pod błękitem nieba biegną, krzyczą, wyciągają dłonie, wloką się zgarbieni, rzucają się wściekle na rzuconą jałmużnę; ale żaden z nich, jak

w Anglii, jak w Londynie, nie usiądzie zgłodniały na ziemi i pisać nie będzie ostatkiem sił na kamieniu: *Starvation come.* Widziałem takiego, co czytał taki napis i patrzał na piszącego w jednej z zatraconych ulic Londynu.

To okropne, szekspirowskie *Starvation come*, to przystanie na śmierć, to wywoływanie śmierci z głodu, przyszło mi wczoraj na pamięć, gdym chodził po Messynie, otoczony żebrzącym ludem, dziećmi na szczudłach, lazzaronami bez nóg i rąk. Oni przynajmniej, choć głód czują, wierzą jeszcze w życie, wierzą, że nie dadzą im umrzeć inni ludzie. Tu zarobek i przemysł nie stał się jeszcze jedynym prawem życia; w Anglii, temu, co pracować nie może, czy z własnej czy z losu winy, śmierć prawną się stała i wydaje się prawną.

Taka jest różnica między naturą a kupiecką cywilizacyą; w pierwszej jest nieporządek, chaos, niespokój, ale zarazem jest życie; w drugiej porządek, rozum, rozgraniczenie i opisanie wszystkiego, ale zarazem egoizm i śmierć blizka. My, Polacy, szczęśliwiśmy, bo umiemy łączyć z nieporządkiem rozbujałego życia wszystkie pojęcia cywilizacyi; działamy zawsze w naturze, to jest, jak na istoty ożywione przystało, a zdolni jesteśmy myśleć głęboko, myślą krajać sfery najwznioślejszej matematyki, myślą objąć myśli wszystkich innych ludów świata. Takie połączenie gotowości do wszelakiego czynu z bystrością idealną, jest nam właściwym darem. Jest to dar wiecznej młodości i w rzeczy samej, w Europie starej kto młody dotąd? My i tylko my!

Takie myśli snuły się po głowie mojej przez chwilę, gdym przechodził rynki i ulice Messyny. Wszedłem potem na wschody, wiodące na wzgórze, gdzie stoi klasztor San Gregorio. Klasztor stawiany z maurytańskich altan wysmukłą lekkością. Kościół wewnątrz cały z mozaiki, chór kratami obwiedziony, jak w hiszpańskich klasztorach. Z bram kościoła widok przecudny. Czemuż ty w tej chwili nie jesteś tu ze mną, tu na tej wyżynie, tu na tych marmurowych

schodach, pod chłodem tych dwóch kolumn korynckich? Patrz! Świat jest pięknym, świat roztoczony leży przed nami, a muszę mu powiedzieć: »brzydki«, muszę go odepchnąć od oczu, bo ciebie tu niema; bo tylko rozum mój pojmuje, że to byłoby pięknem, gdybyś wraz ze mną patrzała. Lecz serce tej piękności nie czuje, serce jak bryła lodu stoi zawieszone wśród tej natury, słodkiej i ponętnej, serce jak igła magnesowa odwraca się ku morzu w stronę Neapolu.

Ot, patrz, patrz ze mną razem!

Naprzeciwko ciągnie się Kalabrya. Czy widzisz te wzgórza, jakby nożem u wierzchołka ścięte na to, by te chmury mogły wdzięczniej położyć się na nich? Czy widzisz ten wielki rozlew błękitny? To morze, co się ścieśniło w rzeki koryto, a tam znowu się rozszerza, jednem ramieniem fal odpiera Sycylią, drugiem Kalabryą i wraca do swojej nieskończoności. Już wieczór blizki. Już na tych chmurach płonie odbita purpura zachodzącego słońca. Jakie dymy przejrzyste, białe, jakie farby pstre, szare, złote, co chwila odmienne; pod spodem zielone wstęgi, cienie obłoków, chodzące po spadzistościach gór, światła smugi, wijące się pośród nich, a niżej, tam, na samym dole, na samym nadbrzeżu, białe domy Reggio. Tu, u stóp naszych, tłum messyńskich gmachów; zdaje się, mógłbym chodzić po tej dachów płaszczyźnie, gdybym skoczył z tych schodów; zdaje się, mógłbym dotknąć tych przelotnych chmur, co zewsząd powstają, gdybym ręce wyciągnął.

I tak stopniami gaśnie dzień, widzę ostatnie chwile słońca odbite na kalabryjskich wybrzeżach, na kalabryjskich chmurach, jakby w zwierciedle. Coraz zwierciadło bledsze, ciemniejsze. Ah, gdyby nagle mi się w niem twoja postać pokazała, gdyby na tle tych wyziewów choćby na jedną chwilę powiew sycylijskich wiatrów odmalował rysy twarzy lub kształt kibici twojej! Takby ci pięknie było tam, wśród tych różanych promieni! Pokaż

mi się! Czy moja wyobraźnia słaba, czy ty niedobra, że cię obaczyć nie mogę?...

* * *

1 maja, Messyna.

Wczoraj dzień cały strawiłem w górach, zapoznałem się z sykulską naturą: tak samo dziwaczna i pomieszana, jak dzieje tej wyspy. Na tej ziemi wszystko się zjawiało, wszystko rosło bujnie, rozkwitało świetnie, nic się nie utrzymało nigdy, nic owocu nie wydało. Greckie i kartagskie osady wypleniły pierwotnych mieszkańców; Rzymianie Greków i Kartagów pomordowali; później Muzułmanie, Normandy, Niemcy, Francuzi, Hiszpanie przechodzili tędy, i, kilka dni zabawiwszy, niknęli jak mary.

Ta ziemia niegościnną a zarazem ponętna jest; kto jej się dotknął, ten doznał chwil kilku dobrych, ten posiadł znikomą rozkosz lub potęgę i zginął. Już w starożytności głośne były syreny na progach wyspy, śpiewające słodko dla wciągnienia żeglarzy w wiry Scylli i Charybdy. Ten symbol powtórzył się nieraz w rzeczywistości. Ta wyspa rodu wulkanicznego pożera i truje tych, którzy na niej budują mieszkania swoje; nikomu nigdy ojczyzną ni domem nie była, a niektórym służyła za biesiadę, nad którą wisiał miecz Damoklesa, a wielu innym za grób, na którym pali się mogiła, Etna. Po każdem plemieniu, co tędy przeszło i zaginęło, ślad jakiś musiał się zostać jednak. Te ślady zrosły się z sobą, powikłały się razem w języku mieszkańców, w architekturze miast.

Katedra messyńska zawarła je wszystkie w sobie. Jej brama strojna w gotyckie liście, gałęzie, zwierzęta, na dwóch lwach mistycznych opierają się jej filary. Sądzisz, że wejdziesz do czarnego przybytku, do mieszkania ostrołuków (ogives), pod wiązania oświecone malowanemi szybami — a tu spotykasz rzymskie kolumny, białe jak u po-

gan, i złote kapitele, świetne, jak w arabskich meczetach. Ołtarze wszystkie sadzone florencką mozaiką. Gdzieś w głębi kościoła znów przebija grób, podobny do niemieckich, nadreńskich, rycerskich pomników. I tak co chwila miesza ci się wszystko przed oczyma. Każdy naród, co odwiedził Sycylię, zdaje się wołać z podziemnych katedry lochów: »Poznaj mnie, to ja jestem!«

Taki los wysp wszystkich. Czem oasis w pustyni, tem są wyspy w historyi narodów: miejscem wypoczynku i przechodu zarazem. Już to zjednoczenie dwóch sprzecznych żywiołów, już ta ich wodno-ziemna natura oznacza, że raczej przeznaczone dziejom Rozmaitości niż Jedności. Morze huczy naokoło nich, dziś przynosi do brzegów okręta, jutro trupy z tych samych brzegów zabiera.

Otóż i zewnętrzne kształty natury sycylijskiej zupełnie odpowiednie temu, co się działo w tych miejscach. Tu Europa zdaje się przelewać w Afrykę: ciągnie się łoże wyschłego potoku, na jego żwirach mruczą strumyki, z boku młyn wodny się kręci, jak w Alpach, skała się piętrzy, świeżą zielonością ubrana, jak w Tyrolu, już zdaje się, że usłyszysz brzęk dzwonków krowich; wtem z drugiej strony staje kopiec przed tobą, kopiec nagi, wyschły, żółty, kaktusami ogromnemi okryty, a liście kaktusów, obrócone ku słońcu, błyszczą suchym połyskiem afrykańskich roślin. Dalej nad brzegami potoku w piętra sadzone sady cytryn i pomarańcz włoskich; podejdziesz w górę, nad pomarańczami blade i smutne oliwne drzewa snują się jedno za drugiem, jakby szły za pogrzebem, a wyżej jeszcze, na samym cyplu wzgórzów, łączki zielone, kwiatki polne te same, co na polskich i niemieckich niwach, drobne łany zasianej pszenicy i len, rozkwitły błękitnawo.

Rzadki tu i ówdzie robotnik rolę tę wysoką pod chmurami uprawia; gdzieindziej znowu chodzi strzelec i przepiórek z psem szuka. Twarze tych ludzi sczerniałe, okopcone od słońca; ile włosów na ich głowach, tyle zmarszczków na ich twarzy. Język ich niezrozumiały. Bóg jeden dojdzie, ile tam greckich, arabskich, hiszpańskich i francuskich słów mowę włoską nakształt roju robaków stoczyło. Kobiety osobliwie zeszpecone przez skwar słoneczny, podobne do murzynek. Jakiegoś cierpienia wyraz odbija się na ich licach, siedzą pod pomarańczowemi drzewami niewzruszone, smutne, z kudłami białych włosów na czole, w milczeniu i boleści.

Ale już coś hiszpańskiego przebija w układzie tych ludzi: nie jest to jeszcze hardość hidalgów, duma kastylska, nie żebrząca nigdy, w podartym płaszczu, nie odkłaniająca się samemu królowi, ale też neapolitańskiej podłości nie spotkać już tutaj. Żebrzą jeszcze, ale krótko, nie ścigają pół mili za podróżnym, by wyjęczyć od niego bajoka, nie tyle się z nimi po sklepach targować trzeba, a za szklankę wody, za ogień do cygara, za przytrzymanie konia nie żądają nic.

Ze szczytu wzgórzów, pomiędzy które byliśmy weszli z Jerzym, ujrzałem widok rozległy i wielki pięknością swoją. I znów mi przyszło żądanie do serca, nieukojone pragnienie obaczenia ciebie, bo każda piękność, którą widzę, zdaje mi się akkordem muzycznym, szukającym dopełnienia — dopełnienie, to ty! Wzrokiem objąłem morze i ląd sycylijski, Etny jednak nie dojrzałem. Dzikiemi zakręty wzgórza uciekały w głąb wyspy, wszędzie łoża potoków jak bite drogi podnosiły się od brzegu morza w górę; wszędzie nad niemi pagórki się nachylały, jak bukiety zieloności, żółtemi kwiatami upstrzonej. Jasna pogoda przypomniała mi wiersze te Byrona:

> I niebo tak wszystkie chmury zdjęło z siebie,
> Że ledwo nie widać Pana Boga w niebie!

Morze ściemniało, prawie granatowego koloru było. Wykwitały na tem tle granatowem śnieżne piany rozbijających się bałwanów. Było w tym obrazie coś bogatego, prze-

pysznego; przypomniały mi się arabskie powieści o przestrzeniach z lapis-lazuli perłami sadzonych, o namiotach, jak świat wielkich, z błękitnego muslinu. A gdym oczy odwrócił, by spojrzeć na wyspę, gdym ujrzał owe dzikie i spokojne wzgórza, umajone tchnieniem wiosny, zdające się kiwać na mnie krzewami, bym poszedł tam, gdzie one idą, w te doliny, gdzie nikogo niema, gdzie tylko strumień rozmawia z strumieniem, gdzie tylko rozbójnik, albo rozkochany wyżyć potrafi — uczułem, że Sycylia, co nikomu domem nie była, mogłaby nam być schronieniem — i zaraz stanęła mi przed wyobraźnią wieża starożytna, pusta, w której Emir jakiś mieszkał niegdyś, zawieszona na urwiskach skał, płotem żywym z aleosów ogrodzona, samotna wśród gór i lasów kasztanowych, stóp Etny niedaleka, z oknami kratowanemi, z ostatkiem maurytańskich arabesków na ścianach, z welonem bluszczu, z przepaską róż dzikich, nad wodospadem, zlewającym się na dół, jak wstęga atłasu białego. I podałem ci rękę i weszliśmy oboje do tej wieży mojej!

Wyspo niegościnna, odpowiedz, byłażbyś mi przytułkiem? Czybyś zdołała zakryć mnie od oczu ludzkich i mnie, który nie znałem nigdy spokojnego szczęścia, dać długą ciszę i niezatrutą miłość? Głos jakiś mi szepce do ucha, że tam, za kręgiem tych wzgórzów, są milczące pustynie, które byłyby mi siostrami; tam leżą prochy narodów, co niegdyś biły się o tę ziemię i władały nią i pomarły; tam snują się po księżycowych nocach duchy Arabów, wiernych Konradynowi; oneby mnie i ją oprowadziły po manowcach tych puszcz, a w czarną noc, zasutą chmurami, słup płomienisty nad Etną byłby nam przewodnikiem.

Lubię, wyspo, twoje łagodne powietrze, twoje czyste niebo, twoje pamiątki i wulkan twój — o godzinie nieszporów co dniabym ukląkł na twoich murawach i modlił się, wspominając starego Procydę. I onaby uklękła i ze mną razem westchnęła do Boga.

Takbyśmy żyli oboje, nieznani od obcych, niepamiętani przez swoich, na tym cmentarzu ludów!

O śnie dziki, namiętny, jasny, czego mię dręczysz? Już czuję jej dłoń w mojej, już ją wiodę pomiędzy te skały. Teraz zasłaniam jej czoło przed tem gorejącem słońcem, teraz znowu siadam z nią w chłodzie i cieniu nad tym ruczaiem, wśród poziomych dębów, wśród sosen, do palm podobnych, okolony rzędem wysmukłych cyprysów. Ona lubi kwiaty. Ot, wszystkie kwiaty ziemi do stóp się jej tłoczą. Powiedz, co wolisz, czy rozkwitły aloes, czy prostą małgorzatkę, czy tę różę świeżą, stulistną, której tu nikt nie zasiał, którą wiatr posadził? Patrz, sama tu jesteś, nie słychać głosu ludzi, nie widać śladu ich stóp na piasku! Przywiodłem cię tutaj. Bóg mi darował tę pustynię, Bóg mi darował te wzgórza, to morze, to powietrze, to niebo. Tyś panią świata tego. Poczekaj, aż wejdzie księżyc, aż zamigną gwiazdy, aż te fale rozkołysane zasną w miesięcznych promieniach, aż głos wodospadów, wołający z tych dolin, stanie się muzyką wśród milczenia nocy; wtedy mi powiesz, czy lepiej ci było na brzegach, któreś opuściła? Czy ta samotność nie jest świętą, boską? Czy tu Bóg nie większy, jak tam? Czy serce twoje nie szersze? Czy ciało twoje nie leksze? Czy myśl twoja nie łatwiej wdziera się w nieskończoność? I dodasz jeszcze słowo jedno — słowo »kocham«; żadne go ucho nie podchwyci, żadne go prawo ludzkie nie potępi; chyba go skały ściana odbije, pieczary sklepienie powtórzy i powiew przelatujący poniesie ku niebu na skrzydłach. I wstaniem, i pójdziemy dalej!

O śnie mój namiętny, jasny, jak światło południowe, czemu znikasz? Czemu ten żagiel biały, co się ukazał na morzu, przerwał mi marzenie? Widzę, czuję, że sam jestem. Ona nie przypłynie takim żaglem do mnie. Ja muszę wrócić do niej, tam, gdzie lampy salonów się palą, gdzie ludzie mieszkają razem, choć jedni nienawidzą drugich. Lecz gdziekolwiek ona, tam i ja będę. Śnie sycylijski, bądź mi

zdrowy! Zycie mnie w inną stronę porywa. Zejść trzeba z tych gór, niech ten dzień prędzej się skończy, niech Sycylia z oczu mi zniknie, niech morze niesie mnie nazad, niech mnie rozbije u stóp jej domu, bylebym ją ujrzał i powitał raz jeszcze!

I, schodząc z tych wzgórzów, wyryłem na murze blizkim drogi messyńskiej, wyryłem ostrzem sztyletu, darowanego mi przez ciebie: »Polak tu był«. Kiedyś przyjdzie może na to miejsce ktoś z Polski rodem i przeczyta i rozraduje się w duszy!

* * *

2-go maja, na statku — w nocy.

Jak żagiel szary zwinęła się Messyna z przed oczu naszych i znikła. Przepłynęliśmy Charybdę i Scyllę: far messyński cisnął ku nam strugę światła i został z tyłu. Koła nasze wrą znów na morzu szerokiem, gwiazdy nad sznurami masztów się snują; z pod kół naszych także sypią się gwiazdy wśród piany śnieżnej, gwiazdy fosforyczne jedne po drugich bryzgają, jak klejnoty, spadające z rozerwanego naszyjnika.

Morze takie gładkie, ciche, do szyby szklannej podobne, słychać tylko szum kół; wiatru niema na jedno westchnienie. Mgła łagodna, na pół przejrzysta, zalega widnokrąg, środek nieba tylko czysty. Księżyc wschodzi od strony Sycylii, nieśmiało wychyla się z za jej nadbrzeżów, patrzy się na nas jak anioł, pierwszy raz posłany na ziemię.

Aniele złoty, pobłogosław tym prześlicznym, uśpionym wodom — zlej na nich skrzydeł twoich promienie, przemień je w srebrną nieskończoność, niech twój uśmiech odbije się na tych mgłach, co, jak zasłony dziewicze, świat opasały! Idź dalej, wzlatuj w niebo, o aniele mój!

* * *

2-go maja z rana.

W tej chwili spojrzałem na nurty, które statek parowy zostawia za sobą. Usiadłem sobie w łódce, przyczepionej z tyłu okrętu, wlepiłem oczy w dół. Suknia, w której pierwszy raz w życiu oglądałem ciebie, przypomniała mi się: z wierzchu jakoby siatka z piany się toczy, pod nią przeczysty błękit, gaza srebrna na niebieskim atłasie. I gdziekolwiek statek dotknie się morza, tam morze się przemienia w taką suknię twoją.

Palermo około 12-tej z południa wyjrzało ku nam z ogromnej zatoki, wieńcem skał otoczonej. Na prawym boku stoi skała św. Rozalii, podobna z daleka do zamku niebotycznego, o dwóch wysuwających się basztach, z zielonymi ogrodami w dole. Zaraz na pierwsze spojrzenie znać, że tu panowali Araby, syny słońca i gorejących marzeń, mistrze w sztuce przemieniania głazów twardych w przejrzyste koronki, w ulotne filary. Madonna dela Catena na brzegu samym stoi za bramą miasta, na pół ukryta. Nic zarazem piękniejszego i śliczniejszego nigdym nie widział. Sam pałac dożów nawet mniej ponętny; jest w tym kościele powab nieopisany, jest coś tak wysmukłego, tak świeżego, że zdaje się powieścią z tysiąc i jednej nocy, w kamień przekutą. Ogromu w nim nie patrzyć — ni zbyt wysoki ni szeroki, ale doskonale miarowy, jak muzyka akkordów zgodnych, wznosi się na filarach maurytańskich i haftami marmurowymi się kończy. Gdybyś go ujrzała, pewny jestem, żebyś go zaraz wygrała na fortepianie lub wyśpiewała głosem; drzemiącebyś w tych murach pojęła dźwięki i rozczarowałabyś je, obudziła je, popłynęłyby na wolność w głosie twoim!

Teraz podaj mi rękę i oprzyj się na mnie! Czy widzisz ten wierzchołek ostry, szary, tu i ówdzie zielonością przy-

pruszony? Tam żyła i skonała św. Rozalia, tam grób jej w jaskini, tam dostać się musim. Chodź za mną!

Po tej drodze brukowanej, którą ludzie rzucili na spadzistość skały i podparli arkadami, podobnemi do wodociągów Kampanii rzymskiej, po tej drodze przykrej, kaleczącej stopy, wznoszącej się coraz wyżej w pustynie powietrza, stąpaj ostrożnie! Nie patrz na te olbrzymie kaktusy, co rosną po bokach, nie patrz na te urwiska i pieczary, nie chciej się schylać po te dzikie kwiaty, którycheś nigdzie indziej nie spotkała! Nie podnoś oczu, by ujrzeć skrzydła ptaka, którego jęk słyszysz nad tą jaskinią; ja ci powiem, jak on wygląda, ja zbierać będę kwiaty za ciebie, ty idź powoli, by cię ślizka nie podchwyciła droga, byś stóp miękkich nie rozkrwawiła na tej grudzie kamiennej!

To zgasły wulkan, stojący wśród własnych ruin jak trup olbrzyma otoczony stosami mniejszych ludzkich trupów; nie zrósł się dotąd żużel z żużlem, głaz z głazem, ale leżą jedne na drugich, przy drugich, piętrzą się w górę, rozstępują się w rozłomy, jak sterczące kości szkieletu, jak powalone gruzy miasta — ślad zniszczenia wszędzie widomy. Choć zieleni się trawa, choć powiewają bluszcze, nie mogą one zakryć piętna śmierci i w harmonią życia przerobić tych szarpanych, rozbitych, przy sobie rozrzuconych, nie z sobą spojonych rozwalin.

I coraz wyżej, wyżej coraz pnie się droga nasza. Kształty skał coraz dziksze i podobniejsze do cudów. Stań na chwilę, odpocznij i spojrzyj! Niby to łąka, a na łące kamień grobowy przy kamieniu, jak na żydowskich cmentarzach. Tam dalej — czy widzisz? zda się, że cały naród mnichów w kapturach i długich szatach padł twarzą na murawę i leży niewzruszony aż do końca świata. Jak z chmurami na niebie, tak z głazami na skale tej: w co chcesz, możesz je przemarzyć.

Dziko, pusto! Czy nie straszno tobie? Czy ci się nie wydaje, że na równinę już nigdy nie wrócim? A gdyby te wszystkie głazy nagle się podniosły, ożywiły się i pląsać koło nas zaczęły i porwały nas w twardy taniec, niosąc nas ku otchłani, ku morzu? Gdyby w tej chwili wulkan się obudził i lunął na nas lawy potokiem? Gdyby olbrzymy przydeptane, jak wieść starożytna głosi, górami Sycylii, powstały i to jarzmo skał zrzuciły z karku? Albo gdybyśmy głodną śmiercią w tych puszczach umrzeć mieli?

Ot! spojrzyj w tę stronę, a roztopią się czarne myśli, jak kropla rosy w piękności widoku. Patrz! Raj kwitnie tam w dole. Patrz! Oto masz Sycylii równinę, pokrajaną lśniącemi drogami, prostemi jak promienie słońca; oto masz ulice, sadzone z cyprysów, ogrody, obeliski, pałace, fontanny. Gdzieżeś podobne murawy widziała? Gdzie śliczniej rozkwitające drzewa? A między górami rozstępującemi się zwierciadło morza przebija, jakby początek świata marzeń. Teraz odwróć się i spojrzyj nazad na drogę, którąś przyszła! Palermo całe tam leży pod tobą na brzegach wód śpiących; korona gór ciemnych nad miastem, wyziewy z ich szczytów się odrywają i jak wielkie mary białe stąpać się zdają po morzu. Tak niegdyś Chrystus wydawać się musiał, gdy wchodził na fale.

Lecz nas wieczór zaskoczy, śpieszmy się. Jeszcze kościoła Rozalii nie widać, kaplice tylko nam zwiastują, że już niedaleki. Znowu oprzyj się na mojem ramieniu! Jeśliś znużona, obwiążę cię rękoma, poniosę cię do grobu świętej.

Wierzchołek skały okrążyć i obejść trzeba. Ten zakręt, to ostatni, już więcej w górę wstępować nie będziem, u końca tej ścieżki pochyłej widzę już ściany klasztoru, widzę kolumny kaplicy, nad którą skała półsklepieniem się załamuje, a na tem sklepieniu bluszcz się wije i tu i ówdzie błyszczy samotny kwiatek.

Czy ci się muzyka Roberta nie odezwała w pamięci? On w tych lochach wywoływał czarne duchy, on z grobu, do którego idziem, zerwał palmę czarodziejską. Tu synowica Wilhelma Normanda, najpiękniejsza z dziewic sycy-

lijskich, przepędziła długie lata, modląc się z tych urwisk do Boga i pokutując w tej jaskini. W dzień śmierci nikt nie był przy niej, dopiero po wielu latach ciało przedziwnie zachowane strzelcy w jaskini znaleźli; powiadają, że zdawała się lubym snem zdjęta.

Czy widzisz te mozajki, wkute w ściany chropowatej skały, i ten ołtarz przepyszny i te obrazy hiszpańskich królów, a tu zaraz obok twardą, dziką opokę i bluszczu wieńce i w głębi ciemną pieczarę z stalaktytami i z drugim ołtarzem, pod którym leży posąg marmurowy w tej samej sennej postawie, w jakiej umarła święta leżała?

Jabym tu chciał klęknąć i pomodlić się za ciebie! O ty postaci, która ze mną jesteś i nie jesteś, ty, coś taka daleka i blizka zarazem, duchu tej, którą kocham, gdzie mi zniknęłaś w tej chwili? Tak ciemno w tej grocie! Kląkłem; ten, który jest ze mną, myśli, że się modlę do świętej Rozalii, on nie wie, że się modlę do ciebie, że cię błagam, byś mi się nanowo ukazała!

* * *

3-go maja. Ziza.

Czy pamiętasz, droga? Marzyłem wieżę Emira, niedaleko Etny, a teraz znalazłem moje marzenie urzeczywistnione w tych miejscach. Znalazłem zamek arabski. Ta dolina zowie się Concha d'oro. Szmaragd nie zieleni się jaśniej. Zewsząd góry, tam morze, tu całe Palermo. Osiądźmy w tym pustym zamku, bądźmy następcami Kalifów! Czemuż nie mogę zerwać róż wszystkich z tego ogrodu i zanieść ich tobie? Bluszczu tylko trochę wziąłem z nad tej słodkiej fontanny, z nad tej wdzięcznej fontanny, co sączy się dźwięcznie w tej sieni maurytańskiej, freskami malowanej, napisami hiszpańskimi zapełnionej, sklepieniem z framug nakrytej. Bluszcz ten dam tobie, niech ci będzie talizmanem

wspomnienia. Ile razy nań spojrzysz, pamiętaj, że chciałbym był ci darować ziemię i niebo!

Zizo, Zizo moja, czy ty wiesz, co ja marzę w twych murach? Ot! w tej sali byłaby jej sypialnia. Tam, na tym tarasie, ułożyłbym jej siedzenie z kaszmirowych wezgłowiów, stamtądby patrzała na ten amfiteatr gór, a wieczorem chodzilibyśmy, podawszy sobie dłonie po tym ogrodzie, w którym słowik teraz śpiewa. Głupi słowik, że śpiewa, kiedy jej tu niemasz!

* * *

Morreale.

Chciałem z grobu króla Rogiera kawał porfiru wziąć dla ciebie, ale strażnik pilnował i nie dał. Katedra pyszna, kolor arabski, jasno-zielony z złotemi gwiazdami na sklepieniu; ołtarz tylko jeden; znać że Normandy meczet tu zastali, meczetu nie tknęli, tylko krzyż czarny, chrześcijański, zatknęli w nim. Za katedrą dawną jest ogród Emirów. Wyschły fontanny, kwiatów już tam niema, zostało się tylko 216 filarów, które portyk kwadratowy podpierają, a każdy mozajką, podobną do tyftyku, sadzony, każdy inakszy, z inną podstawą, z innym kapitelem, to w liście, to w kwiaty, to w głowy ludzkie, to w skrzydła ptaków. Te wszystkie kolumny każę zabrać stąd i przenieść do Zizy; tam one cię okrążą i krzykniesz, spojrzawszy na nie: »Jakie ładne!«.

* * *

4-go maja, na statku.

Sycylia znika mi z oczu. Tam raj, ale bez mego anioła. Bez smutku więc raj porzucam i śmieję się z niego, bo jutro, jutro czeka mię szczęście, czeka mnie uśmiech jej, wzrok jej, uścisk ręki jej! Morze, ty mi drogie, kochane,

ty mi dobre dziś jesteś. Ty mnie niesiesz ku niej; przeklinałem cię niedawno, dziś ci błogosławię! Nie zasypiaj mi tylko, nie chciej naśladować gładkości zwierciadeł, ale bądź mi na bałwany rozdarte, pianą okryte, wichrami zorane, porwij ten statek i pędź go — niech zagrzmi burza, byleby burza wiała w stronę Neapolu!

Czyż ona myśli o mnie? Czy jej tęskno było? Czy wyjdzie jutro z rana na brzeg morza, by spojrzeć ku mnie, kiedy będę przypływał do miasta? Kto mi na to odpowie?

Nikt — tylko serce moje własne; ono czuje, że ona jest ze mną, ono wszędzie na tych skałach i w tych katedrach czuło, że ona jest ze mną. Zaprawdę, duch twój w każdem miejscu, w każdej chwili był ze mną. Z tobą odwiedziłem tę wyspę, tyś mi szeptała do ucha: »To piękne«, ilem razy dziwił się temu, na com patrzał. Uścisk twej dłoni owiewał chłodno moje palce, gdym kwiaty na Monte Pelegrino zbierał dla ciebie; usta twoje niewidomie przepływały nade mną w powietrzu, gdy wiatr mi przynosił woń pomarańczowych drzew i sycylijskich kwiatów; w szumie fal zasypiających słyszałem moje imię, powtarzane głosem twoim; gdy światło księżyca wpadało do mego pokoju, zdawało mi się, że wchodzi postać twoja. Tobą tylko żyłem i jedynie byłem tylko z tobą!

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO

»DZIENNIKA Z PODRÓŻY DO SYCYLII«.

Str. 423. Grób Augusta — t. j. cesarza Augusta nad Tybrem.

Str. 424. Lapis lazuli — barwa błękitna.

Str. 424. Stromboli — wulkan na jednej z wysepek Liparskich koło Sycylii.

Str. 424. Dorada — ryba morska.

Str. 425. Kabina — kajuta.

Str. 425. Kalabrya — południowy kraniec półwyspu Apenińskiego.

Str. 426. Centaur — postać mitologiczna, pół-koń, pół-człowiek.

Str. 427. Starvation come (angielskie) — śmierci głodowa, przyjdź.

Str. 429. Syreny — boginie morskie u Greków, wabiące śpiewem żeglarzy na niebezpieczne miejsca.

Str. 429. Scylla i Charybda — dwa potwory mitologiczne, czuwające na okręty między Sycylią a Włochami, w rzeczywistości dwa wiry morskie u tej cieśniny.

Str. 431. Hidalgo — rycerz hiszpański.

Str. 431. Bajok — drobna moneta włoska = groszowi.

Str. 432. Emir — naczelnik plemienia arabskiego.

Str. 432. Konradyn — książę Szwabii, ostatni z rodu Hohenstaufów, w walce o królestwo Włoch i Sycylii został pojmany i stracony w Neapolu r. 1268 w 17 roku życia.

Str. 432. Procyda — wódz powstańców włoskich, którzy w r. 1282 sprawili Francuzom słynną rzeź, znaną w historyi pod mianem »nieszporów sycylijskich«.

Str. 434. Far — latarnia morska.

Str. 435. Św. Rozalia — patronka miasta Palermo (XII w.)-

Str. 437. Muzyka Roberta — opera Meyerbeera p. t. »Robert Dyabeł«.

Str. 437. Synowica Wilhelma Normanda — św. Rozalia.

Str. 438. Kalif — władca u narodów muzułmańskich, następca Mahometa.

Str. 439. Rogier — król sycylijski (1101—1154).

Str. 439. Meczet — świątynia muzułmańska.

Str. 439. Tyftyk — bogata materya.

OMYŁKI DRUKU.

Str. 5	w. 8	wydrukowano	igraszka	powinno być	igraszką
» 32	» 26	»	granma	» »	grana

SPIS RZECZY.